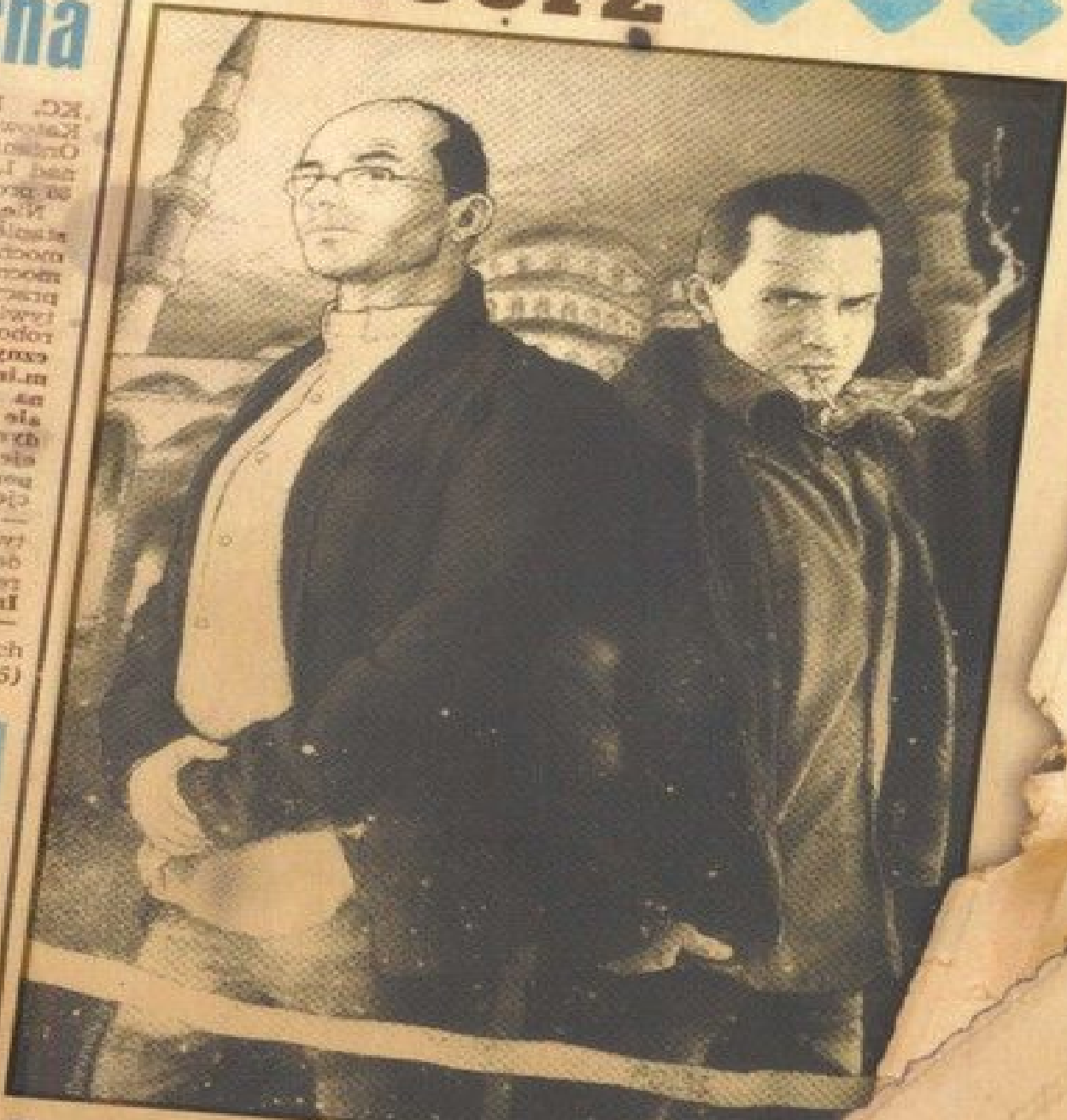


PL ISSN
0137-8234
Mł. 100884
1503X

► Pies i klecha

KC, I sekretarz KW
Kasowiczach — Andrzej
Organizacja partyjna
nad 1,3 tys. [...] w
20 proc. [...] w
[...] na konferencji
[...] nowego
[...] na terenie
[...] odpowiedzialny
[...] W pełni demokracji
[...] partii — powie-
[...] Jaskóbski — jest
[...] warunkiem odnowy
[...] nie może być to warun-
[...] musi zawsze
[...] jest
[...] imię
[...] delegat na
[...] w sposób
[...] w
[...] jak i
[...] pow-
[...] Jerzy Kęstowicz
[...] do tak
[...] o podejmowanych
NCZENIE NA STR. 5)

Tancerz



Łukasz Orbitowski Jarosław Urbaniuk

Ilustracja to: konferen-
cje sprawozdawczo-wyber-
cze PZPR w zakładach pracy,
miastach i gminach, spotkania
aktywu partyjnego

KC, I sekretarz KW
Kasowiczach — Andrzej
Organizacja partyjna
nad 1,3 tys. [...] w

Co p
ni

robotnicy.
poddkiem więc w wy-
padkiem wycę w wy-
na konferencji tak
centrowano potrzeby
partia nowego stylu
na mądrości, inicja-
owiedzialności klas
W pełni demokracji-
partii — powiedział
nier Jaskóbski — jest
warunkiem odnowy,
być to warunek Je-
y stworzyć gwaran-
przepisy nie będą
ane. Taka gwaran-
delegat na zjazd
r sposób demokra-
nie jak i wybrane
e nowe władze
szeregi partyjne
- Jerzy Kęstowicz
do tak modnego



fabryka słów

ŁUKASZ ORBITOWSKI
JAROSŁAW URBANIUK

Pies i klecha: Tancerz

(PIES I KLECHA (TOM: 2))



Wydawnictwo: Fabryka Słów 2008

Spis treści

Karta tytułowa

Ptaki (I)

Rozdział pierwszy Dźwięk mnie ogarnął, nagle moje ciało...

Rozdział drugi Takie buty

Ptaki (II)

Rozdział trzeci Bonjour monsieur. Fuck you, s'il vous plaît

Rozdział czwarty Śmierć idzie przez Paryż

Rozdział piąty Kochanka poety

Rozdział szósty Uuuuuuu, szanselize!

Ptaki (III)

Rozdział siódmy Papiery profesora Doparda

Rozdział ósmy Tancerze

Epilog

Ptaki (IV) Ptaki spały

Ptaki (I)

*Oto drzewo o srebrzystej korze, z którego widać krańce świata.
Ma liście jak ostrza, o brzegach lśniących w słońcu i drobne
czarne owoce, które giną w gęstwinie.*

*Ptak spogląda na świat z najwyższej gałęzi; jego pióra są
szare, ale oczy złote.*

*Drugi ptak bije dziobem o ziemię, raz-raz, uderzając mocne
skrzydła. Chwyta robaczka, ten się telepie, ale krótko.
Nieruchomieje w chwili, gdy ptak podrywa się do lotu, drobny
skurcz i znika w dziobie.*

Ptak, Który Dziobie przysiada na gałęzi i jest ciężki.

*Ptak, Który Patrzy podrywa się pod niebo, zatacza koło.
Wraca. Mówi: - Już są, już idą.*

Rozdział pierwszy

Dźwięk mnie ogarnął, nagle moje ciało...

Chłopak miał dwadzieścia lat. Wołano na niego Wabik. Nigdy nie mówił, czemu akurat tak. W ogóle mówił niewiele.

Stał na sztywnych nogach pod zimną jarzeniówką, głowę miał opuszczoną, za to splecione na brzuchu ręce sprawiały wrażenie zrośniętych ze sobą. Chałat zapiął pod szyją, nad kieszenią pysznił się obleśny napis: ZENEX. Włosy, długie i brudne, opadały w strąkach na szczupły kark, zarost pociemnił chude policzki. Chłopak oddychał przez usta, brakowało mu górnej jedyńki, wpychał w szczerbę różowy rozek języka. Wytrzeszczone oczy błyszczały jak szkło.

Pomieszczenie spowijał półmrok, jeden z tych, które gnieźdzą się pod starym mostem, w betonowych zaułkach, piwnicach, budach rozpruty przez czas: chłodna ciemność, gęstniejąca na wyciągnięcie ręki, pełna szeptów, zawieszonych krzyków, pazurów, kłów. Sterczały z niej półki pełne pudeł i szajsu, którego przeznaczenia pojąć nie sposób, przez zabite okno nie wpadała ani smużka światła. Coś - pewno papier pchnięty przez podmuch spod drzwi - drgnęło w ciemnym kącie.

Przed Wabikiem stał stolik turystyczny, krzywy, usmarowany farbą, upstrzony śladami petów. I na tym stoliku budzik Ruhla wskazywał pierwszą w nocy, obok leżał zegarek na rękę z brązowym paskiem, mnóstwo plastikowych kubków - z czerwonym winem, wodą, ziarnem,

jeszcze jakimiś kolorowymi płynami - wreszcie kilka kartek, gęsto zapisanych drobnym pismem.

Ręka chłopaka pojechała w górę, guzik pierwszy, trzeci, szósty - chałat poleciał na bok. Naga, włochata pierś falowała przy każdym oddechu. Wabik zdawał się w ogóle nie mieć mięśni, na kościach zwiślała wymęczona skóra. Chudy w barkach, o płaskiej klatce piersiowej, zapuścił jednak brzuch. Tiku-taku, cykał sobie budzik, oknem poruszył wiatr. Wabik rozkrzyżował ramiona, wciągnął powietrze, skrzywił się, jakby wdychał sproszkowaną stal. Zastygł, z półki za nim spadła paczka, walnęła o podłogę, a wszystko wokoło podskoczyło. Najwyżej - sam Wabik. Właściwie nie było w tym nic dziwnego, paczka leżała na skraju, częściowo poza półką, zawieszona w ciągłym wahaniu, spaść sobie czy grzecznie leżeć. Tak pozostawiony przedmiot może stracić cokolwiek, tylko czemu akurat w tej chwili? Wabik zgarbił się nad nią, podniósł, była ciężka. Potrząsnął, coś zabrzęczało w środku, dreszcz wykrzywił mu twarz. Pobladł, odłożył, nie - odepchnął paczkę i wrócił do stolika. Zaraz cofnął się o krok. Przelotnie spojrzał ku wyjściu.

Nogi same ruszyły do przodu, potknął się o stolik, drobna dłoń zanurzyła się w kubku z wodą. Stęknął, coś szeleściło w ciemności.

Uniósł trzy palce na wysokość oczu. Coś szurało w mroku, albo i nie, może to złudzenie, przecież tak naprawdę nic w tej pieprzonej ciemności nie ma. Tylko bezruch, noc, tykanie budzika - Wabik prysnął wodą w każdą z czterech stron świata. Przez chwilę patrzył na swoją rękę. Sięgnął po kartkę.

Potem mówiono, że krzyk niósł się pod samo niebo, za miasto, nad podkrakowskie wsie, budząc ludzi, zostawiając w bezsenności i przekonaniu, że w Krakowie wydarzyło się coś straszego.

§ § §

Dziwny był Kraków tej wiosny, chyba nigdy nie zmieniał się tak szybko. Wraz z ociepleniem mury obrastały w kolorowe szyldy, ulice zmieniły się w stragany, na skrzyżowaniach stały budki z książkami i kasetami, a w kioskach sprzedawano harlequiny. Pito piwo z puszek, ulicami fruwały niesione wiatrem dzikie płachty tygodnika „Nie”, a znaczek Solidarności zniknął z pierwszej strony „Gazety Wyborczej” tak dawno, że wszyscy zapomnieli, iż się tam kiedykolwiek znajdował. Niektórzy nosili płaszcze do kostek nawet w ciepłe dni, inni przebierali się w kuroniowy dżins. Radia grały zewsząd, nawet z łóżek polowych zasypanych drobiazgiem, te zaś z każdym miesiącem ustępowały miejsca specjalnym budkom. Samochodów było więcej, śmigały szybciej, wszystkie, nawet zaporozżce, jakby wstydząc się swego niemodnego w ostatnich latach pochodzenia.

Pawilon handlowy „Gigant” budził się do życia, a życie przychodziło z zewnątrz. W środku uśpiony i ciemny, na zewnątrz otwierał oczy - od zaplecza podjeżdżały furgonetki, kierowcy strzykali śliną i kurzyli poranne papierosy, baby kokosiły się z siatkami, bezdomny nerwowo składał na wózek porzucone kartony, myto szyby, ludzie opuszczali bloki, wsiadali w skody, maluchy, fiaty i wartburgi, by popyrkując, pędzić do pracy, do przedszkola z dzieckiem albo ukraść swój pierwszy milion.

Nad „Gigantem” wbrew nazwie górował kościół Błogosławionej Królowej Jadwigi, szarość poprzecinana błękitem, dziwaczna bryła przypominająca niedokończony kosmodrom, wciśnięta między ulicę a park. Krzyż był wielki, dzwonnica wysoka, a wszystko gięło się pod czerwcowym słońcem, dziwnie przełamane, skradzione innej geometrii. Z kościoła wychodzili ludzie, proszący o zdrowie dla siebie lub chorobę dla bliźnich, osobliwie sobie podobni. Ci, którzy wspinali się po schodach ku

kościelnej bramie, szli przygarbieni, z głowami pochylonymi, za to wychodzący mieli dumne miny, jakby właśnie ograli Boga w tysiąca.

Między kościołem a „Gigantem” krążyły gołębie. Młody policjant Robert Greń stał przed wejściem na zaplecze, obserwował sprzedawczynie zmierzające do środka i myślał sobie, że co jak co, ale taki poranek nie zapowiada niczego dobrego.

Greń miał wydatny nos, cofniętą szczękę i, cokolwiek podkrążone, oczy naiwnego dziecka. Palił niczym stary wiarus, wtykał filtr w gębę, zaciągał się, aż policzki się zapadały, trzymał dym długo, wypuszczał powoli. Marlboro w jego ręce zataczało cudownie regularne łuki. Co chwilę mrużył powieki i patrzył, niby na samochody, naprawdę dużo dalej, w miejsce znane tylko sobie. Obok stała policyjna nyska, między Greniem a nyską siedział facet. Miał na sobie mimo czerwcowej pogody, kurtkę bombkę. Spod kurtki wystawała marynarka w jodełkę.

– Chciałbym już iść - powiedział. Nie wiadomo, do siebie czy do młodego policjanta Grenia.

– Nie da rady, panie Zenku - odparł natychmiast Greń. - Jeszcze protokół spisujemy na komendzie i pana puszczam.

Z sukki wyszedł drugi policjant, starszy, wąsaty, jak nie przymierzając sam Lech Wałęsa. Miał szklane oko, źle wprawione, za jasne, nadające jego twarzy wyraz nieustannej podejrzliwości.

– Twój cwany kolega już tu jedzie - odezwał się do Grenia. - Już się cieszę na te wszystkie mądre rzeczy, których wysłucham i dzięki którym się ubogacę. Wiesz co, Robert? Niektórzy powinni po prostu wygłaszać mądrości i nie pętać się ludziom między nogami.

Greń zeszywniał, ale nic nie powiedział.

– Czasem zastanawiam się, czy on ma pojęcie, jakiego durnia z siebie robi - terkotał jednooki. - Coraz częściej słyszę, że on te bzdury swoje

traktuje poważnie. Zestrzelił z miotły czarownicę czy co? Dobry Boże, jaki to jest matoł.

– Kościół - orzekł nagle młody policjant Greń, chcąc zmienić niewygodny temat. Napieprzanie na kolegów z pracy było jedną z tych rzeczy, których nie znosił. Gapił się na dziwaczny kontur kościoła Błogosławionej Jadwigi. Jednooki zadarł głowę.

– No kościół. Co z nim?

– Jakby mało było kościołów, w centrum to masz trzy na każdym rogu - rozgadał się Greń. - Co to w ogóle za pomysł, tu jest park, niska zabudowa, a takie francustwo postawili. I wiesz, jak jest, przecież im to samo się buduje, miasto da ziemię, szkoły nie postawią, a na kościół z plebanią pustaki zawsze się znajdują, a kler tak ma, jak siądzie na czymś, to nie odda.

– Powiedz mi lepiej, czemu tych dwóch ostów nie ma zawsze akurat wtedy, kiedy są potrzebni?

Jeszcze nie przebrzmiały te słowa, a przed „Giganta” wpadł passat z kogutem na dachu. Kogut migotał na niebiesko, samochód był błękitny, a siedzący za kierownicą komisarz Zbigniew Enka wiśniowy ze złości. Wyskoczył z auta, trzasnął drzwiami. Z przedniego siedzenia gramolił się ksiądz doktor habilitowany Andrzej Gil. Enka zostawił go w tyle. Miał wojskową kurtkę w barwach zgniłej zieleni, najmodniejsze levisy, adidasy i dżinsową koszulę, na której bystre oko wypatrzyłoby przynajmniej jedną plamkę po siarce z zapalki. Gil sunął za nim, półprzytomny i biały jak policyjna pałka - tylko pod oczyma załęgły mu się cienie. W kołnierzu szarej koszuli nie wpiął koloratki, czarna marynarka wyglądała na zdartą z trupa, spodnie na kolanach miał ubrudzone, brakowało właściwie tylko butów nie do pary.

– No cześć, Robercik. - Enka wcale nie cieszył się na widok Grenia. Klepnął go w ramię, uścisnął dłoń jednookiego. - No, nazywam się

Zbigniew Enka, a to mój konsultant, profesor Andrzej Gil.

– Doktor habilitowany - wtrącił Gil.

– Mariusz Płaśko. - W jedynym oku mignęła wściekłość, znać, że spotkali się już kiedyś i Enka po prostu go nie zapamiętał.

– Zerwali nas na równe nogi, szanownego księdza doktora musiałem z łóżka wyciągnąć, więc może powiedzcie mi, koledzy, co tutaj się wyprawia.

– Ano, się wyprawia - rzekł Greń.

– Kłopoty - dodał Płaśko.

– Też mi problem - burknął Enka, coś na ulicy zwróciło jego uwagę. Uśmiechnął się szeroko, lecz bez cienia wesołości. - Andrzej, patrz, są nasi spóźnialscy. Mówiłem, że będziemy pierwsi, nawet jeśli muszę rozbijać się tym gównianym samochodem.

Andrzej Gil popatrzył na niego jak na idiotę. Obok passata zaparkowała kolejna lekko obtłuczona nyska. Wysiadł z niej fotograf Wroński z nieodłącznym asystentem Krzyśkiem, również nieodłącznie objuczonym torbami i statywem. Za nimi sunęło dwóch technicznych od zabezpieczania śladów, niby skrajnie odmiennych - gruby i chudy, wysoki i niski - lecz naprawdę bliźniaczo podobnych. Ta sama ziemista cera, rozstrzelone oczy, pożółkłe palce. Nawet szli identycznym rozkołysanym krokiem.

– Proszę, proszę, no to wisisz mi pół litra - uradowany Enka zawołał do Wrońskiego.

– Otóż gówno ci wiszę, Zbyszek, bo zalegasz mi butelkę jeszcze za ten Słupsk - odparł uprzejmie Wroński. Spojrzał na Gila, ale skłonił się Ence. - A tak w ogóle to szczęść Boże, pochwalony.

Krzyśiek nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– No i pięknie - powiedział Enka.

– Pochwalony - powiedział Gil.

Młody policjant Greń tylko westchnął, Płasko kręcił węża i próbował nie patrzeć na nikogo. Nie spodobało się to komisarzowi Ence.

– No dobra. Robert, dasz mi papierosa? Swoje w aucie zostawiłem. Mówcie, co się podziało.

Pan Zenek westchnął. Płasko zaczął:

– Pan Zenon Kłoda zadzwonił do nas dzisiaj rano, jak tylko otworzył drzwi magazynu. Wynajmuje go od „Giganta”.

– Prowadzę hurtownię artykułów papierniczych - powiedział pan Zenek tonem zarezerwowanym do wyznawania najcięższych grzechów.

– Może zaprowadzicie pana do radiowozu, co? - mruknął Enka. - Zeznania mogą być po południu.

– Obawiam się, że nie mogę - odparł Greń.

– Zaprowadzisz go czy nie?

Zostali więc we trzech. Ksiądz doktor odprowadzał ich wzrokiem, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego kładąc się wczoraj wieczorem, nie mógł odpędzić dziwacznej myśli, że stoi na starcie nowej przygody, prawdziwej hecy zabawnej dla wszystkich wyjąwszy jego samego. A gdy o szóstej rano zastukali do drzwi, nie miał żadnych wątpliwości, że to Enka się dobija i zaraz pojedą nie wiadomo dokąd.

– Co tam się stało? - zapytał, a Enka wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Z reguły Gil w takich sytuacjach zachowywał całkowite milczenie, a jeśli już się odzywał, próbował raczej wiedzieć mniej niż więcej.

– To już zobaczycie - odparł niewyraźnie Płasko. - Jak ten cały Kłoda zobaczył, to o mało nie dostał zawału. Facet rozsmarował się o ściany i nie ma w tym przesady. Jak Kłodę zobaczyłem, to chłop cały się trząsł, a jak wszedłem, o tam - wskazał na magazyn - to zrozumiałem nawet czemu.

Techniczni oraz Wroński z Krzyśkiem zniknęli w drzwiach magazynu. Gil patrzył na ciemny prostokąt wejścia, ten nagle pojaśniał, jęk Krzyśka

słyszeli aż tutaj.

– Złodziej może? - chciał wiedzieć komisarz Enka.

– Jak to: rozsmarował się? - zapytał ksiądz Gil. Płasko wzruszył ramionami. Wygrzebał notes o pogniecionych rogach, przerzucił kartki.

– Sami zobaczycie. A ten facet to żaden złodziej, ale student, co sobie dorabiał w tym magazynie po nocach. Podobno porządny chłopak, a co? Nazywał się Mateusz Czujka, studiuje polonistykę zaocznie. Znaczą studiował, Czujka - powtórzył nazwisko. - No to go sobie teraz pooglądajcie.

Gil z Enką ruszyli w stronę magazynu. Ktoś jęknął w środku, coś upadło. Płasko chwycił księdza za rękaw.

– Czekać jeszcze - w jego głosie zabrzmiała troska. - Wszyscy lubili tego faceta, tak mówił Kłoda. Milczący, ale pracował dobrze. Miał własne klucze, sam w nocy wszedł. Znaczą nie wiem, czy sam. Rozsmarowany... Nie mam pojęcia, co mu się stało. Może ksiądz zostanie?

Gil obrócił twarz ku niemu. Był jeszcze bledszy niż przed chwilą, w oczach popękały żyłki, zmarszczki biegły od kącików ust ku policzkom.

– Ksiądz pójdzie - powiedział.

W tej właśnie chwili z magazynu wypadł Krzysiek, już bez toreb, bez statywu, za to zielony jak majowa łąka, z mokrymi dłońmi przyciśniętymi do brzucha. Za progiem runął na kolana, obrócił ku niebu wytrzeszczone oczy i zaraz popatrzył w kierunku zgoła przeciwnym. Targnął nim skurcz, zafalowała szyja i poszło: wielka pięść wymiotów roztrysnęła się na betonie, Krzysiek poprawił jeszcze i zastygł wpatrzony w rozrastającą się tuż przed nim brązową plamę.

– Piękny dzień - oznajmił komisarz Enka. Pomyślał, że istnieje osobny typ spraw. Takich, w wypadku których oględziny miejsca przestępstwa kończą się wymiotami jednego z członków ekipy dochodzeniowej. Enka

widział już parę takich przypadków i coś mówiło mu, że ten nie będzie ostatni.

Gil pokiwał głową na znak, że się zgadza.

§ § §

Wewnątrz stał Wroński, zupełnie nieruchomy, jeśli nie liczyć równo pracującej szczęki. Kolana miał ugięte, blisko siebie, gdyby go lekko trącić, poleciałby na pysk. Techniczni również tkwili sztywno, jakby wrośnięci w wylewkę, wyższy nawet zapomniał o papierosie i trzymał w gębie zgaszonego peta. W powietrzu unosił się zapach juchy.

Krew była wszędzie, zbrązowiałe smugi, szerokie i na metr, ciągnęły się od podłogi przez sufit; kapąco. Z półek zwisały fragmenty skóry w czerwonych girlandach, sterczały pokruszone kości, ich odłamki mieszały się ze skrzepami na paczkach. W ogryzkach pod ścianą Gil rozpoznał resztki palców. Nie sposób było tu normalnie chodzić: wszędzie krew, wnętrzności, skóra. Ale najgorsze było rozmazane oko, niby wielkie rybie jajo, ciśnięte na wywrócony stolik. Na jedną z nóg nabita była naga tu i ówdzie czaszka, strzaskana kość czołowa ukazywała różową gąbkę mózgu. Zęby wybito, dolna warga, już czarna, zwisała na pasku skóry.

I wszędzie drobiazgi z ludzkiego ciała: przełamana ręka, obdarta stopa, lecz bez palców, żuchwa na dwie przedzielona. Wreszcie kawałki ubrania, bardzo małe, niemal nieodróżnialne od ciała, i but ze sterczącą zeń kością.

– O kurwa - powiedział Zbigniew Enka.

A Gil nie powiedział nic, choć może by i chciał, chwilowo jednak zajmował się walką z torsjami.

Ledwo mogli iść, stawiali nieporadne kroki, za małe, zbyt wielkie, byleby tylko trafić w suchy kawałek podłogi.

– Skąd wiadomo, że to człowiek? - wydukał ksiądz doktor.

Enka w milczeniu wskazał na stopę.

– Poza tym Kłoda rozpoznał zaraz fragment fartucha - to Płasko odezwał się zza drzwi. - Pisało na nim: ZENEX.

– Polska - wykrztusił Zbigniew Enka i nim się połapał, wczorajsza kolacja podeszła mu do gardła. Zacisnął więc usta, wywalił oczy, przełknął, chrząknął, otarł wargi. Księdzu poszło nieco gorzej, podparł się panem komisarzem.

– Boże, ale tu cuchnie - szepnął.

Ruszył. A za nim inni. Wroński, choć klął na czym świat stoi, zlitował się nad Krzyśkiem i sam wziął się do ustawiania znaczników i aparatu. Uwadze Enki nie uszło, że ręka na migawce - ta stalowa dłoń, zdolna godzinami tkwić bez ruchu - drżała, jakby prąd szedł przez nerwy, pyk, pyk, dygot, chustka pod nos. Techniczni już rozklejali taśmy, wygrzebali folie, elektrostat, sypali biały proch, bez słowa, bez jednego spojrzenia na siebie nawzajem. Enka za to zwrócił uwagę na szeroki szlak, stygnący strumień krwi i wnętrzości ciągnący się przez środek magazynu. Spróbował powiedzieć coś zabawnego na ten temat, ale nie bardzo umiał. Poszedł po śladzie.

Zdumiewało go nieodmiennie, ile krwi jest w człowieku - niby parę litrów, a magazyn wyglądał, jakby rozpruto, rozwleczono, o ściany wytarto całą grupę roczną studentów, a nie jednego biedaka, zapewne jeszcze chudego, bo polonisty. Sznury flaków ciągnęły się bez końca, im dalej więc Enka szedł, tym mocniej był zdziwiony.

Wyższy techniczny wyszedł, by powrócić z pękatą walizką. Położył ją na progu. Wewnątrz leżały równo ułożone pędzle, druty, szpikulce, nożyczki oraz różnych rozmiarów butle wypełnione kolorowymi płynami. Wybrał jedną, potrząsnął, pokropił pierwszą z brzegu półkę.

Gil zainteresował się miejscem, w którym leżało ciało, a raczej to, co z niego zostało: korpus ze strzępami kończyn, bez głowy, za to z rozprutym brzuchem, odarty ze skóry. Leżał w rogu pomieszczenia, trzy kroki od wywróconego stolika. Gil przeszedł tylko dwa i go zemdliło. Przystanął, odwrócił głowę ku walającym się po podłodze kubkom, wypatrzył rozsypane ziarno; krew mieszała się z wyschniętym już winem z leżącego na ziemi plastikowego naczynka. Przyklęknął.

– Możemy się zbierać - głos komisarza Enki był stłumiony - ci będą z tym tańczyć do świąt.

Gil rozejrzał się bezradnie.

– No - ciągnął Enka - coś ci pokażę na komendzie. - Dostrzegł, że twarz Gila tężeje, więc dorzucił: - Spokojnie, nic aż tak straszego.

– Aż tak - rzekł Gil. - Przynajmniej stąd pójdziemy. - Zastanawiał się, czemu tu jest. Co prawda ich komórka zajmowała się dziwnymi przypadkami, ale to nie znaczyło chyba, że będą wzywani do każdej makabrycznej sprawy w Polsce. A może znaczy?

– Więc właśnie - radował się Enka. - Może trochę zrozumienia, nim się w tym wszystkim połapiemy?

Chciał jeszcze powiedzieć Wrońskiemu, że idą i jak strasznie mu szkoda zostawiać ich z tym bałaganem. W zamian tylko podskoczył, za to wysoko - paczka z półki runęła na podłogę dokładnie za jego plecami. Odwrócił się gwałtownie, w pierwszym odruchu chciał się schylić, ale tylko trącił ją nogą. Gil ruszył jak w transie. Kucnął, brzeg marynarki uwalnął się krwią.

– Co jest? - zagadnął Enka.

Gil nie odpowiedział. Dotknął paczki. Cokolwiek w niej było, zostało stłuczone, już chciał ją odłożyć na miejsce. I nagle zobaczył coś innego, na ułamek sekundy, to samo miejsce, tylko w innym czasie: cień człowieka ciskany po ścianach, nogi bijące w powietrzu jak w tańcu, wyłamana ręka,

czarną smugę tryskającą z rozwartych ust. Kartki papieru opadały na wywrócony właśnie stolik. Poza jedną - tą, która poleciała w bok, pod regał. Gil się otrząsnął - jak można tyle zobaczyć w tak krótkim czasie? Czy widział to naprawdę, czy tylko mu się zdało? Poczował, że Enka chwyta go pod ramiona, myśląc, że Gil zasłabł. Dał mu znak ręką, że wszystko w porządku.

– Tylko chwila.

Uważając, by nie pobrudzić spodni czymś, czego nie spierze, a nawet jeśli, to wspomnienie plamy uniemożliwi sen, przyklęknął i włożył dłoń pod szafkę. Cofnął zaraz, było mokro. Pomacał już ostrożniej. Odwrócił się do Enki z kartką ujętą w dwa palce. Policjant tylko wzruszył ramionami, a Wroński ledwo spojrzał, wyszczerzył się kwaśno. Za to w oczach Enki był sam smutek.

– Czasem się tym martwię - bąknął.

Gil pomyślał, że czasem, zdecydowanie za często, czuje się jak pies gończy, taki maleńki, co wlezie w każdą dziurę i przytarga to, czego nikt inny nie dostrzeże, nie mówiąc o wzięciu w zęby. Wstał, zakręciło mu się w głowie, dopiero na słońcu uzyskał pewny krok. Kartkę ścisnął tak mocno, że omal jej nie pomiął.

– Gula dostałby zawału, gdyby widział, jak się z tym obchodzisz. - Enka wyjął mu papier z dłoni, spojrzał w oczy i dodał z troską: - Lepiej już?

Gil przytaknął.

– Złości mnie, że Wroński patrzy na mnie jak na świra.

– Wroński to pierwszorzędna kanalia, a świr znaczy u niego tyle, co porządny facet - wyjaśnił Enka.

Mrużąc oczy, przyjrzał się kartce: był to jakiś rękopis, zdaniem komisarza, stary. Litery kładły się na sobie, kreślone zapewne grubym

piórem, w pośpiechu. Enka wypatrzył jeszcze coś niby nuty i schematycznie nakreślone ludzkie sylwetki w dziwnych pozach, które nie podobały mu się ani trochę.

– Mógłbyś na przyszłość obchodzić się z dowodami trochę łagodniej, wiesz, kurwa, odciski palców, te rzeczy - westchnął Enka. - Masz pojęcie, co to za bazgrały? Po jakimu to?

Gil spojrział. Nałożył okulary. Zmarszczył nos i nieznacznie poruszał szczęką, składał powoli, po literze.

– Po polsku - rzucił. - Czekażże chwilę.

Zmarszczył czoło, oczy rozjaśniło zrozumienie, gruba żyła pojawiła się na czole. Gil zwiotczał. Utrzymał równowagę, ale głowę spuścił, kartka wysunęła się z palców, rozłożył dłonie, zamachał nimi, jakby próbował złapać niewidzialny sznur. Zamiast niego uchwycił ramię komisarza Enki. Ten go przytrzymał. Mocno. Gilem zatrzęsło, odgiął głowę i nagle już było dobrze. Stał na mocnych nogach i gapił się, bezbrzeżnie zdziwiony tym, co właściwie mu się stało.

– Wciąż mi słabo po tym, co stało się wewnątrz - ledwo zbierał słowa.

Enka zmrużył powieki i podniósł kartkę. Przyjrzał się lepiej. Rysunki dalej mu się nie podobały, był w nich jakiś niepokój, jakby ktoś specjalnie próbował narysować kroki i gesty, które łamią kości. Rzeczywiście, był to język polski i pismo, jakiego już się nie widuje. W literach, choć naniesionych w pośpiechu, była jakaś elegancja, ale Enka nie wiedział, na czym dokładnie polegała. Przeczytał na głos, sylaba po sylabie:

– *Dźwięk mnie o-gar-nęł, na-gle mo-je cia-ło...*

Zakręciło mu się w głowie. Wysunął przed siebie rękę, gwałtownie zaczerpnął powietrza, świat pociemniał. Zorientował się, że tak jak Gil wcześniej, ściska kartkę zbyt mocno. Złożył ją na pół, tekstem do środka.

– To po polsku - szepnął.

– Co ci?

W ich stronę zmierzał młody policjant Greń. Enka zdobył się na uśmiech. Rzekł do księdza kwaśno:

– To po tym wewnątrz. Wciąż mi słabo.

Greń już stał przed nimi, zezując w stronę wejścia do magazynu.

– Paskudna sprawa, co? - rzucił. Chciał dodać coś jeszcze, lecz Enka posłał mu takie spojrzenie, że głos uwiązł Greniowi w krtani. Za to ksiądz doktor z wolna dochodził do siebie.

– Dasz radę prowadzić? - zwrócił się do Enki.

Komisarz wzruszył ramionami. Tak dziwnie, bezwładnie. Wepchał kartkę do kieszeni, nawet na nią nie patrząc. Nie odpowiedział, tylko kiwnął ręką, tak, nie ma sprawy, pojedę do piekła, a przynajmniej na komendę.

§ § §

Komisarz Zbigniew Enka nie lubił wielu rzeczy i jeśli dobrze się zastanović, tych, które lubił, było o wiele mniej. Nie znosił na przykład dusznych chwil spędzanych na poczcie, gdy z jakichś przyczyn musiał nadać list polecony, który wilgotniał mu od tłoku, nie znosił wprost papierkowej roboty, długich podróży, małych psów, psów wielkich, lecz agresywnych, starych kobiet z trwałą, facetów, którzy myślą, że nawet Biblia jest im dedykowana, ciepłej wódki, późnego grudnia i chyba właśnie jak tego pieprzonego grudnia nie cierpiał równie mocno ciszy wiszącej w samochodzie, kiedy jest tyle do powiedzenia. Czuł, że powietrze zmienia się w chmurę słów, ta gęstnieje, robi się ciemna, ale za cholere nie chce spłynąć deszczem.

Skręcił więc, tracąc kościół Błogosławionej Jadwigi z oczu, dodał gazu, a pod wiaduktem omal nie wpakował się w odrapaną syrenkę toczącą się nazbyt daleko od pobocza. Stało się tak, gdyż zerknął w bok, na twarz księdza Gila. Wyraz księżowskiej twarzy był zgoła nieodgadniony. Gil mrużył oczy, przygryzał wargi, skubał brodę, po czym unosił rękę, jakby chciał powiedzieć coś natchnionego. W zamian padło brzydkie słowo - passat skręcił przed syrenką i księdzem zarzuciło.

– Proszę, proszę - skwitował Enka. - Nie wiedziałem, że w seminarium takich rzeczy cię uczyli.

To było naprawdę głupie, powiedziały oczy księdza Gila. Ksiądz zaś rzekł:

– Musisz tak pędzić?

Enka zwolnił, zerknął we wsteczne lusterko. Kobięcina w syrence wyglądała na niewzruszoną.

– Andrzej, ja nie mogę z tym samochodem i doprawdy nie wiem, po kiego grzyba pozbywałem się poloneza. Takie dobre auto było, szczęśliwe, porządne, człowiek nie docenił.

– No, ale dziewczyny wsiadać nie chciały - zauważył ksiądz doktor.

Enka rzucił mu spojrzenie z ukosa.

– No, żartować to obaj dziś nie umiemy - przyznał Enka. - Weź lepiej daj tę pieprzoną kartkę, żebyśmy jej nie posiali. Edek będzie chory, jak coś posiejemy.

Zahamowali na światłach, opony zapiszczały, Gilem zatrzęsło. Westchnął i powiedział:

– Z żartami to nic nowego. A kartkę akurat masz u siebie w kieszeni.

Mina komisarza Enki świadczyła, że zaraz zechce zaprotestować: niemożliwe, jaka kartka, nawet jej nie brał. Ręka powędrowała do kieszeni na piersi, usta rozchylił ze zdziwienia. Wyjął, trzymając w dwóch palcach,

kopię jakiegoś starego rękopisu. Ledwo na nią spojrział. Dziwna rzecz. Jeśli były na niej jakieś odciski palców, już dawno zostały starte. A przecież obaj wiedzieli, że ta kartka jest ważna.

– Faktycznie. Przecież to sam czytałem - rzucił. Korzystając z czerwonego światła, rozłożył ją sobie na kolanach, popatrzył, lecz z daleka.
- Zaniesiemy to na dół, zobaczymy, co powiedzą.

– Może na razie lepiej nie?

– Nie robimy ze sobą od dziś - westchnął Enka. - Ślady owszem, zabezpiecza się, ale nie po kieszeniach. Zresztą - zadumał się - co to właściwie za ślad? Pewno mu z kieszeni wypadło, polonista w końcu, a poloniści się uczą. Nie tak, Andrzej? - mówił szybko, podrzucał kartkę, jakby parzyła go w dłonie. - Papierek zwykły, a to hurtownia papieru przecież - roześmiał się nieszczercze.

– Pamiętasz Bytom? Zeszłego lata?

– No, było coś takiego - zgodził się komisarz Enka.

Ktoś z tyłu trąbił. Nie zwrócili uwagi. Obok z wolna ruszył autobus i zaraz skręcił w prawo, w aleję Słowackiego.

– Techniczny wtedy się urznął do nieprzytomności i materiał dowodowy poszedł z dymem, do ostatniej nitki, dzięki Bogu nie razem z nim - przypomniał ksiądz lodowatym głosem, można by wręcz pomyśleć, że życzyłyby sobie powiększenia zniszczeń o element ludzki - więc teraz wolę ważne rzeczy trzymać przy sobie.

– Grula nam za to podziękuj - skwitował Enka. - Skąd właściwie wiadomo, że to ważna kartka? Tam mają całe tony.

Znów ktoś zatrąbił. Kątem oka Gil dostrzegł, że czerwony maluch z jeszcze czerwiejszym facetem w środku rozpaczliwie próbuje ich wyminąć. Ksiądz zwrócił się do Enki:

– Tony starych tekstów? Z symbolami? Zbyszek, tak mi mówi głos wewnętrzny, a jeśli on się myli, to czemu tak strasznie chcesz iść z tym do technicznych?

Enka westchnął. Na skrzyżowaniu akurat zgasło zielone i kierowcy trąbili w bezsilnej złości. Enka walnął pięścią o deskę rozdzielczą, wystawił koguta na dach i ryknął:

– Co, co jest? Czerwone! Ślepi jesteście? - wrzasnął, chyba tylko po to, by odwrócić do Gila twarz w anielskim uśmiechu. Podał mu kartkę. Zapytał: - To co właściwie tutaj mamy? - Dostrzegł, że Gil nie bardzo ma ochotę się przyglądać, więc dodał pojednawczo: - Spokojnie, już się nie zagapię.

Za to Gil gapił się, i owszem, najpierw na wściekłych kierowców, by przenieść wzrok na karteluszek. Widział to, co Enka wcześniej. Litery, cyfry i figury, nie podobały mu się tak samo albo nawet bardziej. Esy i floresy raptem układały się w litery, litery w słowa, by rozmyć się zaraz po przeczytaniu. Wyłaniały się i niknęły, Gil musiał je zapamiętać, a nie chciał, nie wiedział nawet, czemu nie chciał, żeby takie rzeczy leżały się w jego głowie. Otworzył usta i zmieniło się światło. Enka ruszył ostro.

– No, co tam jest? - zapytał, gdy przecięli skrzyżowanie.

– *...I jak strudzony ociera pot z czoła, tak ocierałem moje przeszłe czyny, które wisiały przy mnie jak łupiny* - Gil wydukał słowo po słowie. Złożył kartkę. - Nie mogę czytać, jak tak trzęsie.

Enka już wiedział, o co chodzi.

– Poczytamy sobie na komendzie. Może Edzio Grula ma lepsze oczy? - roześmiał się. - Słuchaj, ty pamiętasz tego faceta o dziwnym nazwisku? Gudłila, czy jak mu tam?

Tak, pamiętał, skinął głową, w której zagnieździła się niebezpieczna myśl, że ostatnio lepiej pamięta umarłych niż żyjących. Bartłomiej

Godlewski zmarł w swoim gabinecie na psychologii, jako przyczynę podano wylew, choć byłby to najdziwniejszy wylew, jaki Gil widział.

– To Gula ma dla nas parę ciekawych drobiazgów - oznajmił Enka. - Trochę akt z różnych spraw. Zwłaszcza zdjęcia. Tak, przypomniałem je sobie, zaraz jak wszedłem do magazynu. No - cmoknął - tak to je sobie przypomniałem.

§ § §

Na komendzie czuło się nowe: sufity pobielono, ściany błyszcząły, nadano im pastelowy kolor, i tylko okna pozostały stare. Ludzie podobnie, doświadczeni wyjadacze zderzali się z narybkiem ściągniętym z ulicy. Odmienność podkreślali wyglądem: krępy wąsacz po czterdziestce, nieco podobny do Płaski, za to z dwojgiem oczu i pióropuszem siwiejących włosów wokół wysokiego czoła, wyglądał na przybysza z planety innej niż jego towarzysz, młody fircyk w kraciastej koszuli, błyszczących okularach na okrągłym nosku i z dłońmi tak delikatnymi, że mógłby nimi pleść kobierce z babiego lata. Albo kobiety, jak ta w mundurze bez dystynkcji, na oko tuż przed trzydziestką, jeszcze nie podjęła decyzji, czym się staje: włosy ułożone normalnie, lecz kolczyki ukradzione Sandrze, szpilki z lat osiemdziesiątych, lecz nowoczesny dekolt - to stwierdził nawet ksiądz. Jego uwadze nie umknęło, że w porównaniu z rokiem poprzednim wszyscy chodzili szybciej, lecz mniej pewnie, spoglądali na boki, a nawet za siebie.

Oto minęło się dwóch policjantów, w wąskim korytarzu omal nie doszło do zderzenia. Jeden patrzył w podłogę, drugi w sufit, więc Gil w myślach przezwał ich Platonem i Arystotelesem. Wyminęli się w ostatniej chwili: Platon wysunął przed siebie ręce i zahamował w miejscu, Arystoteles gwałtownie skręcił, przesunął się przy ścianie z przepaszającym uśmiechem. Nie spojrzeli na siebie ani przez moment.

– Nie idziemy na dół? - zdziwił się ksiądz Gil.

Minął Platona, ten już skręcił gładko, pod pachą trzymał wypchany skoroszyt, tym razem zgrali się świetnie, tworząc między sobą przestrzeń, w której zmieściłby się jeszcze jeden policjant lub ksiądz. Gil zaś wpadł na Enkę, pchając go na ścianę.

– Gula to dostał i nie wypuszcza z rąk. Część tych rzeczy znasz, jakimś cudem Edek to poskładał i nie myśl sobie, że z miłości do mnie lub ciebie - rzekł wesoło Enka. - Dostał komputer i coś przy nim dłubie, a spróbuj go oderwać. Na weekendy zabiera go do domu. Dla dzieci.

– Dzieci - powtórzył bezmyślnie ksiądz doktor.

– Żona Gruli to dopiero historia, więc Edzio siedzi całe dni przy komputerze albo ogląda pornole na służbowym magnetowidzie. Aż szkoda, myślę sobie, że nie można oglądać pornosów na komputerze, bo wówczas Edzio połączyłby dwie pasje i tyle byśmy go widzieli. I jeszcze by nagrywał i wymieniał się z innymi „pasjonatami”. - Enkę coś zastanowiło. Już widzieli właściwe drzwi. - Widziałeś kiedyś, Andrzej, film pornograficzny?

– Tak - odparł ksiądz doktor. - Pożyczyłem sobie jakiś czas temu, żeby wiedzieć, z czego ludzie mi się spowiadają. Obowiązki służbowe.

Postanowił nie dzielić się z Enką plotką, według której największe zbiory pornografii są w archiwach Watykanu. Żeby walczyć ze złem, trzeba je najpierw poznać. Ksiądz doktor poznał je gruntownie.

Gula wraz z Enką i konsultantami (właściwie - konsultantem) zadomowili się na parterze w pokoju numer trzynaście, do niedawna pomieszczeniu magazynowym. Świeżą kremową barwę ścian zasłoniły szafy, skradzione zapewne delirycznym widmom z kryminałów milicyjnych, było też leciwe biurko z mnóstwem szuflad, przywalone komputerem i papierzyskami, a za nim siedział komisarz Edward Gula,

przygnieciony również, tyle że przez ciężar ojcostwa, obowiązków służbowych i własne kilogramy.

– O, wreszcie jesteście - ucieszył się. Głowy znad ekranu nie podniósł.

Enka z Gilem różnili się od siebie, więc gdy podeszli do biurka, za plecy Gruli, każdy dostrzegł coś innego. Ksiądz nie mógł oderwać wzroku od stóp skrzyżowanych pod obrotowym krzesłem, zaskakująco małych w porównaniu z rozmiarami przepoconego ciała; cud, że Grula zdołał się na nich utrzymać - może dlatego nieustannie siedział, a jeśli musiał iść, chwiały się jak pijany majtek podczas sztormu. Stopy okrywały skarpetki z tworzywa sztucznego oraz skórzane sandały. Palce ruszały się nieustannie. Z kolei Enka dostrzegł, że Grula rozpaczliwie próbuje zamknąć coś na komputerze. Nic z tego. Ekran uparcie wyświetlał kolorowy korytarz, człowieczka w kasku i z karabinem oraz wrogiego robota. Palce Gruli uderzyły w klawisze niby chaotycznie, jednak z sensem, zamigotało i komputer wyświetlał teraz ciąg migoczących literek na czarnym tle.

– Niech będzie pochwalony - rzekł Grula. Zaraz wskazał na pociemniały ekran. - Dostaliśmy to niedawno, proszę księdza, prawdziwy IBM.

– Na wieki wieków, panie Edku - odparł Gil, myśląc, że ludzie w typie Gruli przystosują się do nowego zawsze i wszędzie, choćby czasy zmieniały się w każdy czwartek.

Grula odepchnął się od biurka, mknąc na obrotowym krześle w stronę stolika z papierami. Pochwycił teczkę z okazałej kupki na brzegu - znać, że stosik ten przytargano niedawno, żeby pomieścić zgromadzone wcześniej papierzyska - i płynnym ruchem powrócił przed ekran.

– To wszystko, co mamy? - zapytał komisarz Enka.

Grula popatrzył na niego jak na idiotę.

– A skąd! Cała tamta kupka! - Wskazał palcem. - Wszystko przytargałem, przejrzałem i częściowo nawet skatalogowałem, o, tutaj. -

Klepnął w szarą obudowę komputera. - Ale po kolei, czyli najpierw tak... Powiedz mi, Zbyszek, po co ci to wszystko? Rzeczy z drugiego końca Polski! Wiesz, ile się naszukałem i nadzwoniłem?

- Przecież gadaliśmy o tym - odparł Enka.

- Gadać to jedno, a ruszyć z tym to drugie. Ziarno i wino? - Gula mlasnęła. - Wiesz, gdzie jest twój kłopot, Zbyszek? Za cholerę nie wierzysz w przypadki. A ja sobie myślę, że życie złożone jest z przypadków, a prawidłowości, konsekwencje są w rzeczy samej nieprawidłowe i niekonsekwentne.

Gil zrobił zdziwioną minę. Do rzeczy, powiedziały oczy Zbigniewa Enki.

- Do rzeczy. - Gula klepnął w klawiaturę, rozsypał teczkę. - Może ksiądz jednak usiądzie? No i świetnie - ucieszył się, widząc, że Gil osuwa się na krzesło. - Mamy tu przypadek pierwszy, Antoni Artur, lat sześćdziesiąt, rencista i poeta.

- Żyjemy w dobrych czasach - skwitował komisarz Enka, myśląc sobie, że Artur to idealne nazwisko dla człowieka pióra, a facet na zdjęciu pewno przekroczył już osiemdziesiątkę. Szczękę miał wysuniętą, wargi wąskie, bezzębny pysk, skórę wytarmoszoną przez wodę, może przez choroby, w niej, niczym naszyte guziki, oczy mądrego błazna. Najdziwniejsze zaś były włosy, niby uszy Myszki Miki, odstające po obu stronach czaszki.

- Dostał wylewu i umarł we własnym mieszkaniu - dodał.

Gula przerzucił papiery, dopadł komputera.

- Wylew jak wylew. Mam tu gdzieś ręczną adnotację do lekarskiego raportu, że nie rozumie, co tam się podziało, i właściwie że przeprasza, że napisał, co napisał. A napisał tak - *Gula nasadził sobie na nos okulary - mózg zmiażdżony, jakby coś go ścisnęło, choć czaszka nienaruszona. Oczy wypłynęły. Wylewy w organach wewnętrznych, pęknięta wątroba, pęknięte*

serce. – Podrapał się w skroń. - Napisano, że dosłownie pęknięte, niesfunkcjonujące nerki, zmiądzona aorta... Mam wymieniać dalej?

Komisarz Enka zaprzeczył ruchem głowy, znać, że to wszystko słyszał. Przyglądał się zdjęciu, które wyjął z teczki. Podał je księdzu Gilowi ze słowami:

– Zobacz. Poeta, a jak żył.

Mieszkanie, właściwie dziupłę bez drzwi do ubikacji, wypełniały zwały śmieci, między którymi Antoni Artur utorował korytarze. Za wyszczerbioną framugą majaczyła pęknięta umywalka i wychodek z kopcem papieru oraz gówna. Kibel ten i tak był czystszy od kuchenki zawalonej konserwami, najpewniej też zaszczanej. Gil miał wrażenie, że zdjęcie śmierdzi.

– Antoni Artur zmarł prawie równo rok temu, ale nie ma co z tego robić historii - pomyślał na głos komisarz Enka.

– Jedziemy dalej? - zapytał Gula. Nie czekając na odpowiedź, wyrwał Gilowi zdjęcie, popędził na krzesło, złapał kolejną teczkę, odkładając poprzednią. Żaden jego ruch nie był zbędny, żaden nie ułomny, stopy płynnie odpychały się od podłogi, jeszcze jechał, gdy rozplątywał sznurek.

– Musisz tak jeździć? - zapytał Zbigniew Enka.

– Tu, proszę księdza, mamy pana Bartłomieja Godlewskiego, doktora psychologii na UJ-ocie. - Gula pokazał zdjęcie misiwatego faceta w pasiastej koszulce i grubych, krzywych okularach. Facet wyglądał na zadowolonego z siebie, a z życia to już całkiem.

– Znałem go - wtrącił Gil. - Interesujący człowiek, no i jak to się w przedsoborowych czasach mówiło, wielki grzesznik.

– Teraz pewno cierpi, bo w niebie raczej nie ma studentek - mruknął Enka. Gula popatrzył gniewnie na obu.

– To powinniście jeszcze pamiętać, Godlewskiego znaleziono jakoś wczesną zimą w jego kanciapie - przypomniał. - Pomieszczenie dwa na

dwa, zamknięte od środka, tak samo okno, też od środka. Zmiażdżony mózg. Miazga, dosłownie. Krew uszami mu poszła. Tak tu jest napisane. Znowu wylew, ale lekarz to kolega mojej żony i powiedział mi, jak przyszedł, że tego nie rozumie i cześć.

Gil podrapał się po nosie.

– Czytałem o tym. Znaczy o tym, że Bartek zmarł. Nie wiedziałem, że w ten sposób.

Gruła tłukł jeszcze chwilę w klawiaturę, raptem przestał, jakby coś do niego dotarło, zabrał zdjęcie, schował, odbił się płynnie i popędził stałą trasą. Nagle zatrzymał się w połowie, hamując na piętach.

– Wie ksiądz, ja tak sobie myślę, że to nieważne, jak się umiera, ważne, żeby nie samemu.

Kolejną teczkę poświęcono poloniście ze Stargardu Szczecińskiego. Ze zdjęcia spoglądał facet przed pięćdziesiątką i wszystko - beżowa marynarka, podkoszulek pod rozpiętą koszulą, półdługie włosy opadające na wysokie czoło, pet w gębie, czerwone policzki - świadczyło, że mieli do czynienia z zatwardziałym kawalerem. Gruła położył sobie teczkę na kolanach, śmigał palcami po klawiaturze, przesuwał tekst tak szybko, że nie sposób było stwierdzić, jak jest w stanie go czytać. Enka, postawiony przed tą niemożnością, zaczął Grulę cenić - nie każdy tak szybko wdraża się w techniczne nowinki.

– Nazywał się Przemysław Kosuch - relacjonował Gruła - i był człowiekiem, kochani wy moi, którego o nic się nie podejrzewa. Ani o dobre, ani złe rzeczy. Mieszkał sam, zbierał stare przedmioty. W raporcie są zeznania sąsiada, że Kosuch miał hyzia na punkcie porządku, u niego wszystko musiało być co do milimetra, długopisy w rzędku, spodnie w kostkę, wiecie, te rzeczy. Każdy się z tego śmiał. Uczniowie też, w szkole także lubił taki ordnung. Chałat pod szyję, te rzeczy.

Chrząknął.

– Zniknął jesienią zeszłego roku. O, dziewiętnastego listopada. Jak weszli mu do domu, to wszystko było na miejscu, poukładane równiutko, tyle że unurzane w krwi. Cała kawalerka. Kuchnia, przedpokój, wszystko.

– Skądś to znam - westchnął Enka.

– To jeszcze nic - Gula wyraźnie się ożywił. Odwrócił twarz od komputera i spojrzał na Gila z mieszaniną pokory i sympatii. - Ciało było nagie, jeśli nie liczyć dziwnego płaszczka narzucanego na ramiona, w takich rzeczach się nie chodzi od dwustu lat, ale to było w miarę nowe. Pewno kostium teatralny, co się zapodziało. Poza tym facet był nagusieńki. A teraz ksiądz posłucha. Otóż Kosuch zbierał różne stare graty i wśród nich miał brzytwę z przedwojnia. I nią właśnie, ostrą jak brzytwa - błysnął żartem - obciął sobie wargi, uszy, następnie przeciął oczy i już po omacku spalił prawą rękę na kuchence gazowej. Jakimś cudem dowlóknął się do lustra i tam lewą ręką poderżnął sobie gardło. O tak! - Gula pokazał palcem. - Od ucha do ucha! Znaleźli go w łazience.

Enka, który przez cały czas próbował doczytać coś na ekranie, wyprostował się, zabrał Gilowi zdjęcie i zaczął przyglądać się Kosuchowi, wyraźnie nie wierząc, że człowiek może zrobić sobie coś podobnego.

– To akurat mi umknęło. - Obracał fotografię. - Jak to przed lustrem? Przecież był ślepy. Może wydłubał sobie tylko jedno oko?

Gula zaprzeczył, szykując się jednocześnie do kolejnej, ostatniej już wymiany teczek.

– Widzieć znaczy żyć - odezwał się ksiądz doktor zza pleców komisarza. Enka odwrócił się gwałtownie, wymierzył w niego palec i nagle się roześmiał. Jakby ktoś go zmusił do śmiechu.

– Dajcie lepiej spokój. No, kochani, Zbyszek, proszę księdza - nalegał Gula. - Wszystko potem, ja tu mam jeszcze jedną.

Machał zdjęciem, Gil je przejął. W pierwszej chwili miał pewność, że patrzy na starego działacza partyjnego, który ustawiał wszystkich jeszcze w latach pięćdziesiątych i do dziś ma mokre sny o Babiuchu: krępa sylwetka, siwe, proste kudły, stalaktyty podgardla. Gil zaczął wątpić, coś się nie zgadzało: może brwi za okrągłe, może chusta na szyi nie pasuje? Gula rozstrzygnął sprawę.

– Marianna Janowska, profesor polonistyki we Wrocławiu - powiedział.

– Od groma tych polonistów - uzupełnił Enka.

– Spotkaliśmy się kiedyś i zaraz pan powie, że tu są sami moi znajomi - powiedział ksiądz doktor ze smutkiem. - Zapatrzona w swoją pracę kobieta.

– Teraz to się w wieczność gapi - skwitował Enka.

– Pani Janowska mieszkała sama i raczej nie miała przyjaciół. Większość tych biednych ludzi to raczej samotnicy - westchnął Gula znad komputera, a jego palce nie zwolniły nawet w chwili westchnięcia. - Ta tutaj przyjmowała w domu tylko co zdolniejsze studentki no i ludzie różne rzeczy mówili. Jedna taka ją znalazła. Pani Janowska zmarła w fotelu, za biurkiem, tym razem inaczej to wyglądało. Żadnej krwi, wydłubanych oczu. Ot, trup.

Odwrócił się gwałtownie, dźwignął, próbując unieść swe ogromne ciało, lecz przy pierwszym napięciu mięśni odpuścił.

– Wyszło na to, że Janowska udusiła się własnymi rękami. Wzięła chwyciła za szyję i odcięła dopływ powietrza, co jak ksiądz wie, jest całkiem nieprawdopodobne. - Zrobił pauzę, zapewne w poszukiwaniu kolejnych mądrych słów. Rzekł tylko: - No właśnie.

– Poprzeglądaj to sobie. - Enka, ku rozpaczycy Gruli, zabrał wszystkie teczki i rozłożył przed księdzem. Puścił złośliwy uśmiech. - A ja ci opowiem, dlaczego pozbialiśmy to wszystko. To zasługa Edka, który ugrzązł w sprawie Godlewskiego tak głęboko, że zaczął się rozglądać.

Gil również się rozglądał, tym szczególnym spojrzeniem zarezerwowanym na najcięższe poranki. Powieki unosiły się z trudem, przekrwione oczy krążyły po meblach, ścianach, papierach, kalendarzach i można by pomyśleć, że ksiądz doktor usiłuje wydobyć niezwykłość z rzeczy najprostszych. Ruszył niespodziewanie, włączył czajnik, zakręcił się za kubkiem i po chwili rozkładał teczki, nie wypuszczając z białej dłoni parującej kawy zalewajki. A Enka przysiadł na brzegu biurka, plecami trącał cyfrowy skarb Gruli.

– Punkt pierwszy i dość oczywisty - podjął. - Wszyscy zmarli są ludźmi wykształconymi lub, jak w wypadku Czujki, o wykształcenie zabiegającymi. Mniej lub bardziej udani humaniści, jeśli takiemu może udać się cokolwiek, w większości przypadków podczepieni pod uniwersum czy coś podobnego. Samotni, zdziwaczali, jak to ci od książek. Ty to wiesz, widzisz, Andrzej, jak chcesz, to sobie posprawdzasz. - Przesunął palcem zdjęcie Marianny Janowskiej. - Powiem ci, że czasem nie ma co iść takim tropem, nie takie przypadki były, ale mam coś lepszego.

Zawiesił głos. Gilowi wystarczyło spojrzeć - pracowali ze sobą dość długo, by wiedzieć, co się dzieje. Enka spinał się w sobie, nawet kark mu się naprężył i nagle przychodziło rozluźnienie, z nim wredny uśmiech na włóchatym pysku, papieros rozżarzył się w wargach. Enka palił i mówił dalej: - Wszędzie znaleziono podobne rzeczy co u nas, przy „Gigancie”. Wino w kieliszku, w szklance lub kubku, najczęściej rozlane, dalej wodę w naczyniach, także rozchlapaną, no i nasiona. Proso, pszenicę, nawet rzeżuchę, we wszystkich przypadkach. Do tego u Kosucha i Janowskiej były świece.

– U Janowskiej już spalone, w kubek wetknięte - dopowiedział Grula. - Kosuch swoje wywrócił, to zgasły.

– Znajdź mi lepiej to zdjęcie - poprosił Enka. - To wiesz, z ramki, z tymi dziwnymi gębami.

Zafurczało i przed Gilem wylądowała fotografia zdjęcia w drewnianych ramach. Kilkoro ludzi w różnym wieku śpiewało, oczy mieli przejmujące, a każde trzymało w garnuszku płonąca świeczkę.

– To inscenizowane - szepnął Gil. - To inscenizacja.

Nie mógł oderwać wzroku. Enka wyjął mu zdjęcie z dłoni.

– Znaleźliśmy ślady tańca. Innymi słowy, oni wszyscy przed śmiercią tańczyli, w większości przypadków boso. Edek, do jasnej cholery, pokaż Andrzejowi te zdjęcia.

Urażony Grula odzyskał dawną powolność, powoli przekładał teczki, zaglądał do środka, aż znalazł: kilka zdjęć z obrysowanymi białą śladami stóp. Ich układ był przedziwny, pozornie pozbawiony porządku - znać było tylko, że ofiary tańczyły wokół jednego centralnego punktu, zataczając mniejsze lub większe kręgi, by nagle wyjść, zakręcić się jeszcze i pędzić po śmierć. Gilowi wydało się, że to maskowanie prawdziwych śladów, nikt by tak nie tańczył - można by pomyśleć, że ktoś wziął odciętą stopę lub jej atrapę i czynił fikcyjne ślady, zwisając... zwisając skąd?

– To akurat od Kosucha. - Enka wskazał palcem. - Tu ślady prowadzą wprost do łazienki.

– Wiem, wiem - szepnął ksiądz doktor.

Wzrok Enki powędrował w poszukiwaniu popielniczki. Grula zaś zdobył się na gest pojednawczy, pochwycił talerzyk pod herbatę i podsunął Ence. Patrzył na rozbeblane teczki z widoczną troską, aż przestał się martwić i wrócił do komputera.

– Wszystko wskazuje, że w momencie śmierci ci ludzie byli sami, choć, jak by to rzekł obecny tu Edward Grula, nie można wykluczyć udziału osób trzecich. Znalaziono ślady butów. U Kosucha ktoś wszedł przez okno.

– Mówiłeś, że Godlewski był zamknięty od środka - przypomniał Gil. Przeglądał zdjęcia w kolejnych teczkach, z daleka i trochę ukradkiem. Na martwego Kosucha nie umiał spojrzeć.

– No, bo był. Student, który zaplątał się na piętro, mówił, że przed drzwiami klęczał jakiś facet i gmerał pod progiem. Linijką czy czymś, a jak tylko się podniósł, studenciak dał drapaka i ledwo z nami chciał potem gadać - narzekał Enka. - No a konkluzja jest taka, że nie ma żadnej konkluzji, poza tym, że ludzie szaleją w całej Polsce, a my nie wiemy czemu. Może dlatego - strącił popiół obok talerzyka - że nie ma żadnego *czemu* i targałem cię tutaj na próżno.

Ksiądz doktor ledwo go słuchał, bo miał już dzień potargany, no i swoje *czemu*. Teczka za teczką, fotografia za fotografią, a kawę postawił niebezpiecznie, wystarczyło trącić - polecą, zachłapie komisariat. Niby nic - zwyczajne sprzęty, jakie inteligenci zwykli trzymać w domach. Na przykład Matka Boska od Godlewskiego - przecież był niewierzący - całkiem ładny obraz, pewno kopia, niebieskie tło, niebieska suknia, twarz spokojna, nad nią ostre dzioby aureoli, poniżej półksiężyc, na którym kołysze się popiersie Najświętszej Pani. Tylko, przeraził się ksiądz doktor, czemu tak do góry wygięty, ostry niczym diabelskie szpony, gorzej, ostry niczym rogi? Uderzył się w czoło otwartą dłonią. No tak - Ostrobramska. Albo rycina najzwyklejszego w świecie dworku, co u Wajdy mógłby za wychodek najwyżej robić - maleńki ganeczek, tylko parter, dach spadzisty, piaszczysta droga, a wszystko zionie historią taką najbardziej żalosną, w stylu „szkolna akademicka ku czci...”. Jak Janowska mogła powiesić sobie coś tak upiornego? W sam raz obok wisiało zdjęcie faceta z orlim nosem i oczyma złego intelektualisty, takiego, który zna wszystkie słowa prowadzące do zagubienia.

– Mnie się te ślady kojarzą z nauką tańca. Jedna taka chciała mnie nauczyć czaczy czy czegoś, to poszedłem. I tam takie plansze mieli, tylko tu jest, jak między podbiciem karty a życiem, w kurwę więcej komplikacji - oświadczył Enka i odniósł sukces. Gil odłożył zdjęcia i podniósł głowę, nie bardzo wierząc, że Zbyszek powiedziałby coś takiego.

– Tańca - rzekł ksiądz doktor habilitowany Andrzej Gil. Wydobył kartkę, rozłożył między teczkami i zdjęciami; kartka wyglądała teraz niczym kolejny dowód w sprawie, nie znaleziony między krwią a strzępem człowieka, lecz fragment ze świata policyjnych teczek, ułamek uchwyconego wydarzenia. Zgarbił się nad nim. Nie czytał, patrzył na kreski i kropki złożone w małe ludziki. Nad tekstem ciągnął się wianuszek maleńkich postaci poprzetykanych liczbami i innymi symbolami. Przebiegł po nich wzrokiem, zakręciło mu się w głowie, ale w oczach ułożył się obraz animowanego tańca.

– Taniec, mówisz? Patrz tylko, się zastanów... - Uderzał paznokciem w kolejne sylwetki. - Czy one nie tańczą? Zbyszek, panie Grula, popatrzcie!

Grula rzeczywiście zerknął, a jeśli dostrzegł w paru kreskach taniec, nie dał poznać po sobie. Enka zaś zgasił papierosa, poślinionym palcem zebrał popiół z biurka i popatrzył sobie. Nie na Gila. Na okno, czerwiec, śmigające samochody, szarą aureolę ptactwa nad kioskiem.

– No dobrze, Andrzej, to gdzie jedziemy?

Gil nie palił i nie cierpiał dymu, za to długopis trzymał jak stary palacz szluga, żuł końcówkę, obracał w palcach i nawet próbował szukać szczelin między meblami, by strzepać nieistniejący popiół.

– To nie jest ksero. To prawdopodobnie kopia jakiegoś tekstu z XIX wieku - zgarbił się nad kartką - albo podróbka. Tylko po co? Kto by się tak męczył?

– Wycięcie sobie oczu to też mordęga - zauważył Enka.

– No to jedziemy, Zbyszek. Czy sam mam iść? Jest człowiek, który akurat zna się na takich drobiazgach i na pewno cię, Zbyszek, zapamiętał.

– Wiewiór? - Enka się upewnił, w jego głosie brzmiał niepokój. I wściekłość.

Gil rozłożył dłonie, całkiem po księżowsku.

– O rany boskie - rzekł komisarz Enka.

§ § §

Komisarz Zbigniew Enka nie znosił Rynku Głównego, zeszpeconego przez architektoniczne barbarzyństwo Sukiennic. O ile lepiej wyglądałby bez tego piaskowego koszmarka, ot, wielka pusta przestrzeń z rogatkami kościołów, w sam raz na plac defilad służb mundurowych, powiedzmy, dziesięć tysięcy Grulów maszerowałyby co wiosną w przepoconych paradnych mundurach. Enka nie cierpiał też gołębi, ponurych istot gotowych zdechnąć, jeśli tylko przestaną ruszać głową, a które ktoś nieustannie dokarmia, zapewne po to, żeby srały po krzakach i zabytkach. Nienawidził tej dziwnej przemiany, która dopadła miasto, że jedna kamienica odrapana, a druga błyszcząca, tu kantor, tam sklep muzyczny, a zerkniesz w bok, to po staremu, delikatesy, wódka, jaból, ludzie w tanich kurtkach pod Adasiem.

Enka i Gil weszli w bramę Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Minęli grupkę studentek. Dziewczyny miały białe bluzki, niedopasowane żakiety, warkoczyki lub koszmarne koczki, piegi na nieforemnych nosach.

Na podwórku zaczynał się inny świat - białe ściany, milczące okna, toporna zieleń ławek poznaczona śladami po papierosach, koślawa popielniczka i szczebioczące polonistki. W ich oczach można było dostrzec

tylko dwie myśli: „zdać egzamin” i „znaleźć męża”. Doktor Dariusz Kosecki przyjmował na pierwszym piętrze. Wchodziło się od podwórka i Gil poszedł pierwszy, w suche powietrze Instytutu Filologii Polskiej. Na korytarzach studenci tłoczyli się, oczekując na zaliczenia i egzaminy. Gil wskazał drzwi, już chciał otwierać, ale z drugiej strony ktoś uczynił to za niego. Próg przesadził student. W mokrych dłoniach ścisnął indeks i kłął.

– Cholerna wypudrowana zdzira - mruknął.

Za ogromnym biurkiem siedziała kobieta podobna trochę do konia, trochę do pobojuwiska, w mechacącym się golfie i ze szczęką tak piękną, że można by na niej kuć miecze i podkowy. Krzyczała za wychodzącym:

– Ani teraz, ani nigdy! Nie dostaniesz zaliczenia! Ani kubka! Ani zaliczenia!

Obróciła ku nim głowę i Enka zaraz pomyślał, że tak fatalny makijaż nie może być dziełem przypadku - pod oczyma miała cienie naniesione fioletową kredką i nadające jej wygląd starej pijaczki.

– My do doktora Dariusza Koseckiego. - Enka pokazał legitymację.

Gil zdawał się nie dostrzegać świata poza starym afiszem teatralnym. Szkło ramy, w którą go wprawiono, było utłuczone.

Kobieta nie powiedziała nic, tylko rozryczała się na całego, drżącą ręką jęła coś wskazywać, nie wiadomo jednak co - różowy paznokieć drgał tak długo, aż Enka sam wypatrzył wąskie drzwi w przeciwległej ścianie. Doktor Dariusz Kosecki siedział za stołem, założył nogę na nogę i nie widział świata poza „Gazetą Wyborczą”. Ence przypominał Gila, lecz zdecydowanie lepiej odżywionego i pogodzonego z własnymi demonami, przynajmniej na tyle, aby nie pić jak ksiądz doktor. Kosecki miał kilkudniowy zarost, oczy żywe, brwi krzaczaste, czoło pomarszczone, lecz jeszcze nie stare, zarysowane podgardle, lecz nie paskudne firany. Trzydzieści lat, ocenił Zbigniew Enka.

– Pochwalony - rzekł ksiądz doktor Gil. Zrobili misia. Kosecki przywitał się z Enką wylewnie, lecz przez biurko - uścisk miał żelazny i Enka stwierdził, może to polonista, ale zawsze razem się pracowało, więc może szansę dać warto.

– Kim jest to straszycło tam za biurkiem? - zagadnął. - O co chodzi z tym kubkiem?

Kosecki wskazał krzesła, usiedli, sam opadł na fotel, złożył starannie „Wyborczą” i oparł na niej łokcie.

– To, panie komisarzu, jest doktor Buła. Ma miły zwyczaj robienia glinianych kubków i obdarowywania nimi swoich ulubionych studentów. A jak ktoś nie dostanie kubka, to nie ma też zaliczenia.

Enka podrapał się po brodzie.

– Może chłopca jej trzeba?

Kosecki zrobił minę, jakby chciał popukać się w głowę, i Enka zrozumiał trudności, jakie rodziło samo przebywanie z panią Bułą w jednym budynku. Rzekł:

– Stare pudło, fakt. Ale my w innej sprawie.

Gil drgnął. Bez słowa - choć powiedziała by to i owo komisarzowi Ence - rozłożył kartkę przed Koseckim.

– Znaleźliśmy to przy trupie - uprzytomnił mu Enka.

Kosecki wziął karteczkę, oczy zrobiły mu się jak spodki. Przełknął ślinę.

– To jakiś tekst romantyczny. Próba naśladowania Słowackiego, nie, Mickiewicza prędzej. Tak - popatrzył na Enkę - kopia rękopisu z połowy XIX wieku, chyba. Nie dam głowy, ale wydaje mi się autentyczny, trudno oceniać po czymś takim.

Tymczasem włosy Enki stanęły dęba, siekierą byś nie zrąbał - bo bardziej niż Sukiennic, gołębi, polonistyki i polonistów nie cierpiały romantyków właśnie, tych niedouczonek, egzaltowanych dupków,

rymujących kompletne dyrdymały tylko po to, by żadna panienska nie rozłożyła dla nich nóg w procę. I jeszcze to cholerne śledztwo z Gliwic, zeszłego roku, kiedy student zarzynał kolejne laski, protestując - jak tłumaczył potem - przeciwko upadkowi ideałów miłości romantycznej. Kordian, Konrad, jakieś komedie, myślał Enka, co ludzie Bogu zrobili, że ich zadręcza takimi szaleńcami?

– Umiesz coś o tym powiedzieć? - zagadnął ksiądz.

Kosecki mruknął. Enka pomyślał, że zachwieje się jak on sam wcześniej. Ale nie, Kosecki czytał spokojnie. Tylko kartka drżała mu w rękach.

– Znaczk! - zawołał Gil. - Chodzi mi o znaczk!

Kartka wylądowała na biurku. Tekstem do góry.

– Ciężko się czyta, znaczk? Co za znaczk? Ludziki, tak?

Gil przytaknął.

– No, niektóre mi coś mówią, niektóre nie mówią. Nie macie więcej tego tekstu?

– Może to po prostu ludziki? - zagadnął Enka. - Może ktoś bazgrał sobie po marginesach?

– Akurat - skwitował Gil.

Kosecki włączył telewizor, otworzył szafkę poniżej, odsłaniając magnetowid, dokładnie taki, jaki przywłaszczył sobie Grula w komendzie. Stoczył krótką walkę z kablami i kontaktem zwisającym z drutów, drugą, dłuższą, ze stosem kaset zgromadzonych w szufladzie.

– Ludzki, tak? - Zrobił charakterystyczną minę, w której rzeczywiście nieco przypominał wiewiórkę. - To ja wam, panowie, coś pokażę.

Włączył, przewinął, poszło. Gil stał, znać, że wiedział, co zobaczą, Enka przycupnął na oparciu krzesła. Co on sobie ze mnie jaja robi, pomyślał na widok derwiszy czy kogoś podobnego, w każdym razie gości z turbanami

na łbach, ustawionych w klucz. Kręcili się wokół własnej osi i wykonywali gwałtowne gesty ramionami, całkiem składnie, to Enka musiał przyznać. W środku stał jeszcze jeden, a wokół niego, niczym wyczerpany pijak, podskakiwał kolejny, raz sięgał ziemi, raz wybijał się, zawsze zgarbiony.

– Przynajmniej zgrali się ładnie - powiedział Enka. Gil zrobił minę, jakby chciał go kopnąć.

Teraz tańczyli ludzie w białych szatach, unosili ręce, zmieniali szereg, zupełnie bez sensu, tak się przynajmniej Ence zdawało. Tamci wcześniej byli chociaż uporządkowani, a jeśli w tych dziwnych ruchach był jakiś sens, myśl może, to poza granicami pojmowania polskiego policjanta. Kosecki nacisnął pauzę, postacie zamarły. Wydawało się, że zaraz ruszą, wbrew zmartwiałej taśmie.

– Istnieje starożytna wiedza o tańcach, a raczej legenda o niej - podjął Kosecki. - Wiedzę o niej miał przynieść niejaki Gurdżijew, mistyk, poeta, poganiacz mułów, który pod koniec XIX wieku podróżował po Bliskim Wschodzie.

– Rosjanin? - wtrącił Enka.

– Gruzin. Miał natrafić na wzmianki o starożytnym bractwie Sarmung, działającym od dwóch i pół tysiąca lat. Znalezienie bractwa stało się jego życiowym celem. Gurdżijew utrzymywał - Kosecki chrząknął - że jego poszukiwania zakończyły się sukcesem i znalazł tajemne miasto gdzieś na pustyni Gobi.

– Którego nikt poza nim nie widział - syknął Enka.

– A ilu ludzi widziało to co my? - odpowiedział Gil. - Słuchaj lepiej.

– Gurdżijew dbał o swoją legendę i lokacji miasta nie podał nawet najbliższemu współpracownikom, tak zwanym Poszukiwaczom Prawdy - wyjaśnił Kosecki. - W każdym razie podobno podczas zwiedzania klasztoru widział specyficzne manekiny z ruchomymi przegubami, na których wyryto

symbole. Były też księgi z sekwencjami ruchów możliwymi do ukazania dzięki manekinom. Taniec to magia, panie komisarzu, w tym wypadku starożytna. Nie mówię, że tak jest. Ale są tacy, którzy w to wierzą.

Brwi komisarza Enki zbiegły się niczym dwa czarne kozły, Gil mógł przysiąc, że słyszał cichutkie *trrrryk* niosące się z pochmurnego czoła pana komisarza.

– No ale po co? - zagadnął Enka w swoim stylu. - Po co tańczyć takie rzeczy? I co to ma wspólnego z tymi bazgrołami? Panu też się od nich we łbie kręci?

– Gdyby pan zatańczył we właściwy sposób, do tego zaśpiewał odpowiednią pieśń zaangażowaną, to poznałby pan efekty - prychnął Kosecki i chyba pożałował żartu. - Panie komisarzu, nie wiem dokładnie. Może nawet Gurdżijew nie wiedział. Wiem, że to wielkie przeżycie tak dla tańczącego, jak i dla tego, co taniec ogląda. A tak naprawdę chodzi tylko o to, żeby dostać się... - Uniósł rękę ponad swoją głowę, prostując dłoń, trochę jakby wrzucał do kosza niewidzialną piłkę, trochę naśladował szyję łabędzia. Powtórzył miękko. - Aby dostać się *tam*.

W oczach Koseckiego błysnął ogień, jakby w oczekiwaniu na przekomarzenia Enki. Ale policjant tylko kiwnął głową i Kosecki zrozumiał. Ten złośliwy, podobny małpie człowiek miał o *tam* jako takie pojęcie.

– Może lepiej przeczyta pan sobie ten wierszyk i powie, o co chodzi? - poprosił komisarz.

Kosecki bez słowa zagłębił się w lekturze, sapał przy tym, marszczył nos. Zgarbił się nad karteluszkiem, a gdyby wysunął język, dotknąłby papieru.

– Szkoda, że nie macie tego więcej - powiedział wreszcie. - Dobry styl, nieco chaotyczny. Krótki fragment, nie umiem wiele powiedzieć. To część

poematu o iluminacji, zmianie duszy w coś innego, ale w co, nie wiadomo. W sumie nic nie wiadomo. - W jego głosie brzmiały ciekawość i rozczarowanie. - Na pewno więcej nie ma?

Gil pokręcił głową.

– Może przeczytać wam na głos?

– Dziękuję pięknie - uśmiechnął się Enka. Kosecki pchnął kartkę w jego stronę. Ale nie zdjął z niej ręki.

– Chciałbym to skserować - poprosił Kosecki. Potarł sobie brodę. - Nie odpowiedziałem też na wasze pytanie. Te ludziki, figurki to żadne bazgroły, ale w mojej opinii zapisy figur tanecznych. Schemat, jak manekiny, o których opowiadał Gurdżijew.

Taniec, pomyślał zaraz Enka, no jasne, ślady stóp na podłodze! Oni wszyscy tańczyli! A Kosecki nachylił się do niego, obrócił twarz do Gila.

– To jak będzie z tą kopią?

§ § §

– Myślisz, że zachowa ją dla siebie?

– On? Zbyszek, no jasne. Po Gliwicach trzymał pysk na kłódkę.

Wyszli już na słońce, Enka natychmiast zapalił, spojrzał w górę, starając się patrzeć ponad głowami studentów teatrologii (polonistyki, etnografii i innych kierunków, które jego policyjnym zdaniem mieszały ludziom w głowach), komentarza jednak sobie nie odmówił.

– Patrz, jak oni stoją. - Wskazał palcem grupę solidarnie podpierającą mur. - Pewno sądzą, że jeśli stąd pójdą, cały uniwersytet się zawali. Dosłownie, stary. Runie nam na łby.

Studenci pochowali nosy w kartkach. Tylko gruba dziewczyna w czerwonych skarpetkach po gołe kolana zerkała w jego stronę.

– Niedoczekanie twoje - mruknął Enka i zwrócił się do Gila: - Słuchaj, mnie do ziemi przygięło, jak przeczytałem dwa pierwsze wersy, a ten twój macher od wierszokletów przeleciał to raz-dwa i nawet nie pierdnął. Co jest? Praktyka?

Gil odparł poważnym głosem, każde słowo dudniło, jakby zapowiadało rzeź, krwawe rzeki, a przynajmniej mordobicie w knajpie.

– Są obrazy, są dźwięki skierowane do konkretnych wrażliwości. Nie do każdego, rozumiesz? Ludzie muszą być dostrojeni, mieć właściwe struny w sobie i kiedy widzą, słyszą, ta struna się w nich uruchamia. Widziałeś dosyć, żeby się w tobie to wykształciło.

– Czy mówiłem ci kiedyś, że wolałem czasy, kiedy byłem zwykłym gliną?

Książd doktor puścił tę uwagę mimo uszu - choć sam pomyślał, że wolałby być zwyczajnym księdzem, o ile oczywiście kiedykolwiek nim był.

– Powiem ci lepszą rzecz. Słyszałem o takich malowidłach, rzeźbach, muzyce, ale nie o tekście, nawet z rysunkami, no a to, że go zobaczę, nawet przez myśl mi nie przeszło.

Studenci jak na komendę oderwali się od ściany, spiesząc gdzieś brunatną chmurą plecaczków, toreb, spodni po rodzeństwie i białych koszul i bluzek jeszcze z matury. Ence zdawało się, że budynek zadygotał.

– Świetnie. Co teraz? - Wyrzucił papierosa. - Mamy magiczną kartkę i bladego pojęcia, co dalej. Wiesz, co ci powiem? - pieklił się. - Czuję, że będzie jak zwykle, pójdziemy tu, pójdziemy tam, ani się obejrzymy, a wszystko się pozmienia. Jak zwykle, jak zawsze.

Gil schował ręce do kieszeni.

– Bo ja wiem? To raczej robota dla mnie. Do Jagiellonki pójde, do działu starodruków. Może wyciągniesz, czy Czujka tam bywał? Albo do siebie do biblioteki.

Z ust Enki dobyło się przeciągłe westchnienie.

– Możemy usiąść w jakimś miłym miejscu - zaproponował - a coś mi dzwoni, że nie dalej jak budynek stąd wykorkował ten twój Godlewski. Przypadek, Andrzej, czy droga na skróty? Jak sądzisz?

Klepnął go tak, jak Gil nie cierpiał, do odbicia płuc.

– No dobrze - westchnął ksiądz doktor - droga na skróty. Wpadniemy i zobaczymy.

– Wpadniemy i zobaczymy - zgodził się Zbigniew Enka i z tej zgodności puścił księdza Gila przodem, zwolnił i patrzył, jak jego czarna sylwetka załamuje się w słońcu.

§ § §

Nad łukowatym wejściem Instytutu Psychologii łopotała czarna flaga. Brać akademicka nie zapomniała o Bartłomieju Godlewskim.

Ksiądz doktor habilitowany Andrzej Gil stwierdził ze smutkiem, że się starzeje. Być może czyni to nawet intensywniej niż Enka, który owszem, posiwał, lecz piorunował na świat tak samo jak w dniu, kiedy się poznali. Tymczasem Gil czuł się słaby, przygięty do ziemi, zwracał też uwagę na drobiazgi, które wcześniej mu umykały. Na przykład moda. Dawno już nie przejmował się tym, jak wygląda i co ma na sobie, nawet kiedy jeszcze nie był księdzem, lecz zaczął spoglądać na innych: na studentów w miękkich marynarkach i dziewczyny w bluzach wciśniętych w spodnie na wysokości pępka. Zastanawiał się nawet, czemu ludzie wyglądają właśnie tak - tyle siły, wyobraźni i pieniędzy włożonych w to, by uczynić świat brzydszym. Tu, w Instytucie Psychologii - kojarzącym się z kamienną jamą, w której żyją smoki - studenci byli inni niż na polonistyce czy nawet Papieskiej Akademii Teologicznej. Mimo sesji, czyli okresu kusych marynareczek i białych bluzek, walczyli z szarością, chłopcy często nosili brody, jeszcze

rzadkie i nierówno przystrzyżone, dziewczyny miały długie włosy, które natychmiast, nie wiedzieć czemu, kojarzyły się ze stylem hippie. Na półpiętrze długowłosa artysta ze wszystkich sił bajerował dziewczę z drewnianymi koralikami na szyi. Machał rękami, pohukiwał, burczał, nie wyjmując ani przez moment papierosa z gęby.

– Cholera - powiedział komisarz Zbigniew Enka.

Skręcili na piętro. Pod oknem, spowity słońcem, samotny i poważny, siedział sobie student. Spod wełnianej czapki sterczały dredy. Student grzebał paluchem w notatkach, zerkając co chwilę na brązową książkę leżącą obok. Otworzyć jej jednak nie śmiał. Napis na okładce głosił: *Psychologia wychowawcza, Maria Przetacznik-Gierowska*. Enka jął drążyć w swej duszy, skąd właściwie biorą się takie nazwiska, i doszedł do wniosku, że z ciemnej jamy.

Chłopak miał oczy mętne jak woda w Wiśle. Gil go znał. Wiedział również, jakie jest największe hobby chłopaka, a nawet gdyby nie wiedział, to rozchodzący się po korytarzu zapach tłumaczył wszystko.

– Franek - powiedział.

Franek podniósł głowę. I zaraz opuścił.

– Proszę księdza, teraz studiuje tutaj.

Podrapał się po głowie, zrobił dziwny ruch, jakby chciał księdza doktora zaprosić do środka.

– Nie podobało ci się u nas? - zagadnął Gil przyjaźnie, zezując na komisarza Enkę. Enka miał słodką minę, ruszał szczęką i można by pomyśleć, że ma gębę pełną krówek.

– No, wywalili mnie. Palilem, proszę księdza. Papierosy paliłem znaczy. W ubikacji - wyjaśnił. - A potem żartowałem sobie niepotrzebnie, to wyleciałem. Ale, proszę księdza, mi się tutaj podoba. - Przymknął nieprzytomne oczy. - Teraz zajmuję się psychologią dziecka, a matka

nagrała mi pracę w przedszkolu - skubnęła wargę zażółconym palcem - czyli fajnie jest tutaj, tylko księdza brak.

Dobrze, że nie mam dzieci, pomyślał komisarz Enka.

– Niestety, nie tylko mnie - powiedział ksiądz doktor.

Franek pogmerał w notatkach i podniósł głowę. Przez poślódką maskę twarzy przebił smutek.

– Mówi ksiądz o Bartku? O doktorze Godlewskim?

Gil przytaknął.

– Straszna szkoda - mówił Franek. - Ja to nic, ale co te biedne studentki teraz zrobią? On tak kochał życie, a je to najbardziej. Mnie to nawet dziwi, bo Bóg powinien zabierać z tego świata tych, co go nie lubią, co tylko książki by kochali i własne wykłady. A Bartek to żył! - ożywił się wraz z tym słowem. - Słuchajcie, ja z nim artykuł pisałem, facet miał łeb jak sklep, New Age, szamani, inicjacje, świetnie się z nim pracowało. O wpływie konopi na życie religijne. O tym pisałem.

– To ma coś wspólnego z pracą w przedszkolu? - zapytał Enka.

Franek skulił się na parapecie. Jego oczy widziały coś dziwnego, może różowe słonie albo festiwal episkopatu, jednak na pewno nie Gila i Enkę.

– Ale, drugi księżę - rzekł z namaszczeniem - to wszystko się łączy. Góry, Bóg, dzieci, dobry dym, nasza rozmowa. Wszystko jest w porządku, wszystko musi być dobrze albo i lepiej. Bartek właśnie to rozumiał.

– Opowiedz mi o nim - wypalił Enka. Gmerał sobie pod szyją.

– No co ja mogę, dobry człowiek, otwarty, wielkie serce. Indian lubił. Drugi ksiądz lubi Indian?

– Pasjami - mruknął Enka.

– Więc on z nimi trzymał, z tymi paroma, co jeszcze są w Polsce, a z jedną Indianką to nawet się związał, Palili szałwię. Tańczyli pięknie, byłem u nich - zmrużył oczy - adoptował jej syna, żeby mógł zostać w Polsce. A

jak śpiewał! Bartek, nie syn! Popił sobie, popalił i deklamował różne dziwne kawałki. Wierszyki. Ksiądz doktor połapał się, że Franek odpływa.

– Jakie to były kawałki?

– Dziwne, ale takie piękne! Ja tam nie wiem, nie rozumiem, ale ładne. Stare. Bardzo rytmiczne - spuentował i uśmiechnął się głupio. - A wiecie, że mnie policja już o to pytała? Ale nie byli tacy mili jak kochani księże, ja księżom powiem zaraz, mendziarze to straszna sprawa i trzymać z nimi nie warto.

– To szczerą prawdą - uprzejmie zgodził się Enka. - W takim razie może wiesz, kto go jeszcze lubił. Tylko Indianie? Czy może, za sprawą Boską, ktoś tutaj? - Rękę wsadził w kieszeń, tam gdzie trzymał legitymację. Franek się najeżył.

– Z Krzyżem trzymał, drugi księże, i ja tego zupełnie nie kapuję. Taki dobry, porządny gość z takim głupim bucem. Z Krzyżewskim znaczy. Ja to księżom kochanym mówię jak na spowiedzi, krygował się nie będę. Krzyżewski sepleni, jest głupi i wredny. Na studentach się wyżywa, zdać ciężko, a Bartek go gnębił. Tyle dobrze. - Zrobił smutną minę. - Teraz Krzyżewski już chodzi niepogńbiony.

Enka nie słuchał, wyobrażając sobie Franka w przedszkolu, jak siedzi sobie na stołku otoczony wianuszkami dzieci i opowiada im z pasją o Indianach, Indiach i tym, jak wspaniale byłoby być przedszkolakiem w latach sześćdziesiątych.

Ale Bartek fajny facet był. Szalwie palił.

– Gdzie znajdziemy Krzyża? - zapytał ksiądz doktor habilitowany. Nim jego słowa przebrzmiały, Franek utracił siły. powieki mu opadły, a wraz z nimi głowa. Kiwnął nią jeszcze, próbował spojrzeć. Poderwał rękę. Palcem wskazał w dół i w bok.

– Tam, księże i drugi księże! - wybełkotał.

– Szczęść Boże - odparł komisarz Enka.

Drzwi były wysokie i obite dermą. Tabliczka obok informowała, że pracują tutaj profesor Krzysztof Krzyżewski i doktor Bartłomiej Godlewski.

– Powiedz mi jedno. - Enka zatrzymał Gila, który już pchał się do środka. - Czemu każdy twój znajomy to narkoman albo zboczeniec? Jaka znów szakwia? Co jest grane?

Twarz księdza doktora spoważniała, znać było, że zaraz uderzy w wykład. Enka opuścił ręce, wiedział, że już go nie powstrzyma.

– Boska szakwia. Rośnie w Meksyku. Używali jej indiańscy szamani, robili z niej napój, wyciskając do wody świeże liście, zawsze w nocy, modląc się i śpiewając. Miała bardzo silne działanie psychodeliczne, i tu musisz uwierzyć mi na słowo. Szakwię można też ususzyć i palić. Zapewne Bartek używał jej w ten sposób.

– Fajnie - skwitował to Enka, gapiąc się na dermę - przecież w takie drzwi nawet nie da się zastukać.

Pokój był niewielki. Na ścianie po lewej wisały korkowe tablice z przypiętymi karteluszkami, zdjęcia za szkłem, regał zapełniały książki ze wskazaniem na baterię dzieł Husserla w oryginale. Po prawej ściana była pusta, jeśli nie liczyć śladów po tablicach i fotografiach, wąską półeczkę opróżniono. Znajdował się tu tylko jeden obraz, błękitna Matka Boska na rogatym półksiężycu. Zza wąskiego biurka dziwnym wzrokiem spoglądał profesor Krzyżewski. Przed sobą miał książkę, kubek i niegazowaną mineralną.

Enka powiedział, kim jest i w jakiej sprawie przychodzi. Przedstawił Gila. Ten skłonił się nisko, a Krzyżewski nieznacznie tylko gębą się do przodu, inaczej zresztą chyba nie mógł, nie ryzykując rozpadu na kawałki. Chudy i wysoki, przypominał pomyłonego filozofa z amerykańskiej

komedii, do tego nie dbał o siebie - marynarka zwisała z chudych ramion jak szmata, kołnierz koszuli był wymięty, broda rozwichrzona.

– Juf rowmawiałem z policją o wfystkim. Juf byli - powiedział. Seplenił tak, że trudno było pojąć, co właściwie chce przekazać, między sylaby wrzucał *f* jakby miał zatkany nos lub dziurę w podniebieniu. Enka jęknął w duchu. Usiedli. Krzyżewski napił się z kubka, w którym na oko była mineralna. Wykrzywiło go.

– Przejąłem tę sprawę - wyjaśnił Enka. - Postaram się nie zabrać panu dużo czasu.

– Pan zawfe tak z księdzem? - wyseplenił Krzyżewski.

– Sprawa tego wymaga, panie profesorze - odparł beznamiętnie Enka. Wydobył pomięty kapownik. Zerknął.

– To pan znalazł ciało?

Krzyżewski kiwnął głową. Minę miał boleściwą.

– Nie pozwalam tu spfątać. Bartek i tak miał bałagan, a mi by spfątacka tu wszystko powywracała. Więc spfątałem sam. Tak, ja znalazłem ciało.

W jego pijanych oczach błysnęła nadzieja, że Enka tematu nie pociągnie. I Enka nie pociągnął.

– Wiemy, że w chwili śmierci miał przy sobie kilka kubków. Z prosem, z winem, z wodą - odezwał się Gil. - Ma pan jakiś pomysł dlaczego?

Krzyżewski wzruszył ramionami.

– To był dziwny fłowiek - odparł. Opróżnił kubek. - Kiedy wona pfyła z facetami po jego weczy, okazało się, we w biurku tfymał ptasie gniazdo i mózg w formalinie. Nie wiedziałem o tym, a mówiliśmy fobie fporo.

– Kobiety może? Brał narkotyki? - chciał wiedzieć Enka. Trupia twarz Krzyżewskiego nabrała ostrości, przygryzł wargi. Enka demonstracyjnie rozłożył kapownik, popatrzył weń z namaszczaniem. Kubek profesora zniknął pod biurkiem, Krzyżewski sobie nalał.

– Był tylko fłowikiem, dobrym fłowikiem. Kochliwy, we tak powiem. I najzdolniejfy facet, jaki tu pracował, fkoda, we zajmował się samymi pierdołami. Jeffe więkfa fkoda, we umarł. - Napił się, wyraźnie zawstydzony. Przełknął z obrzydzeniem. - Myfmy się pfyjawnili, ale teraz myflę, we naprawdę nie wiem, co w nim fedziało. Narkotyki? Tak. Lubił wódkę, ale nie wiem, co brał. Raz widziałem go tutaj, jak fedział na biurku, machał ramionami jak wielki ptak i krakał. Kra, kra, kra - Krzyżewskiemu załamał się głos. Otarł oczy i rzucił, wbijając wzrok w Enkę: - Nie widziałem, weby komuf cof dawał. Albo rofpijał.

– Jak zachowywał się przed śmiercią? - zapytał komisarz Enka. - Odwiedzał go ktoś? Coś mówił?

Krzyżewski już się nie krygował. Wyjął półlitrowkę spod biurka i nappełnił kubek. Napił się, wódka wróciła, z trudem przełknął ponownie.

– A pan mówi fftytko ffoim pfyjaciołom? Foś z nim nie grało, ale nie wiedziałem fo. Nie fądziłem, we tak to się fkońfy. Nof miał na kwintę, tyle włafciwie. Rowmawialiście z jego woną? Teraf to niewawne, Bartek lubił dziewczęta. Taka studentka się wa nim włófyła, chyba chciał to fkończyć, ale nie miał ferca. To mu wycie zatruwało, ale nie, nie ma mowy - wymierzył palec w Gila - nie wabiłby się z jej powodu.

– Mówi pan o Indiance? - zagadnął Enka. Krzyżewski uniósł brwi.

– To była jeffe inna fprawa. Byli blifko - seplenił Krzyżewski. - Widziałem ich we dwoje, wyglądali jak para z *innego* świata. - Spróbował się roześmiać. - No, to Bartek teraf w tym świecie jeft.

Gil chciał powiedzieć coś o zrozumieniu sytuacji, że wie, jak czasem bywa ciężko, gdy zostaje się samemu, ale Enka wszedł mu w słowo:

– Wie pan, gdzie ta dziewczyna mieszka?

Z piersi Krzyżewskiego wydobyło się westchnienie ciężkie jak dzwon.

– A po co... - urwał. - Ofywiście, we wiem. Nie fciałbym, weby wona wiedziała, teraf, jak Bartek nie wyje... Nief go wapamięta innym, niw był naprawdę. - Umoczył usta w wódce. - A Indianka, profę panów, miefka na Fłowackiego feścdziesiąt feść pfez tfy. Pierwfe piętro, wwi po lewej. Banasik na wwiach. Tak, byłem powiernikiem jego tajemnic.

§ § §

Na korytarzu Enka natychmiast zapalił.

– Biedny facet, swoją drogą - zauważył Gil. - Nie chodzi mi o wadę wymowy.

Enka przytaknął w milczeniu.

– Ja mu wierzę, temu Krzyżewskiemu, że nic nie wie - paplał Enka. - To dziwne, nie? Znasz kogoś kawał czasu i naprawdę nie wiesz, co sobie myśli i co robi. Chodzicie na wódkę, zwierzacie się sobie, a potem znajdujesz go w łóżku z własną żoną. Albo powieszzonego. Kurwa mać.

Gil odwrócił się i posłał Ence dziwne spojrzenie. W tej samej chwili zderzył się z facetem w skórzanej kurtce. Facet był wysoki, barczysty, o słowiańskich rysach i włosach tak czarnych, że najpewniej farbowanych. Wpadł na Gila z impetem, gdzieś widać się spieszył, nie powiedział słowa. Tylko uniósł rękę. Gładko wyminął wściekłego Enkę i nim ten zdążył coś powiedzieć, zniknął na schodach.

– Co za aparat - westchnął Enka. - Nic ci nie jest?

Gil zaprzeczył. Nic mu nie było, przecież facet tylko go trącił.

– Ale gnój - denerwował się Enka. Wyszli już na słońce. - Z mordy to Bułgar, nie? Zawsze poznam Bułgara. Ja wiem, Andrzej, że masz swoje zdanie na ten temat, ale ja waliłbym w pysk i patrzył, czy równo puchnie.

– To Rosjanin - odparł Gil. - Ty rozpoznajesz Bułgarów, a ja Rosjan.

– Też mi różnica. Słuchaj, Andrzej, siądziemy sobie na chwilkę gdzieś? Nie mam teraz siły mordować się z Indianami.

Uwagę Gila zaabsorbowało coś innego. A raczej ktoś, nie Bułgar czy Rosjanin, lecz Polak z krwi i kości, w zielonych spodniach, z rudą brodą i oczyma pomyłonego proroka. Gość stał oparty o mur, na brzuchu splótł ogromne dłonie. Trudno powiedzieć, w jakim był wieku, właściwie trudno było powiedzieć o nim cokolwiek poza tym, że jest wielki i się gapi. Prosto na nich, bezczelnie. Wspomnienie tego spojrzenia Gil zabrał ze sobą aż do domu.

§ § §

Mieszkanie księdza doktora wydawało się mniejsze niż zwykle - jakby ściany powoli i uparcie zbliżały się ku sobie, wyrzucając macki w postaci kolejnych rzędów książek na kolejnych półkach, kolejnych zdjęć, rycin i krzyży zasłaniających gęstniejące pęknięcia. Właśnie, cały budynek starzał się gwałtownie, biel przeszła w szarość, tynk przecięły zmarszczki, sufit przełamывała głęboka blizna przez całą długość.

Święty Tomasz wciąż spoglądał ze ściany, lecz na biurku zaszła poważna zmiana. Komputer Mazovia, na którym Gil zdążył jeszcze napisać habilitację, zniknął. Jego miejsce zajął pecet bliźniaczo podobny do tego, którym cieszył się Gula, tyle że z czarno-białym monitorem. Obok, z kartką w środku, zastygła drukarka igłowa. Gil zerknął w jej kierunku. Nie umiał rozpoznać własnych słów. A może nie były jego?

Zrobiło mu się gorąco, nie wiedział jednak czemu. Coś szepnęło w głębi mieszkania. A może tylko wiatr świsnął? Gil poszukał więc ratunku w skoroszytach i książkach, całych ich metrach tłoczących się na półkach i regałach. Nie brał niczego do ręki, siedział tylko i przypominał sobie, co w

której jest, czy lubił czytać, czy może mordował się z tym nieustannie. Grzbiety układały się przed jego oczyma w ciało, rozwleczone, roztarte po całym magazynie. Ze szczeliny nad głową biło zimnem. I trupem.

Uspokój się, człowieku, powiedział sobie ksiądz Andrzej Gil, podniósł się z fotela i nie wiedząc czemu zastygł na środku pokoju. Przytłaczał go porządek, rzecz nowa, o którą zabiegał - papiery leżały równiusieńko, książki ułożono tematycznie i nawet długopisy wyglądały, jakby poukładano je według jakichś dziwnych zasad. Żadnych kubków po kawie, kieliszków, plam, talerzyków, wszystko pod linijkę, aż zaraz trachnie, cały ten ład wybuchnie prosto w twarz księdza doktora. Zmiecie go, pogrzebie, świat przeciw ładu nienawidzi.

Gil przełamał się, dotarł do regału, a konkretnie - do czarnej wieży „Sharp” z lekko odstającym wiekiem gramofonu. Był to nowy nabytek, sprowadzony z Niemiec dzięki życzliwemu doktorantowi. Gil lubił muzykę. Potrzebował jej. Zwrócił więc wzrok ku półce z płytami i kasetami, już chciał wybrać coś odprężającego, lekki jazz, muzykę z polskich filmów, i pojął, że już nie spogląda na płyty, lecz gapi się na kartkę z dziwnym wierszem. Zafalowała, a z nią - cały pokój. Gilowi żołądek podpełzł do gardła.

Ludzik nakreślony niedbale w lewym górnym rogu zadrżał i niby przesunął się ku środkowi kartki. Za nim ruszyły następne, w bezładnym ruchu, jeden przez drugiego, nieruchome i roztańczone zarazem, skakały, tańczyły, wirowały na karcie. Wódka, o Chryste, miałem tak wcześniej, pomyślał Gil, zmrużył oczy, przez moment wszystko na kartce się rozmyło i zaraz linijki tekstu zaczęły się przesuwac niczym czarne gąsienice. A może tylko dygotały? Gilowi zaczęła trząść się ręka, wkrótce trząść się cały, nie mogąc oderwać wzroku. Płuca przestały go słuchać, usta wyschły. Ludziki drżały coraz intensywniej, literki zmieniły się w smugi i Gil po

prostu kartkę odrzucił. Poleciała na podłogę, zabrzmiał pisk, rozległ się śmiech. To ludziki cieszyły się z tańca.

Następnym, co Gil pamiętał, był brudny tynk dotykający jego czoła. Oprzytomniał. Stał z głową przyciśniętą do ściany i trzymał się za brzuch. Ledwo oddychał, bolały ściśnięte płuca. Zerknął - kartka leżała w przeciwległym rogu, zupełnie zwyczajna, tyle że pomięta. Przypomniawsobiesobie czasy studenckie, jeszcze przed seminarium, takiego kumpla z Gdańska i kwasu, którego zjedli. Świat był wtedy trochę taki rozfalowany jak w gorącym powietrzu, zmiennocieplny, przelewający się przez dłonie. Gil słyszał, że czasem takie wrażenia powracają, narkotyk zapisany jest w człowieku i przypomina o sobie, gdy tego nie chcemy. Ale teraz, tutaj? Czemu? Ściemniło się.

Światło powróciło w kuchni. Stłumione. Gil siedział na brzegu stołka, obejmował sobie głowę i gapił się w zgniłą zieleń herbaty. Upił łyk, wylał resztę do zlewu. Tu porządek był jeszcze bardziej nieznośny, nawet naczynia na suszarce leżały w porządku rosnącym, żeby nie wspomnieć o gazetach złożonych w rogu i idealnie lśniącej bieli lodówki. Jak by było, gdyby tak chwycić chochlę albo łyżkę drewnianą i, Boże, wybaczyć, napierdalać we wszystko po kolei, aż do utraty tchu? Rozpieprzyć wszystkie talerze, wybić okna, pourywać drzwi, w końcu prawda ponad wszystko, a nie ma odrobiny ładu na tym nieszczęsnym świecie. Kuchnia, twój dom własny łże ci, księżo doktorze.

Odwrócił się i zmartwił. Na progu leżała kartka z wierszem i drżała. Przypęzła tu za nim. Podbiegł do niej, przyklęknął, z jego ust wydobył się świst. To była tylko papierowa chusteczka, której nie zdążył sprzątnąć przez poranny pośpiech. Roześmiał się do siebie. Wstał. Po rzędzie białych szafek pędził maleńki czarny ludzik złożony z kresek. Podskakiwał, kręcił piruety, aż wreszcie zbiegł po skosie na ścianę i przyspieszył w stronę lodówki, by

za nią zniknąć. Gil usiadł na progu i drżał. Złudzenie czy coś mi się dzieje? Jak mogę tak żyć? Muszę się uspokoić. Złapać dystans, jakie to słowo teraz jest modne? Luz.

Rozejrzał się. Wszystko było w porządku, popatrzył za siebie - żadnych cieni. Za to od lodówki poszedł szum i białe drzwi stały się przezroczyste niczym rozrzedzone mleko. Na półeczce pyszniła się półlitrowka wyborowej, piękna i oszroniona.

Powietrze uszło z księdza Gila. Miał wrażenie, że flaszka skłania się ku niemu, a szron zaczyna świecić. Co dziwne, w lodówce trzymał sery, wędlinę, mleko oraz przynajmniej trzy piwa - wszystko to zniknęło, półki były puste. Białe tło dla wspaniałości butelczyny. Ksiądz doktor zamknął oczy.

– Precz - Gil nie wiedział nawet, czy wypowiedział to na głos.

Usta wygięły się w uśmiechu, końcówki miały ostre i nie były już ustami, lecz półksiężycem pod popiersiem Najświętszej Paniienki z obrazu, który wisiał w gabinecie Godlewskiego. I proszę, rzekł półksiężyc, tyle w tobie woli, czy tylko dlatego, że chcesz podziwiać sam siebie? Czemu odmawiasz sobie wszystkiego? No, do cholery, dlaczego nie chcesz dać sobie małej nagrody po ciężkim dniu? Widziałeś trupa. Nie możesz sobie odmawiać wszystkiego, bo sam znikniesz, staniesz się pyłem i prochem, wiatr cię rozwieje, ciśnie precz od Boga i świata. Andrzej, nie chcesz tego zrozumieć? Jeśli odmawiasz sobie wszystkiego na tym świecie, najpierw stracisz świat, a potem też siebie.

Gil być może pogodził się ze stratą albo też nagle uwierzył, że możliwa jest inna droga, nie znał jej, lecz przeczuwał jej istnienie. Otworzył oczy, zerwał się i popędził ku wszystkiemu, co mogło go ocalić, do pokoju, do książek, pod krzyż i obraz ze świętym Tomaszem. Chciał uklęknąć. Dopadł pierwszej lepszej półki i się niej uczepił. Książka Rudolfa Steinera spadła

na podłogę. Żadnych półksiężyców, żadnych butelek. Zbyszkowi ani słowa, deliryczny sen.

Uniósł Steinera i zamiast odłożyć go na skraj półki, skąd zleciał, coś sobie przypomniał. Chwycił plik kartek, pracę studenta, którego nazwiska nie pamiętał - kojarzył tylko oczy przepełnione żalem, zawsze kiedy mowa była o intelektualnym wysiłku. Gil lubił go nawet. Tekst był ręcznie pisany, drukowanymi literami, które zmieniały się w bazgroły, zawsze gdy autor próbował ścigać się z jakąś myślą. *Współczesne implikacje mistyki sufickiej*, tak głosił tytuł. Gil podszedł do biurka, rozrzucił kartki. Obok stała zimna kawa. Jeden z nielicznych przejawów nieporządku. Otworzył tekst na pierwszej lepszej stronie. Pił i czytał: *Ja nie nazywam sztuką tego wszystkiego, co wy nazywacie sztukę, a co jest tylko mechanicznym odtwarzaniem, imitacją natury albo naśladowaniem innych ludzi, czy też po prostu fantazję, czy też sileniem się na bycie oryginalnym. Rzeczywista sztuka jest czymś zupełnie odmiennym. Pośród dzieł sztuki, szczególnie dzieł sztuki pradowej, spotyka się wiele rzeczy, których nie możecie wytłumaczyć, a które zawierają coś, czego nie znajdziecie we współczesnych dziełach sztuki. Gil skądś znał te słowa, wyły mu w uszach: *W rzeczywistej sztuce nie ma nic przypadkowego. To jest matematyka. Wszystko tam może zostać obliczone, wszystko już wcześniej może być znane. Artysta wie i rozumie, co chce przekazać, i jego dzieło nie może wywoływać jednego wrażenia w jednym człowieku, a innego w drugim – przy założeniu, że obaj są na tym samym poziomie. Będzie ono zawsze, i to z matematyczną pewnością, wywoływać jedno i to samo wrażenie* [1].*

Gil otrząsnął się. Napił się jeszcze kawy, była gorzka, brudziła przełyk. Zaczął zastanawiać się nad światem, książkami i tym, że czasy, w których można wydawać, co się chce - za czym przecież zawsze tęsknił - sprawiły, że każdy może napisać dowolną bzdurę. Przeczytał ponownie, nie, coś było

w tych słowach, coś, co łączyło się z kartką, na którą bał się spojrzeć. Myśl o niej wykręcała mu flaki, a taki Kosecki przeczytał ją bez wysiłku. *Pośród dzieł sztuki, szczególnie dzieł sztuki pradowej, spotyka się wiele rzeczy, których nie możecie wytłumaczyć*, powtórzył w myślach i popatrzył na ocenę. Niech ma, pomyślał, zmieniając czwórkę na minus pięć. Niech ma. Niech ma. Wróć na uniwersytet, wykład, spokój. Prawie o nim zapomniałem, ale teraz pamiętam, to pójdę. Co potem? Pójdę gdzieś.

Wstał, rozejrzał się za marynarką i usłyszał dzwonek. Trzy krótkie szarpnięcia spod nerwowego palca. Pewno świadkowie albo ankieterzy, pomyślał Gil. Na progu stał doktor Kosecki w przepoconej koszuli i miał wielkie oczy. Błada skóra pulsowała mu na skroniach.

– Mogę?

Gil zrobił miejsce.

– Zaraz mam wykład - powiedział bez przekonania. Niemal o nim zapomniał.

– Nie da rady. - Kosecki otarł czoło, broda mu latała. - Możesz?

– Mogę - odparł ksiądz doktor habilitowany Andrzej Gil. Podreptał do telefonu, już wybierał numer, gdy z przedpokoju zabrzmiał jęk Koseckiego: - Masz wódkę?

Równie dobrze Kosecki mógł zapytać o heroinę albo skrzydła na żywca aniołowi wyrwane; powiadano, że pił nawet na stypach i weselach, kieliszek, góra - dwa, i to wyłącznie po to, żeby zgrać się z towarzystwem. Nikt nie widział go urzniętego, a wieść niosła, że dom ma wręcz zapchany butelkami wódki, wina, koniaku i innych procentowych dóbr otrzymanych od wdzięcznych studentów i nietkniętych przez lata. Gil odwrócił się. Kosecki siedział na fotelu, zwieszał nieruchomą głowę, jakby kark mu przetrąciło.

Ksiądz doktor zadzwonił więc na portiernię PAT-u, prosząc ciecia, by zostawił kartkę, że go nie będzie, tym razem napisaną bez błędów, czyli inaczej niż ostatnio, bo jest poziom indolencji w słowie pisanym, który rzutuje na godność uniwersytetu i księży profesorów. Oczywiście nie użył słowa „indolencja”, wspomniał za to coś o „bezmyślności”. Nim się połapał, już słuchawka leżała na widełkach, a on szedł z kuchni z wyborową i dwiema literatkami w palcach. Połał. Kosecki chlapanął i zapytał głucho:

– Co się stało z Czujką?

Niezwykłe powoli uniósł głowę, krzyżując spojrzenia z Gilem, i ksiądz wiedział już wszystko. Znał takie spojrzenia, szkliste, nagie bezradnością wobec straty. Kosecki często przyjaźnił się ze studentami. Gil nie wiedział, co powiedzieć, lecz wiedział, co robić. Zdjął koloratkę, zapełnił obie literatki. Napili się bez stuknięcia.

– Widziałem ciało - rzekł.

– Zostawił żonę i dziecko, wiesz? - mruknął Kosecki. - Takie proste słowa. Żona, dziecko. Często się je słyszy, nie? Stracił ten, stracił tamten. Cholernie trudno naprawdę je pojąć, co znaczą - wydał wargi. - Cholernie zdolny facet. Studiował na zaocznych, bo na nich zarabiał. Na żonę. Na dziecko.

Nabrał powietrza w płuca. Za dużo. Oczy podeszły mu łzami, palce zaciskał na pustej szklance. Nagle nerw przeciął mu twarz, jakby od oka do ust, przez nos.

– Żona w szpitalu, nie może dojść do siebie, odkąd zobaczyła trupa - cedził. - Matka dostała zawału, nim dotarła na miejsce. Żyje. Zwłoki zidentyfikował brat. Po jakichś pieprzykach na stopie, inaczej się nie dało. Widziałeś ciało, prawda?

Popatrzył pytająco. Gil zapełnił literatkę po brzegi, wypił na raz. I potwierdził. Kosecki kiwnął głową.

– Tę... rzecz, którą przyniosłeś, znalazłeś przy nim?

Tym razem głową skinął ksiądz doktor Andrzej Gil. Ręka Koseckiego zamknęła się na flaszce, przez moment można było sądzić, że napije się wprost z butelki. Napęłnił szklankę. Chlapnął, mignęło dno, a w jego oczach - rozczarowanie. Gil pomyślał, że to jedno z tych najgorszych dni na tym świecie, skoro już drugi facet, co wódki unika, rozpaczliwie próbuje się urżnąć.

– Myślisz, że to ma związek z Bartkiem Godlewskim? I śmiercią Janowskiej z Wrocławia? - zapytał Kosecki. Oczy zrobiły mu się szkliste. Gil nawet nie musiał odpowiadać i nie dziwił się, że Kosecki wie o tych przypadkach. Plotki w środowisku naukowym rozchodzą się szybko.

– Technicznie rzecz biorąc, to dowodów nie ma. Tak twierdzi Enka - rzekł jednak.

– Zastanawiam się, jak z nim wytrzymujesz - zagadnął Kosecki, zrobił pauzę, przejechał wzrokiem po książkach, kiwając głową, jakby walił czołem w niewidzialną ścianę. - Więc profesor Malicki, słyszałeś o nim?

– Coś mi świta - odparł ksiądz doktor. Czyli że nie słyszał.

– Wybitny facet, miał też, hmm, wybitnych uczniów. - Kosecki chyba pożałował tego żartu już w chwili, gdy zaczął go wypowiadać. - Kazimierz Malicki, krytyk, eseista, pracował u nas na polonistyce w latach sześćdziesiątych. Analizował teksty romantyków przez osobiste przeżycia autorów, to była nowość w tamtych czasach. Mówił o tym z pasją, dogrzebał się czegoś. Tropy wiodły do Towiańskiego. Co mówi ci to nazwisko?

– Tyle co wszystkim. - Gil wzruszył ramionami, szczerze zaniepokojony. Nie wiedział bowiem, czy w biurku ma jeszcze jedną półlitrówkę.

Powinien. - Mityk, szarlatan. Mickiewicz był jego wyznawcą. Chyba leczył mu żonę. Tak. Żona Mickiewicza miała cyklofrenię, a Towiański ją leczył.

Rozlał resztę butelki, literatki zapełniły się do połowy. Kosecki dał znak, żeby chwilę poczekał.

– Ja akurat się na nim znam - powiedział. - Towiański w sobie tylko właściwy sposób łączył pychę z głęboką religijnością. Aż kiedy miał czterdzieści lat, ujrzał Matkę Boską, jak wskazuje ręką na Francję. Rzucił wszystko i pojechał leczyć dusze. Tam - chrząknął i jednak się napił - założył Koło Sprawy Bożej. Teoretycznie miało łączyć ludzi we wspólnym przekonaniu, że są Bożymi dziećmi, naprawdę to Koło - cedził Kosecki - przejechało po tych ludziach, miażdżąc ich małżeństwa, miłości, przyjaźnie.

– Sekta - stwierdził Gil. Gapił się w drzwiczki biurka, zastanawiając się, co właściwie tam ma i czy flaszka, która stała tam kiedyś, nie poległa w toku pracy naukowej. Wstał. Podrapał się po głowie.

– Mickiewicz trafił do Koła Sprawy Bożej i szybko stał się figurą niemal tak ważną jak Towiański. Zresztą potem się pokłócili. Ale wcześniej działały się rzeczy dziwne. - Kosecki zbierał się do każdego zdania, wyrzucał je z siebie szybko. - Mickiewicz potrafił mówić, deklamować, improwizować w ten sposób, że ludzie szaleli, a jak kończył, padali sobie z płaczem w ramiona. Raz pewien człowiek dostał takich spazmów, że musieli wzywać lekarza. Do tego znajomość z Towiańskim zaszkoziła Mickiewiczowi jako wykładowcy. Otwarcie zachęcał do towiańszczyzny - napili się - a towiańszczyzna, Andrzej, to była histeria, wycie, kult samego Towiańskiego, a nawet okładanie po pyskach tych, którzy nie byli do niego, tego kultu, przekonani.

– Duża była to sekta?

Kosecki upijał się dziwnie - sprawiał bowiem wrażenie trzeźwego w ogólności, a pijaną miał tylko jedną część ciała. W tej chwili na twarzy stęzał, poczerwieniał i zaraz mu przeszło w drżenie rąk.

– Sekta to niewłaściwe słowo. Raczej krąg wtajemniczonych. Politycy. Artyści. Wojskowi. Nawet księży, jeden arcybiskup był Towiańskim po prostu oszołomiony.

Gil ruszył, miękko uklęknął, zanurzył rękę w ciemność szafki pod biurkiem. Wymacał, jest szkło, chwycił i zaraz się rozczarował. Za lekka. Może dwie setki? Dziwne, pomyślał, dałbym głowę, że była pełna. Albo nie było jej wcale.

Kosecki uniósł brew na widok flaszki. I powiedział:

– Grzebałem w tym. Towiański i Mickiewicz oddziaływali na ludzi w niezwykły sposób. Przez słowo, przez taniec. Taniec właśnie. - Jęk wydobył się z piersi Koseckiego. - I jeden, i drugi mogliby zmusić cię, byś zrobił cokolwiek, stanął na głowie albo oddał wszystkie pieniądze. Są tacy ludzie, wiesz o tym. Panowie pokłócili się, bo jeden siłował się z drugim. - Chrząknął. - Do tego Towiańskiego dziś moglibyśmy nazwać bioenergoterapeutą. Zdolnym zresztą. - Zamyślił się, złączył dłonie. - Przedziwny facet.

Gil nagle poczuł się jak komisarz Enka. Było to przedziwne doznanie. Oto siedzi jak tabaka w rogu, a inny facet klaruje mu rzeczy bez związku z czymkolwiek. Więc o ten związek zapytał.

– Gdzie Mickiewicz z Towiańskim, gdzie Kraków i Malicki?

Opróżnili flaszkę. Starczyło tylko na dno szklanek.

– On miał obsesję na punkcie Towiańskiego. Sądził, że powtarza jego życie. Ma taką samą misję, cele, wydarzenia kluczowe nawet. Powtórzył wszystkie jego „pielgrzymki”, był w Dreźnie, Petersburgu, Paryżu, odwiedził pola bitew napoleońskich. Zgromadził nawet grupę... - nie mógł

znaleźć właściwego słowa - wyznawców, jak ich lepiej określić? Byli to młodzi ludzie, doktoranci, studenci, przypadkowa młodzież.

Wodził palcem po obwodzie szklanki. Tym razem pijaną miał wargę, zwisała jak martwe mięso, za to reszta twarzy była przytomna, rysy wyostrome, oczy trzeźwe. Gil zerkał na dwie już opustoszałe flaszki i zastanawiał się, czy gdzieś nie ma trzeciej, pełnej.

– Mów, mów. Cały czas cię słucham - rzucił i zaczął krążyć.

Tak też się stało. Kosecki mówił, a słuchał ksiądz doktor Andrzej Gil.

– Jak mówiłem, Towiański miał gigantyczny wpływ na swoje otoczenie. Ustawiał i rozbijał małżeństwa, ludzie oddawali mu wszystko, co mieli. Malicki to był wybitny człowiek, Andrzej, ale nie miał takich zdolności, więc, cóż rzec, radził sobie inaczej. Aranżował spotkania, żonatym podsyłał kochanki i dbał, by żona dowiedziała się wszystkiego. Pisał donosy, gdzie tylko mógł, do miejsc pracy, UB, milicji, na parafie nawet.

– Fajny facet - odparł Gil i znów poczuł się jak Enka. Krążył po mieszkaniu, sprawdzał. Gdzie? Za łóżkiem tylko puszka, druga, zgnieciona, wałała się koło wieży. Zerknął za regał i wydało mu się, że widzi cień płaskiej setki, pewno żołądkowej i na pewno pustej. Jeszcze komoda. Też nie. Kosecki obserwował go z rosnącym niepokojem.

– Kiedy go poznałem, już był stary i wszyscy mieli go za wariata.

– Nie próbowali go usunąć z uniwersytetu? - zapytał Gil, grzebiąc w szufladach.

– Za wielki format, za wielki człowiek - kategorycznie rzekł Kosecki - choć naśmiewano się z niego. Chciał, by na polonistyce wydzielili mu salę z przeznaczeniem na kaplicę. Odprawiał nabożeństwa, najczęściej u siebie w mieszkaniu, ale mówiono, że parę razy skorzystał z normalnej sali wykładowej. Możesz go nawet pamiętać. Łaził po centrum miasta, ryczał pobożne pieśni i walił laską o ławki. Dla rytmu.

Kosecki się uśmiechnął. Pijaną ręką uniósł szklaneczkę do otrzeźwianych ust. Wypił tylko połowę.

– Poglądy Malickiego były właściwie uwspółcześnieniem tez Towiańskiego. Sądził, że światem rządzą duchy niskie, stojące w opozycji do Stwórcy, do którego człowiek powinien dążyć. Nie wystąpił z Kościoła, ale nie wierzył w skażenie człowieka grzechem. Wierzył, że dusze mogą wracać na ziemię wielokrotnie, nie będzie też Apokalipsy ani dnia sądu.

Andrzej Gil machnął ręką, znał takich. Ostatnią pięćdziesiątkę postanowił rozłożyć na trzy. Upił tak mało jak umiał. Już czuł się lepiej, kartka, wciąż leżąca na ziemi, była zwykłym świstkiem, nic nie tańczyło po ścianach, a trup w hali „Giganta” wydarzył się w innym świecie, sto lat temu. Uprzytomnił sobie, że zamiast słuchać, myśli o wódce: skąd wódkę, ile wódki, jakiej wódki i tak dalej, powietrze zastygło mu w gardle. Nie. Dostyc.

– Dalej nic nie rozumiem - przyznał.

Kosecki wygrzebał skądś pomietą kserokopię. Nie wiadomo, co na niej się znajdowało, za to ciało Koseckiego ożyło raptownie. Przesunął się na brzeg fotela, nachylił do Gila, machał ręką. Karteluszek łopotał.

– Pytasz, czemu go nie wyrzucili. Otóż wyrzucili. Jego wykłady były w miarę normalne. Bardzo się pilnował. Aż pewnego dnia, już w latach osiemdziesiątych, wyskoczył na stół i zaczął wrzeszczeć na studentów, że są śmiecie, że wszyscy ludzie też są śmiecie, a jemu Bóg sam ofiarował notatki proroka Adama. - Mina Koseckiego mówiła, że sam by sobie powrzeszczał. - Krzyczał dalej coś o wielkim tańcu życia i śmierci, który musi wykonać, a jeśli zdoła, będą mu służyć nawet aniołowie. Kto znalazł siebie samego, tego świat nie jest wart. - Kosecki spojrział na obraz ze świętym Tomaszem. - Tak krzyczał. Prerażeni studenci wezwali

pogotowie, ale Malicki uspokoił się już na schodach i pojechał do domu zamiast do szpitala.

Gil uznał, że najwyższy czas na drugi łyk.

– Malicki nie miał rodziny, ale co rano odwiedzała go gosposia z zakupami, przychodziła posprzątać. Ona go znalazła. Zmasakrowanego. Połamanego. Trupa bez jednej całej kości. Mówiła... to znaczy wyglądał, jakby roztrzaskał się o ściany podczas jakiegoś tańca. Dobrze myślę?

Przerażony Andrzej Gil skinął głową. Nim zrozumiał, co właściwie powiedział Kosecki, trzymał już tylko pustą szklankę.

– Znalezione przy nim wodę, wino, ziarno. I kartki, które, z tego, co mi mówiono, wyglądały na połączenie poezji i kursu tańca. Dokładnie takich słów użyto. - Wysunął kartkę w kierunku Gila, ten już ją chwycił, gdy zabręczał domofon. A domofon Gil miał jak i życie, głośny, przerywany, pełen brudu. Ksiądz doktor zostawił Koseckiego w dziwaczej pozie, odstawił pustą szklankę i popędził, tracąc po drodze resztki wątpliwości, kto to tak się dobija.

– Schodź natychmiast - powiedział komisarz Enka.

Gil zerknął na sztywnego Koseckiego.

– Lepiej wejdź. Ja...

– Daj spokój, Jędrus - Enka wszedł mu w słowo. - Schodź i tyle, jeśli kiedyś masz mnie posłuchać, to właśnie teraz.

Kosecki machnął ręką, już chciał się podnosić, bez większej ochoty. Gil usadził go na powrót.

– To tylko Zbyszek czegoś chce. Zaraz wrócę. Naprawdę zaraz. - Zerknął jeszcze na kartkę, którą Kosecki trzymał, i uświadomił sobie, że wcale nie ma ochoty jej oglądać. Każdy ma kartkę dla siebie i dla siebie kłopot, pomyślał, podnosząc swoją z podłogi. Machnął jeszcze do gościa, jeszcze powtórzył, że zaraz wróci. Kosecki wstał.

– Lepiej pójde. Tak prędko nie wrócisz.

Gil potrząsnął głową i puścił gościa przodem. Nie dotarł na półpiętro i pojął, że Kosecki się nie myli. Chciał jeszcze zawrócić i zostawić koloratkę, ale zdał sobie sprawę z tego, że odpiął ją już dużo wcześniej.

§ § §

Przed blokiem był plac zabaw, a na nim metalowe szkielety karuzel, huśtawek i drabinek. Między nimi śmigały bajtle, ujadał uwiązany pies, a nad tym wszystkim grzało słońce. Zieleniła się trawa, staruszkowie człapali dwójkami, jakby mieli wspólne nerki, na parapecie wygrzewał się kot, ojcowie w kreszowych dresach przyglądali się swym pociechom i wszystko było tak cholernie w porządku, że księdzem doktorem owładnął niepokój. Z okna na drugim piętrze grało:

Dzień za dniem pada deszcz

Słońce śpi, nie ma Cię

Jest mi bardzo, bardzo źle

Zimny kraj, zimny maj

Koty śpią, miasto śpi

Czarodziejskie śnią się sny

W moim śnie, cudownym śnie

Tylko kocham, kocham, kocham

Bawię się, laj laj, laj, laj

I nagle świat napiął się jak struna - z tym słońcem, dziećmi, miłosną piosenką, wiosenną sielanką zderzył się komisarz Enka kopający szluga w

passacie, a minę miał taką, jakby chciał chwycić wszystko wokół, zmiąć i podeptać.

Palił, właściwie szarpał się z papierosem, który popielił się w oczach. Zgasił go na widok księdza doktora, zapalił silnik.

– Znów jesteś na cyku - rzucił. Dostrzegł, że Gil się jeży, więc dodał szybko, za to szczerze: - Sam bym dał Palnik, jakbym mógł, w taki zasrany dzień.

– Mam gościa na górze - tłumaczył Gil. - Powiedz mi, co jest grane, gdzie jedziemy? Muszę wracać.

– Zaraz wrócisz. - Enka ruszył. Próbował wypogodnieć. - Słuchaj, jak ty waliłeś wódkę, to ja wpadłem do Indianki. Do Hermeny Gonzalo. My ją w ogóle znamy, miała problemy z synem, to rzeczywiście prawda. Gódlowski jej pomógł. Po czterdziestce. Tłumaczka - wyrzucał z siebie. Pędzili znaną trasą, na Nowy Kleparz, Gilowi mignął dach „Giganta”. - Grała na rynku. Studiowała. Syn teraz w Gdańsku.

– Co mam z tym wspólnego? - Gilowi kręciło się w głowie. Czuł wódkę na języku, w gardle, wychodziła wraz z potem. Złapał oddech. - Gadałem z Koseckim, ale nie przyszedł do mnie na pogaduszki. Kosecki ma...

– Wiem, że ma. Wiem, że ma - terkotał Enka. - Muszę ci coś pokazać, Andrzej, właściwie nie wiem czemu, ale coś mi w sercu gwizda, że to widok dla ciebie. Nie żebyś się ucieszył. O psiakrew, jak nie. A potem, słuchaj, musimy zamienić parę słów.

– Kosecki - przypomniał Gil, przejęty tonem głosu Enki, jego trupim wzrokiem, smrodem popiołu, właściwie przejęty całym Enką, od brudnych pięt adidasów aż po włosy stające właśnie dęba.

– Wiem, że Kosecki. Andrzej, mógłbyś wreszcie przestać udawać, że ta sprawa jest taka jak wszystkie, co? Ja już to załapałem. - Zmrużył oczy, szykując się do przekazania jakiejś mądrości. - Otóż nie jest.

Wypadli na Kleparz, Enka jakimś cudem nie przejechał spaniela, który pędził przez jezdnię z własnym gównem w pysku, wyhamował przed autobusem i piorunując, jak to miał w zwyczaju, jął szukać miejsca na parkingu. Wcisnął się między fiata i skodę, otworzył drzwi i przywalił w karoserię. Takiej wiąchy ksiądz doktor habilitowany jeszcze nie słyszał.

– A wszystko to, bo oddałem poloneza - powiedział Enka, gdy już się uspokoił. - Lepsze jest wrogiem dobrego. Przecież ten kłamot wpędzi mnie do grobu.

– Ten kłamot ma rok - powiedział słodko ksiądz doktor.

– Niech mnie cholera, Andrzej - odparł Enka, ale już poweselał. - A odkąd ty znasz się na samochodach?

Stali w słońcu. Za nimi wznosił się austriacki fort przerobiony, z tego, co Gil pamiętał, na hurtownię wina. Odwrócił głowę, patrząc na rząd szarych budynków, żebracze mury, brudne szyby, zdechłe kwiaty.

– No i pięknie - skwitował Enka.

Wnętrze kamienicy było ciemne i chłodne, Gil z początku się pomylił - poszedł przodem i dotarł prawie do podwórka, wąskiej klitki odgradzonej siatką, gdzie ledwo starczyło miejsca na metalowe kubły. Cofnął się, wpadł na Enkę. Z kolei na półpiętrze straszło czarne od brudu okno z pękniętym witrażem. Wychodziło na czyjś balkon, jednak wejść tam było nie sposób. Aż wreszcie drzwi - wysokie, z judaszem zasłoniętym od wewnątrz i słomianą wycieraczką przytwierdzoną łańcuchem na kłódce do progu. Ksiądz doktor habilitowany uniósł brew.

Dostępu do mieszkania broniła papierowa plomba, Enka zdarł ją gwałtownym ruchem. Korytarz był długi, sufit nikał w półmroku, z pękniętego klosza spływało matowe światło, by oświetlić indiańskie pamiątki na ścianach - tkane widoczki, sznurki, gobeliny, maski, chusty i kolorowe frędzle - oraz spustoszenie u stóp Gila i Enki.

Z szafy po lewej wywleczono kurtki i płaszcze, podszewki rozpruto, rękawy były rozdarte, kieszenie wywalone. Podobnie buty, ciśnięte, rozdarte, rozgrzebane, wydarte z zabytkowej szafki po lewej. Że zabytkowa, Gil z Enką poznali po drzwiach wyrwanych z zawiasów i przełamanych w połowie, nawet teraz było w nich coś szacownego. Ktoś próbował zerwać blat ze stolika pod lustrem, samo lustro stłuczono.

Po lewej znajdowały się dwa pokoje: rozbite łóżko, dziura przez całą długość materaca, przewrócony regał, książki bez okładek, przerzucone, ciśnięte na wielką kupę, w śmieci przemienione, rozsypane słowa, kartki wydarte - sklecone w jedną bezładną opowieść. Z barku wywalono wino. Ktoś próbował rozbić stary ruski samowar. Drugiej szafy, ciężkiej jak nasze winy, przewrócić nie zdołano, więc zadowolono się rozwleczeniem ubrań, które leżały tam chyba jeszcze od przedwojnia. Pod półbutami Gila, pod adidasami Enki trzeszczało kolorowe szkło ze starej lampy naftowej. Nie oszczędzono nawet wielkiego gobelinu znad drzwi. Leżał, nic, tylko wytrzeć buty.

– Jak tu wszedłeś? - zagadnął Gil.

– Otwarte było - padła odpowiedź.

Otaczały ich resztki sztuki indiańskiej, jakieś sznurki kolorowych paciorków, gobeliny, plecionki, teraz wymięte i porzucone. Czasem Gil stawał na drewniany koralik ukryty pod papierzyskami. Chwiał się wtedy i trzepotał dłońmi, próbując uchwycić się czegoś niewidzialnego, zawieszzonego w cuchnącym powietrzu. Właśnie - zapach, śmierdziało starymi ubraniami, kurzem i pyłem oraz czymś jeszcze, czego Gil nie potrafił zidentyfikować. A może - przeszło mu przez głowę - to wcale nie zapach budzi w nim niepokój?

Zawrócił na korytarz, przystanął. Po lewej przez szparę w drzwiach widział fragment białej lodówki, drzwi po prawej - zamknięte na klamkę -

prowadziły do pokoju. Właściwie się nie wahał, kuchnię zostawił za plecami, a nim położył rękę na klamce, zerknął do tyłu, na komisarza Enkę. Ten tylko przymknął oczy, znać, że sam chciał tu przyjść. Gil zdążył jeszcze pomyśleć, że z tą niemal magiczną intuicją wcale nie jest tak różowo, jak się ludziom wydaje, że łatwiej żyłoby mu się bez niej. Szczególnie że w szybkich obrazowych wizjach, które zdarzały się coraz częściej, ksiądz doktor nie widział nic przyjemnego. A w tym mieszkaniu widział już tylko krew.

Brunatne plamy pokrywały ciężki czarny stół, schły na brązowym kredensie, upstrzyły antyczne, rozprute po skosie łóżko, czerwona rosa obryzgała ściany i okno, szyba była stłuczona. Indianka leżała pod kaloryferem, wbijając w sufit matowe, skierowane w różne strony oczy. Kiedyś musiała być ładna, pomyślał Gil i zaraz zdziwił się, że myśli o takich rzeczach. Żołądek podszedł mu do gardła, na języku poczuł cierpkie wymiociny. Powstrzymał się. Tylko na chwilę.

Indianka miała ubranie w strzępach, golf był tak rozdarty i pokrwawiony, że nie wiadomo było, jaki miał wcześniej kolor. Część wtopiła się w ciemnoczerwoną skórę, Gil rozpoznał charakterystyczny kształt, choć nie musiał - żelazko leżało tuż obok. Wzdrygnął się i dalej wodził wzrokiem po kajdankach przepiętych przez rurę kaloryfera, przez nadgarstki starte do kości, obitą twarz, usta napuchnięte od knebla, przecięte dziąsła, wybite zęby, połamany, niemal wbity w czaszkę nos; na wywalonym ogromnym języku ciemniał ślad po zgaszonym papierosie. Ksiądz doktor poczuł delikatny zapach spalenizny. Gwałtownie odwrócił głowę, stanął na czymś, omal nie upadł - spuścił wzrok. Był to prowizoryczny knebel zrobiony z drewnianej łyżki i sznurka do wieszania prania. Gil jęknął, odskoczył, jakby nadepnął na węża. Przed nim stał komisarz Enka.

– Nim ją przypalali, kneblowali usta. To pierwsze piętro, okno słabe - powiedział, zapalając szluga. - Bardzo cierpiała.

Gil nie chciał tego słuchać. Dobry Boże, czemu pozwalasz na to wszystko? Próbował zebrać myśli, znaleźć rzecz, która pozwoliłaby zapomnieć o zmasakrowanej - wszędzie widział jej czerwone ślady, na papierach wywalonych z szuflady, portretach Freuda i Junga w potrzaskanych ramkach, wreszcie w ostatniej książce Godlewskiego, ciśniętej w ką i wymiętej. Pod nią leżało jeszcze coś. Poczował ukłucie, że to kolejna kartka.

Przedarł się przez papiery, książkę odrzucił i przez chusteczkę uniósł czarno-biały portret Mickiewicza, taki, jaki wisi w niemal każdej szkole. Poeta wzrok miał błędny, bokobrody ogromne i Gil zaczął się zastanawiać, czy ta szalona głowa dopuszczała do siebie myśl o okrucieństwach takich jak to, które zaszło w tym pokoju.

– Słowacki - zauważył komisarz Enka i dorzucił, unosząc brew. - Co nam tu z niego?

Gil z westchnieniem odłożył Mickiewicza na skraj biurka.

– Po co mnie tu przyprowadziłeś? Gdzie reszta ekipy? Ludzie od śladów? Wroński?

Nie czekając na odpowiedź, wybiegł z pokoju. Stanęli na korytarzu, naprzeciw siebie, Enka z papierosem w łapie, Gil ze śmiesznie rozsuniętymi palcami, wygiętymi ustami, oddechem, jakby również ćmił szluga.

– Wszyscy przyjadą. I po nic - wyjaśniał Enka. - Ja robotę poznam, nikt tu nawet włosa nie znajdzie. Jednego paproszka. - Zerknął w stronę pokoju. - Pieprzeni zawodowcy.

Oparł się o ścianę, skrzyżował ramiona na piersiach.

– To chyba się wymknęło spod kontroli, Andrzej, co?

Gil nie wiedział, co rzec, więc odparł: - Musimy rozebrać to na spokojnie.

- Rozebrać to mogę, Jędrus, panienkę, nie to, bo rozbieram od rana i zaraz sam się rozpadnę. Ale wiesz co? - Bezceremonialnie strzepał popiół na podłogę. - Wezwiemy kogo trzeba, spróbujemy to ogarnąć, gościa masz, mówisz? - Trzymał swoją głowę, jakby miała zaraz odpaść. - No, spadajmy stąd. Coś tak stanął? - warknął, ale ściszył głos: - Mowę ci odjęło?

Gil przyłożył palec do ust. Drugą ręką wskazał na drzwi wejściowe, niżej - na cień pod progiem. Enka natychmiast sprężył się, przypadł do ściany, przesuwając się przy niej, dając sygnał księdzu, by ten został w tyle i pod żadnym pozorem nie wychodził przed niego. Zamek szczekał, wytrych nie chciał jakoś trafić w zapadkę, aż szarpnęło i w drzwiach stanął ogromny brodacz, ten sam, którego widzieli przed Instytutem Psychologii. Był o dwie głowy wyższy od Enki, szerszy ze dwa razy i Gil w sumie nie mógł pojąć, czemu rzucił się do ucieczki.

Ledwo olbrzym zdążył się obrócić, skoczyć w stronę schodów, Enka już go dopadł, walnął z łokcia pod żebro, z ust tamtego dobyło się sapnięcie. Zachwiał się, oparł o poręcz, pojął, że nie umknie, więc odwrócił się z gracją nosorożca, wystawiając się na ciosy. Nim uniósł rękę - grubą jak niejedno udo - pięść komisarza Enki spadła już na szczękę i splot słoneczny, olbrzym zgiął się, tak że ich głowy znalazły się na jednej wysokości. Już bezbronny, ciśnięty przez Enkę rąbnął o ścianę i po niej się osunął.

Leżąc, olbrzym miał minę człowieka wybudzonego z bardzo głębokiego snu. Enka siedział mu na piersi, jeszcze cios wyprowadził, mocny, celny, i nagle znieruchomiał. Docisnął mocniej barki kolanami, ale już nie bił. Przyjrzał się oczom tego człowieka, nawiedzonym i naiwnym, zrozumiał nagle, że tacy ludzie włamują się może do mieszkań albo i tłuką się do krwi

na sobotnich zabawach, ale nie kneblują kobiet, nie przypalają ich żelazkiem, nie katują na śmierć, a przede wszystkim nie robią tego tak profesjonalnie.

– Policja! - rzekł komisarz Enka i nagle zapomniał, co właściwie jest dalej.

Tamten zamrugał powiekami na znak, że wie świetnie, z kim ma do czynienia.

– Luftu brak! - sapnął olbrzym. - Pieruna, zejdz! Udusisz mie!

Więc Enka zszedł, skuł go jak trzeba i poprowadził po schodach, ku ruchliwej alei Słowackiego. Ksiądz doktor habilitowany Andrzej Gil, bynajmniej nie ruchliwy, włókł się za nimi, a kiedy wyszedł na słońce, musiał zmrużyć oczy. Pod powieki wpełzły mu pięści, krew, spuchnięte usta, martwa kobieta, żelazko.

Rozdział drugi

Takie buty

Ksiądz doktor siedział w passacie obok milczącego Enki i próbował poukładać sobie w głowie dzień, który właśnie się kończył - przejęty Kosecki, martwa Indianka, na to wszystko Rajmund Cnota. Gil widział w życiu wielu wariatów, ale takiego to ze świecą szukać.

Rajmund Cnota mieszkał w Janowie, gdzie cieszył się zasłużoną opinią obłąkańca, zwichrowanego artysty i być może proroka. Okazało się też, że Rajmund Cnota pełni funkcję wiceprezesa Towarzystwa Kultury Ezoterycznej „Jezus Maria”, jest emerytowanym górnikiem, a miejscowi mają z nim krzyż pański. To i dużo więcej Gil usłyszał od posterunkowego Erwina Libery.

Być może jestem ostatnim człowiekiem, który powinien rozmawiać przez telefon służbowy na komendzie, myślał sobie Gil, zezując na ponurego Enkę. Kłopot w tym, że Erwin nie porozumiewał się w żadnym z języków znanych polskim policjantom. Najpierw odpadł Zbyszek, potem Edek Gula, a gdy zaczęto wydzwaniać za doktorem Himlerem, który ponoć ma kuzyna na Śląsku, musiałem się, głupi, przyznać, że nie urodziłem się w koloratce i na pierwszym roku chodziłem z taką Moniką z Bytomia. To sobie pogadałem. Ech.

Passat podskoczył, Enka mruknął, w głowie Gila przelewał się gęsty dzień.

Aspirant Erwin Libera oświadczył, że Rajmundowi Cnocie pogorszyło się, odkąd dostał odprawę na kopalni - zamiast drapnąć kasę, kupić opła i wrócić do tej samej kopalni, tyle że zostać zatrudnionym przez pośrednika, spędzał dni na malowaniu i wznoszeniu modłów do Matki Boskiej, ku oburzeniu protestanckiego zboru, do którego należał. Lubił też czasem coś zniszczyć lub miotać się po sadzie, wyjąc pod samo niebo, jeśli obraz mu nie wyszedł. Dwa lata temu założył z kumplem Towarzystwo Kultury Ezoterycznej „Jezus Maria”.

O to akurat wywiedział się Gula, właściwie można by pomyśleć, że miał teczkę przygotowaną właśnie na tę okoliczność. Towarzystwo działało w Janowie, wydawało broszury i ulotki pisane na maszynie i później kserowane. Zdaniem miejscowych glin liczba członków była sztucznie zawyżona, a niejaki Szczepan Miętoch, górnik od lat czternastu, napisał donos, że Cnota zebrał listę członkowską na kopalni, wmawiając wszystkim, że to wnioski pod budowę pomnika Bohaterów Mniejszości Śląskiej. Rozeszło się po kościach, a Cnota wytłumaczył na komendzie, że jest dziecięciem Bożym, a nie żadną mniejszością. Gil zastanawiał się, skąd prostemu Ślązakowi załęgły się w głowie takie rzeczy. Zaprawdę zajob nie wybiera.

– Kto to był ten Ociepka? - odezwał się Enka, pierwszy raz, odkąd wyruszyli z komendy.

– Malarz. Malarz ze Śląska - rzucił Gil. - Rajmund, zdaje się, jest jego wnukiem.

– To wiem - odmruknął Enka. - Też maluje. Wiesz, wydawało mi się, że gdzie jak gdzie, ale na Śląsku takie rzeczy się nie dzieją. Miałem kumpla ze Śląska na studiach. Walił wódę jak złoto i robił za trzech. Obracał panienki, walił chłopów po pyskach, a w niedzielę zasuwał na mszę, prosto z wyra i

od dziwki. Innymi słowy - wyzłośliwił się komisarz Enka - księdzu by się spodobał.

Gil spróbował się roześmiać, coś jednak ścisnęło mu żołądek - wyobraził sobie Rajmunda Cnotę, jego wizje i obrazy na śląskiej wsi, między górnikami. Bo Cnota to taka śląska Kasandra, prorok o mętnych wizjach, których sam nie pojmuje, prorok, któremu nikt nie wierzy. A jak uwierzy, to obije. Aspirant Erwin Libera opowiadał przecież, jak to Cnota przybiegł do chłopca, próbując go ostrzec przed ptakiem ognistym. Następnej nocy chłopcu spłonęła chałupa, a Cnocie oberwało się za podpalenie - dopiero potem wyszło, że ogień podłożył niejaki Sójka z Ochotniczej Straży Pożarnej. Magia znaków, magia słów.

Enka zatrzymał się z piskiem opon. Rzekł:

– Pomyślałem sobie, że taki facet jak ten Cnota to musi mieć przegwizdane u siebie.

§ § §

Gil siedział na komendzie i myślał o tym, że stanowczo za często siedzi gdzieś - na przykład tutaj - i myśli właśnie. Być może sama komenda wymusza tę postawę: wygięty grzbiet, dłoń pod brodą, smutek w skacowanej głowie? Czemu tutaj spędzam ostatnio więcej czasu niż w kościele czy na uniwersytecie? - dumał ksiądz doktor habilitowany, zwany coraz częściej księdzem konsultantem, znajdując pocieszenie jedynie w Edwardzie Gruli, teraz podobnym do wielkiej falującej anteny.

Nikt nie wiedział dlaczego, jeden Edward Grula potrafił okiełznać magnetowid na komendzie. Gil siedział sobie przed telewizorem, stojącym w naszykowanej specjalnie nań szafce. Grundig wyświetlał na zmianę śnieg, pasy i Rajmunda Cnotę, trzeszczał też i parskął, a z tyłu tańczył

komisarz Edward Gula. Lewą ręką dociskał wtyczkę do magnetowidu, prawą wywijał kablem, szarpał, ciągnął, pomagając sobie całym ciałem.

Enka stał ze złączonymi stopami, choć tak przecież stać nie sposób, splatał dłonie też jakoś dziwacznie i opowiadał:

– Znamy się już trochę, ale ja tak naprawdę niewiele wiem o życiu księży. Dostajecie pieniądze z kurii, tak? I z tacy? I jak książkę wydasz, to też masz szmal z honorariów, co? I pewno nikt cię nie pyta, ile wydałeś na, powiedzmy, pomalowanie stropu w kościele, ile na brewiarz, ile znów na wino, niekoniecznie mszalne.

Popatrzył na Gila, jakby oczekiwał odpowiedzi.

– Pełnimy posługę - wyjaśnił ksiądz doktor habilitowany.

– A policjant to co? Burdel prowadzi? Popatrz, jak się tu trzeba męczyć, przecież tego trupa - wskazał akurat na Grulę - trzeba by lata temu wypierdolić w pizdu i kupić coś porządnego, dobry zachodni telewizor czy co.

– Słyszałeś, że dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach? - zapytał Gil. Jestem policjantem, pomyślał Enka.

– Na świetlicy u moich dzieci w szkole mają panasonica - odezwał się Gula - obraz jak brzytwa.

– Więc właśnie, na świetlicy - wściekał się Enka. - A ja muszę się rozliczać właściwie z każdej kuli, że o benzynie nie wspomnę, i tak sobie myślę, że kiedyś stanę z tym trupem udającym samochód w środku pościgu i z pustą komorą. Na tym wideo to można kwiatki stawiać, tak nam w punkcie powiedzieli. Jedyne, kurwa, Andrzejku, co nam kupić pozwolili, to ten śliczny krucyfiks, co tam wisi - wskazał na plastikowego, fosforyzującego Chrystusa wiszącego melancholijnie nad drzwiami. - Z tym też oczywiście były jaja, bo choć to tworzywo sztuczne, kosztuje jak dąb i srebro. Do każdego pokoju kupili i pewno to też by nie wyszło, gdyby nie

brat Grenia, który akurat jest księdzem i przykleił się do firmy robiącej dewocjonalia.

– Świetnie cię rozumiem - podjął ksiądz doktor, wciąż wpatrzony w seledynowego Chrystusa, odlanego z jednej formy. - Wierzę w Boga i go kocham. - Dziwna deklaracja jak na księdza, pomyślał Enka. - Więc wyobraź sobie, jak się czuje człowiek wierzący, kiedy patrzy na coś takiego. Widziałem ostatnio Jana Pawła II w plastikowej rybce i z podpisem *Pamiętka z Jastarni*. To jak byłem po kolędzie. Albo krzyże na grubych łańcuchach, którymi można zabić. Łańcuchem i krzyżem.

– Przejebane - odezwał się Edward Gula. Kucał, kabel miał zwinięty na ręce i manipulował dziesięciocentymetrowym odcinkiem dochodzącym do wtyczki. Nawet to działało, Rajmund Cnota wyświetlał się na dłużej i był mniej zamazany.

– Świetnie ci idzie - rzucił Enka i spojrzał na Gila. - Kiedyś był szmal, wiesz? A teraz finansują jakieś imprezy, dyrdymały, cała kasa znika dwa piętra wyżej, a odnajduje się w kieszeniach tych samych starych fiutów, którzy plątali nam ręce i topili księży po potokach. - Zreflektował się nagle, westchnął: - Wybacz, Andrzej, szlag mnie na to wszystko trafia.

Jak echo tych słów, jak cień i koła na wodzie, pojawił się obraz i dźwięk. Enka momentalnie dał znak Edwardowi Gruli i Gula natychmiast znieruchomiał, unosząc rękę, w której trzymał kabel. Posłał jeszcze rozpaczliwe spojrzenie, westchnął, przymknął oczy.

– Nie musicie oglądać wszystkiego, prawda? - zapytał.

Telewizor wyświetlał pokój przesłuchań, szary niczym kosmita, światło z gołej żarówki spływało na Rajmunda Cnotę. Cnota siedział na krześle, zakładając nogę na nogę, i wcale nie wyglądał na człowieka, któremu policja spuściła łomot i skutego sprowadziła na komendę. Ciosy Enki nie odznaczyły się na jego mięsistej twarzy. Miał garnitur z kamizelką opiętą na

potężnym brzuchu. Momentami się uśmiechał, czasem nos marszczył, jego głos dudnił miarowo.

Obok niego, równie szarzy jak pokój, stali zagubiony Enka i Grula, który już przestał udawać, że wie, o co chodzi.

§ § §

– Nazywom się Rajmund Cnota, mój fater byli Gustlik, jego fater byli Gustlik, to mi na krzcie Rajmund dali. Hajer prodowy byłem, bergmon, teraz na emeryturze, ku sprawom boskim się zwracam - mówił poważnie. - Krześcijanin ze mnie, ewangelik ougsburski, w Matce Boskiej rozkochony, a recht mom na walkę z diabelskim plugastwem, co w świat zatrutą mowę śle. Oczy trują, uszy trują, gnaty łamią, bajtli młodych w grzech pcha, starych z drogi boskiej w zamęt sprowadza. Bargdzie, barco, barkto. Ja opór dam, pra? Dać muszę. Podłubał sobie palcem w rudej brodzie.

– Nie za trudne zadanie? - zapytał łagodnie komisarz Enka.

Rajmund Cnota naprężył się cały, można by pomyśleć, że zaraz kamizelka trzaśnie. Złączył dłonie, spojrzał gdzieś w przestrzeń, nad głową Zbigniewa Enki. Rzekł mocno, bez śladu śląskiego akcentu:

– Błogosławiony, który czyta, i błogosławieni, którzy słuchają słowa prorocstwa tego i chowają te rzeczy, które w nim są opisane, abowiem czas blisko jest [2].

– Aha - rzekł Enka.

Do rozmowy włączył się Grula:

– Co pan robił w mieszkaniu pani Gonzalo? Przed uniwersytetem?

– Ja durak boży, Bóg mówi do mnie, cuda pokazuje, a ja nie rozumiem, pojąć nie mogę, niejasne to tak. Ale mówi: Rajmund, synuś, ty do Krakowa pojedziesz. Ty pod uniwersytet pójdziesz. Ty bydziesz na komendzie. To

Rajmund idzie, Rajmund bydzie, Rajmund przyszłość widzi, źle i na krótko. Nie rozumie.

– Nie wezwiemy Boga na świadka - przypomniał Enka.

Twarz Rajmunda nabrała kolorów.

– Upamiętaj się, bo gdzieby inaczej, przyjdę na cię rychło i będę walczył z nimi mieczem ust moich - powiedział i Enka zamknął się natychmiast. A Rajmund dalej opowiadał: - Ludziom na pomoc trzeba spieszyć, grzmi głos ogromny, aniołowie trąbią na alarm! Śpiesz się, Rajmundzie! Panu chcą ukraść księgę. - Nabrał powietrza. - Ten przyszedł i wziął księgi z prawicy tego, który na stolcu siedzi. A gdy wziął księgi, ony czworo zwierząt i oni czterzej, a dwadzieścia starszy, upadli przed Barankiem, mając każdy arfy i bańki złote pełne kadzenia, które są modlitwy świętych. I zaśpiewali nową pieśń, mówiąc: Godzieneś wziąć księgi i otworzyć pieczęci ich, abowiem zabit jesteś i odkupiłeś nas Bogu przez krew twoją ze wszystkiego pokolenia i języka, i ludu, i narodu. I uczyniłeś nas Bogu naszemu królmi i kapłany i będziemy królować na ziemi!

– Skąd to? - wtrącił Grula.

– Pismo Święte - oświecił go Cnota. Enka zaś się zamyślił.

– Trochę nam to rozjaśnia sprawę, rzeczywiście - przyznał. - W jaki sposób zamierza pan uratować świat?

– Wielka beskurcyjo czyha na ludzi, słowa niszczące człeka wysyła, człękiem ciska, albo i gorzej, bo czasem taki bydzie żył i zapisze, co przeczytał, na nowo. Jak kielich nieczystości krąży to po świecie. - Spojrzał na Enkę, oczy mu się rozjaśniły. - Nie wiem, co robić. Bóg mi to powie. Dioble brify krążą po świecie, ludzi mordują. Niebieski fater powie: Rajmund zrób i Rajmund zrobi.

Enka chciał zadać jeszcze jedno pytanie. Cnota wstał z godnością, bardzo łagodnie, dłonie wysunął przed siebie na znak, że nie próbuje

niczego złego. Obrócił twarz wprost do kamery.

– Nie zatrzymujcie oczu na diobelskich brifach. Ratujcie swoje dusze, wyrwijcie je ze szponów, aniołowie przybędą, światłość spłynie, lecz wy stańcie czyści i gotowi, inaczej nie można, inaczej umrzemy tu wszyscy. Jeśli tedy prawe oko twoje ciebie w grzech przywodzi, wyrwi je, a zarzuć od siebie. Abowiemci pożyteczniej jest, aby zginął jeden z członków twoich, niżliby miało być podane wszystko ciało twe na męki.

§ § §

Gruła zwyczajnie się poddał. Najpierw opuścił nogę - obraz zadrżał, słowa Cnoty przeszły w chrzęst - rozpaczliwym gestem wyrzucił dłoń z kablem w powietrze, stracił od tego równowagę i oparł się tyłkiem o ścianę.

– Nie dam rady! - warknął. - Co ja, antena jestem? Zbyszek, weź coś zrobmy, bo tak przecież się nie da.

Enka otworzył usta. A Gruła wrzasnął:

– Pieprzę to! Słyszysz? W dupie mam! W trybie służbowym mogą mi kazać, durnia z siebie robił nie będę. - Widok zmartwiałego Gila trochę go uspokoił. Odrzucił kabel, porwał kilka teczek. - Jak będziecie mnie potrzebowali, to jestem w powielarni.

Trzasnął drzwiami. Siedzieli więc w ciszy, gapiąc się na śnieżący ekran. Gil odezwał się pierwszy:

– Zimno mi.

– Przecież jest wiosna - przypomniał Enka.

– Zimno mi, odkąd powiedział, że prowadzi go Bóg. Znasz to skądś? - szeptał ksiądz doktor. - Co z nim zrobisz? Długo będzie siedział?

– Biedny człowiek.

– Długo?

– Już nie siedzi. Przecież nie zamknę człowieka tylko dlatego, że jest pomyłony i sobie bełkocze. Właściwie to żal mi, że go trochę natłukłem.

– Nie bełkotał.

– Coś podobnego - skwitował Enka bez entuzjazmu.

Gil podrapał się w głowę.

– Słyszałeś kiedyś o Biblii Brzeskiej? To kalwińskie tłumaczenie Pisma Świętego. Tę książkę palono w całej Europie, zostało może kilkanaście sztuk. On ją cytował z pamięci, słowo w słowo. Rozumiesz, Zbyszek? Kilkanaście egzemplarzy. Chodził po bibliotekach i spisywał? Ma jeden na własność?

– Może i ma. - Enka wzruszył ramionami. Potarł zmęczone oczy. - Za takie rzeczy nie zamyka się ludzi. Wystarczy przecież rzucić okiem. Wariat, ale porządny facet. Jeśli oczywiście - zadumał się - wariat może być porządny. No.

Przez chwilę gapił się na śnieżący telewizor.

– Ja już, kurwa, nic nie wiem - wyznał. Uniósł głowę. - Wiesz, co o nas mówią? Wariaci od duchów. Grula ma dosyć. Grula się wypisuje. Widziałeś go? Dowiedział się na stołówce, że jest łowcą duchów, i mało komuś w pysk nie dał.

Gil omiółł komisariat zdumionym wzrokiem. Nie potrafił wyobrazić sobie tego miejsca bez Grulowej zwalistości, pewności siebie, jego herbat i pączków. Wydawało się, że Grula również nie widział siebie gdziekolwiek indziej.

– Przecież nie wypisze się formalnie, ale ja go rozumiem - wyjaśnił Enka. - Będzie siedział w archiwum nad kwestiami technicznymi, jak to teraz mówią. Siedział, dzwonił, załatwiał.

– Zawsze tak było - odparł machinalnie ksiądz doktor. Myślami wrócił już do Rajmunda Cnoty.

– Było, jak było - zgodził się Enka. - Co innego Grula, który na coś się godzi. Co innego zaś Grula, który wie.

§ § §

Edward Grula już wiedział, więc nie pojawił się u Enki na naradzie z Koseckim. Gdyby jednak się zjawił, zobaczyłby stół pełen otwartych teczek, z których, niczym nieszczęścia z puszki, wysypały się papiery oraz zdjęcia. Leżały w stosach, mieszały się ze sobą w zapowiedzi bałaganu nie do odkręcenia, nad którym on, Grula, będzie się potem garbił w mętnym świetle policyjnego archiwum. Na razie jednak pochylali się nad tym ksiądz Gil i doktor Kosecki, za to Enka, wściekły w swoim stylu, palił papierosa przy otwartym oknie.

Z okna rozciągał się widok na Biezanów Nowy, a konkretnie: na śmietnik, kościół i dalekie bloki. Już śmietnik był piękniejszy, masywny niczym twierdza; koślawe, naniesione sprayem litery układały się w słowa: *Zawsze i wszędzie żyd jebany będzie*. Sens napisu podkreślała pasiasta flaga zwisająca z szubienicy, pławiąca się cudnie w mdłym blasku latarni.

Był jeszcze budynek kościoła Najświętszej Rodziny, którego widok, zdaniem Enki, zachwiałyby wiarą najpobożniejszego mnicha - stąd zaklinał Gila, by nie patrzył w jego stronę, zawsze gdy przyjeżdżał na Biezanów Nowy. Budynek wzniesiono niedawno. Z perspektywy okna przypominał gigantyczny garnek z topornym krzyżem na wierzchu, a Enka widział w nim powrót do wczesnośredniowiecznego myślenia o domu bożym - z dużym powodzeniem mógł służyć za bunkier i z Grulą mogliby tam ostrzeliwać wroga przez wiele tygodni. Obok kościoła pysznił się wielopiętrowy dom parafialny, pełen sal konferencyjnych i pokoi gościnnych dla księży i pielgrzymów. Enka odwrócił głowę.

Zewsząd brzmiały odgłosy Bieżanowa. Młodzi ludzie obok śmietnika rzucali kurwami, krążyło szkło, gdzieś z wyższych pięter dochodziły wrzaski, damskie i męskie, wymieszane z plaśnięciami. Dawniej Enka myślał, że to sąsiad leje żonę, i kiedy wybrał się z interwencją, zobaczył zapłakanego mężczyznę z limem pod okiem oraz tęgą kobietę po czterdziestce o barach jak enerdowska pływaczka. Wycofał się grzecznie. Sąsiad zbierał lanie przynajmniej raz w miesiącu, a gdy zaczynał wyć pod niebiosa, małżonka puszczała telewizor na cały regulator. Tak też było i teraz: najpierw przez korytarz niesło się zawodzące *Heeeeeeejjjjjjj sokooooo!!!tyyyyyy...* a potem zabrzmiał sygnał *Wiadomości*. Enka odwrócił głowę ku Koseckiemu i Gilowi, ku mieszkaniu, gdzie pił, spał, lecz nigdy nie żył naprawdę.

Ściany były nagie jak wódczany zjazd, bez jednego obrazu czy nawet zdjęcia; na meblościance stały kieliszki, ze trzy butelki, jakieś książki, pozbawione nawet pozorów zużycia. Pół pomieszczenia zajmowało łóżko, przykryte byle jakim kocem, obok na kupie gazet leżała pełna popielniczka. I zapalki, całe mnóstwo pudełek rozrzuconych niby specjalnie na bylejakim dywanie.

W rogu stała replika szestanstowiecznego kredensu, mebel nieco w typie kobiet, które Enka doceniał: przysadzisty z wcięciem i lekko rozszerzony ku dołowi. Drzwiczki i szuflady pokrywały motywy biblijne: Abraham wznoszący nad synem nóż ofiary i Jakub mordujący się z aniołem. W ten i tylko ten sposób, jeśli nie liczyć księdza Gila, Pismo Święte gościło w domu pana komisarza.

Za biurko służyła dla odmiany nadzwyczaj udana podróbka stołu sprzed czterech stuleci, nad którą garbili się teraz Gil z Koseckim. Enka nie zwracał uwagi na przedmioty, ale z tych dwóch był szczerze dumny, zwłaszcza odkąd ksiądz Gil oznajmił mu, że wydostanie ich z policyjnego

magazynu kosztem paru flaszek jest jedynie grzechem lekkim, zwłaszcza że właściciel nigdy po nie się nie zgłosił.

Enka spoglądał na to wszystko z lekkim przerażeniem - nie potrafił rozgryźć systemu, wedle którego Gil z Koseckim porozkładali materiały. Akta przemieszały się ze sobą. Większość miejsca zajmowały jednak zdjęcia przedmiotów znalezionych w domach umarłych: Matka Boska Godlewskiego, ludzie ze świecami w garnkach, Mickiewicz na kopii dagerotypu, aktor w płaszczu zrobionym z dywanu, zapewne z jakiegoś starego przedstawienia, za to z miotłą na ramionach. Uchwycone grzbiety książek. Czasopisma literackie. Notatki. Wiersze i wiersze.

– Szlag - powiedział Enka.

Kosecki uniósł głowę, ukazując nabiegłe krwią oczy. Tylko na moment, tak, szlag, zgodził się bezgłośnie i dalej wpatrywał w materiały przez palce przyłożone do czoła, z ukrycia, jak spogląda się przez krzaki na jakąś straszliwą scenę.

Gil co chwila dotykał koloratki. Obok parował kubek z kawą. Ksiądz doktor napił się, wziął dagerotyp. Mickiewicz był na nim niewyraźny, rozwiane włosy zlewały się z tłem, przypominał widmo.

– O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał. Nie pierwszy raz tego dnia.

– A chodziłeś ty, Andrzej, do szkoły? Przecież to jasne jak słońce, cholera, nawet Zbyszek by się tutaj połapał. - Kosecki nie podniósł głowy. Za to Zbyszek niemal warknął, cisnął niedopałek wprost pod śmietnik i zaciskając pięści, odszedł od okna.

– Widzę tyle, że ci tutaj mieli korbę na punkcie poetów...

– Romantyków - wtrącił Kosecki.

– No, romantyków. Nie trzeba być też doktorem z UJ-otu, by dostrzec, że robili sobie w domach całe muzea. Za to nie mieli kobiet, kochanków, rodzin czy czegoś takiego, poza Godlewskim - wyliczał Enka. - Prawdę

powiedziawszy, dzieci Gruli też wieszają plakaty, więc co jest grane? Jaka różnica? Powiedz mi Andrzej, czy to jest normalne, że dorosły facet trzyma sobie innego faceta na ścianie?

– To Adam Mickiewicz - rzekł zimno Kosecki.

– No i co z tego? - Enka usiadł przy biurku. Ledwo się mieścili. - Mówi mi pan, że to Mickiewicz ich pozabijał?

Nastała chwila milczenia. Zza okna wciąż brzmiały uderzenia, bardziej miarowe i precyzyjne, *Wiadomości* opowiadały o nieszczęściach na świecie, ktoś straszliwie wył na dole. Ujadały psy.

– Nie wiem, panie komisarzu - powiedział Kosecki.

Enka uśmiechnął się. Niezbyt szeroko, lecz szczerze.

– Niechże pan coś wreszcie powie, panie doktorze. - Obracał w rękach zdjęcie faceta w płaszczu. - Może Andrzej to jeszcze, ale ja nie będę udawał, że rozumiem cokolwiek.

Kosecki złożył dłonie przed sobą. Był bardzo blady.

– Co wy, panowie, w ogóle wiecie o Mickiewiczu?

Kątem oka Enka dostrzegł, że Gil spuszcza głowę.

Rozpaczliwie usiłował przypomnieć sobie cokolwiek ze szkoły. Niestety, *Pan Tadeusz* mieszał mu się z *Kordianem*, opium z wódką i był o krok, by stwierdzić, że każdy, kto wyje do księżycy za jakąś lafiryndą, jest frajerem.

– No niewiele wiem. Ja nie lubię książek. Chyba walczył w jakimś powstaniu, nie? - odezwał się wreszcie. - Dzwoni mi, że tacy jak on mieli problemy z kobietami. Wzdychali, jęczeli, a one puszczały się z kimś innym. Mamy nawet romantyka na komendzie. Nazywa się Greń i nałogowo zakochuje się w mężatkach, lesbijkach lub dziewczynach z drugiego końca świata tylko po to, żeby móc sobie porozpaczać.

– Siedział w więzieniu - wtrącił Gil.

Enka posłał mu rozpaczliwe spojrzenie - liczył, że przynajmniej ten się zna. Głowa księdza doktora habilitowanego opadła jeszcze niżej, za to, po raz pierwszy tego wieczoru, na twarz Koseckiego wypłynął ten szczególny uśmiech, który towarzyszy facetom opowiadającym przy wódce o miłosnych podbojach. Ostry, stalowy, drapieżny.

– Ten romantyk przeleciał pół Litwy i Królestwa Polskiego. Umiał romansować z kilkoma naraz, nie oszczędzał mężatek. Miał głośny romans z Marylą Wereszczakówną, żoną hrabiego Puttkamera. Co do więzienia, to owszem, trafił na zesłanie - tłumaczył Kosecki - konkretnie: na słoneczny Krym, gdzie pracował sobie w szkole i korzystał z życia, podczas gdy jego koledzy uciekali przed białymi niedźwiedziami.

Nabrał powietrza. Zamoczył usta w kawie, na wąsach pozostał brązowy ślad. Mówił dalej:

– Z tą walką za ojczyznę, panie komisarzu, nie ma pan racji. Owszem, kiedy wybuchło powstanie listopadowe, wyruszył, by wziąć w nim udział. Wieszczowi narodowemu wypadało. Ale jechał tak, że nie dotarł: oglądał dzieła sztuki, bawił się w kolejnych dworach, przyjmowany z honorami, uwodził mnóstwo kobiet, a kiedy dotarł do Królestwa, nie zdołał przekroczyć granicy. Więc bawił się dalej - dopowiedział. - Trzeba przyznać, że wyrzucał sobie tę opieszałość do końca życia.

Wzrok Enki spoczął na kartce z tekstem tajemniczego wiersza, rzuconej niedbale na sam brzeg stołu. Podrapał się w głowę, wciąż patrzył. Coś mu się przypomniało.

– A wie pan, o tych kobietach nawet słyszałem. Miał dziecko na boku z jakąś Ksawerą czy kimś podobnym.

Gil aż sapnął ze zdumienia. A Enka zapomniał już o własnych słowach, nic, tylko wlepił zmęczone oczy w tańczące ludziki; litery umykały przed

nim, więc je gonił i poczuł nawet fizyczne zmęczenie, jakby pędził gdzieś na złamanie karku.

– Ksawera Deybel - zgodził się Kosecki. - Próbowano to tak zamilczeć, że do dzisiaj niewiele wiadomo o sprawie. Dopiero Pigoń...

– Świetnie, świetnie - rozindyczył się Enka - możemy tak gadać do nocy. Przecież Mickiewicza nie aresztuję. Ani jego portretu, ani jego wiersza, ani nawet *Pana Tadeusza*, bo to przecież bzdury. Siedzi pan tutaj...

– Enka, daj spokój - wtrącił ksiądz doktor.

– ...siedzisz pan i mówisz, to strasznie ciekawe. Ale tu są trupy. Ludzie umierają, a to pana, jak mi się zdaje, trochę gównem obchodzi.

Enka wściekałaby się dalej, lecz Andrzej Gil pojął już, co się święci - zdecydowanym ruchem zabrał mu tekst sprzed nosa i włożył między akta. Pierś komisarza zafalowała, jeszcze poczerwieniał i uszło z niego powietrze. Rozwalił się na oparciu krzesła, otarł czoło.

– Ma pan rację, panie komisarzu - rzekł Kosecki. - Widzi pan, o niektórych rzeczach nie mówi się łatwo. Jeszcze o innych nie chce się mówić wcale. - Westchnął. - Więc to zaczęło się, jeszcze jak studiowałem, kiedy byłem blisko profesora Malickiego. W kiblu, panie komisarzu, ktoś napisał coś takiego:

*Czytaj słowa prosto od Boga,
Rękami Jego wieszczą spisane,
W duszy twej dawno wybrana droga,
Szczeźniesz lub jego aniołem się staniesz.*

Wyrecytował, zabrakło mu tchu. Spoglądał na Enkę spomiędzy palców, zaś na księdza Gila nie patrzył wcale.

– Myśmy wtedy naprawdę wierzyli w literaturę - wyznał. - I w to, że może ona przemienić człowieka. W kiblu napisane nawet, rozumie pan? I

wtedy po raz pierwszy usłyszałem pogłoski o nieznanym utworze Mickiewicza, napisanym już pod koniec życia. Utwór ten miał moc zmienienia człowieka w anioła. Lub rozerwania go na kawałki.

Jednocześnie wzrok Enki i Gila powędrował w stronę fatalnej kartki wciśniętej między teczeki.

– Słyszałem opowieści, różne straszne opowieści - szeptał Kosecki - o tym, że Mickiewicz nie pisał już zwykłych wierszy, lecz pisma natchnione, dyktowane przez Boga, które pokazywał wtajemniczonym albo nikomu. Słyszałem o studencie, bardzo zdolnym studencie, który poświęcił życie na grzebanie w tej sprawie. Jeździł do Paryża, na Litwę, aż wreszcie coś znalazł. I jego znaleziono. W pokoju doktorantów. Martwego. Między papierami. Nikt nie wie, jak umarł, jak wyglądał po śmierci. Nawet matce go nie pokazano. A przecież - głos mu się załamał - jest powiedziane, jest napisane w słowach poety...

Kaszlnął, nagle wyrwał się ku górze, jakby szarpnięty, ręce trzymał sztywno przy ciele, oczy miał wytrzeszczone, łapał powietrze, skrzeknął:

Daj mi rząd dusz! - Tak gardzę tą martwą budową, Którą gmin światem zowie i przywykł ją chwalić, Żem nie próbował dotąd, czyli moje słowo Nie mogłoby jej wnet zwalić.

Lecz czuję w sobie, że gdybym mą wolę

Ścisnął, natężył i razem wyświecił,

Może bym sto gwiazd zgasił, a drugie sto wzniecił

Bo jestem nieśmiertelny! I w stworzenia kole Są inni nieśmiertelni

[3].

Kosecki zwiotczał, uniósł dłonie. Patrzyli na siebie, polonista i policjant. Enka pomógł mu usiąść, Gil podsunął wodę.

– Wiem, że pan jest zmęczony – rzekł Enka – ale błagam, jaśniej. Tu są trupy. Tu jakiś wiersz. Tu coś na wschodzie. Ja naprawdę za cholere nic nie rozumiem.

Kosecki splótł dłonie na czole.

– To jest wielkie pytanie – powiedział już spokojniej – czy sztuka może przemienić człowieka? Czy jeśli wypływa z podświadomości, to także działa na podświadomość na przykład czytelnika? Jeśli roboczo odpowiemy w sposób twierdzący, to człowiekiem, który mógł napisać takie dzieło, jest właśnie Mickiewicz. Swoje *Dziady* tworzył przez całe życie, zawarł w nich całego siebie, innymi słowy, to zapis jego osobowości. Być może kompletny. I jeśli ktoś to przeczyta, odczyta raczej to hipotetyczne dzieło, może się przemienić. Nawet fizycznie. A jeśli ten tekst naprawdę istnieje, to jego fragment powinien wyglądać dokładnie jak to. - Wskazał na zapisaną kartę.

– Co to ma wspólnego z nami? - zapytał rzeczowo Enka.

Do rozmowy włączył się ksiądz doktor habilitowany:

– Czy to znaczy, że jeśli ktoś przeczyta określony tekst we właściwy sposób, to stanie się Adamem Mickiewiczem?

Za oknem umilkły krzyki. Z nimi telewizor.

Kosecki nie odpowiedział i tylko patrzył na zdjęcie zmasakrowanego studenta: krew na palcach, wywalone oczy, gruby język, trzask. Śmierć uchwycona na kliszy.

– A co to znaczy stać się Mickiewiczem? - rzekł wreszcie Kosecki. - Co to znaczy w ogóle stać się kimś innym? Mam stare ciało czy nowe? Swoje wspomnienia czy obce? A czy ja sprzed paru lat...

Duby smalone, powiedziały oczy Enki. Kosecki spuścił wzrok.

– Nie ulega wątpliwości, że Mickiewicz miał ogromny wpływ na ludzi. Niektórzy dostawali spazmów, gdy deklamował swoje wiersze, tak samo

było na wykładach, które z czasem zmieniły się w kazania. - Wzrok Koseckiego nieustannie uciekał, nie mogąc spocząć na zdjęciach, Gilu czy Ence, znalazł wreszcie ukojenie w kawałku białej ściany nad łóżkiem. - Doskonale radził sobie z kobietami, potrafił uwieść niemal każdą. Co jeszcze, co jeszcze...

– Po prostu mów - poprosił ksiądz doktor.

– Przyłączenie się do Koła Sprawy Bożej Towiańskiego odmieniło jego życie - kontynuował Kosecki. - Przestał pisać, a przynajmniej publikować. Wtedy też spotkał dziewczynę, o której pan wspomniał, panie komisarzu - skłonił się w kierunku Enki - Ksawerę Deybel. Podobno oszalał na jej punkcie, była mu muzą i kochanką. Kiedy zasypiał w jej ramionach, słyszał strofy wypowiedziane przez samego Boga. Spisywał je na bieżąco, zawsze z dedykacją dla niej.

Enka nie wytrzymał, oderwał się od stołu, jakby zaraz miał wybiec. Opanował się trochę, wyszarpnął papierosa. Zapalił przy oknie.

– Przed chwilą mówił pan, że nic nie pisał.

– Pisywał wykłady, teksty programowe, listy - wyjaśnił Kosecki, odchylając głowę, tak by widzieć Enkę owianego dymem. - Powiedziałem, że zgodnie z opinią większości badaczy porzucił poezję i dramat. Jest jednak druga szkoła - dodał. Głos mu się wzmocnił. - Mickiewicz zaniechał publikacji, ale przez lata pracował nad szczególnym tekstem, rodzajem zapisu samego siebie, całego wewnętrznego procesu, który w nim zachodził. - Kosecki mówił wolno, pomagając sobie całym ciałem, ręce zataczały okręgi, szczeka drżała, noga wybijała rytm. - Tak powstał dramat obiektywny, działający na czytającego, a przynajmniej pewien typ czytających, nawet we fragmentach. Mało kto zdołałby przeczytać, zatańczyć całość. - Oczy miał przekrwione. Rzucił cicho: - Taki tekst trzeba zatańczyć, wiecie?

Gil kiwnął głową na znak, że wie. Enka nie wiedział, ale też skinął. Koseckiego przygięło do biurka, jakby ktoś nagle wskoczył mu na plecy. Żyłki wezbrały na rękach, trzasnęła jakiś staw.

– I stąd legenda o tekście, który przemienia człowieka - sapał. - Tekst ten, może jego fragment, pojawia się co jakiś czas. Wykończył studenta, o którym wam mówiłem, wykończył Malickiego. Teraz zabija tych ludzi tutaj. - Trącił ręką zdjęcie, nie spojrzał jednak. - Tekst, fragment.

Ksiądz doktor habilitowany pomyślał w tej chwili, że w każdej bzdurze jest ziarno prawdy, ale ta historia kupy się nie trzyma. Zastanawiał się, w jaki sposób powiedzieć to dyszącemu z wysiłku Koseckiemu. Wyręczył go komisarz Enka:

– Gdzie Rzym, gdzie Krym? Tu mamy fragment tekstu, ale wcześniej go nie było. Rozpływa się czy zjadają go przed śmiercią?

– Mogli zjeść - odparł ksiądz doktor habilitowany.

– Sekcja nie wykazała - uciął Enka. Kosecki wyglądał na pijanego. Poderwał się znad stołu, wstał, chwiejąc się lekko, ze wzrokiem błędnym i szklistym zerknął na jednego i drugiego. Dobrze, że krótko.

– To pan prowadzi śledztwo i to pan przyszedł do mnie po radę. Jak kartki poginęły, to niech pan ich szuka - wyrzucił z siebie. - Jeśli jakiś tekst może zadziałać na człowieka czysto fizycznie, to jest to ta pieprzona kartka i nie mówcie, że tego nie wiecie.

W tej samej chwili, nie spoglądając na siebie, Gil z Enką zrobili identyczne miny. Popiół z Enkowego papierosa spadł wprost na podłogę.

– No tak, rzeczywiście - wykrztusił komisarz Enka.

Złość opuściła Koseckiego. Stał już spokojnie, w lekkim rozkroku, opierał się o blat i ze wszystkich, trzeba powiedzieć, marnych sił próbował przywołać uśmiech na twarz.

– W Mickiewiczu jest tajemnica, która odbierała ludziom rozum. Miał wyznawców, którzy stworzyli rodzaj sekty. Otaczano go kultem jak wysłannika Boga.

– Ale... - Gil chciał coś powiedzieć, lecz Enka wszedł mu w słowo, wprawiając księdza doktora w zdumienie. Nie tym, że mu przerwał, dziwne byłoby, gdyby tego nie zrobił. Komisarz Enka czynił bowiem wszystko, by sprawić dobre wrażenie - obniżył ton, ręce wysunął przed siebie w dowód bezradności.

– Co w takim razie powinniśmy zrobić? Mowa o jakimś kulcie? Gdzie znajdę cały tekst? - Zawahał się, dodał: - Co by mi się stało, gdybym go przeczytał?

– Tego nie umiem powiedzieć - odparł przyjaźnie Kosecki. - Tu nie znajdziecie rozwiązania. Gdybym był panem, panie komisarzu, uznałbym, że jakiś człowiek lub grupa ludzi wypuszcza fragmenty zaginionego dzieła do ludzi, którzy zdradzają tym zainteresowanie. Po co? Może ktoś to testuje? Potem zaciera ślady, zabiera przesłany fragment. Mówiliście, że ktoś był po śmierci w mieszkaniach tych wszystkich nieszczęśników.

Pospieszyłem się z wypuszczeniem tego Cnoty, pomyślał komisarz Enka. Co, jeśli zbajerował mnie tylko śląską gadką i maślanym spojrzeniem?

– Tyle mogę się domyślać, panowie. - Kosecki skubał brodę. - Tu nie znajdziecie odpowiedzi. Musicie pojechać do miejsca, gdzie to wszystko się zaczęło.

Zaczęło się, ale co? Poezja romantyczna? Życie Mickiewicza? - zastanawiał się ksiądz Gil, kombinując, jak by tu nie powiedzieć czegoś niedorzecznego.

– Do Wilna? Do Nowogródka? - zagadnął.

Uśmiech, przywoływany bezskutecznie od dłuższej chwili, wreszcie rozjaśnił twarz Koseckiego. Na krótko.

– Do Paryża - usłyszeli. - Tam działało Koło Sprawy Bożej, tam najpewniej powstał dramat, którego szukacie, no i tam, panowie, mieszka człowiek, który powie wam więcej niż ja.

Enka przypomniał sobie o spopielającym się papierosie, starczyło na jedno głębokie zaciągnięcie się. Wyobraził sobie, że ma jechać do miasta pełnego dziwnych ludzi z ich brzęczącą mową, arogancją, miłością do żab i wina, a wszystko po to, by gonić wierszydła sprzed dwóch stuleci i posłuchać kolejnej gadającej głowy.

– Kto to taki? - zapytał.

– Nazywa się Rutczyński. Był doktorantem, kiedy zaczynałem studia. I śledził losy zaginionego tekstu.

Enka popatrzył na Gila w poszukiwaniu ratunku.

– Powiem panu, panie doktorze, prosto z mostu - zwrócił się do Koseckiego. - Policja w Polsce jest biedna jak mysz kościelna, za to mamy telefony. Nie możemy zadzwonić do tego faceta?

– Rozmawiałem z nim wczoraj, pomoże wam tylko na miejscu, a nie przez telefon. Macie coś, co go bardzo interesuje. - Kosecki wskazał na kartkę. - Szukał przez całe życie. Rutczyński, panie komisarzu, nie jest człowiekiem, który robi coś za darmo.

Usta Zbigniewa Enki rozchyliły się, nie wypuszczając jednak dźwięku. Komisarz dotknął ich, tak jak sprawdza się obłuzowaną część w samochodzie, i bez słowa usiadł przy stole.

– Pojedziesz z nami? - zapytał Gil Koseckiego.

Polonista zrobił minę człowieka, który trochę czegoś chce, za to bardzo nie może.

– Mam żonę, w tym miesiącu urodzi mi się córeczka. Ta zabawa jest dla facetów bez dzieci i kobiet, zrozumcie to wreszcie. - Wrócił do dawnego, drżącego tonu: - Ludzie ginęli przy tych stronach i szaleli na samą myśl o nich. A ja zwariować nie mogę. Chciałbym tylko... - nie dokończył.

Ksiądz doktor habilitowany i komisarz Enka myśleli dokładnie o tym samym, jakby na moment ich głowy stopiły się w jedną. Gil prosił Boga, żeby oddalił od niego tę złowrogą drogę, bo gołym okiem widać, że nie znajdą nią do niczego dobrego, a jeśli już trzeba nią pójść, odrobina wsparcia będzie nie od parady. Enka z kolei rozważał, co to właściwie znaczy wdepnąć w gówno i czemu głębia tych prostych słów zawsze go zaskakuje.

– Chciałbym, żebyście opowiedzieli mi, jak to wszystko się skończy. Co znaleźliście - szepnął Kosecki.

Gil przytaknął. Powoli.

Wzrok Enki zawisnął na zdjęciu z mieszkania samotnego polonisty. Trup bez ręki przed lustrem. Wszędzie krew. I ślad buta odcisnięty we krwi.

– Dobrze - odparł. - Wszystko panu doktorowi opowiem.

§ § §

Jeśli coś wydawało się Ence gorsze od raportów, to tylko pisanie podań o przyznanie funduszy na coś, co dla każdego poza nim samym było pozbawione znaczenia. Kurwa, przecież tutaj ludzie giną, wściekał się komisarz Enka, wpatrzony w bielusieńki monitor. Nim zorientował się, co właściwie czyni, już lamentował przed Grulą:

– Powiedz mi, co mam napisać, zawsze byłeś w tym dobry. No, powiedz! Przecież jeśli choćby wspomnę, że muszę dostać szmal, bo jadę do Paryża szukać czarodziejskiego wiersza naszego wieszca czy czegoś

podobnego... I tak patrzą na mnie jak na wariata. Wiesz to, bo sam się wypisujesz. No powiedz coś, Edek, nie kręć się tak.

Edek jednak wciąż się kręcił, Enka go nie poznawał. To był zupełnie inny Gula, radośnie spięty, z ruchliwą głową i błyszczącymi oczyma.

– Francja to piękny kraj - oświadczył.

– Byłeś?

– Och, kilkakrotnie i zawsze marzę, by wrócić. Strasznie wam zazdroszczę, wiesz? - zwierzył się Gula, niepomny męki, którą właśnie przechodził Enka. - Francuzi są zupełnie inni niż Polacy, kulturalni, otwarci, rozmakowani w życiu. Ta kultura, Zbyszek, tysiące lat historii, czy naprawdę nawet tym nie możesz się zachwycić? I język! Co to za piękny język!

Rozmarzony Gula wydał z siebie kilka szczególnych dźwięków. Brzmiało to po części jak sztucce uderzające o podłogę, po części jak bulgot, odrobinę zaś jak zduszone szczeknięcie. Gula powtórzył ten dźwięk, dłużej i dobitniej.

– Nie wiedziałem, że znasz francuski - odezwał się Enka, zezując znad komputera.

– Uczyłem się kiedyś. W Szczytnie mówili na mnie Gaston - przyznał Gula. Zanurkował pod swoje biurko, otworzył drzwiczki, omal głowy nie wsadził między półki. Intensywnie czegoś poszukiwał, na podłodze lądowały kasety wideo z bajkami, mapy miast, których istnienia Enka nawet nie przeczuwał, kalendarze sprzed wielu lat, zeszyty z notatkami, wylane długopisy, aż wreszcie skarb został odnaleziony. Gula wyrósł przed Enką, spocony i szczęśliwy, a na głowie miał czarny beret baskijski, za mały i przekrzywiony.

– Po prostu ślicznie - rzekł Enka. - Może jednak byś mi pomógł?

– A co za problem? - zdziwił się Grula, zapatrzony w swoje odbicie na szybie okiennej. - Dołącz trochę materiałów, zdjęć, napisz, że sprawa wymaga wyjazdu, i masz załatwione. Napisz, kto zginął, a w miejsce poety wsadź kogoś bardziej współczesnego i podkreśl, że będzie działało się to dalej, jak nic nie zrobicie. Pamiętaj, żeby budować ładne zdania, z góry dziękować i wyrażać nadzieję. Przecież to nie jest takie trudne, prawda?

– Wyrażać nadzieję - powtórzył Enka.

– A co w tym trudnego? - Grula w berecie najwyraźniej się sobie podobał. - Wiesz, jaką mają tam kuchnię? Jak dadzą wam mało, to możecie żywić się w bistrach. To od bystro, bystro, tak mi mówili. Ale jak się postarasz, trafisz do prawdziwej francuskiej restauracji, nawet niedrogiej, i najesz się po uszy. Palce lizać. - Uniósł przed oczy swe miękkie palce. - Kultura, wielki świat. Wiesz, jak oni pięknie mówią o jedzeniu?

Znów wydał z siebie dziwne dźwięki, tym razem całą kaskadę, bliższą ujadaniu niż spadającym sztuccom. Pojawił się też nowy element, czknięcie za każdym razem, gdy Grula brał oddech. Ence zaświtało w głowie, że można by całe podanie ująć w tych dziwnych słowach, dostrzegł nawet szansę na jego pozytywne rozpatrzenie.

– Edek, słuchaj. Nie pomógłbyś mi z tym? - zapytał, wskazując wymownie na monitor.

– Mam pewno jeszcze cię podpisać? - powiedział Grula bez złości. W rękach miał beret, co najwyraźniej sprawiało mu uciechę. - Podobno jedziemy na jednym wózku, a mi się zdaje, że ten wózek to Edward Grula. - Dostrzegł, że w oczach Enki czai się coś poważniejszego niż tylko rozczarowanie. Machnął ręką, już mieli się zmieniać, gdy rozbrzęczał się telefon. Odebrał Grula. Słuchał, kiwał głową.

Słuchawkę odłożył jak przegrane życie.

– Zasuwasz do starego, i to w podskokach - powiedział. Plama potu na jego piersi rozrastała się w oczach. - Jest wściekły o coś. Powiedział nawet, że ci nogi z dupy powyrywa.

§ § §

Enka z impetem otworzył drzwi, myśląc nieustannie o tym, że nogi ma z dupą złączone porządnie i nie chce, aby cokolwiek się w tej sprawie zmieniło. Wymienił zimne spojrzenia z sekretarką, wysoką blondynką o białej skórze. Nie lubił tego, jak teraz wygląda: bluzka za krzykliwa, spódniczka zbyt kusa, w sam raz dla jakiejś lafiryndy, a nie dla miłej dziewczyny, którą Enka tak dobrze pamiętał. Zwolnił, mijając jej biurko, ręce miał splecione z tyłu, ruszył głową, jakby chciał na nią spojrzeć.

– On czeka - powiedziała. Jej głos chrząścił, zmielone szkło słów.

Rzeczywiście czekał, w wielkim gabinecie przypominającym nieco pokój jakiegoś starego profesora. Tu mógłby rezydować Krzyżewski albo inny wariat z tytułem naukowym. Zasłony na oknach wpuszczały niewiele światła, na potężnym biurku płonęła starodawna lampa. Orzeł w koronie rozpościerał białe ramiona, regimenty dyplomów odcinały się od bieli ścian, była szafa, kryjąca zapewne tajemnicze sprzęty, i biedermeierowski regał pełen książek, smutnych, szarych, bo nieruszanych. Kolorowe okładki zapraszały do opowieści rzędami złotych liter; same nowe nazwiska: Ludlum, Forsythe, MacLean, Cussler.

Komendant Jerzy Anioł napinał się za biurkiem w ten szczególny sposób, który pozwalał sądzić, że tygodniami trenował mięśnie w tym jednym celu. Kark rozszerzał się ku dołowi niby kołnierz jaszczurki, łysa czaszka lśniła, w zmarszczkach i bruzdach zaległy niepokojące cienie. Komendant miał usta wąskie, zacięte, teraz wściekłe, oczy nawykłe do

tropienia sprzeczności między paragrafami i dłonie kobiety. Kępki siwiejących włosów przegrywały walkę z łysiną.

Przed komendantem Aniołem leżał segregator, otwarty, pełen papierzysek. Był nowy i śliczny, Grula z Enką takich nie mieli.

– No i pana komisarza się doprosiłem - rzekł Jerzy Anioł, patrząc w biurko. - No to co pan mi powie o tej całej sprawie? Trup za trupem, niby nic, a jednak coś, skoro pan się za to wziął.

Enka nie powiedział nic, przynajmniej nie od razu, pogrążony w zdziwieniu. Komendant Anioł był bowiem mistrzem w spychaniu z siebie wiedzy, sułtanem uników i niekoronowanym władcą składania ciężaru wiedzy na podwładnych. Wyjątek stanowiły sprawy dotyczące skrzywdzonych czworonogów - Anioł uwielbiał wszystko, co żyje i nie jest człowiekiem, hodował psy, papugi, kucyki, działał w Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami i dostawał spazmów na wieść o pobitym koniu czy molestowanej owcy. Oprócz zwierząt Anioł interesował się wyłącznie sobą, najbliższy zaś był mu stołek, na którym siedział i z którego bardzo nie chciał zlecieć. Stąd tańczył wokół odgórnych zleceń, wyglądał niebezpiecznie, uważny, ostrożny, policyjny czarodziej zza ciemnego biurka.

– Miałem pisać do pana komendanta. - Enka czuł się głupio. - Musimy, to znaczy nasza komórka...

– Ja panu powiem, co się musi, co się dzieje - przerwał Anioł. - Pawlak i inni czyszczą sobie UOP, wszyscy powariowali po tym, jak poleciał Olszewski, a mi trudno cokolwiek w tej chwili przewidzieć. Nie mamy pewności, panie Enka, nie mamy pewności do czegokolwiek.

Nalał sobie herbaty z termosu, zapachniało rumem. W nagłym błysku uprzejmości pchnął kubek w stronę Enki, pokazał, gdzie usiąść, i kontynuował:

– Niby Warszawa daleko, a wszystko się łączy. Nawet dobrze, że sprawę dostały nie ciamajdy, ale duchołapy. - Enka skrzywił się, ale jakoś to przełknął. - Nasz najdroższy nowy wiceminister zabrał się do naprawiania świata i możemy wszyscy przejechać się na jego dobroci. Teraz jednak ma kłopot. Kilka dni temu powiesiła mu się córka.

Ja ci dam duchołapa, myślał Enka, no srał cię pies, jakbyś widział to co ja, tobyś siedział w kącie, wsuwał własne gównno i cieszył się, jakie to frykasy tryskają ci z dupy. Duchołap. Szlag by cię. Dobrze przynajmniej, że herbata z prądem.

– Wiadomo dlaczego? - zagadnął, nie siląc się na ciekawość.

– Leczyła się psychicznie. Schizofrenia. A studiowała polonistykę. Znaleziono ją zwisającą z poręczy schodów, z dziwną raną na czole. Nie ma wątpliwości, że zrobiła to sama - zabełtała herbatę - ale w mieszkaniu znaleziono ślady butów. Ślady bójki. I krew innej grupy, niż miała Ola.

– Ola - powtórzył Enka.

– Niechże pan, na miłość Boską, się nie wygłupia - westchnął Anioł. - Do tego są drobiazgi, które pan powinien poznać. Ślady popiołu. Rozlana woda, rozsypane ziarna. Z kuchni zniknęły kubki i talerze.

Oddychał ciężko, jakby ktoś naciskał go na pierś, miarowo i bardzo mocno.

– Więc pytam się, co pan wykroił w tej całej sprawie. Proszę - wyszarpnął zdjęcie z segregatora - to ona. A mamy Warszawę na głowie i nie odkleją się, póki pan czegoś z tym nie zrobi. Dowiedzieli się o tych sprawach, które były u nas, a sami nie chcą tego brać na siebie. Wszystko na moją głowę. Skurwysyny.

Więc tak wyglądała Ola, gdy ją znaleziono - na naprężonym sznurze, bosa, w samej koszuli nocnej, pod którą rysowały się sztywniejące piersi.

Czarne włosy opadały na bladą twarz. Bardzo chuda. Pieprzyki na przedramionach, sine paznokcie u rąk i nóg.

– Zapewne widzi pan, że sznur jest za krótki. Udusiła się - mówił Anioł.
- Ojciec powtarzał mi to ze dwadzieścia razy, sznur krótki, sznur krótki, i jak jeszcze raz to usłyszę, to zwariuję. Co pan wie, panie Enka? Co mogę im powiedzieć?

Tego właśnie komisarz Enka nie wiedział. Niczym brzytwy, dziurawego koła ratunkowego, uchwycił się podręcznika psychologii sądowej, zakupionego kiedyś po pijaku i przekartkowanego na ciężkim kacu. Pamiętał same słowa. Nie to, czego dotyczyły.

– Sprawa dotyczy działań rytualnych, których denaci dokonywali w samotności. Działania te spowodowały u nich nagłe zmiany psychiczne, najpewniej psychosomatyczne.

W duchu zdążył podziękować tamtemu bukiniście i własnemu pijaństwu, za to komendant Anioł rozdziawił gębę, na szarych wargach zawisło niewypowiedziane ordynarne słowo.

– Jak będę chciał posłuchać takich bzdur, to zawołam rzecznika albo kogoś. Niech pan mi mówi, jak jest.

Tym razem westchnął komisarz Enka. A że nie wiedział co, powiedział prawdę.

– Ofiary miały kartkę z rodzajem rozpiski ruchów i słów, jak w teatrze. Prawdopodobnie tańczyły i dostawały od tego świra - wyznał. - Czasem można zwariować od podskakiwania, ale niech pan, panie komendancie, nie zapomina, że Ola już wcześniej była popieprzona.

Policzki Anioła zafalowały, ręka z herbatą zastygła w połowie drogi do ust.

– Czy pan, kurwa, Enka, jest głuchy, czy co? Ślady w Krakowie, Wrocławiu i u Oli są podobne. Tyle że tam były jeszcze ślady walki, co

panu mówię, a pan na to szcza koncertowo - wściekał się Anioł. - Niechże pan coś z siebie wykrztusi, coś poza czarami. Wam w ogóle coś się, kurwa, dzieje na dole, pół komendy ma z was polew i ja ich, kurwa, czasem mogę zrozumieć.

Oczy komisarza Enki zwężyły się.

– To niech te pół komendy rozwiąże tę sprawę. Albo odbierze nam te wcześniejsze, co? To się śmiać przestaną. A jak tak, to można nas rozpędzić na cztery wiatry i będzie spokój - syknął w twarz Anioła. - A moja opinia jest taka: ci ludzie zabili się. Z takich powodów lub innych. Po przeczytaniu określonego tekstu. I ktoś czyścił mieszkania po nich, nam zostawiając tylko trupa...

– Ma pan ten tekst? - Anioł już się uspokoił.

– ...natomiast ślady walki u pana przełożonego wskazują, że mogą istnieć dwie grupy, nie jedna, wrogo do siebie nastawione. - Enka puścił pytanie mimo uszu. Przeklinał siebie, że wypuścił Cnotę. - Doszło do walki. Całość wskazuje, że sprawa jest poważna, być może - wspomniał Paryż - międzynarodowa.

Pół kubka herbaty zniknęło w ustach komendanta. Anioł pogładził się po czole, rozejrzał się, szukając ratunku w oknie, szafce, w tytułach książek, ze smutkiem zatrzymał wzrok na milczącym telefonie.

– Właściwie to jest coś, co mógłbym powiedzieć przełożonym - oznajmił. - Nie mógł pan tak od razu? A co pan sądzi o tej całej sprawie? Tylko błagam, niech pan mi z tą laurką już nie wyjeżdża.

– Niewiele wiem. - Enka stwierdził, że odrobina herbaty nie zaszkodzi. Była gorzka, ale aromat rumu zastępował wszystko. - Zaskoczył mnie pan z tą walką, myślałem, że istnieje tylko jedna grupa. To mi nie pasuje - zastanawiał się głośno. - To może być jakaś sekta. Teraz tego jest sporo.

– Sataniści? Mormoni? - Anioł westchnął ponownie. - To jak pan nie wie, to niech pan się dowie, nim nam góra karki poprzetrąca. No, niechże pan coś powie, na miłość boską!

Teraz albo nigdy, pomyślał komisarz Enka.

– Akurat jak pan zadzwonił, siedziałem nad podaniem o przydział środków na wyjazd do Paryża. Dla mnie i dla księdza doktora. - Spostrzegł, że oczy Anioła powiększają się gwałtownie. - Zgromadzone dowody wskazują, że jeśli sekta, grupa przestępcza, o której myślimy, istnieje naprawdę, to wywodzi się z Francji, z Paryża.

– Z Paryża? - zapytał głucho Anioł.

Przecież mówię, stary capie, pomyślał Enka i skinął głową. Komendant Anioł wykonał dziwny gest ręką, jakby brał w nią niewidzialne podanie, następnie zmrużył oczy. Zabębnił o biurko, najwyraźniej w poszukiwaniu pytania, które przybliżyłoby mu sprawę bez naruszania autorytetu zwierzchnika..

– To pan napisze to pismo i zaraz z nim przyjdzie. }a pana rzucę na pożarcie, jeśli pan to spierdoli. Mam mieć raporty. I na rany Chrystusa, niech pan, panie Enka, zdejmie ten krzyż z nas wszystkich.

Nabrał powietrza. Bruzdy na jego policzkach wygładziły się, oczy odzyskały życie i tylko ściągnięte ku sobie siwe brwi przypominały, że troski przenigdy nie opuszczają Jerzego Anioła. Pchnął segregator w kierunku Enki i Enka zabrał go bez słowa.

Anioł demonstracyjnie wsadził nos w wymięty numer „Świata Zwierząt”.

– Odmaszerować - powiedział służbowym tonem.

I Enka posłuchał. Minął sekretarkę, która na jego widok jęła zawzięcie tłuc w klawisze maszyny do pisania z siłą, z jaką mąż tłucze niewierną

żonę; nie podnosiła głowy, lecz gdy dotarł do drzwi, posłała mu lodowate spojrzenie. Chwycił je w lot i zaraz o nim zapomniał.

Już na korytarzu otworzył skoroszyt i jął go przeglądać, oparty plecami o ścianę, krzyżując nogi. Ot, raport. Zdjęcia mieszkania, luksus, że nie wiem, wreszcie Ola żywa i uśmiechnięta, Ola powieszona, zaduszony uśmiech. I krew. Odcisk buta we krwi.

§ § §

Gucio Zieliński był legendą, ale Enka i tak go nie szanował.

Siedział teraz z nogą założoną na nogę, ale dziwnie spięty, łącząc na udach chude, bezwłose dłonie. Jasne włosy jeżyły się na jego głowie, wystawały też z uszu, schodziły w niskie baki, blond mech nieśmiało osiadł na brodzie. Grube okulary przesłaniały oczy Gucia Zielińskiego, zarazem przyćmiły je trochę, tak że nie sposób było określić barwy tęczyówek. Ni to zielone, ni to szare, jeśli błękit, to wody wypranej z życia.

Enka nie wiedział, kiedy poznał Zielińskiego, nie chciał też tego pamiętać. Nie umiał wyobrazić sobie życia tego człowieka - są tacy, których nie sposób wyobrazić sobie w sytuacjach prozaicznych. Nie jedzą naleśników. Nie uprawiają seksu. Nie stoją w kolejce na poczcie i nade wszystko nie robią kupy. Zieliński siedzący na tronie, wyteżony z wysiłku, składający papier, czyszczący wstydliwe miejsca wydawał się niepojęty.

Zieliński pojawił się na komendzie pięć lat temu i wszyscy natychmiast pojęli, z jakim typem zbrojeńca mają do czynienia. Nie czynił zresztą z tego tajemnicy, więcej, utrzymywał, że jego fascynacje pozostają urokliwe dla ludzi subtelnych. Zdziwiał też metodyką i konsekwencją: skończył zawodówkę obuwniczą, potem technikum obróbki skór i zaraz poszedł pracować do sklepu z butami, zostając pod koniec lat osiemdziesiątych

dyrektorem działu obuwniczego w Oteksie. Kark przetrzął mu dopiero wichur zmian.

Powiadano, że płeć nie ma dla niego znaczenia, liczyła się sama stopa, jej kształt, linia palucha, wcięcie, zapach, gładkość pięty - Zieliński kochał stopy kobiece i męskie, stare i młode, pachnące, cuchnące i pozbawione woni. Czasem widywano go na komendzie, jak siedzi i patrzy z ukosa, niby w podłogę, naprawdę na buty policjanta. Podobno w domu miał całe ściany w fotografiach stóp, które szczególnie ukochał, kwiaty wspomnień z czasów, kiedy starsze panie uwielbiały, jak czule zakładał im buty w swoim sklepie. Niestety, czasy się zmieniły, świat przyspieszył, każdy już ubiera się sam, więc Guccio Zieliński stracił swoją posadę i został - nie bez pomocy żony komendanta Anioła - technikiem policyjnym. Siedział teraz z nogą założoną na nogę.

Enka nie wiedział, jak się do niego zwracać.

Jego pokoik, maleńki i ciemny niby wewnątrz szafy, wypełniały zdjęcia butów, odlewów butów, zelówek, podeszew i stóp, schodziły ze ściany w wielu warstwach, ponakładane na siebie, matowe, błyszczące, nawet czerwona lampa przy biurku była nimi oklejona. Widniały przy nich numerki, notatki zrobione czarnym markerem albo i szlaczki, których znaczenie rozumiał sam Zieliński. Enka poruszył się na stołku.

– Powiesz mi, co to takiego?

Podał mu zdjęcie z rzeźni u Kosucha. Zielińskiemu nawet brew nie drgnęła. Wpatrywał się w odcisk buta we krwi. Westchnął, zgarbił się nad maleńkim biurkiem.

– Nic takiego - głos miał drżący, jakby ktoś wbijał mu lufę pistoletu między żebra - polska podróba włoskiego buta, nawet literactwo jest zerżnięte. Miliony ludzi chodzi w czymś podobnym.

Zerknął na adidasy Enki i nie krył obrzydzenia. Pocieszenia poszukał w kalendarzu dziennym poświęconym oczywiście butom.

– A to? Powiedz mi zaraz, Guciu - Enka wyszczerzył się słodko.

Drobna dłoń Gucia chwyciła drugie zdjęcie. To z mieszkania Oli. Uniósł wąską brew, przygryzł suche wargi, idealnie okrągłe nozdrza lekko się poszerzyły. Nic nie powiedział.

– Mamy takie w zbiorze czy nie mamy? - cisnął Enka.

– Oczywiście, że mamy - odparł znudzony Gucio i oddał zdjęcie Ence. - To z kolei są sztyblety. Te akurat to forma jeszcze z czasów Mikołaja II, potem upodobali jej sobie czekiści. Tak jak nagana i skórzaną kurtkę.

– Nosi się to teraz?

Gucio Zieliński nie krył znużenia. Całym sobą ciążył ku samotności wśród swoich butów, ku marzeniom o stopach, które kiedyś się w nich gnieździły.

– Jak widać tak. - Wskazał na zdjęcie. - Popularny wśród różnej maści szaleńców zakochanych w KGB. To jakiś wariat i tyle. Albo dureń. Dowiesz się, Zbyszek. Tak, dowiesz się.

Odwrócił głowę.

Enka przestał dla niego istnieć.

Ptaki (II)

Ptak, Który Dziobie czyści sobie pióra i w nich oczy. Jego skrzydło drży, nóżka nie może znaleźć sobie miejsca na gałęzi. Zerka daleko i zaraz pofrunie.

A Ptak, Który Patrzy nawet nie drgnie.

– Zaraz przejdą na tamtą stronę - rzecze.

– Nie mam pojęcia właściwie, czemu zaraz jak dziób otworzysz, to opowiadasz o nich - rzuca tamten spomiędzy własnych piór.

– A cóż jest bardziej interesujące?

– Otóż cała masa drobiazgów, cała masa spraw. - Ptak, Który Dziobie strząsa z siebie kurz. - Zmiany w świecie, zmiany w ludziach, zmiany w państwach, upadki imperiów i narodziny nowych. Koronacja molocha. A my ciągle o tej dwójce.

Ptak, Który Patrzy odwraca głowę:

– To nie są zwykli ludzie. O nie, o nie. Zależy od nich bardzo wiele.

– Stanie się tylko to, co ma się stać. Nie więcej i nie mniej.

– Może więcej jednak, a może mniej. Wolna wola. O tym jednym nie wolno ci zapomnieć.

Biją wściekle skrzydła.

– Co ona zmieni? No gadaj mi zaraz, co ona zmieni?

Ptak, Którzy Patrzy mruży oczy.

– Za ich sprawą świat zatańczy w zupełnie nowy sposób.

– To świat tańczy? - Ptak, Który Dziobie odpowiada głosem pełnym zdziwnienia.

I słyszy śmiech.

– Właśnie tak! Świat tańczy, a my i oni razem z nim!

Rozdział trzeci

Bonjour monsieur. Fuck you, s'il vous plaît

Słońce świeciło nad komisariatem. Ostre promienie wpadały do środka, zmieniając barwę mebli, dywanów, gołych cycków na kalendarzach; oślepiały Ukrzyżowanego nad drzwiami, by nie musiał na nie spoglądać. Komisarz Edward Gula siedział przed komputerem i lamentował. Mokre palce zaciskał na francuskim berecie, zalewał się łzami, chlipał, dotykał czerwonego nosa, przecierał oczy i zanosił się szlochem na nowo. We wzroku komisarza Enki na upartego można by doszukać się współczucia.

– Następnym razem - rzekł Enka tonem zarezerwowanym dla małych dzieci, którym trzeba oznajmić, że z powodu grypy nie pojedą na kolonie.

Gula uniósł załzawioną twarz. Była czerwona i napuchnięta.

– Oto nagroda za moją pracę! Masz, Zbyszek! Nikt mnie tu nie docenia. Ty to jesteś dobry. Ganiasz sobie po mieście, teraz poganiaasz po świecie. A dobrej pracy, cichej pracy między archiwum a biurkiem to już nie bardzo.

– Przynajmniej nikt cię nie zastrzeli - zauważył przytomnie Enka.

Gula chlipnął.

– I co mi z tego? Co ja mam za życie? - Jego ogromne ciało falowało w spazmach. - Nigdzie nie jeżdżę, ostatni raz chyba do Pińska, trzy lata temu, do tego spokojnego szpitala, gdybym się nie struł, posiedziałbym tam jeszcze trochę. A tak akta, komputer, komputer, akta. - Pociągnął nosem. - Co ja mam za życie?

Enka tropił refleksy świetlne na szybie, zastanawiając się, czy Grula nie dostał pomylenia ze szczętem - o Szpitalu Przemienienia Pańskiego dało się powiedzieć wszystko, tylko nie to, że był spokojny, teraz nie było go wcale, być może w ruinach po pożarze panował spokój [4].

– Chyba coś ci się we łbie przestawiło - powiedział.

– A może przestawiło - zgodził się Grula. Opanował szloch, uniósł się lekko, przetrzepał kieszenie. Zmełł przekleństwo, nagle błysk mignął w załzawionym oku. Sięgnął do mokrej już czapki i wydobyl kartkę. Tusz rozmazał się na marginesach. Zerknął. Chlipnął. - Zawiozą was do Balic. Jutro macie odlot - jęknął i dalej już czytał. - Napisałem dobre podanie, przetłumaczyli, mamy współpracę z Interpolem. Z lotniska odbierze was - musiał przeczytać francuskie słowa, głos mu zadrżał - Giselin Artois, policjant, mój przyjaciel. Załatwiłem go. Interpol też załatwiłem.

Opadł na fotel, wsparł się łokciem o biurko. Enka pomyślał, że Grula jest naprawdę dzieckiem wszystkich policjantów na komendzie.

– Giselin czeka z kartką na lotnisku. Śpicie w Instytucie Polskim, na hotel nie starczyło - załkał, dwie grube łzy jednocześnie zsunęły się po policzkach. - Będziemy mieli trzy dni na wszystko, spanie w dobrym miejscu, na przedmieściach może jeszcze by się nam coś stało... - Wsłuchał się widać we własne słowa, pojął pomyłkę i nie zdołał się opanować. Przejechał dłońmi przed sobą, jak po niewidzialnej ścianie, nogi zaś podkurczył. Głowa zwisała między ramionami. - Tam spotkacie się z tym Rutczyńskim. Facet pracuje na Sorbonie. Macie, macie... diety - lamentował. - Jakby co, dzwońcie do Polski. A w ambasadzie o was wiedzą. Forsa czeka w kasie. Co jeszcze? Co jeszcze? Ja myślę, że wszystko zagra. Francuzi bardzo lubią Polaków. Wspólna historia. Lubimy wino.

Zamilkł. Enka czekał na kolejne słowa - jak duży naprawdę jest Paryż, gdzie powinni szukać, gdzie dobrze się jada i czy jest choć trochę prawdy w tym, co nad Wisłą mówi się o dziewczynach znad Sekwany. Grula garbił się coraz bardziej, barki zbliżały się ku sobie, już miały się spotkać przy pulchnych policzkach, gdy zabrzmiał znajomy głos.

Ni to świergot, ni to bulgot, ni ujadanie.

Komisarz Edward Grula zaczął lamentować po francusku.

§ § §

Lotnisko w Balicach przypominało budowlę ze szkła i klocków. Klocki były szare, szkło matowe, ludzie wlekli się, ich nogi wyglądały na sztuczne. Niebem sunął samolot niby papierowy ptak, zniknął w cukrowej wacie chmur, nic, tylko spodziewać się wielkiej dłoni, która się z nich wysunie, zmieni trajektorię lotu, przeniesie budynki albo i poskłada z nich coś nowego, co akurat będzie bardziej potrzebne: oborę, świetlicę, stację benzynową. Ksiądz doktor habilitowany nie tylko tak myślał, ale nawet na to czekał. Czekał też na komisarza Enkę. Samoloty wzbijały się ku niebu, ludzie biegli, a Gil już rozumiał, że poprzednia ważna przygoda też zaczęła się od lotniska - ta przygoda, która zmieniła jego życie, spięła na zawsze ze Zbigniewem Enką, nauczyła, że niesamowitość świata jest czymś równie oczywistym jak to, że ludzie fruwać sobie między krajami. Lotniska - miejsca, gdzie się czeka na kolejną podróż - nagle pojął, że Enka właśnie na takim lotnisku mieszka, nieustannie chce być gdzie indziej, niż jest, w jego głowie i sercu nieustannie podrywają się metalowe ptaki, niosą jakieś okruchy jego samego do miejsc, o których śni i których nie odwiedzi. Bo daleko, bo wódka nogi płacze, bo oczy są za stare, mięśnie nawykłe do

rozdawania ciosów, nie złożenia siebie samego. Zdziwił się, bo dawno o nim w ten sposób nie myślał. I myślą go przywołał.

Enka przemienił się w turystę - kroczył rażno, w obcisłej koszuli, nowych dzinsach i jeszcze nowszej, modnej fryzurze. Targał torbę podróżną i pogwizdywał.

– Autobusy, widzę, jeżdżą szybciej - rzekł. - Zupełnie nie rozumiem, czemu nie chciałeś zabrać się samochodem.

Ksiądz doktor akurat wiedział świetnie. Ostatnia szansa, żeby przejrzyć papiery. Uporządkować myśli Wyśnić sen.

– Gdzie Edek? - zapytał.

Przeciągły świst wydobył się z ust komisarza Enki. powietrze przepchało się ze szerniałych płuc, zagwizdało na zniszczonym gardle, przemknęło przez pożółkłe zęby, zawirowało w stęchłym eterze Balic i przepadło.

– Nie jedzie - oznajmił. Gil aż sapnął.

– Przecież on to wszystko zorganizował. Był spakowany, nim myśmy pomyśleli, co wziąć - mówił Gil, a głowę wypełniały mu coraz straszniejsze myśli. - Przecież on jeden był w Paryżu. I zna francuski.

– Z tym francuskim to nie jestem przekonany. Przecież jeździłeś tu i tam, w Brazylii mówi się po francusku. - Gil nie miał siły tłumaczyć Ence subtelnej różnicy między francuskim a portugalskim. - Nie ten język, to inny, a ja nie znam żadnego - rzekł beztróska Enka. - A Edek nie pojechał, bo sam jest sobie winien. - Oparł się o szybę, wsadził peta w gębę. Ostatniego przed odlotem. - Jego akta, jego komputer, wiesz, jak w tym siedział. No i teraz wszyscy poszaleli z teczkami, ludzie spadają ze stołków albo się na nie wdrapują, coś się pali, a my mamy na łbie komisję. Co rząd padnie, jest nowa.

Zza chmury wyszło słońce, spadło na plecy Gila, rozłożyło się niczym skrzydła. Enka zmrużył oczy, nałożył ciemne okulary.

– Zawsze jak przychodzili, pytali właściwie o te same teczki, to Anioł się wycwanił, zrobił kserokopie i mikrofilmy, całość trzymał u siebie i wydawał każdemu, kto przypętał się z pełnomocnictwem. Tym razem nie poszło - złościł się Enka. - Przyłazły gadające głowy i zażądały szczegółów. Ze wszystkich działów i tak dalej. Anioł mi przecież nie fiknie. Mówili o zwolnieniach i wcześniejszych emeryturach.

– Gdzie w tym wszystkim nasz Paryż? Mieliśmy rozwiązane ręce - przypomniał Gil.

– To Gruli związali na jego życzenie. Z tą miłością do akt i komputera. Wiesz, Grula przejechał na tym całe lata. Nie wychylał się, siedział cicho, czekał na emeryturę i wyjazd do szwagra, do Monachium. Teraz go dopadli. Jeden Grula ogarnie burdel na komendzie. Więc będzie siedział, grzebał w papierach i na komputerze, aż wszystko poskłada, tamte dupki zabiorą się w cholere, a Anioł będzie zadowolony. Żal mi nawet Edka. Pogadaliśmy sobie.

Piętnaście minut później byli już po drugiej stronie, po odprawie, obszukani, prześwietleni, pochyleni nad piwem w barku obok hali odpraw. Dalej za szkłem widzieli już lotnisko i brzydkie kadłuby samolotów EUROLOTU. Skrzydła wyglądały na niezdolne do oderwania pudła od ziemi, a komisarz Enka wyglądał na niezdolnego do czegokolwiek. Garbił się nad złotym półlitrowym kuflem i zerkał na okładkę przewodnika leżącego między nimi.

Wokoło pęcniały reklamy pepsi i kentów, wydrukowane na błyszczącym papierze, ponaklejane na szyby i gołe ściany, rzędy markowych alkoholi za barem, starodawne flaki obok hamburgera w ofercie oraz dwie kobiety z obsługi, jedna również markowa, druga wprost przeciwnie. Sześćdziesięcioletnia i stukilowa, o tłustych palcach i spojrzeniu, wydzielala potrawy ze sprawnością weterana bufetu. Obok

dziewczę, właściwie długie nogi zwieńczone blond tapirem, furkotało za ladą barową, wykładając żarcie, polewając kolorowe wódki i zerkając na komisarza Enkę.

Gil tymczasem pochylał się nad planem kupionym w hali odlotów i usiłował dociec, gdzie właściwie wylądują, jak daleko stamtąd do Instytutu Polskiego i czemu, dobry Boże, linie metra są takie wielokolorowe i poplątane. Próbował porównać je z ulicami, odkryć, którędy biegną podziemne trasy i jak mają się do świata pod słońcem. Bał się metra. Nie żeby miał klaustrofobię, ale schodzenie pod ziemię nie kojarzyło mu się najlepiej. Jakoś za blisko piekła czy coś. Oczywiście powinien to wszystko sprawdzić wcześniej, ale myślał, że podeprze się Grulą.

– Strasznie szybko pijesz - rzekł do Enki. Pan komisarz opróżnił kufel i wracał z kolejnym.

– Mój pierwszy lot - powiedział i odwrócił głowę.

Gil stwierdził, nie bez złośliwości, że każdy tutaj zamawia jedzenie podobne do siebie. Grubas w starym garniturze, pewno Rosjanin - znać po złotych zębach i pierścieniach - dostał hamburgera różowego jak jego policzki, ledwo wypieczonego, włożonego w wysuszoną bułkę, przełożonego zieloną musztardą i pomarańczowym serem. Gil pomyślał, że kolory mieszają mu się ze zmęczenia ezoteryką i oglądaniem trupów, lecz nie - matka na plakacie karmiła pociechę hamburgerem, gdzie potrawy miały te same barwy, lecz bardziej intensywne. Do baru podeszła kobiecina o włosach w strąki i dostała flaki. Chłopcy w zachodnich ciuchach porwali snickersy.

Telewizor ustawiony na półce w rogu pomieszczenia wyświetlał reklamy: karma dla psów, niemieckie proszki i zaraz książki: natchniony głos polecał *Sagę o Ludziach Lodu*.

– Jest to po prostu stek kłamstw i chciałbym to panu Macierewiczowi powiedzieć - rzekł Jacek Kuroń z ekranu - Wiesz, miałem dziwny sen. - Gil także zamówił sobie piwo.

Enka poderwał głowę. Ksiądz doktor nigdy wcześniej nie opowiadał mu o snach.

– Wypowiadasz się z niego? - zagadnął, siląc się na wesołość. Wystarczyło, że zerknął na samolot krążący po płycie, by uśmiech znikł mu z twarzy.

– Kto śpi, nie grzeszy. Śniła mi się kobieta, ale ubrana - wyjaśnił Gil. - Wystarczyło, że przyłożyłem głowę do szyby, rozkołysałem się i ją zobaczyłem. W staromodnej sukni, takiej ciemnej, miała ładną twarz. Ale plecy krzywe. Wydawała się niska - mówił szybko. - Nie wiedziałem, gdzie jest, w jakiejś kleistej ciemności. Nawet głos niósł się jak pod wodą. Taka pieśń. Bez słów. Nie, nie w wodzie. Spod ziemi biegną takie dźwięki. Nie wiem, czemu ci o tym mówię. Może słyszałem tylko tę pieśń, a kobietę sobie wymyśliłem. Bo ja - napił się - przecież nie śnię już o kobietach.

– Lecz sen był mokry - burknął Enka.

– Rozpoczynamy grę, która skończy się źle dla wszystkich uczestników tej zabawy - powiedział Kuroń w *Wiadomościach*.

– Spierdalaj - rzekł Gil panu komisarzowi. Nim pomyślał, zatopił usta w piwie, a gdyby Enka nie uniósł brwi ze zdziwienia, pewno poczułby się głupio. Wolał myśleć o swoim śnie, bo sny mają przecież znaczenie, nie dlatego nawet, że kryje się w nich prawda. Zmuszają do myślenia, poprzekładania świata, mędrkował Gil, wbijając wzrok w telewizor.

Kuroń się skończył, leciały migawki z sejmu: KorwinMikke z rękami wspartymi o mównicę jąkał, by agenci zgromadzeni wokoło zabrali się i poszli, kiwał się przy tym i zezował, dalej Waldemar Pawlak w garniturze, którego krój i kolor nie pozostawiał wątpliwości odnośnie ludowego

pochodzenia premiera, łzy Olszewskiego, włosy stroszące się na głowie Tuska i Lech Wałęsa otaczający cały ten burdel tłustym ramieniem dobrego wujaszka.

– Patrz, jak się postarzał - skomentował Enka. - Nazarty, zadowolony, niby rządy sobie strąca, a mi wygląda na kukiełkę z czyimś palcem w dupie. A ten znowu to kto? - Wskazał na fircyka o lisim spojrzeniu. - Skąd tacy się, kurwa, biorą, pęta się toto przed kamerą, przecież takim też ktoś wywija, i to jak dziwka maturzystą, więc...

– Ty boisz się latać? - zapytał ksiądz Gil.

Enka poszarzał. Posłał ukradkowe spojrzenie gdzieś w głąb poczekalni. Próbował się uśmiechnąć i zrobił coś dziwnego: kąciki ust pojechały do góry, dolna warga zaś zwisła smętnie.

– No pewnie, że się boję. Ty masz swoje przeczucia, a ja mam swoje. Jak w Szczytnie naszczali mi do herbaty, zaraz wiedziałem, komu wsadzić laksigen do bigosiku. Ufam sobie, wiesz? Na komendzie coś kombinują, cały czas papiery od nas szły do powielarni, Gula powiedział. A odkąd ta Ola się powiesiła, to już całkiem ludzie powariowali. Komisję mamy, przez nich Gula musiał zostać.

Splótł dłonie na kuflu, głowę odwrócił do telewizora. Gil ledwo go słyszał.

– Kimkolwiek są ci ludzie, wszędzie byli przed nami, wyczyścili wszystko bez śladu i na cacy. Umieją się trzymać blisko, patrzeć z ukrycia. Jak sądzisz, wiedzą, że powinni nas pilnować, czy nie wiedzą?

Teraz to Gil przeraził się latania - wyobraził sobie, jak nagle w połowie drogi kadłub zaczyna się trząść, spadają maski, stewardesa niknie w kabinie pilotów, jeszcze telepie i nagle trzask, samolot pęka, lodowaty wiatr oślepia, wyrywa kawałki ciała, ciska między chmury. Przecież są ludzie, którzy wysadziliby samolot z pasażerami, żeby dorwać jednego, zatrzeć

wszystkie ślady. A tu jest ich dwóch. Zaraz się opanował. Spiski spiskami, ale ich można by załatwić łatwiej i prościej, a poza tym właściwie dlaczego? Skoro nie zabili ich wtedy, w sejmie... [5]

– Daj lepiej spokój - rzekł Enka, widząc podenerwowanie Gila. - Niepotrzebnie cię nastraszyłem. Kto o zdrowych zmysłach załatwiałby nas w powietrzu? Wyszaliliby passata i do widzenia. A poza tym dlaczego mieliby to robić, skoro nie zrobili tego wtedy, w sejmie?

Ksiądz Gil wreszcie zamilkł, zorientowawszy się, że wszystkie swoje myśli przy tym stoliku wypowiedział na głos. Być może też kiedy myślał, że mówi, to tak naprawdę milczał.

§ § §

Enka przestał obawiać się latania, w chwili gdy usiadł. Zaraz zwiesił głowę i zachrapał. Gil zapiął mu pasy i zaczął się zastanawiać, co tak naprawdę było w tej butelce coli, którą Enka sączył w drodze na lotnisko.

Oddalająca się, malejąca Polska zmieniła się najpierw w mozaikę plam zielonych i borych, toczonych rakiem domów i osiedli, potem i one zniknęły, została stwardniała zupa ziemi. Wbili się w gęste mleko bez góry i dołu. Samolotem zatrzęsło, silnik szumiał już inaczej i zaraz nad rzędami białych garbów rozpałiło się słońce, wielkie jak nigdy wcześniej. Białe bezkres zdawał się rozpałać, kłęby nici iskrzyły się przecięte promieniami, a jeszcze wyżej stał jasny błękit bez żadnej smugi, która pozwalałaby wątpić w doskonałość świata. Zarazem nie było to nic niezwykłego - chmury, słońce, wysokość.

§ § §

Na lotnisku Charlesa de Gaulle'a byli sami.

– Jak sądzę, Bóg pokazał ci piękny widok i teraz odpuścił - powiedział Enka. - Przecież stoimy tutaj do usrania.

Zdaniem Enki usranie zaczynało się w rejonach czwartej godziny stania w bezkresnej hali odpraw, po polsku, czyli z tobołami między nogami oraz z kartką, na której grubym mazakiem napisano *Giselin Artois*. Im dłużej stali, tym ludzie przyglądali im się dziwniej. Żaden wywróżony przez Grulę policjant nie raczył przyjechać.

– Może Grula się pomylił? - zachodził w głowę ksiądz Gil.

– Grula może śmierdzieć. Grula może zaplątać się we własne jaja. Ale Grula jest nieomylny, a po pijaku poda ci godzinę wschodu słońca na każdy dzień przyszłego roku. - Okręcił się wokół własnej osi. - Czekaaj, zadzwonię do niego.

Oczom księdza Gila ukazał się widok niezwykły, Enka sunący krokiem marszowym między koczującymi młodymi ludźmi, ich plecakami i bambetlami, odwracający się jeszcze z wrzaskiem: „Trzymaj tę cholerną kartkę”, czerwony między białą ścian. Na tablicy migwały złote literki przylotów i odlotów, a Enka odbijał się od sklepu do budy, coraz bardziej wściekły, wymachiwał paszportem, legitymacją policyjną, wreszcie rozczapierzoną dłonią. Gdy wyjmował portfel, pieniądze rozsypały się na ladę i u jego stóp; gdy odbierał kartę rozmów międzynarodowych, drżały mu dłonie podczas nierównych zmagania z folią. Stał przez moment pośrodku hali odpraw, spocony i zwycięski. Wciągnął powietrze.

Znalazł aparat blisko księdza Gila i ten widział wyraźnie, jak Enka usiłuje wcisnąć kartę na wszystkie możliwe sposoby, wali w klawisze, czymś kręci, aż zastyga z marsem na czole - znać, że zabrzmiał sygnał. Potem Enka tupnął i zrobił się buraczkowy. Zacisnął usta. Wykręcił znowu, czekał długo, bębniąc palcami o klamrę pasa od spodni. Ktoś po drugiej

stronie musiał powiedzieć mu coś ważnego, bo Enka zmarł, syknął i wybiegł, porywając kartę i zostawiając dyndającą słuchawkę.

– Cholerni Francuzi! - sapał. - Ta ich gadka, jakby garnki spadały. Te wąsiki i katarynki! Ta cholerna, przesrana wojna, to przez nich tak mamy. Oni nawet, Jędrak, Chrystusa ukrzyżowali, widziałem w filmie, stali pod Piłatem i wrzeszczeli - nadał się - *Ukrzyżuj! Ukrzyżuj!* Co jak co, ale ciebie to powinno obchodzić.

– To byli Żydzi - rzekł Gil zbity z tropu.

– A to jest już antysemityzm. - Enka pogroził mu palcem, żart wyraźnie go uspokoił. - Sęk w tym, że Grulę wciął, dzwoniłem do domu i na komendę, wyszedł, nie przyszedł, a jak Gruli nie ma tam lub tam, to znaczy, że nie istnieje. Teraz wszystko na twojej głowie. Ty gadasz. Ty jesteś, Jędrus, poligłotą.

Ksiądz doktor poligłota wodził oczyma po hali odpraw i czuł się jak dziecko wrzucone w nowy świat. Wszystko było większe, bardziej kolorowe niż w Polsce, więc pocieszył się myślą, że na paryskiej komendzie też jest taki Grula, który zasuwa nieustannie z kawą w dzbanku, ma wściekle pomarańczowy sweter i trzeba dla niego poszerzać drzwi. Ksiądz doktor zdał sobie sprawę, że mimo tytułu naukowego, kapłaństwa i przekroczonej trzydziestki ciągle jest dzieciakiem.

– No dobrze - zapytał po chwili. - W takim razie co robimy?

§ § §

Komisarz Enka czuł się obcy, a nawet nagi w tym nowym miejscu. Bezużyteczna blacha tylko uwierała w tyłek. Wokoło brzmiały, właściwie brzęczały niezrozumiałe słowa, nie było żadnych swojskich sklepów, tylko te z dziwnymi rzeczami, normalnym ludziom niepotrzebnymi. I wszędzie apteki, niemal co sto metrów zielenił się podświetlony szyld z napisem

PHARMACY, niektóre nawet nachodziły na siebie i Ence przyszło do głowy, że statystyczny Francuz jest stary jak świat i bogaty po zepsucie - najpierw żre tłuste sery, wali wino na galony, poprawia chrupiącą żabką, a potem pędzi się leczyć.

Zerknął - przez szybę widział wiotkiego sześćdziesięciolatka w obowiązkowym szaliku, jak zgarnia całą baterię lekarstw do skórzanej torby.

Tu ludzie chodzili inaczej, małymi kroczkami, ledwo odrywając stopy od ziemi, jakby blask wystaw ich spowalniał. Enka nie umiał tego pojąć, jak można tak zwolnić, dobrowolnie zrezygnować z pędu - przecież bieg jest tym, co człowieka określa najpełniej. Już bajtle śmigają w piaskownicy, potem goni się za kobietą, robotą, jesień życia upływa na pędzie w stronę wolnego miejsca w autobusie. Tutaj nie, ulicami Paryża ludzie wędrowali spokojnie i od niechcienia, Enkę wymijali gładko, można by pomyśleć, że przewidują jego ruchy.

Ulicą śmigają dziesiątki motorów i skuterów, bezbłędnie lawirując w chaosie samochodów - jazda Francuzów, zdaniem Enki, stanowiła odwrotność chodzenia, było w niej coś z zaciętej wściekłości, taniego cwaniactwa. Wcisnąć się, ominąć, niemal otrzeć o karoserię drugiego, śmignąć milimetr od buta przechodnia. Obok nowiutki citroen usiłował włączyć się do ruchu, dał wsteczny, zaraz do przodu, odpychając lekko samochody, które go blokowały. Uzyskał w ten sposób dobre pół metra, a po chwili Enka widział tylko malejący zderzak.

– Taki widać mają zwyczaj - rzekł do Gila. - Zostawiają auta na luzie.

Gil nie słuchał, tylko krążył w rozpaczliwych próbach dowiedzenia się czegokolwiek. Enka nie wiedział, co ten dokładnie robi, widział tylko czarną sylwetkę z jasnym kwadratem koloratki, jak dopada kolejnych przechodniów, wydaje z siebie kilka słów po angielsku, a Francuz robi

minę, jakby właśnie przystawiono mu pistolet do skroni. Potem machnięcie ręką lub rozłożenie dłoni; jeśli ktoś wskazał kierunek, to niepewnie i zaraz się wycofywał. Zdumiewała też niechęć mieszkańców do map, ledwo Gil rozkładał taką, a wszyscy się płoszyli.

– Myślałem, że znasz francuski - powiedział Enka.

Oczy Gila rozszerzyły się, ksiądz doktor habilitowany dyszał, sapał, pluł, jego twarz zmieniła się w biało-czerwony koktajl, prawdziwie polski znak w centrum Paryża.

– Co? - wykrztusił.

– Przecież bywasz w świecie i powinieneś znać *lingua franca*. – Uśmiechnął się, najwyraźniej dumny, że zna takie słowa, i gdyby nie miał matowych zębów, toby nimi błysnął. - Kombinuj dalej. Daj mi ten plan.

Piętnaście minut później nic nie uległo zmianie. Gil wciąż zaczepiał ludzi, ignorowany, nierozumiany lub odepchnięty nieprawdziwą informacją, czerwieniał i białł coraz mocniej, jego angielski mieszał się z sapnięciami, raz nawet uniósł dłonie ku bezchmurnemu, lecz milczącemu niebu w bezsilnym geście wołania o pomoc. Ksiądz doktor szarpał się więc z Bogiem i światem, a Enka zatonął w mapie. Ulice biegły inaczej na papierze, inaczej tutaj, kąty były inne, odległości przeogromne, więc i Enka zaczął mapą kręcić. To zgubiło go zupełnie, miał nawet wrażenie, że za każdym razem, gdy opuszcza głowę, Paryż ulega przemianie - z cichym szuru-buru złośliwe kamienice zamieniają się miejscami, tarasują uliczki bądź odsłaniają nowe.

Złożył mapę, złorzecząc wrednym oknom. No, jeszcze okiennicami zaklekoczcicie, proszę bardzo, a wam, jasne cholery, nawet te leki nie pomogą. Żeby słowa nie powiedzieć w żadnym języku poza własnym, o wy gnoje, przynajmniej w tym jednym jesteśmy sobie podobni.

Uniósł głowę. Przed nim dyszał ksiądz doktor habilitowany.

– Po prostu chodźmy przed siebie.

– I co? Wyspa nagle stanie przed nami?

Gil potrząsnął głową.

– Metro. Tutaj mają metro.

– Świetnie. Więc zamiast wyspy będziemy szukać metra - powiedział Enka złośliwie, lecz z pewną ulgą. Wbił ręce w kieszenie i ruszył przed siebie. Za jego plecami dyszał Gil. Enka zapalił, z każdym kłębem dymu czuł się lepiej, mniej goło i obco, a gromadzącą się w nim życzliwość do świata wyładował zachwytem nad budynkiem opery. Był to bogato zdobiony kolos z rzędem ogromnych okien i zielonkawą kopułą.

– Ładne to - rzekł Enka.

Tymczasem ksiądz doktor podjął kolejną próbę porozumienia się z mieszkańcami. Wysilił swój angielski i liczył na to samo, niestety, zabrzmiały słowa w języku, którego nie znał i chyba znać nie chciał. Było w tym jakieś echo mowy Szekspira czy też McHammera, lecz powykręcane i zniekształcone, przepuszczone przez filtr znad Sekwany. Jedna staruszka w wytwornym futrze mówiła przepięknie, za to nie umiała wskazać drogi - przyjechała z Berlina śladami pobytu męża, który przybył tutaj jako żołnierz w latach czterdziestych. Opowiadała o kawiarenkach, defiladach i bohaterstwie stron walczących, mało, a wydałoby się, że czas się nie zmienił i miasto wciąż pozostaje brunatne. Zostawili ją, trajkoczącą, pośród wspomnień.

Gil zadumał się chwilę nad urodą budynku, być może od tego piękna ssało go w żołądku. Oblizął wargi i poszedł dalej, w stronę słupa z czerwoną tabliczką i napisem METRO.

– Dobrze, że przynajmniej to słowo jest międzynarodowe - powiedział.

Zeszli po oplutych schodach; na ścianach wisiały reklamy filmów i czasopism, większe niż jakiegokolwiek w Polsce, ludzie na nich też byli

weselsi. I zaraz gąszcz białych tuneli zassał Gila i Enkę, w górę i w dół, rozgałęzienie za rozgałęzieniem, bez tabliczki czy strzałki wskazującej drogę. Im bardziej Gil zwalniał, tym bardziej Enka przyspieszała, aż nagle zobaczyli siebie, znieruchomiałych na dwóch końcach przepastnego korytarza.

– Chodź! No chodź! - wołał Enka.

Wypadli do ogromnej hali, pełnej budek, sklepów, bramek i barierek, lecz ogołoconej z jednej choćby linii metra. Kąty ginęły w mroku. Pokręcili się trochę, aż Enka wypatrzył coś, co wyglądało na aparat telefoniczny, ale bez słuchawki, i co okazało się automatem biletowym. Niestety, mimo zjednoczonych wysiłków nie byli w stanie pojąć, ile trzeba wrzucić i właściwie za co - liczby mieszały się z mową niepojętą.

– Można by jakąś kartę kupić. Na trzy dni - zastanawiał się Gil.

– I co nam z tego? Jak kupisz? Obiecałem Gruli bilet z metra, żeby trzymał go przy sercu - odparł Enka, nie wiadomo, żartem czy serio. - Może na dole coś się da kupić?

Zastukali jeszcze do wszystkich budek, zajrzeli też w miejsce, które przypominało polski kiosk - tam również nie słyszano o biletach, o osobnikach w rodzaju Enki także, jeśli wspomnieć minę, którą na jego widok zrobiła sprzedawczyni. Sam Enka wcale nie był zadowolony z tego, że budzi przerażenie, przeciwnie, wyczekiwał choć odrobiny życzliwości. Bezradny, stanął pośrodku pomieszczenia, omiótł wzrokiem ludzi, aż wypatrzył schody wiodące na dół. Dostępu do nich bronił szereg bramek obrotowych. Niektórzy Francuzi przez nie przechodzili, wtykając w bok jakieś karteczki, pewno bilety.

– Jakbyśmy je mieli, tobyśmy weszli - oznajmił. - Chodź tędy. - Wskazał niewielkie przejście z boku. - Może zdołamy kupić bilety na dole.

Na dole kręciła się grupa ludzi w niebieskich mundurach. Zagadywali coś do przechodniów. Enka wywnioskował, że to nie policjanci, najwyżej kolejarze albo ktoś taki. Przyspieszył, podszedł, zaczął coś tłumaczyć, wymachując dłońmi. Gil pojął, co się święci, doszedł, ale było już za późno. Kontroler wyjął swoją legitymację, a Enka swoją. Rozwrzeszczeli się, każdy w swoim języku.

Kontrolerzy otoczyli Enkę, Gil z trudem się przebił, zasapany, z torbą przerzuconą przez ramię. Po angielsku powiedział, że przyjechali z Polski na polecenie rządu, chcą tylko dojechać na wyspę Ludwika, do polskiego ośrodka, gdzie śpią, właściwie to nie wiedzą nic i chcą kupić bilety, a kolega, proszę panów, jest funkcjonariuszem policji, władze Francji obiecały pomoc i tak dalej. Kontrolerzy popatrzyli po sobie, jeden drugiemu brzęknął półsłówko i z grupy wyłonił się krępy brodacz, który miał znać angielski.

To była nieprawda. Wykrztusił z siebie kilka gardłowych słów, w brzmieniu nieco podobnych do francuskiego, którym władał Gula. Padły słowa jak mandat, problem, że *I dont care*, wskazał jeszcze na szczyt schodów, potem na peron i potrząsnął głową. Enka wyglądał na gotowego do walki z całym światem. Uratował ich najmniejszy z kontrolerów.

Był tak drobny, że Enka zapewne zdołałby zamknąć dłonie na jego barkach, do tego niski, na krzywych nogach i z wąsem. Głowę nosił jednak wysoko. Szkliste oczy wbił w koloratkę Gila, wskazał ją palcem, dygnął, jakby chciał klękać. Gwałtownie powiedział coś kolegom, tamci się obruszyli, jeśli sprzeczać ze sobą. Enka wzruszył ramionami, wyszedł z niebieskiego kręgu i podążył na peron. Gil pospieszył za nim. Kątem oka widział, że mały kontroler wykonuje gesty takie, jakby uczył kolegów, jak się przeżegnać.

Na peronie gęstniał tłum. Enka nieustannie oglądał się, by nie zgubić Gila, ale ten odpływał coraz bardziej w kierunku brzegu peronu, popychany, trącany, zatroskany bardziej o torbę niż o kierunek. Enka dał znak ręką, żeby czekał, i jął przebijać się w kierunku tablicy z rozrysowanym rozkładem. Ludzie napierali nań z taką siłą, że gdyby chciał, oderwałby się od ziemi. Zmrużył oczy.

Przed sobą miał mapę Paryża z gęstą pajęczyną różnokolorowych linii. Rozpoznał stację koło opery, gdzie się znajdowali, przejechał palcem raz i drugi, dla pewności. Tu przesiadka. Tam zmiana i chwila truchtu. Czemu niektóre linie są grubsze od innych? A inne rozdzielają się w połowie, właściwie po co - jak poznać, który kierunek jest dobry? A wszystko bez biletu. Gdyby tylko zdołał sięgnąć po kartkę i długopis... Nie mógł jednak, nie posiadał bowiem ani jednego, ani drugiego.

Zabrzmiał świst i turkot - kolejka nadciągała.

– Jędrus! Jędrus! - nawoływał, wycofując się ku środkowi peronu.

Dźwięk narastał, falował tłum. Gdzieś tuż przy krawędzi peronu mignęła znajoma głowa. Enka przyspieszył. Z tunelu wyłonił się płaski łeb pociągu. A głowa księdza Gila zniknęła.

Najpierw poleciała do przodu, niczym czarna piłka, gwałtownie pchnięta ku torom i kołom pociągu. Tłum wrzeszczał i rozpierzchnął się, zapiszczały hamulce, nad ludźmi błysnął snop iskier. A najgłośniej wył komisarz Enka, który porzuciwszy torbę, pędził, roztrącając ludzi. Ktoś upadł, ktoś uskoczył, ktoś oberwał - korytarz ludzki rozszerzał się przed komisarzem.

I głowa Gila pojawiła się znowu, na moment, już czerwona od krwi, oczy obłądne, jęk, trach - runęła znowu, ale już na bok. Pociąg hamował z piskiem, już dotarł, jeśli Gil spadł, nie żyje. W ryku, pisku, hałasie zabrzmiało coś jeszcze, mocne uderzenie, jęk bólu - to nie jęczał ksiądz doktor.

Ludzi jakby wymiotło, peronem biegł zaaferowany maszynista. Z drugiej strony nadciągali kontrolerzy, małeńki katolik wyprzedził wszystkich. Enka biegł i coś krzyczał, właściwie wył, ryms, potrącona Murzynka wylądowała na wielkim zadzie. A rozbiegający się ludzie odsłonili niezwykły widok: na ziemi leżał ksiądz doktor z rozkwaszoną mordą i trzął się ze strachu.

Na nim leżał Rajmund Cnota.

Drzwi kolejki otworzyły się, ludzie wyszli, jakby nigdy nic się nie wydarzyło.

§ § §

– Cholernie żałuję, że nie mogę cię zamknąć - powiedział Enka do Cnoty - ale jeśli się to nie powyjaśnia, załatwię ci dozór w tych cholernych Katowicach.

Gil zaraz się wtrącił:

– Daj spokój. Uratował mi życie.

Na te słowa twarz Rajmunda Cnoty wyszczerzyła się w uśmiechu. Siedzieli w wietnamskiej knajpce, czerwonej dziupli, gdzie pachniało ryżem i panierką. Na stole stały karafki z wodą, przed Gilem i Enką puste już talerze, za to Cnota wsuwał ostatnią krewetkę z trzeciej dokładki.

– Ktoś mnie pchnął w plecy. Nie widziałem go - opowiadał Gil. - Poleciałem prosto na tory i pan Cnota mnie chwycił, tamten spróbował znowu, obróciłem się, ale zobaczyłem tylko pięść. - Poglaskał się po nosie. - Upadłem znów pod pociąg, gdyby nie on - skinął głową - byłoby po mnie.

– Prowda to. - Rajmund przełknął krewetkę. Jadł razem z chityną, jego talerz wyglądał na umyty. - Żem chycił huncwota, ale trza było ratować księdza dobrodzieja.

Natychmiast wyrósł przed nim Wietnamczyk z pytaniem, czy dołożyć, po chwili zawinął się z talerzem i zabrał do nabierania krewetek. Enka odczytał z miny Cnoty, że Ślżak najwyraźniej czuje się zaproszony, a oni płacą, za to Gil nie mógł pojąć, jak ktoś może upchnąć w siebie taką ilość krewetek, do tego razem z chitynowym pancerzykiem.

– Dobrze te rybki som. - Cnota zabrał się do kolejnej porcji. - Mom po uszy rolady, modry kapusty, odkund Hanka umarła, to byle co jodom.

– Dobli? Dobli? - zapytał Wietnamczyk, któremu najwyraźniej nieobcy byli rodacy Cnoty. Cofał się powoli, patrząc na objadającego się Cnotę z mieszaniną zdumienia i miłości. Cnota otarł usta.

– Dobli, dobli, francuski farmazonie. Wina dej.

Rozumieli się bez słów. Przed Cnotą wylądowała buteleczka bez korka, rozmiarów małego piwa. Obok stały już trzy takie buteleczki. Napił się z lubością, mlasnął i wrócił do krewetek. Jadł palcami, co chwila je oblizywał, pochylał głowę nad talerzem, co jakiś czas patrzył spod pomarszczonego czoła na Gila i Enkę i uśmiechał się między kłapanięciami zarośniętej paszczy.

Enka pomyślał, nie pierwszy i nie ostatni raz, że powinien był zatrzymać Cnotę w Polsce. Jak nie pod kluczem, to wlepić dozór. Przeżuł tę spóźnioną mądrość i zapytał:

– Po cholere tu przyjechałeś?

Cnota znieruchomiał na moment. Z ust wystawał mu chitynowy ogonek.

– Pónbóczek mi rzekł, do kraju Francuza pojedziesz i poczekosz - oświadczył zupełnie spokojnie, lecz głosem, który nie znosi sprzeciwu. - Mom czarci bref zniszczyć. Pónbóczek rzekł jeszcze, że farorza uratują. - Wskazał kolejną krewetką na ciut wciętego Gila, uśmiechnął się i wrócił do jedzenia.

– Bóg ci powiedział... - rzekł Enka.

– A przed kim mnie ratowałeś? - wtrącił Gil.

– A przed ruskim diabelstem ratowałem, a co? Mało to bandurków, cygonów po ziemi naszej chodzi? Z Sowietów dziadostwo przylazło, tam do szkół poszło, a co, ja sobie myśla, a anioł Boży mi prowił: ty, Rajmund, bedziesz w domu siedzioł czy zrobisz co dobrego? Ruskie majum głowy złe i mocne, niszczum myślum jednym, czerwona hołota, teroz ze smyczy urwano.

– I Ruski Andrzeja popchnął? - zapytał Enka.

– A tego jo nie wiem. Anioł mi nie powiedział, Bóg tyż nie powiedział, alem zobaczył, jak dobrodziej na szyny leci, tom się nie wahał. Rusek nie zawsze, czort francowaty, rąk potrzebuje, by w śmierć popchnunąć. Farorz dobry człowiek, do nieba by poszedł, ale trzeba wcześniej ważną rzecz zrobić. Rajmund Cnota onym pomoże, pra?

Minęła chwila, nim Enka z Gilem zrozumieli, że „oni” to oni właśnie. Cnota jakby coś sobie przypomniał, przesunął talerz z krewetkami na środek, chciał, by się częstowali. Dłonie mu lśniły jak natarte łojem.

– Co to właściwie za ludzie? - chciał wiedzieć Gil.

– Czy byli w Janowie? - zapytał złośliwie Enka.

– Jak nie byli, to Janów złym ślipiem widzieli - padła odpowiedź, Cnota chleptał wino. - Nie muszum być, by widzieć.

– To jakiś nonsens - skwitował Enka. Im bardziej wsłuchiwał się w słowa Cnoty, tym mniej rozumiał, co jest grane, więcej, wydawało mu się, że każde kolejne słowo to błędny ogień, wabiący ich ku bagnom śląskiej paranoi.

Cień smutku przebiegł przez twarz Rajmunda. Zaraz przeszedł w uśmiech i Enka poczuł się głupio. Cnota musiał nieustannie słyszeć takie rzeczy i znosił to lepiej niż niektórzy policjanci przewani na komendzie duchołapami. Enka chrząknął:

– Powiedz nam po prostu, o co chodzi.

– Sowiety zaczęły trzeszczeć, pra? I jo zech się temu trzaskowi przyglundoł. Piećset milionów rubli, tyle poszło na diabelskie sprawy łońskiego roku. Ludzie pytoli, a tu nie wiedziol nikt.

– Co to za diabelskie sprawy? - rzekł Gil. Zerkał w kierunku wina, kiwnął na Wietnamczyka i też dostał buteleczkę.

– W mózgach mieszanie. Złe cygarety, magnesy, hipnozy - wyliczał Cnota. - Dla wojska szykowali, bandziory dostoly, kto ma ślipia, niech patrzy, kto ma uszy, niech słucho. Ludzie pogubieni. Dusze pozabierano, Pónbóczek rzekł: Cnota, ty się ich nie lynkaj, jo cię opieką otocza. I pomógł mi szukać, dłoń anielska wskazała, cztyrnoście różnych familoków w Sowietach, cztyrnoście czarcich świątyń czeko na dzień sundu. Joki ogień dla nich, jako karo straszliwo? - Pokręcił głową. - Tyle dusz, tyle dusz. Akademogrod. Moskwa. Leningrad.

Ostatnie słowa wypowiedział bez akcentu. Zamrugął, posłał słaby uśmiech. Enka kiwnął głową.

– Widziałem podobne rzeczy - przyznał.

– Szpital Przemienienia w Pińsku [6] - wyrwało się Gilowi, pochłoniętemu przelewaniu wina do kieliszka. Oprzytomniał, zapytał: - Kto to robił? Rząd? KGB?

Cnota skinął głową.

– A teraz bandziory zwykłe! Od diabła piniundze mają! I dla jego sprawy ten szmal się mnoży, złote góry rosna dla ziemskich królestw. A wiara jest mało, okruszek ino, lecz, pra, ten okruszek mo światło, diobeł na nim się potknie, głowa pęknie, robaki uwolni. Tak mi anioł rzekł: „Rajmundzie Cnoto, okruch jedyn zmiecie dolary królestwa czarciego”.

Gdzie Rzym, gdzie Krym, zastanawiał się Enka, raz dolary, raz ruble, raz KGB, raz mafia, choć to chyba akurat jedno i to samo. Ciekawe też, w jaki

sposób mówią do niego Bóg z aniołem, który jest od czego, a który nie, skrzydlaty gania z pierdołami, a Bóg fatyguje się do Janowa tylko z czymś naprawdę ważnym? Dziwne też, pije wino za winem, a wcale nie wygląda na urzędnego. Tylko morda mu kraśnieje.

– Do rzeczy, człowieku - warknął ostrzej, niż chciał. - Nie będę tu siedział do nocy.

Cnota pozostał niewzruszony.

– Ruskie diobły umiom zatrzymać serce. Widzom na odległość. Ruszom kamień bez dotykania, samą siłą chęci przeklyntej. Albo i auto. Albo dom cały na głowa komu zwałą. Ała Wingradowa, Nina Kułgaina, dawno, dawno ci zaczęli, ci najgorsze plugastwo na wschód przyciągli. O tak. Amerykany nie wiedzieli długo, bomby swoje mieli, a w piwnicach, bunkroch Kułgaina ludziom serca zamrażała. - Złożył usta jak do splunięcia. Gil wyglądał na zorientowanego. W zamyśleniu wziął krewetkę, jedną z ostatnich. Wietnamczyk już przebierał nogami.

– Słyszałem o tym - stwierdził ksiądz doktor. - Rosjanie eksperymentowali z psychotroniką już w latach sześćdziesiątych. Kułgaina, którą pan Cnota wspomina, potrafiła zatrzymać bicie serca. Eksperymentowano na więźniach, z tego, co pamiętam. Ale to nieprawda, że Amerykanie siedzieli bezczynnie. Badania nad psychotroniką trwają tam z ćwierć wieku. Mieli kilka programów, Grifame był najważniejszy. Mieli wielu szpiegów. Niektórzy - dodał poważnie - działają do dzisiaj.

Enka nabrał powietrza. Nie tylko dlatego, że piąte już krewetki wjechały na stół.

– Nie chcę wyjść na ignoranta - powiedział, wyraźnie świadom tego, że zaraz to się stanie - ale gdzie my, do cholery, jesteśmy? O czym mówimy? Ty trujesz coś o Sowietach, Andrzej wyjeżdża z Amerykanami, tu Mickiewicz, tam Paryż, czy raczej na odwrót. - Zapalił. - Można przecież

oszaleć, jak uwierzyło się w jedno, panowie, to nie znaczy zaraz, że wszystko...

Poczuł na sobie gorące spojrzenie Rajmunda Cnoty, niczym paluch włożony w głowę przez nagle rozmiękną czaszkę. Nie bolało.

– Nie widziałeś już dosyć? - zapytał Cnota.

– Kurwa, widziałem - zgodził się Enka. - Myślicie, że ja nie słyszałem o tym samym? Każdy baran w kraju zarzuca mi biurko gównem i aż zachodzę w głowę, skąd te matoly o mnie wiedzą. - Skinął na Cnotę. Tak od niechcenia. - Przysyłali mi jakieś bzdety o bitwach astralnych między bezpieczeńką a dysydentami, o telepatach w wywiadzie i w rządzie, no, ludzie kochani, przecież tym można sobie oczy podbić, a wy wyjeżdżacie z nie wiem jaką rewelacją. Siedzimy tutaj, gadamy o tym samym.

– Nie widziałeś żeś dosyć? - powtórzył Cnota. Jadł już wolniej.

Enka porwał krewetkę. Gapił się na papierosa, jakby ten właśnie zmaterializował się w dłoni.

– Widziałem. I swoje wiem. Widziałem takie rzeczy, że buty by ci pospadały. Ale dwie trzecie wszystkiego to gówno. Ruskie wtopiły z psychotroniką, ktoś komuś zawrócił w głowie, wycyckał na kasę i święto. Wy wiecie, o czym mówicie? To wywiad, choćby i przemysłowy, takie rzeczy by wyszły, prędzej czy później. - Złapał się na tym, że traktuje Cnotę jak partnera w śledztwie.

– To wyszły - przypomniał Cnota.

– Otóż gówno - odparł Enka.

– Pozwól, przypomnę ci, że są rzeczy, które nie śniły się milicjantom - Gil położył akcent na to ostatnie słowo. - Nawet Reagan mówił kilka lat temu o groźbie inwazji z kosmosu. Publicznie i z Gorbaczowem.

Enka zamknął sobie gębę krewetką, zatonął w myślach. Siedzą sobie, Cnota zre, jakby miał głodować do Barbórki, baran jebany, a powinni

rozmawiać o tym, czemu znaleźli się we trzech na dworcu i kto pchnął Gila pod pociąg. Tak właśnie Enka myślał, a Rajmund Cnota zmrużył oczy.

– Z tym dworcem to dziwne, pra? Myślicie, że jo rozumiem, a ni rozumiem. - Rozłożył dłonie. - Baran jebany i tyle.

Jakaś dziwna cisza zaległa przy stoliku. Enka zmartwiał z ręką wiszącą nad krewetkami Rajmunda Cnoty.

§ § §

Komisarz Zbigniew Enka z nieznanym sobie przyczyn nie potrafił oderwać wzroku od brody Rajmunda Cnoty. Gęsta, niby poskręcana z siwiejących drutów, niby ptasie gniazdo, rdzawy śmietnik na resztki jedzenia i tłuszcz. Można by włożyć w nią całą rękę, w tej brodzie zmieściłby się dom z garażem, może właściwie nie mieć końca. W niej półwidoczna jama ust i żółtawe zęby. Wyżej czerwony nos, bruzdy na policzkach. Oczy głębokie, niebieskie wiarą, mur, o który każdy się pokruszy. Co właściwie mówi ten człowiek? W co ja znowu się wpakowałem?

Spróbujmy wziąć w kupę to wszystko: oto galeria trupów, rozwalonych od zewnątrz i od środka, za co odpowiada, jak się zdaje, ostatni kawałek, jaki Mickiewicz spłodził przed ochuceniem i śmiercią. Pojechali przez to do Paryża, plecy grzeje im oddech komendanta Anioła i kogoś jeszcze, daleko bardziej złowrogiego. Ruszyli do tej cholernej Francji tylko po to, by pogadać z kolejnym mądrałą, który sprawę jeszcze bardziej zmąci. A żeby było wesoło, siedzi przed nimi górnik, okultysta i sługa Boży, co jest z aniołem i Pónbóczkiem za pan brat, może dlatego, że porozumiewa się w sposób niepojęty. Za to widzi przyszłość i czyta w myślach. Też dobrze. Tylko co ja tu robię? Kiedy wreszcie przestanę pytać się o to? Co robię?

Czy nadejdzie dzień, kiedy po prostu wstanę i pójdę, uczynię co trzeba, bez żadnej zbędnej myśli?

I co, do cholery, stało się na peronie?

Krewetki już się skończyły i ku zdumieniu Enki Gil przyniósł nowe. I wino, całą butelkę, Cnota przyjrzał jej się krytycznie i nic nie powiedział.

Opychali się krewetkami, pluli chityną, zamykali dłonie na wargach. Gil nabrał niemal górniczego tempa, wsuwał jedną za drugą - rzeczywiście, były dobre. Umiał jeść z zamkniętymi oczyma, rozchyłał powieki, tak talerz wyglądał jak przez siatkę, porywał jedną, jadł już z zamkniętymi oczyma. Chciałby zobaczyć chmury takie jak wcześniej, w samolocie, masywne kłęby o puszystych karkach. Pojawiały się, owszem, może Cnota wypychał je siłą własnej głowy. Krótco trwały, następowało ściemnienie, chmury tężały w kształty wielkich matek o białych piersiach oklapniętych na pofałdowane brzuchy, sromach rozdartych dziesiątym, trzydziestym porodem. Gil nie chciał ich widzieć. Słońce gasło, nikły blask, jakby padał spod drzwi na gigantyczne maszyny pełne metalowych twarzy, z kościanymi tłokami. Pracowały miarowo i bezgłośnie, rozwiewając kurz.

Opadło go przejmujące zmęczenie, najchętniej złożyłby trzy krzesła i na nich się wyciągnął albo wstał, za wszystkie pieniądze zamówił taksówkę, popędził i w niej spał.

Przymknął oczy i zobaczył kobietę. Drobna. Zgarbiona, upiornie piękną. Wybuchnęła śmiechem, Gil zamrugał oczami - nic się nie stało, nic nie ma, tylko brzęczały sztucce.

Rajmund Cnota się uśmiechnął.

– Z wiaro żyje się lepiej - powiedział. - Jo w Pónbóczka wierzę, ale i w diobła, a jok diobeł jest, to i sługi jego francowate. Jak kto z czartem zadrze, to sługi przyjdo, zakatrupio. Bo diobeł ma świot we władanie na

czas skończony, bliski czas. Warczy. Przez złych ludzi działa. Dobrze będzie. Rajmund Cnota był som, a tyrozki jest nos trzech.

– Nie lubię, jak ktoś mi siedzi w głowie - rzekł Enka. - Bo widzisz, Rajmund, ja raczej nie wleżę do twojej.

Cnota wpakował paluchy w talerz księdza Gila. Wyłowiona krewetka miała rozmiar skuwki do długopisu. Przypominał archeologa, który wyrwawszy ziemi starożytny posążek, próbuje na podstawie samego wyglądu dociec, jaka jest jego historia, kto się przed nim modlił i dlaczego porzucił.

– Dar Pónbóczka święty dar - powiedział. - Wy nie chcecie, jo nie wejdem. Jo ni umim, jak kto nie chce.

– To umówmy się raz na zawsze, że nie mam na *to* ochoty - odparł Enka.

– Mów - poprosił Gil.

– Zło wielkie na wos czeko, wiem dobrze. Możecie już zostoć tu na zawsze, pra? Jo wom pomoga. Czarcie...

Enka spuścił głowę, przełknął ślinę, wykonał dziwny gest ręką, jakby odganiał dym. Albo duchy. Cnota urwał w pół słowa.

– Andrzej, rany boskie, powiedz ty, co stało się na peronie? Przecież możemy tak tu pieprzyć od bańki do nocy.

Za szybą ludzie przyspieszyli, światło latarni padało na wilgotny chodnik, kamienice po drugiej stronie spowiła ciemność, jedno po drugim zapalały się okna. Ludzie wracali z pracy, a Enka się pomylił. Noc już nadeszła. Gil patrzył tępo w talerz.

– Nie mam pojęcia. Szedł na mnie jakiś człowiek. Wydawało mi się, że idzie. Przebijał się przez tłum. Wysoki, wyrazisty. Ogolony. Czarne włosy, krótko ścięte. I na czarno ubrany. Chyba. Nie umiem powiedzieć, jak wyglądał dokładnie. Potem poczułem, że lecę, ale nie że mnie pchnięto. Jakbym uniósł się w powietrze sam z siebie. Podmuch czy co?

– Mówiłech wam - przypomniał o sobie Cnota.

– Może zadzwonię do Gruli, żeby przy pierwszej lepszej okazji zapuszkował Kaszpirowskiego? - zaproponował Enka.

Rajmund Cnota splunął. Wietnamczyk spał się momentalnie, lekko poszarzał, oczy stały się większe i jakby mniej skośne. Kiwnął na pomocnika i ten wrócił ze szmatą. Enka posłał przepaszający uśmiech, czym jeszcze pogorszył sprawę - Wietnamczyk zniknął na zapleczu, pomocnikowi zmiękły kolana.

– Wicie, jak Sowiety kraje obdzieliły? - odezwał się Cnota. Znudził się już krewetkami i starannie wycierał dłonie serwetką, nie zapominając o włochatej przestrzeni między palcami. - No, to Bułgary dostały kompiutery, Szwaby optykę, my samoloty, no a Ruskie zachowały wszystko, co tylko tamtego święta. Hitler miał swych magów, Stalin swoich, więcej na nich wydoł. Zabijał tych farmazonów, a potem ściungoł nowych. Czarci pomiot.

Znów złożył usta jak do splunięcia, opanował się, powstrzymany przez spojrzenie księdza doktora.

– Diabeł miał w Stalinie wielkiego pomocnika - oznajmił uroczyście Cnota. - A czort wdzięczno bestio, to doł tyj bestii famulusa, sługę piekielnego. Wolf Messing go zwali. Wolf, wilk, pra? On umioł ludziom w głowy wchodzić, nie jak Cnota, czy chcieli czy nie chcieli. Do złych rzeczy zmuszoł. Widzioł to, co za morzem. Un i Stalin. Czarownik i jego car.

– Skąd ja to wszystko znam? - zastanawiał się głośno Enka. Znał też wino i owo sobie zamówił. Umysł, dotąd zaabsorbowany Rosją, Gilem i sposobami na zrozumienie tego, co plecie Cnota, powrócił do kwestii przyziemnych - ile forsy pochłonoł już ten obiad i co powie Anioł, jak zobaczy rachunki.

– Wolf już w kołysce rozmawioł z duchami. Biała postać przyszło po niego. Pojuł, jak widzieć rzeczy zakryte, pokozwoł to na placach i w

teatrach. Znały go Freudy i Einsteiny, aż przepowiedział Hitlerowi klynska. Skuty, kajdany rozwiązał, zamknięty, otworzył drzwi celi. Stalin, o tak, Stalin go przyjął.

Serwetka, starannie złożona, wylądowała na stole. Cnota wydobył wykałaczkę, podłubał sobie w zębach.

– Stalin boł się go jak diobła. I miał rację! - Uniósł palec. - Wolf wchodził mu w bunkry i apartamenta, ze strażników kpił, uniknułby kuli, z jadu się śmiał. I jak Stalin rozwoił swych magów, jego jednego zachował. Mi się zdaje, że to Wolf som chciał ich pozabijóć. I zatrudnił swoich. Pierwszy projekt, trupy - przejechał palcem po gardle - drugi już z Wolfem... [Z]

– Pierwszy projekt? - zapytał głucho Gil.

– No dajże mówić człowiekowi - zezłościł się Enka. - Pierwszy projekt to ten z lat trzydziestych. Była w nim ta menda, Profesor.

– Wolf dostał pieniądze i skrzydła mundurowych, cuda Bogu należne zabierał. Po wojnie zaraz zaczął, jak wyszło, że Ameryka bombę ma słoneczną. Z pierwszego projektu nieliczni przeżyli, pościągół z Sybiru, doł miasteczka koło Atbasaru. Cztery. Tajne, domy jak sejfy. Tak zech czytoł, tak mi anioł rzekł. A anioł ino recht rzecze. Wolf umarł, prace trwoły. Teraz już ich nie ma.

– Co się stało? - dopytywał Gil.

– Sowiety padły, to i ci czarodzieje poszli w pizdu - obwieścił Enka. - Porozłazili się, jak znam życie.

Cnota przytaknął, znów uśmiechnięty, jakby teraz role uległy odwróceniu i Enka zdołał odczytać jego myśli.

– Zamknięci jak w pudle, bez forsy, głodowali, a uciekli, jak tylko mogli. Paru wyłapano, a po Janajewie Jelcyn już dał forszę, co Gorbaczow zabrał. Do dziś tam siedzą, w Kazachstanie. Czarcie syny. Ale inni, co

zwiali, wyndrują po ziemi. Jak Legion ten francowaty. Do Amerykanów poszli. Do Izraela. A są i tacy, grają o swoje. O tekst diabelski wieszca Adama.

Skończył dłubać w zębach, ocenił wykałaczkę przenikliwym spojrzeniem i zabrał się za brud spod paznokci. Już milczał, skupiony na czarnych drobinkach gromadzących się na wykałaczce.

– Skąd o tym wiesz? - zapytał Gil.

Cnota uniósł oczy ku niebu, skąd zapewne brzmiały czasem głosy Pónbóczka i aniołów.

– No to klops - stwierdził Enka. Mówił gorączkowo: - Zakładając, że on ma rację - wskazał głową na Cnotę - wychodzi na to, że księgi szukają Ruskie, ktoś, kto przeszkodził im u wiceministra, my oraz pan Cnota. - Nerwowo dopił wino. - Może już ją mają? Co zrobimy, jeśli dorwą ją pierwsi? I po jaką im to cholere, tekst, który zabija? Myślisz, że może posłużyć do czegoś dobrego? Jak myślisz, Andrzej?

– Zwykle ja martwię się takimi rzeczami. - Gil kiwnął na Wietnamczyka. Poprosił o rachunek.

A Enka złościł się dalej:

– Wiem, wiem, przecież nic się nie dzieje. Sobie poradzimy, jeszcze w towarzystwie tak dzielnego pana jak Rajmund. - Wskazał na Cnotę, jaśniejącego uśmiechem na pół knajpy. - Problem w tym, że jak dostaniemy te wierszyki, to jeszcze nie koniec historii. Co robi się z takimi rzeczami, Andrzej? Co my moglibyśmy zrobić?

Gil obracał w palcach długą wstęgę rachunku, marszczył czoło, tworząc fałszywe wrażenie, że głowi się, kto tyle zjadł, wypił i czy nie można było taniej. Naprawdę wyobrażał sobie taniec wśród świec, w półmroku przyjaznym i ciepłym, gdzie nawet cienie mają miękkie kształty, każdy ruch - ich i jego - jest tym właściwym. Podobnie jak słowa, nie przez niego

złożone w mrok i nadzieję, nie przezeń wykrzyczane, ale przecież płynące z jego ust. Otrząsnął się. Nie pomogło, wciąż cienie. I ten jeden, charakterystyczny, drobnej kobiety w długiej sukni.

Te same cienie igrały w oczach komisarza Enki.

– Wy poczciwe chłopy jesteście, ale czosem gupie jak unglya garść - rzekł Cnota. Nie odrywał wzroku od Gila, ten wzrok niósł spokój. Pewność, że jeśli nawet wszystko nie będzie dobrze, to nie pozostali bez nadziei, silne, dobre spojrzenie Rajmunda Cnoty, bez rysy czy złamania.

Gil oprzytomniał. Przesunął rachunek pod nos Enki, ten tylko pokręcił skołowaną głową, wysupłał banknoty, zerknął w stronę Wietnamczyka wzrokiem zarezerwowanym dla zbrodniarzy wojennych. A Cnota, z uśmiechem już chyba przyklejonym, cisnął forszę na stół. Dużo, prawie na wszystko.

– Jo życie uratował, to i dam zjeść jak trzeba. Pónbóg nie tylko mówi, ale i dobrym życiem Rajmunda Cnotę obdarował.

Coś zmieniło się w jego uśmiechu. Wątpliwość, może żal i Enka zrozumiał, że Cnota kłamie, nie ma forsy na tyle, by szastać nawet w najtańszych zachodnich restauracjach. Chce zaimponować, postawić się, błysnąć? Ślżacy tak mają, tak Enka słyszał - strach przed biedą tłumaczy smutek w uśmiechu? Nie, pojął nagle, nie przed biedą, lecz śmiercią.

Rajmund Cnota bał się, że już z Paryża nie wróci.

Enka podniósł się z krzesła:

– No to się zbieramy. Rajmund, pójdiesz z nami. Mamy nocleg na...

– Rajmund Cnota śpi przy kościele - padła odpowiedź.

– Otóż nie - Ence brakło siły na złość. - Śpisz z nami na wyspie Świętego Ludwika. Sam powiedziałaś, że jest nas trzech.

Nie wiedzieć czemu, Gilowi przypomniała się Warszawa i mieszkanie Królowej [8]. Cnota zakręcił palcem w brodzie.

– A nawet dobrze - zgodził się łaskawie. - Wy byście nawet czarciego syna nie poznali, tyś nie poznał - mówił o Gilu. - A ja zawsze, bo ludzie światła mają, co ino ja je widzę. Nikt inny. Różne to światła, mocne i nie, a ruskie czorty nie mojum światel, ino cienie.

Stali chwilę w milczeniu, patrząc na siebie. Ruszyli jednocześnie, każdy chwycił swój tobołek, Gil poszedł przodem w paryską noc. Enka przepuścił Cnotę, przyglądał się jego szerokim plecóm, grubemu karkowi, opadającym nań rudym strąkom. Powlókł się na ciężkich nogach, z nadzieją, że wyspa Ludwika jest blisko, że jest tam magiczne łóżko, które pozwoli zapomnieć o ruskich magach i czarodziejskich tekstach. Odwrócił się, by pożegnać Wietnamczyka choćby gestem. W końcu napluli mu na podłogę.

Pusta karafka na stoliku, gdzie chwilę temu siedzieli, pękła, skurczyła się na pył. Bezgłośnie i w jednej chwili osunęła się jak zamek z suchego piasku.

Enka nie powiedział o tym nikomu.

§ § §

Wędrowali przez miasto z otwartymi ustami, gęsiego. Najpierw zwalisty Rajmund Cnota, targając ciężką przeciw torbę bez żadnego wysiłku. Rozglądał się nieustannie, bezczelnie gapiąc się na Murzynów i Arabów, sunących chodnikiem w całych grupach. Mrużył oczy, grzebał sobie w brodzie. Przystawał kilkakrotnie, dostrzegłszy coś, co musiało go szczególnie zachwycić: kino Pathe, oszklone, z żółtą obramówką i trzema ogromnymi plakatami filmowymi, rozświetlone place, tłoczne kawiarnie ze stolikami wychodzącymi na chodniki, roześmianych, zagadanych ludzi. Uwadze Enki nie umknęło, że Cnota wbrew swemu nazwisku odprowadza co ładniejsze czterdziestolatki maślanym wzrokiem.

Za Cnotą człapał Gil, z głową sztywną, niby na pal wbitą, za to z rozbieganymi oczyma. Przypominał mu się Rzym, pełen skuterów i trąbiących samochodów. Tu wszystko było jeszcze większe, zastanawiał się więc, po co Bóg tłoczy tylu ludzi tak blisko siebie. Kiedyś przecież było ich mniej, mieszkali dalej - czy to dlatego, że nadchodzą straszne czasy i bliskość jest tak bardzo potrzebna?

Komisarz Enka cieszył się, że zamyka pochód i towarzysze nie zwracają uwagi na jego bezbrzeżne zdziwienie. Podobały mu się kawiarenki, światła i nawet kino, rozumiał niejasno, z jakiej dziury tu przyjechał, lecz skupiał się na czymś innym. Przypominał sobie, jak cieszył się kilka lat temu swoim polonezem, byle paryski biedak padłby ze śmiechu, jakby usłyszał o tej radości. Nie wiedział nawet, gdzie zwrócić głowę, kilkakrotnie przystawał, podziwiając linię, tapicerkę czy felgę. Samochodami wprost nie umiał się znudzić i ledwo starczało mu uwagi na kobiety. Jakie one były piękne! Minęła ich strzelista Murzynka, piękna jak królowa całej Afryki, z ustami stworzonymi, zdaniem Enki, w tylko jednym celu. Dwie przecznice dalej stała blada blondynka, nienaturalnie drobna i po brzegi wypełniona ciepłem, zaraz, Enka niemal staranował trzydziestoparolatkę o cerze bez skazy, ubraną ze skończonym zamysłem - nic w niej nie było przypadkowe, poza tym właśnie zderzeniem. Enka patrzył, chłonał i nawet się nie zorientował, kiedy zrównał się z księdzem doktorem.

– Nie powiedziałem ci wszystkiego - rzekł Andrzej Gil.

Cnota szedł kilka metrów przed nimi, kręcąc głową i roztrącając ludzi. Francuzi patrzyli na niego jak na olbrzyma, który właśnie wybiera, którego z przechodniów pożreć. Uskakiwali, uchylali się, skręcali w boczne uliczki albo i opierali się o samochody.

– Nie powiedziałem ci, że owszem, poczułem pchnięcie, ale przeleciałem w powietrzu co najmniej trzy metry - ciągnął Gil. - Spadłbym

na tory, gdyby nie Cnota. Widziałem tego, co mnie pchnął. Stał zupełnie bez ruchu j trzymał ręce w kieszeniach.

– No to cię nie pchnął - odparł Enka, odprowadzając wzrokiem *sportowe renault* z odsłoniętym dachem.

Gil nie dał za wygraną:

– Nie mam żadnych wątpliwości, że to ten człowiek. Tak samo ja wiem, ty pewno też, że dzieje się tutaj coś, z czym nie mieliśmy do czynienia nigdy wcześniej.

Enka oderwał wzrok od samochodów, kobiet i przeniósł go na księdza doktora. Nie podobał mu się błysk w Gilowym oku, widział go kilkakrotnie już wcześniej i nie przypominał sobie, żeby zwiastował cokolwiek dobrego. Skupił się więc na Mulatce z biustem dosłownie wciśniętym w sztywny stanik. Facet, który szedł koło niej, też wyglądał jak przyciśnięty.

– Jędrus, jak cię proszę, nie zaczynaj znowu.

– Wiesz, co jest zabawne? - odparł natychmiast ksiądz Gil. - Mickiewicz pisał sobie *Do przyjaciół Moskali*, a za nami chodzą teraz sieroty po KGB. Ci Rosjanie...

– *Przecież* ten facet pieprzy. - Enka wskazał na Cnotę, ale w jego głosie nie było już pewności.

Gil przystanął. Za plecami Enki ludzie wylewali się z metra.

– Zastanawiam się, kiedy po tym wszystkim, co widziałeś, uwierzysz w coś więcej niż pagony swojego komendanta. Zastanów się tylko, co ten facet od andronów tutaj robi? Jak znalazł nas w kilkumilionowym mieście dokładnie w chwili, gdy potrzebowałem pomocy?

– Może leciał z nami? A potem zwyczajnie nas śledził - odparł Enka bez przekonania. Pokręcił głową, szukał, czego by tu się chwycić. Niestety - z naprzeciwka sunął akurat tłum facetów, jedyna kobieta była stara i tłusta, samochody wyblakły. Poczul się jak dziecko.

Paryż wydawał się nie kończyć, mijali ulicę za ulicą, z półmroku w światło i w półmrok z powrotem, zielone refreny aptek, wielobarwne kawiarnie, najróżniejsze domy, niektóre odnowione, lecz na krawędzi rozpadu, inne były w niebo szkłem. Daleko świeciła wieża Eiffla. Ludzie powoli stawali się podobni, zwłaszcza dla komisarza Enki, który nigdy nie umiał rozróżniać ciemnoskórych. Przewodnik pokazywał nieustannie tę samą drogę, każdy centymetr na mapie zmieniał się w kilometry drogi.

– Bo ja wierzę, ale nigdy nic nie wiem - wyznał Enka. - Coś się dzieje, czuję się pchany, a tego, kurwa, nie cierpię. Zwyczajnie się boję. Dziwisz mi się?

– Trochę tak. To mnie pchnięto na tory. To ja mam się czego bać.

– To akurat, Jędrus, jest zwykłe pierdolenie.

Przyspieszyli, usiłując dogonić oddalającego się Cnotę. Cholerny Ślązak, myślał Enka, ani razu się nie obejrzał, ani nawet nie zwolnił. Wydawało mu się, że Cnota przyspiesza, niesiony czy to pięknem miasta, czy wichrami własnego szaleństwa.

§ § §

Była dziesiąta wieczór, gdy wreszcie zobaczyli wyspę, na której mieli znaleźć muzeum i bibliotekę. Enka żałował, że nie wie, jaki tam jest numer telefonu ani w jaki sposób wytłumaczy Polakom tam rezydującym, że Rajmund Cnota awansował z emerytowanego górnika na policyjnego konsultanta.

Trąbiły samochody. Wraz z tężeniem nocy blask nadbrzeża wydawał się bardziej intensywny, odbijał się w spokoju Sekwany. Enka nie umiał się tym zachwycać, za to znalazł nowy powód, by złościć się na Cnotę. Cnota z niepojętych przyczyn zainteresował się stoiskami przytulonymi do

bulwarów. Przeglądał książkę za książką, choć nie znał języka i nie było w nich obrazków, a jak obrazki zobaczył - marne kopie, włożone w antyramy lub w foliowe koszulki - zwariował do reszty. Oglądał, obracał w dłoniach, pytał po śląsku, ile co kosztuje, aż wybrał akwarelkę z Matką Boską zsyłającą łaskę na katedrę Notre Dame.

– Wszystko u niego pokręcone - powiedział Gil. - Przecież mówił nam, że jest protestantem.

Westchnął, widząc, że Enka nie ma pojęcia, o co chodzi. Cnota tymczasem owinął ramkę starą gazetą i ostrożnie włożył do torby.

Na moście całowały się pary, a dwoje młodych ludzi po drugiej stronie czyniło coś daleko bardziej nieprzyzwoitego. Idąc przez most, Gil nie myślał jednak o szóstym przykazaniu, ale o tym, że są tutaj jak na widelcu.

Trochę kluczyli, nim znaleźli właściwe miejsce, widzieli z tyłu ogrom katedry Naszej Pani, z ust Rajmunda Cnoty dobyło się ciche westchnienie. Weszli między wąskie uliczki, sklepy z winami, między stragany z wyłożonymi owocami. Błądzili. Muzeum Polskie pojawiło się właściwie samo, po prostu Cnota w pewnej chwili skręcił, obszedł beżową kamieniczkę jak pies, który chce się odeszczać, i powiedział:

– Tutaj.

Enka zaraz próbował wejść, lecz zadowolił się dzwonkiem. Stał przed bramą i dyszał, obracając w rękach blachę. Portier otworzył niespiesznie, wyraźnie niezadowolony, że tak się go fatyguje. Z głębi brzmiał fortepian. Enka zaraz zaczął tłumaczyć, kim są, po co przyjechali i dlaczego jest ich aż trzech. Im więcej mówił, tym mocniej nabierał irytującego wrażenia, że jest kompletnie nierozumiany. Portier słuchał cierpliwie, na koniec rozłożył dłonie i powiedział:

– *Parlez-vous francais? Pas un mot.*

Tym razem westchnął komisarz Enka. Pomachał jeszcze blachą, jakby ta cokolwiek znaczyła w tym dziwnym kraju, i zwrócił się do Gila:

– Weź z nim pogadaj, bo zaraz pękne.

Gil więc pogadał, a kiedy nieodwołalnie zrozumiał, że portier nie mówi również po angielsku, łacinie i portugalsku, sam był bliski pęknięcia. Pokazał mu na górę, rzekł wszystko, co Francuz może wiedzieć o Polsce, i gdzieś przy papieżu zadziałało; zmęczone oczy portiera pociemniały, z niesłychaną godnością wycofał się w sień i zadzwonił po kogoś. Przez moment fortepian brzmiał głośniejsze i ze schodów skolibała się kobiecina koło siedemdziesiątki, w eleganckim żakiecie i z zupełnie nieelegancką fryzurą. Ogarnęła całą trójkę zimnym spojrzeniem zza tanich okularów; chłodu starczyło i dla portiera.

Gil przedstawił się i wkroczył w światło, tak żeby dobrze widziała koloratkę. Wyraźnie zmiękła.

– To komisarz Zbigniew Enka - rzekł Gil.

Enka cmoknęła ją w dłoń. Kobieta zafalowała.

– Nazywam się Józefa Zmarz-Koczanowska i odpowiadam między innymi za miejsca noclegowe w naszej placówce - powiedziała, sepleniąc lekko, za to ciężko zrzucała akcent na przedostatnie sylaby. Enka pomyślał nieprzyzwoicie, że ostatni raz zrobił ją ktoś za najczarniejszego Stalina, i to jeszcze na odwal się.

– Mam nadzieję, że wszystko w porządku i wie pani o naszym przyjeździe - rzekł przymilnie. Józefa tymczasem interesowała się Cnotą.

– A pan to kto? Odprowadza panów?

– Jest z nami. Szalenie nam pomógł i pomyślałem, że jakoś można by go dokwaterować. To pan Rajmund Cnota z Katowic. - Widząc groźne spojrzenie Cnoty, który, zdaje się, ciągle nie zaakceptował wchłonięcia jego

miejsowości przez metropolię, stwierdził: - Znaczy z Janowa. Bardzo pobożny człowiek.

Cnota stał wyprężony jak struna, spojrzenie miał hrabiowskie.

– No nie bardzo. - Kobieta pokręciła głową. - Namęczyliśmy się, żeby wygospodarować panom dwa miejsca, i nie jestem pewna, czy możemy zaryzykować z trzecim.

Enka rozpląnął się w uśmiechu. Popatrzył jej prosto w oczy.

– Widzi pani, sami tego nie przewidzieliśmy.

– Tu obok jest przecież katedra Najświętszej Panienki. Pan Cnota jest jej wielkim czcicielem - dopowiedział natychmiast Gil.

– Oddał nieocenione usługi policji polskiej. Można powiedzieć, że zawdzięczamy mu życie.

– Przecież prawdziwi z nas chrześcijanie - dodał Gil.

Jeśli ktoś był bardziej skołowany od kobieciny, to tylko sam Rajmund Cnota. Przeszł z nogi na nogę i wyraźnie nie wierzył, że mówią o nim. Gil z Enką przeszli ze słów do czynów, synchronicznie ujęli ją pod ramiona i poprowadzili w głąb budynku. Nie śmiała protestować. Enka mrugnął tylko na Cnotę, żeby się nie wygłupiał i szedł, nim ktoś tu zmieni zdanie.

§ § §

Józefa Zmarz-Koczanowska sprawiła im zawód - pokazała pokoje, ledwo pozwoliła się umyć. Czekwała, warując pod drzwiami, przestępując z nogi na nogę i wykonując dłonią dziwne gesty, jakby usiłowała rozwiewać dym. Poprowadziła całą trójkę do sali na parterze, gdzie, ku nieskrywanemu przerażeniu komisarza Enki, odbywał się wieczorek mickiewiczowski. Na zielonych krzesłach siedziało paru starszych facetów o wyglądzie notabli.

Przed nimi, otoczony przez obrazy, w towarzystwie popiersia wieszczą przemawiał starzec absolutny: łysy, tylko ze strzępami siwych włosów wokół pomarszczonej twarzy, przygarbiony od wieku, chudy wręcz nieludzko, za to z baterią miniaturowych orderów zwisających ze zwiędłego garnituru. Facet mówił zachrypłym głosem: - Przez lat pięćdziesiąt zakłamywano Mickiewicza, widząc w tym szczerym patriocie, wielkim indywidualiście, twórcę ludowego, niskiego, oddanego tematyce wiejskiej, a zatem przyziemnej. Konsekwentnie wyrugowywano antyrosyjskie wątki, pomniejszano ich rolę, słowem, jego wielkie dzieło zostało wyjęte z kontekstu politycznego, tak bieżącego, jak i długofalowego, a kontekst ten...

Ku ucieście Gila i wielkiej radości Enki Józefa Zmarz-Koczanowska dała pierwszy dowód swojego człowieczeństwa. Machnęła ręką i rzekła:

– Lepiej stąd chodźmy.

Na piętrze, w korytarzu, odbywało się przyjęcie. Rajmund Cnota, dotąd trzymający się z tyłu, sprawnie ruszył w stronę pustoszejącego już szwedzkiego stołu. Najbardziej interesowały go koreczki. Chwytał je jak robaczki i zjadał po trzy naraz. Zarówno Gil, jak i Enka zaczęli myśleć, gdzie w Cnocie mieści się tyle żarcia, powinien w końcu być już zapchany krewetkami. Z salki poświęconej Szopenowi dobiegał mazurek. Gil zerknął; w klawisze bębnił człowiek przypominający krysznowca władowanego w zbyt wielki garnitur. Klawisze musiały mu strasznie śmierdzieć, bo marszczył nos i wywracał oczami. Enka zainteresował się winem.

Szpakowaty staruszek o wyglądzie przeterminowanego ułana porwał Józefę i pociągnął w kierunku sali muzealnej. Tam odbywało się właściwe przyjęcie, ludzie krążyli między portretami, od rzeźby do autografu, od wizytówki wieszczą aż po jego popiersie. Szemrano. Nikt nie zwrócił

uwagi na Gila i Enkę, za to na Cnotę owszem - wielki górnik wsuwał koreczek za koreczkiem, a jak się skończyły, dorwał się do kanapek.

– Może coś mu powiedzieć? - zastanawiał się Gil. Cnota wychylała duszkiem czwarty kieliszek wina.

– Co się wtrącasz? - Enka był wyraźnie ubawiony. Ściszył głos. - Co to za ludzie w ogóle? Cyrk przyjechał?

Cnota odstawił kieliszek i ruszył ku nim, uśmiechając się po przyjacielsku. Otarł usta wierzchem dłoni.

– To ja bede szedł - oświadczył. - Moja pora.

– Też bym się zabrał. Może skołujesz jakąś butelczynę, Rajmund? - zaproponował Enka, zaskoczony własną serdecznością. Na tle sztywnych ludzi sunących przy ścianach kolorowy obłęd Cnoty zyskiwał sporo. Górnik spoważniał. Zaprzeczył ruchem głowy.

– Ja muszę upomnieć się o pościel - przypomniał sobie Gil. - Tobie też radzę, zaraz tu wszyscy się upiją albo gdzieś pójda.

– W ubraniu sypiom, na podłodze. Takie moje śluby i tako pokuta - obwieścił Cnota głosem nieznoszącym sprzeciwu, skłonił się grzecznie i poszedł, wycierając palce o wnętrze kieszeni z tyłu spodni.

– Przedziwny facet - rzekł komisarz Enka. - To jak, zbieramy się?

Pewno by się zebrali, lecz drogę zastąpiła im Józefa, mocno zawiana, uczepiona kieliszka, za to uwolniona już od ułana - musiała pić w iście rajmundowym tempie. Niemal przywarła do Enki, w ostatniej chwili odepchnęła siebie samą. Zatoczyła się dokładnie w ten sposób, by Gil ją podtrzymał.

– A panowie to ledwo przyszli i już gdzieś się wybierają! Chodźcie, chodźcie! - Ujęła ich pod ręce, jak oni ją wcześniej. - Nie ma co się spieszyć - świergotała, prowadząc ich w stronę stołu, gdzie wino ustąpiło miejsca oszronionym butelkom wódki. - Zaraz będą wiersze i konkurs

recytatorski, i mnóstwo miłych ludzi. Panowie muszą zostać, jak jechali taki kawał drogi.

Gil patrzył na tłum gęstniejący w korytarzu, a im ludzi było więcej, im intensywniej kotłowali się w poszukiwaniu kieliszków i rozmowy, tym ksiądz doktor intensywniej ciążył ku butelczynie. Enka znał ten wzrok.

– Jak konkurs recytatorski, to zostajemy - rzekł ironicznie.

Ludzi wcale nie było tak wielu, jak mogłoby się wydawać. To rozmiar korytarza sprawiał wrażenie, że we Francji na wieczorki mickiewiczowskie wałę dzikie tłumy. Większość miała wąsy lub była zabiedzona. Enka z wyraźnym rozczarowaniem stwierdził, że poezja nie interesuje kobiet. Nie bez wahania wybrał wino zamiast wódki - Paryż zobowiązywał. Wysupłał się z objęć pani Józefy i sobie poszedł, zostawiając w jej towarzystwie zrozpaczonego Gila.

Wokół rozbrzmiewały języki. Było dużo polskiego, ktoś świergolił po włosku, brzmiał surowy niemiecki, odrobina angielszczyzny. Na próżno. Stwierdził więc, że robi wszystkim numer i skoro jest w cholernym muzeum, zainteresuje się tym, co w nim powystawiano. W salach stały mniejsze grupki, ci, którzy nie pili, mieli ręce splecione na plecach. Na wystawę nikt nawet nie spojrział.

Moglibyście, hołoto, uczciwą knajpę tu zrobić, pomyślał sobie Enka, wieszcz dawał przecież w szyję. Gapił się na eksponaty - nie znał się kompletnie na zabytkach, lecz wydawało mu się, że zgromadzony drobiazg, te listy, stare breloki, paszport i rękopis, to zwykłe dziadostwo, a w jednym wypadku kserokopia. Zatrzymał się dopiero przy czarno-białym zdjęciu, na którym kilkoro ludzi o zmierzwionych włosach zastygło w skowycie. Tulili się do siebie, zarazem odpychając. Widział już coś podobnego. Szlag, psia krew, tak to się splata jak u krawcowej.

I walnie mnie w pysk.

Po co gromadzić te kretyństwa? Na cholerę na przykład w muzeum Mickiewicza sala szopenowska, jeszcze z tym cwelem plumkającym bezbarwne akordy, przecież to każe myśleć, że sam wieszcz to był marny herbatnik i trzeba mu dodać kolegę z innej branży, żeby zapełnić całe piętro. Albo i z branży tej samej, powiedział sobie Enka, rozpoznając na ścianie portret Słowackiego.

Wypatrzył rękopis, odcyfrował, że to *Do przyjaciół Moskali*, i zdziwił się, bo nie przypominał sobie, żeby Moskale w tamtych czasach byli Polakom przyjaciółmi. Właściwie nie było tak w żadnych czasach. Natychmiast rozpoznał pismo. To ta sama ręka, która naniosła słowa i rysunki z kartki znalezionej w hurtowni obok „Giganta”, ale przemieniona. Tu litery płynęły, tam także miały lekkość, choć wrytą w kamieniu. Tak właśnie pomyślał komisarz Enka i zdumiał się sobą. Coś zmieniło się w poecie.

Enka oderwał wzrok od rękopisu i zobaczył mężczyznę w szarym garniturze. Był wysoki, sprężysty, o czarnych włosach, tylko oczu nie było jak ocenić. Facet patrzył na portret jakiejś kobiety, przytakiwał sam sobie i coś mrucał. Mężczyzna odwrócił się, jakby świetnie wiedział, że ktoś za nim stoi, i zapytał ze wschodnim akcentem:

– A pan dlaczego interesuje się Mickiewiczem? Chyba jako jedyny z obecnych...

– Podróżuję trochę... - odparł komisarz Enka.

– Czyli pan przypadkiem? - zastanawiał się facet głosem starego belfra. - Mówię panu, powinien pan trochę mu czasu poświęcić. Na przykład takie miejsce jak tutaj nie ujawni... Dobry Boże, nie przedstawiłem się. Abraham Ardziwian.

Enka uścisnął mu rękę. Przedstawił się, zawód swój przemilczał.

– Pan z Rosji?

– Z Armenii. Doktoryzuję się z polonistyki na uniwersytecie w Erewanie. A tutaj jestem na stypendium.

– Świetnie pan mówi po polsku - rzucił Enka. Jeśli on jest z Armenii, to ja jestem bóg grecki, dopowiedział sobie w myślach, wyraźnie zadowolony z tego, że ma okazję przyglądać się Ardziwianowi, czy jak mu tam było naprawdę. Facet wyglądał pospolicie, nie wyróżniał się głosem ani ubiorem.

Do Ardziwiana podszedł siwy Francuz z wąsem sięgającym podbródka; roztaczał wokół siebie niemal niemęską woń perfum. Zaświergotł coś tamtemu do ucha, Enka usłyszał tylko *excusez moi*, Ormianin mu przytaknął, odszepnął i zwrócił się do komisarza:

– W takim razie do zobaczenia, miły panie - rzekł głosem starego belfra, który nieustannie tęskni do czasów, gdy prało się wychowanków trzcina po piętach. - I niech pan pomyśli nad tym Mickiewiczem. Polacy nie wiedzą, ile on ma tajemnic.

Enka poczuł lekkie pchnięcie, jakby coś miękkiego, lecz niewidzialnego uderzyło go w czoło. Policzki owiał mu chłód, zachwiał się, pociemniało mu w oczach. Czuł, że zapada się w sobie, krew płynie wolniej, jelita zmieniają się w popiół, pojawiła się czerni. Oparł się o coś. Policzył do trzech. Otworzył oczy, świat był rozmazany, z jego szarości wyłoniło się okno, gablota, w niej autograf *Do przyjaciół Moskali*.

Gapił się w niego, słowo po słowie. Trzeba przestać pić, pomyślał. Nawet nie zorientował się, kiedy stanął za nim ksiądz doktor habilitowany.

– Nie wiedziałem, że zacząłeś interesować się literaturą.

Urznąłem się, cholera, powiedział sobie Enka. Podniósł wzrok znad gabloty.

– Przyglądam się, żeby porównać to z naszą karteczką, na oko widzę, że obie napisał ten sam człowiek. - Ciemność już opuściła Enkę. - W różnych

stanach psychicznych, tę naszą pod jakąś wielką presją.

W oczach Gila mignął złośliwy ogień.

– Skąd ty się znasz na takich rzeczach?

Enka oparł się plecami o gablotę.

– Widzisz, Jędrusiu, dzisiaj nie zdobywamy informacji waleniem wyłącznie pałką po nerach, a nawet mamy coś takiego jak grafologia. Znaczący, powiem ci tak, nie można przeprowadzić analizy grafologicznej, ale kiedyś prowadziłem sprawę takiego jednego seriala i jak dopadał go amok, to wypisywał listy na komendę. I grafolodzy dopiero po trzecim liście i czwartym morderstwie skojarzyli go z jednym tekstem, który mieliśmy u siebie. Jak koleś pisał w amoku, to był właściwie kimś innym. Ale ja od razu wiedziałem. Intuicja taka, panie... I tu też widzę. Ta sama ręka - inny człowiek.

Uśmiechnął się do własnych słów. Po pchnięciu i ciemności zostało tylko wspomnienie, już zbierał się. by powiedzieć, kogo to spotkał, gdy tłumek zafalował. Człowiek nachylał się do człowieka, coś szeptał, słuchający chwiały się, a nawet szukał oparcia. Potem przekazywał wiadomość dalej, aż doszła do ucha Gila.

– Wódka się skończyła - rzekł ksiądz doktor, robiąc przerażający grymas. Zebrani godzili się z zaistniałym dramatem wśród szeptów i westchnień, niemal synchronicznie ruszyli ku wyjściu, szare, siwe, gołębie głowy sunęły korytarzem ku schodom. Józefa zmaterializowała się znikąd i wpadła między ludzi, trzepocząc uniesionymi dłońmi, jakby strząsała z nich robaki.

Najpierw zawołała coś po francusku, część ludzi zwolniła, inni patrzyli z zaciekawieniem.

– Proszę państwa, to jeszcze nie koniec. *Ce n'est pas encore la fin!* – wołała. - Zapraszam na dół, na wykład profesora Hałaburdy! Tam jest

dotatkowy stolik i coś do picia.

Określiła się wokół brodatego jegomościa i popruła w kierunku Gila i Enki.

– Panowie pójdą! Miło sobie porozmawiamy.

Żadnego Hałaburdy, pomyślał Enka i odparł: - Jestem taki zmęczony.

Pokoje mieli koło siebie, dwie dziuple z widokiem na dziedziniec. Enka wypalił jeszcze papierosa przy oknie, Gil tylko gapił się na mury. Z głębi budynku dochodził chór podpitych głosów, noc była ciemna. Przez otwarte okno wpadał chłód, który byłby nawet ożywczy, gdyby nie dym z marlboro.

– Oczy mi się zamykają - wyznał Enka.

W tej samej chwili zza sąsiednich drzwi dobiegł głos tyleż donośny, co znajomy - to Rajmund Cnota wrykiwał z siebie kolejne wersy Pisma Świętego. Jego wycie przechodziło momentami w ochrypły zaśpiew, a słowa szczególnie sobie bliskie wył wyżej i głośniej.

– Nie będąc zjęci pożądliwością jako pogaaaaani, którzy nie znają Bogaaaaaaa! Bogaaaaaaa!!! Abowiem tać jest wola Boooooża, toć jest poświęcenie waaaasze, żebyście się powściągali od nieczystoooooty.

– Znów Biblia Brzeska, jeśli dobrze poznaję. - Gil miał kwaśną minę. - Konkretnie, list do Tesaloniczan.

Spojrzenie Enki mówiło jasno, że wała go obchodzi, które z licznych tłumaczeń Biblii wyrzaskuje Cnota.

– Cóż, święty Augustyn pisał, że kto śpiewa, dwa razy się modli, ale kto wie, może w pokojach znajdziemy zatyczki do uszu. Nic nie dzieje się bez przyczyny. - Gil wyraźnie męczył się z czymś okrutnie. - Powiedz mi, czy jesteś pewny co do tego pisma?

– Mógłbym poprosić o porównanie na komendzie, ale zrobiłbym z siebie osła większego, niż jestem. I niepotrzebnie, bo jest to jasne, jak i to, że Gula jest idiotą.

Gil pomyślał przez chwilę.

– To duży stopień pewności - zauważył. - Na pocieszenie powiem ci, że list do Tesaloniczan nie jest długi.

Rozeszli się do pokoi, odprowadzani wyciem Rajmunda Cnoty.

§ § §

Kaca nie ma się ani po wierszach, ani po ich recytowaniu, słuchaniu recytacji, czy nawet od umykania przed starym babsztyłem - czyli komisarza Enkę łeb bolał z innej przyczyny. Obudził się o siódmej, wściekle przytomny, a zarazem niezdolny do sklecenia najprostszej myśli. Nie pomagał mu w tym Rajmund Cnota, który za ścianą, najgłośniej jak chyba umiał, wyrzaskiwał fragmenty Kazania na Górze:

– Błogosławieni są ci, którzy smętni są, abowiem pocieszeni będą! Błogosławieni są cisi, abowiem ziemię dziedzicznie osiedą! Błogosławieni są ci, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, abowiem oni nasyceni będą!

Enka pomyślał, że jeśli Pismo mówi prawdę i cisi będą błogosławionymi, to Cnota takowym się nie stanie.

Gil także nie spał. Enka zastał go w łazience. Ksiądz stał w slipkach i koszuli uwydatniającej całkiem zacny brzuszek.

– Co tam dobrego? - zagadnął komisarz Enka. - Sukinsyn tak wyje, że mi rozum odbiera.

Jeszcze jego słowa nie przebrzmiały, a zza prysznicowej zasłony dobiegła druga pieśń, tym razem patriotyczna. Była to smutna historia żołnierza, który wraca z wojny, odkrywa, że dziewczyna jest z innym, a wsią władą wójt podły niczym esesman. Żołnierz od zwrotki do zwrotki zastanawiał się, co robić, a odpowiedź przynosił refren:

*Zabij, zabij, wszystkich zabij, zabij ich, że hej!
Mój rycerzu, mój żołnierzu, zabij i się śmieję.*

– Błogosławieni są miłosierni, abowiem oni miłosierdzie otrzymają - wrzeszczał Cnota, jakby stawiając odpór morderczym zapędom patrioty.

– Rutczyński będzie czekał na nas o pierwszej pod kościołem świętego Rocha - powiedział Gil.

Pieśń pod prysznicem dobiegła końca, czyli wszyscy zostali zabici. Enka rozglądał się nerwowo, napił się wody z kranu. Miał biedne oczy.

– Ależ on się drze. Martwię się czymś innym. Przytargaliśmy tutaj tego Cnotę, a ja nie mam pojęcia, co z nim zrobić. Przecież to wariat.

– Błogosławieni są, którzy są serca czystego, abowiem oni Boga oglądają - zabrzmiało w odpowiedzi.

Kąpiący się ruszył z nową pieśnią:

*Tam wróg twój się kryje jak szczur!
Musicie, musicie, musicie!
Za kark wziąć i stracić go z chmur!
I poszli szaleni, zażarci,
I poszli zabijać i mścić,
I poszli jak zawsze uparci,
Jak zawsze za honor się bić.*

– Jak go puścisz, narobi dziadostwa - narzekał dalej Enka. - Skąd wiesz, co zrobi, jak będzie tu siedział? Zaraz gotów zbudzić cały Paryż.

– To wariat, ale niegroźny, do tego spójny w swoim szaleństwie. Umie to i owo. Jeśli wiesz, co chcę powiedzieć. - Gil, słuchając symultanicznych wrzasków Cnoty i patrioty, sam był bliski szaleństwa.

Enka wiedział, co Gil chce powiedzieć, widywał wcześniej takich, choć rzadko równie ozdobnych - Cnoty się nie zmieni, nie ulepszony ani nie popsuje, Cnota jest jak katedra parę ulic dalej, niezmienna, niepotrzebna dzisiaj, ale bez niej świat byłby brzydszy. Enka złapał się na tym, że pierwsza myśl tego kaca dotyczy właśnie górnika z Janowa, i zaraz miał następną - ten facet odegra *jeszcze* jakąś rolę. I świetnie o tym wie.

– Wy jesteście światłością świata. Nie może się miasto zataić na górze leżące! - Rajmund Cnota chrypiał.

– Ludzie mają szmergla z tym Mickiewiczem. Od studenta po górnika, co tylko się modli, wali kilofem i tłucze swoją babę. - Enka przypomniał sobie, że żona Cnoty już umarła. - Tłukł babę.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale spod przysznic wypadł wąsaty, siwy jak gołąbek polonus przepasany ręcznikiem. Włosy opadały mu na kark. Na widok Gila i Enki wyprostował się, wypiął chudą pierś i odszedł.

– Myj się pierwszy - rzekł policjant. - Wiesz co? Czasem wydaje mi się, że mam czternaście lat.

Rozdział czwarty

Śmierć idzie przez Paryż

Leżeli w szkle, na deskach, Enka z twarzą przyciśniętą do ziemi, Gil na plecach, oczy miał otwarte, lecz nieprzytomne. Zewsząd zbiegali się ludzie: portier, skacowana Józefa, przez okno patrzył przerażony Rajmund Cnota. Enka poruszył się pierwszy, wyjęczał przekleństwo, okręcił się, wbił zdumiony wzrok w niebo. Wyraźnie coś sobie przypominał, a zarazem trudno było mu uwierzyć, że leży sobie teraz, boli go ręka i nawet nie umie wstać spod resztek rusztowania.

Gil nachylił się nad nim, strząsał zeń szkło, powtarzał:

– Zbyszek, Zbyszek...

I nagle byli tu wszyscy, Rajmund Cnota klęczał nad nimi, Józefa zalewała się łzami, rozpaczając, że biedni goście, dobry Boże, żeby tylko przeżyli. Portier przyleciał ostatni, zerknął tylko i popędził do telefonu. Policja, pogotowie.

– Co się stało? - pytał Rajmund Cnota.

– Kurwa - rzekł Enka i usiadł.

Co się stało?

§ § §

A stało się to, że Enka poszedł do sklepu po owoce, papierosy i bułkę, o którą prosił Rajmund. Wbiegł na drugie piętro. Podał Gilowi jabłka i spojrział przez otwarte okno na dziedziniec. Widział piaskowe ściany,

dziwny płaski pomnik, tablice oraz solidne rusztowanie z metalowych rur i desek, wznoszące się po sam dach.

Na podwórku pojawił się Abraham Ardziwian, w tym samym jasnym garniturze, z włosami zaczesanymi na brylantynie. Wyglądał cokolwiek dziwnie, jakby na kogoś czekał.

– O, proszę - powiedział Enka od niechcienia - poznałem wczoraj faceta. Jakiś doktorant z Armenii, ale coś mi się nie wydaje.

Gil pobladł. Chwycił się parapetu.

W tej samej chwili Ormianin ostrożnie postawił walizkę między nogami, uśmiechnął się kpiąco i uniósł głowę, Gil nie mógł dostrzec oczu, ale był pewien, że wpatrują się w niego. Wrzasnął:

– Przecież on pchnął mnie na tory!

Enka, nim sobie to uświadomił, już sadził susy w dół, po trzy stopnie. Gil także ruszył, zaraz został w tyle, Enka gnał jak po duszę, nie wiedząc właściwie, co robi, gdy dotrze na podwórzec. Pewno stanie się to co zawsze, rzuci się, walnie w pysk, obali i niech sobie ten Ruski czaruje do woli. Komisarz Enka wiedział, że magia istnieje, ale miał swoje zaklęcia, z naciskiem na prawy prosty i lewy hak.

Człowiek, który nazwał siebie Abrahamem Ardziwianem, stał nieruchomo w słońcu. Szara marynarka sprawiała wrażenie wypłowiałej, podobne koszule nosili rosyjscy żołnierze. Dłonie skrzyżował na piersiach, ciasno, na znak, że wcale nie zamierza się bronić. I wciąż się uśmiechał.

– Ty! - wypalił Enka. Biegł już przez korytarz na parterze, za sobą słyszał tupot księdza doktora habilitowanego, za to drzwi przed nim trzasnęły z hukiem. Omal w nie łbem nie wyrznął, szarpnął za klamkę, naparł barkiem. Nie drgnęły. Co, Ruski na odległość nawet zamek umie przekręcić? Gil już dobiegł, napierali razem, aż puścili. Bezgłośnie.

Abraham Ardziwian stał już w bramie wiodącej na zewnątrz. Bokiem, tak że Enka doskonale widział jego buty - sztyblety. Znał je z odcisków we krwi. Takich widoków się nie zapomina. Podobnie jak wielkich hipnotycznych oczu utkwionych prosto w Ence. To spojrzenie zatrzymało go w miejscu, Rosjanin był daleko, ale te oczy zdawały się płonąć tuż przed twarzą znieruchomiałego policjanta. Obok wyhamował ksiądz doktor habilitowany Andrzej Gil.

Za Rosjaninem wiła się Sekwana. Obrócił się całkiem ku nim, brwi wyrastały niemal z białek oczu. Coś szepnął. Słońce wyszło w tej chwili zza chmur, ostry promień przestrzelił korytarz, wyżej światło odbiło się od rusztowania. Metal błysnął, zazłocił się i wszystko runęło im na głowy - jakby silny oddech poszedł od ściany. za nim kopniak, rusztowanie przełamało się w połowie, poleciały deski, wiadra, sznury, narzędzia, rura śmignęła tuż obok ramienia księdza Gila. Nie mogli się ruszyć, zadzierali tylko głowy. W ostatniej chwili, kiedy drewniano-stalowa chmura już opadała, Gil poderwał rękę, Enka się skulił i nagle skoczył, pchnął przyjaciela, Gil poleciał na plecy, dwa, trzy metry. Pył wyprzedził ciężar, owiał, runęło - brzęknęły rury, trachnęło drewno, nie widzieli już niczego, nawet Rosjanina odchodzącego w kierunku rzeki.

Za rusztowaniem poszło szkło - w jednej chwili prysnęły szyby z okien pierwszego piętra, posiekane na drobno przez jakąś straszliwą siłę. Kilka większych kawałków roztrzaskało się o ziemię. Gdzieś w ogołoconym oknie mignęła przerażona twarz.

Enka wylądował ciężko, słyszał, jak za nim spadają ciężary, już myślał, że uszedł - długa deska runęła na płask, przygniatając jego przedramię. Nawet nie bolało. Za to uderzenie głową o bruk owszem. Gil miał więcej szczęścia, znalazł się dalej, zamroczony, pod powieki dostał się kurz.

Mrugnął, chciał zerknąć na Zbyszka, ale dostrzegł tylko coś białego, kubełek pędzący po betonie w jego stronę.

Potem przysłała ciemność, inna niż ta, którą Enka pamiętał z wczorajszego wieczoru, nie było w niej nic niepokojącego - zwykły ciężki mrok po ciosie w łeb.

§ § §

Msza na Anioł Pański dobiegała końca.

Ksiądz doktor habilitowany Andrzej Gil wierzył w Boga wciąż i nawet mocniej, mimo lat posługi kapłańskiej i pracy ze studentami. Właściwie przed fasadą kościoła św. Rocha uwierzyłby we wszystko inne poza tym, że dotrą tutaj na pierwszą, zaledwie podrapani - jeśli nie liczyć czarnej opaski usztywniającej na prawym przedramieniu komisarza Enki. Ten zerkał na nią co chwilę i rozczapierzał poczerwieniałe palce. Miał obandażowany kciuk.

Gilowi wydawało się, że cały poranek był tylko snem, że leżą sobie w łóżkach na drugim piętrze, a za ścianą Rajmund Cnota wyje aż do bólu - miłość do Boga jest dla niego cierpieniem. Rusztowanie zawaliło się w majakach, Rosjanin, portier, Józefa byli nierzeczywiści, zjawiała się też widmowa policja - w czarnych mundurach, pod krawatami, w śmiesznych czapkach. Być może zadawali pytania, Gilowi kręciło się w głowie, więc odpowiadał Enka, ludzie z muzeum tłumaczyli. Podobno Francuzi obawiali się zamachów, w mieście przebywał Arafat i Izaak Szamir, więc rzeczoznawca - również senne widziadło, chude i przeźrocyste - błyskawicznie stwierdził wady konstrukcyjne, zlewając koncertowo powybijane okna.

Józefa wówczas odetchnęła z ulgą, jej troska o zmalretowanych gości ustąpiła najwyraźniej pragnieniu, by wyciągnąć jak najwięcej szmalu z

odszkodowania. Było też pogotowie, Gil nie wiedział jednak, wcześniej czy później, ważne, że przyjechało i siedzieli w karetce, nie trzęsło, Zbyszek doszedł do siebie i nawet opieprzał wszystkich, po polsku, dla własnej tylko radości - przecież nic mu nie jest, jak jest, to niech się spieszą, czasu nie ma, gońcie lepiej tego drania, co, do diabła, przecież sam ustoi! Sanitariusz podjął grę, udawał, że wszystko pojmuje, patrzył przepaszająco i zmył się, zaraz jak dojechali.

Pierwszy wyraźny przebłysk, że to nie sen, Gil miał właśnie na pogotowiu. Pamiętał, jak lekarz go ogląda, każe łączyć ze sobą palce wskazujące, stuka i puka, i woła Zbyszka. Ten to się nasiedział, zza białych drzwi brzmiało piorunowanie, krzyki w dwóch językach. Enka wyszedł sam, nie dał się powstrzymać, na przedramieniu miał już usztywniającą konstrukcję i zaraz powiedział, że jak wezwą taksówkę, to zdążą do tego Romualda, Rocha, czy jak mu tam.

O tak, taksówkę Gil pamiętał bardzo dobrze, gdyż modlił się w niej ze wszystkich sił. Był to biały samochód z napisem TAXI PARISIEN na górze i po bokach, maska lśniła pięknie, a kierowca wcale. Był to szalenie wesoły Algierczyk, wysuszony, ciemny, o przepalanej mowie, który nic nie robił sobie z tego, że nikt go nie rozumie. Gadał wesoło w przynajmniej dwóch językach i pędził niczym szatan. Nieustannie dawał do zrozumienia, że Paryż zna na pamięć albo w prowadzeniu pomagają mu duchy - rozglądał się, przymykał oczy, słowem, czynił wszystko, by nie patrzeć na drogę. Lubił skręcać gwałtownie, hamować ostro, ruszać z piskiem opon i Gilowi między zdrowaškami zaświtało, że to trochę taki Enka, tyle że beżowy i któremu w życiu się nie powiodło.

Rachunek znów był jak ze snu - tyle po prostu nie mogli zapłacić. Gil śnił razem z Enką, który kompletnie zdezorientowany próbował po polsku tłumaczyć, że może licznik się przekręcił, przecież jazda nie kosztuje aż

tyle. Algierczyk nawijał swoje z miną, jakby chciał pożenić ich z własnymi dziećmi, a kiedy Enka wepchał mu pieniądze w dłoń, zamilkł natychmiast i tyle go widzieli.

Tu sen się kończył - Gila bolało całe ciało, potłukł sobie żebra, do tego chciało mu się pić. Przed nimi wznosił się kościół Świętego Rocha, niemal wrośnięty między kamieniczki - gdyby wyciągnąć rękę z okna, dałoby się dotknąć kościelnego muru. Barokową fasadę podpierały proste kolumny, pośrodku, niczym wielokolorowe oko, tkwił wielki zegar, po bokach pilnowali go dwaj święci. Wyżej, pod krzyżem na szczycie, widniała ogromna muszla.

Na porośniętych mchem schodach siedzieli młodzi ludzie - pary tuliły się do siebie, pito wino z butelek owiniętych w papier, wsuwano bagietki, śmiano się lub patrzono spokojnie na miasto, Gila i Enkę, stojących plecami do domu bożego. Drzwi kościoła - czarne, zdobione - wypuściły wiernych, msza dobiegła końca. W większości byli to ludzie starsi i ta starość zderzyła się z młodymi na schodach. Niektórzy - jak wytworna kobieta o słowiańskiej twarzy i futrze z norek, niepasującym do pory roku - próbowali ich nie widzieć. Dama omal nie wdepnęła w dwoje małych, zakochanych. Większość zderzała się, próbowała wymijać. Młodzi zeszywnieli, podnosili się niechętnie lub przesuwali, schodząc z trasy wierzących. Ci mieszały się z tłumem Paryżan. Na widok księdza Gila zwalniali, kłaniali się, mówiąc:

– *Bonjour monsieur l'abbe.*

– Nie mogliśmy się umówić w normalnym miejscu? - zapytał komisarz Enka.

Gil rozmasował sobie czoło.

– Dla niektórych kościół to jest normalne miejsce - odparł. - Ale jeśli mnie pytasz, czy Rutczyński to dziwny człowiek, to powiem ci, że tak.

– Kim był ten Roch? - Enka dopalił papierosa. Ostatni kłęb dymu wydmuchnął jakby z żalem.

– Patronem zwierząt domowych - odparł ksiądz doktor habilitowany Andrzej Gil.

Weszli. Pierwszym, co rzucało się w oczy, był wielki witraż nad wejściem. Wokół Ukrzyżowanego zgromadziły się trzy osoby, zdaniem Gila, Maria Magdalena, Matka Boska i Umiłowany Uczeń. Enka miał to w dupie. Zaś w uszy rzuciła im się muzyka rozbrzmiewająca z kunsztownych organów. Dla Enki były to po prostu dźwięki, za to ksiądz doktor pojął, że organista się rozkręca - wyszedł od pieśni maryjnej, tak tradycyjnej, że zapewne pozbawionej nazwy, rozbuchał ją, rozchwiał i połamał, powplatał nowe dźwięki i zaraz zagrał coś, co naprawdę lubił: porządnego protestanckiego Bacha.

Wnętrze kościoła było długie i wąskie, zwieńczone sklepieniem, przez okna wpadało słońce, za to ołtarz był niemal niewidoczny, zagubiony w ozdobach i masywności. Po bokach stały neoklasycystyczne rzeźby wyobrażające sceny z Biblii; muskularni młodzieńcy mocowali się ze sobą. Skręcili w lewo i zobaczyli tablicę upamiętniającą ofiary obozów śmierci. Enka zastanowił się zaraz, od kiedy ona tu tkwi, co zastąpiła i pamięci jakich zbrodni, a może fundatorów był poświęcony ten kawałek kościoła. Za to Gil podziwiał wielkiego drewnianego Chrystusa zwisającego ze ściany.

Rutczyńskiego nie mogli wypatrzeć, nie tylko dlatego, że Gil widział go raz w życiu, i to na zdjęciu, za to Enka wcale. Kościół opustoszał, modliło się tylko troje staruszków i młoda dziewczyna w zaawansowanej ciąży. Między nimi zaległy cienie.

– Podobno ten facet jest postrzelony. Mam nadzieję, że o nas nie zapomni - szepnął ksiądz doktor.

W tej chwili wpadli na innego księdza, który sunął w kierunku zakrystii. Miał dziwną twarz, jakby posklejaną z klocków. Zwolnił, zatrzymał się i o coś zapytał. Nie zrozumieli. Ksiądz zapytał ponownie, marszcząc brwi, wyglądało na to, że wyraźnie ich tutaj nie chce, choć to kościół, dom boży. Gil, który pomyślał, że mimo koloratki nie wygląda na księdza, już rozkładał dłonie. Z tyłu dobiegło piskliwe *bonjour*.

Francuski ksiądz przywołał na twarz uśmiech zarezerwowany dla dobrych znajomych. Z ławy podnosił się facet drobny i wystarczająco niski, by zniknąć w półmroku. Za to szedł pewnie, jakby miał dwa metry wzrostu i posturę kulturysty. Ubierał się śmiesznie, w czerwoną koszulę, z kieszeni marynarki wystawała jeszcze czerwiejsza chusteczka. Włosy opadały na czoło.

Enka zastanowił się, czemu wszyscy, których ich śledztwo dotyczy, mają coś z oczami, jak ten tutaj. Gil miał swoje zdanie i wcale nie był zaskoczony. Dość słyszał o Rutczyńskim: ten gość sądził, że żony poetów powinny płonąć na stosach razem z nimi (ze względu na upierdliwość w kwestiach wydawniczych), romantycy to święte bestie, a taniec i słowo są jednym i tym samym.

Drzwi zakrystii zamknęły się. Rutczyński podał im dłoń. Powiedział:

– Usiądźmy.

Usadowili się w ławie, biorąc go w środek.

– Tak jesteśmy rozpoznawalni? - zapytał przymilnie Enka.

– Oczywiście - odpisnął Rutczyński - zaraz widać, żeście Polacy. A pan to już z pewnością wygląda na policjanta.

Powiedział to tak dziwnie, do tego gapiąc się w sufit, że Enka nie wiedział, obrazić się czy nie. Twarz Rutczyńskiego odpłynęła, rysy się rozmyły, dłonie złączył jak do modlitwy, ale mocno, jak na karku

nieprzyjaciela; palce zbieleły. Uśmiechał się i milczał. Uwadze Gila nie uszło, że uśmiech ten upodabnia go do tajemniczego Rosjanina.

– Wydawało mi się, że to polski kościół - zagadnął ksiądz doktor habilitowany. Z lewej dobiegło ciężkie sapnięcie komisarza Enki.

– Chyba chodzi o kościół Wniebowzięcia, wiecie, to tam jest główna misja, święty Roch też ma związki z Polską, można się dziwić, jakoś nas ta Polska naznacza, rozumie się, nie, panowie? Panowie tu przyjechali i w jednych miejscach czują się mniej obco niż w innych. To funkcja polskości, inni czują się wszędzie tak samo.

No świetnie, pomyślał Enka, tak wygląda nasza droga, zaczyna się od trupów, a wędrujemy od wariata do wariata, aż strach myśleć, kto będzie na końcu. Jak szedłem na glinę, myślałem, że będę się mordował z mordercami, nie szajbą. Od wariata do trupa, no i na trupie pewno się skończy. Wyrzygać się można.

– W takim razie czemu tutaj? - zapytał Gil. A Enka podchwycił: - Może się stąd zabierzemy?

– Kościoły to dobre miejsca, żeby porozmawiać, jak by to powiedzieć, właśnie, taka szkoła mówienia, żeby uważać na każde słowo, bo brzmi. To przez echo. Słyszycie? - zamilkł nagle, cichy pogłos niósł się nawą i przepadł. - Mówią, że w niektórych świętych miejscach tak można rozpoznać kłamstwo. Kłamiesz, nie ma echa, mówisz prawdę, się niesie.

– Jest taka dolina w Tatrach - rzekł Enka.

Rutczyński puścił to mimo uszu.

– Mamy coś dla pana - powiedział Gil. - Musimy porozmawiać.

– Słyszałem. - Rutczyński zadrżał. Dłonie rozplótł, obracał w palcach niewidzialną kartkę. - Chętnie pomagam. Jak trzeba, każdemu pomogę. Mówią panowie, że potrzebują... - Obrócił ku Gilowi twarz pobladłą, nieludzką. - Macie to dla mnie?

– Musimy tutaj rozmawiać? - komisarz Enka naciskał.

– W tym miejscu jest historia. Oddycha nią każda ściana. Na zewnątrz, w nowych miejscach i galeriach, powietrze nieustannie jest nowe, powietrze instant, a tu krąży i oczyszcza się. Oddechy świętych, rozumiecie, co mówię?

O Chryste Panie, powiedział sobie ksiądz doktor.

– Właśnie w tym rzecz. Nie jestem pewien, czy święci mają po drodze z tym, co panu przynieśliśmy.

Rutczyński wstał. Wyszarpnął chusteczkę, otarł czoło, które w tej chwili wydawało się bardziej czerwone niż ona.

– Ale blisko, dobrze? Nie powinniśmy iść daleko, prawda? Ja chętnie posiedziałbym tak, żeby móc widzieć kościół.

Drugiej szansy by nie mieli, zdaniem Enki Rutczyński mógłby mieć miliony dolarów zaszyte w okładkach dziewiętnastowiecznych woluminów, a i tak spałby na kościelnych ławach, z żebraczą laską pod głową, dla dziwnego kaprysu. A potem iść na dziwki. Albo do biblioteki. Albo zrobić coś ze sobą. Kolejny wariat. Poszli.

Tym razem środkiem nawy.

– O, widzicie! - Rutczyński wskazał na witraż z Chrystusem i trojgiem ludzi pod krzyżem. - Nie wiem, czy wiecie, ale to jest tak, że na krzyżu wisi sobie Towiański, niżej to jego ukochany uczeń, poeta Adam. Maria Magdalena jest kochanką poety, Deybel, no a Matka Boska to żona, Celina. Tak właśnie jest - zakończył i pospieszył do drzwi, a Gilowi po raz kolejny tego dnia zrobiło się niedobrze.

§ § §

Z kawiarni nie widzieli kościoła. Gil był pewny, że Rutczyński już o nim zapomniał.

Enka palił i pił marne wino z głębokiego kieliszka, tak samo jak Gil. Rutczyński wolał kawę i koniak. Siedział blisko chodnika, ludzie ocierali się o niego, minę miał, jakby szykował się do ucieczki. Za szybą na ścianach lokalu wisiały kopie starych plakatów kabaretowych, powietrze posiwiało od dymu.

– Czemu tu jesteście? - zapytał Enka.

– Bo chcecie - poinformował go Rutczyński. Szyję oplatał mu bordowy szalik.

– Dziękujemy, że zechciał pan się spotkać - przymilał się Gil.

– Chcieliście panowie, nie wszystko przecież jest teatrem, życie może, ale jak poznać, kto żyje, kto tańczy?

– O co chodzi z tym tańcem? - zapytał Enka.

Rutczyński miał starannie przycięte paznokcie, ale same palce zostawiały tłuste ślady na koniakówce. Nie wytrzymał:

– Macie to?

– Ano mamy - przeciągał Gil. - Myślałem, że doktor Kosecki przesłał panu tekst faksem.

– Tekst, mówicie na to tekst. To jest tekst może, a faks ledwo działa, dostałem to. - Z kieszeni marynarki wydobył białą kartkę, rozłożył. Na pierwszy rzut oka papierek wyglądał na zwykły wydruk kontrolny na igłówce, był napis PANASONIC i niżej IDEAS FOR LIFE. Z bliska dostrzegli ledwo widoczne literki, figurki ludzi, słabe echo kopii, którą dysponowali.

– Próbowałem odczytać, ale nie mogłem - rzekł Rutczyński.

Kartkę przechowywał Gil, w kopercie. Złożoną na czworo. Położył ją przed Rutczyńskim tekstem do dołu.

– U nas to lepiej wygląda.

Rutczyński wytarł dłoń o marynarkę. Jego drżące palce zamknęły się na karteluszkę, obrócił go ostrożnie, mrugnął, chciał go pochwycić, lecz przycisnął do stołu, zgarbił się, wolna ręka zamknęła się na koniakówce. Napił się i jął wykonywać krótkie, chaotyczne ruchy, jakby dla uspokojenia. Nie odrywał wzroku od tekstu, zgarbił się nad nim.

Rutczyński wyglądał, jakby coś dużego i miękkiego, na przykład kłębek włóczki, przechodziło mu przez gardło: najpierw brzuch mu zafalował, szyja nabrzmiała, za nią policzki, wybałuszył oczy. Usta ułożyły mu się w kółko. Jak ryba.

Nagle ruszył. Ręce zaczęły mu trzepotać, niemal klasnął, dłonie podążyły - lewa do kartki, prawa ku torbie, oczy spoglądały raz tu, raz tam. Wyszarpnął polaroid, zaraz zaplątał się w pasek, zmagął się z nim niczym z wściekłym wężem: podskoczył, tyłek klapnął o krzesło. Z żalem wypisanym na twarzy puścił kartkę i pstryknął fotkę. Porwał czarne zdjęcie, zamachał nim chwilę, popatrzył i dopiero wtedy przypomniał sobie o Gilu i Ence.

- To kopia - powiedział. - Coś właśnie takiego, bardzo dokładna, nie oryginał, oryginału to tak prosto nie znajdziecie. Ale ja - przełknął ślinę - ja szukam! Kopia - wywrócił oczami - działa słabiej, lecz działa!

Ale szajba, pomyślał komisarz Enka.

Rutczyński skończył ze zdjęciem, aparat odepchnął jak coś wstrętnego. W jego dłoni pojawiły się dwie lupy jubilerskie, najpierw zabrał się za krótszą, nie mógł jej wcale utrzymać przy oku, więc i Rutczyński zaczął kiwać głową. Zamienił na dłuższą, zgarbił się nad karteczką. Nabrał powietrza. Głęboko.

- Miałem rację, to kopia. Ale doskonała!

- Bardzo się cieszę! - odparł komisarz Enka.

– Kopia czego? - zapytał ksiądz Gil, chcąc przywrócić roztrzęsionego Rutczyńskiego do rzeczywistości.

Rutczyński wyjął lupę z oka i starannie położył przed sobą. Wzrok miał dziwny, ciężki - opadał ku kartce, a zarazem wwiercał się w Gila i Enkę, pełen pytań, a teraz jeszcze zdumienia: skąd oni wypadli?

– Kopii czego? - powiedział. - Wy się mnie o to pytacie? To tylko fragment, jedna strona, ale już bezcenna! Fragment części piątej *Dziadów* Adama Mickiewicza.

§ § §

Gil słuchał Rutczyńskiego i myślał o szaleńcach, których spotkał do tej pory. O Prokopie, który odtańczył przed nimi ostatni, diabelski taniec i padł zatruty śmiertelną dawką leków; o Szajbusie, człowieku z ksywką najwłaściwszą dla siebie, sparaliżowanym, charczącym lucyferyczne psalmy jeszcze na łożu śmierci [9]; o Kostii, radzieckim naukowcu, jego snach o spalonej ziemi pod atomowym niebem [10]; o księdzu Kalandzie, bo trzeba być szalonym, żeby sprzedać Boga w zamian za upiory [11].

Rutczyński mówił cicho, jakby chciał coś ukryć - Enka zorientował się od razu, że facet gra w półsłówka i bardzo żałował, że nie może wytrzaskać go po pysku. Gila uwierała koloratka.

Słońce padało na kieliszki z winem i koniakówkę.

– Poeta wyjechał z Cesarstwa w 1829, no i wędrował, patrzył, starał się rozumieć świat, z tego rozumienia aż chciał wracać i walczyć - opowiadał Rutczyński. - Został, kochał kobiety, wiecie? Panowie, jak on je kochał, uda, piersi, brzuch, głos, dotyk!... A potem, w Paryżu, zamilkł już! Pisał o Bogu, nie, wierszy wcale. Kochał.

Enka westchnął i przestawił wino do cienia.

– Zmarł w Istambule, podobno na cholere! Bzdura! On pisał, lecz w ukryciu - szeptał Ruczyński. - Jak żona mu umarła, już on popędził walczyć o wolność! Gównu! Takie tam, słuchajcie, panowie! - Oczy mu błyszczały. - Pisał w sekrecie wielkie dzieło, zakończenie swojego największego dzieła! *Dziady! Dziady!* Ostatnia, piąta część. O co mu szło? O przemienienie, żeby tekst działał, przebóstwiał człowieka. Zrozumcie - wyciągnął dłonie przed siebie - przemieniasz człowieka, przemieniasz światy.

– Wie pan, ja to rozumiem. Przecież widziałem. - Enka przełknął ślinę. - Tylko wie pan, ja nie wiem, czy to wyszło, bo ludziom wywleka mózgi na lewą stronę.

– To tylko fragment. Fragment nie działa - odparł Ruczyński.

– No dobra, co jest grane? - zapytał Gil. Enka popatrzył na niego zdumiony.

– Chodzi o kobietę - odparł natychmiast Ruczyński, a Ence wszystkie szufladki w głowie nagle wskoczyły na właściwe miejsca.

– Deybel? - Gil już się domyślał. Głowa Ruczyńskiego zakołysała się, jakby ktoś szturchnął go w potylicę. Jednocześnie cały Ruczyński zadrzał i zerknął na kartkę.

– Tak. Ksawera Deybel. Ona jedna potrafiła odczytać jego wizje, panowie, zaśpiewać je, zatańczyć, czy wy rozumiecie? Ona nie czytała jego poezji, ona była jego poezją, w piersiach, w czarnym sercu. A poezja, och, ta poezja. - Spróbował się uspokoić, wyszło połowicznie, ręce trzymał przy sobie, usta poruszały się. - Poezja była diabłem, jak i ona. Ludzie wspominają Ksawerę, jak grała na fortepianie i śpiewała. Poeta mówił, że widują się w snach.

– Ładna chociaż była? - wtrącił Enka.

Ku jego zdumieniu Rutczyński wybuchnął śmiechem, nieco piskliwym, lecz szczerym w swej histerii.

– W życiu, kochany panie oficerze, w żadnym razie, mała, blada, krzywa. Pan posłucha! - Zerwał się z krzesła, poprawił szal, zadeklamował:

*Zawsze... srebrnica... skrzydła swe rozrzuca Na sosny... oczy
kolorami bawi*

I za przeszłością daleką - zasmuca,

A nad czynami wieku się nie zjawi.

Czasem piosenek już zda się donuca,

A zawsze końce aniołom zostawi,

Aby śpiewali jak leśni ptaszkanie -

A nigdy swoich ostatnich nie powie.

Gil tylko pokręcił głową.

– Nic z tego nie kapuję - wyznał komisarz Enka - ale coś pan wspominałeś, że jak ją poznał, to już nie pisał. Tylko w sekrecie.

– To akurat był Słowacki - skrzywił się Rutczyński. - A ona, Ksawera, to żaden człowiek był, ale diaboliczna. Sukkub. Zrozumcie wreszcie, poeta miał przy sobie diabolicę, z którą sypiał i która wyśpiewywała jego sny.

To się kupy nie trzyma, pomyślał Enka. Spuścił wzrok, by zaraz zwrócić go ku paryżankom. Przyglądał się długim nogom, krągłym tyłeczkom, fryzurom, jakich nie widywał w Polsce, a najbardziej zachwycił go luz, spokój tych dziewczyn. Szły zwyczajnie, nie pędząc, nie gnając, ich śmiech był wołny od trosk. Gdyby nie język, byłoby tu pięknie, przeleciało mu przez głowę i zastanowił się, czy Grula nie pokochał Francji właśnie z tego powodu.

– Może nam pan to poukładać?

– O, właśnie. - Enka wodził oczami za drobniutką Mulatką; miała ramiona niewiele grubsze od jego kciuków, bez jednej skazy na skórze. Lśniła w słońcu. Enka aż sobie zapalił. - Niech pan mi powie, co to ten sukkub?

– Demon żeński, znany jeszcze w Babilonie, oj, jak znany! Ma postać pięknej kobiety, przychodzi, uwodzi mężczyzn. Kradnie im energię albo i duszę. Sukkub o imieniu Meridiana wywyższył pewnego człowieka, aż został papieżem Sylwestrem II, i nawet przepowiedział mu, jak umrze.

Mina księdza Gila nie była specjalnie tęga. Rutczyński mówił dalej, nie zwracając uwagi na reakcje. Mówił jak w ekstazie i ksiądz Gil wyobrażał sobie, jak tym mówieniem porywa studentów.

– Taki stwór siada na piersi, jak zmora, ssie siły, oj, ssie! Panie komisarzu, pan nie chciałby takiej spotkać.

– Dużo jeszcze pan o mnie nie wie - rzekł Enka - ale rzeczywiście, nie rozumiem, po co Mickiewiczowi było coś takiego.

– Dziś mówi się, że to zwykła dziewczyna była, ludzie z epoki wiedzieli swoje. Ujejski, Słowacki nie mieli wątpliwości, poeta parzył się z demonem. Może nawet z samą Lilith, kto tam wie? Panie komisarzu, a po co? Mało pan widział, mało pan rozumie?

Gil popatrzył na Enkę ze współczuciem. Chuja wiesz, co ja widziałem, pomyślał Enka.

– Może naprawdę dałoby się jaśniej? - poprosił.

Tym razem przeszły dwie dziewczyny, biała i czekoladowa, ta druga niemal topiła się w słońcu, pot spływał po jej pełnych kształtach, błyszczał na wysokim czole. Włosy spięła, odsłaniając szyję. Jej koleżanka była blada niczym wampir, wciśnięta w sztywny strój urzędniczki, który trzeszczał i pękał od seksu. Ciało pod nim wydawało się drzeć, napierać na zimną materię. Enka cmoknął. Oddaliły się.

– Panowie chcecie prosto? To będzie prosto. - Rutczyński splótł dłonie na stole. - Poeta przestał pisać, zwrócił się w stronę religii. Ku Towiańskiemu. Ale gromadziła się w nim energia, co szła wcześniej na pisanie, zaczął więc śnić, w tych snach ktoś, coś dyktowało mu wiersze, których na jawie nie potrafił wypowiedzieć. Potrafiła to Ksawera Deybel.

– Sukkub - przypomniał Gil.

On również widział te piękne kobiety naokoło, a im bardziej próbował nie patrzeć, tym widział je lepiej, obłe i jasne. Pomyślał, że w ich pięknie nie ma Boga, a jeśli jest, to on, Gil, nie potrafi go dostrzec. Tylko Rutczyński był ślepy na damskie wdzięki, patrzył w przestrzeń i nadal mówił w uniesieniu.

– Mówiła przez niego, jego poezja przez jej usta. Jej pieśni. Piąta część *Dziadów* najprawdopodobniej powstała właśnie w ten sposób. To tutaj - wskazał na kopię - jest tylko fragmentem.

– W Polsce znaleźliśmy to przy trupie - rzekł Enka.

– Wiem.

– W takim razie - Gil na chwilę przypomniał sobie, że przecież jest konsultantem - dlaczego ci wszyscy ludzie poumierali? Straszna śmiercią. To wyglądało, panie doktorze, jakby coś wypchnęło śmierć z nich samych.

Oczy Rutczyńskiego stały się chłodne. Nie pytał o szczegóły, wiedział, a przynajmniej przeczuwał, co stało się w kraju. Albo - jak sądził Enka - Kosecki puścił farbę.

– Nie można zrobić jajecznicy bez rozbijania kilku jajek, panowie - Rutczyński błysnął taką akurat mądrością. - Potrzeba mnóstwo siły, by przemienić się w anioła. Czasem śmiertelnej.

Te słowa zabrzmiały tak zimno, surowo, jak kamień o kamień, aż zapomnieli o wszechobecnym słońcu. Gil zmierzył Rutczyńskiego spojrzeniem, kątem oka dostrzegł Enkę. Komisarz siedział jak wcześniej, z

papierosem i plecami wygiętymi w kabłąk. Twarz zrobiła mu się twarda, jakby czekała na cios.

– Pan mówi - mruknął.

– Tak, człowiek może przemienić się w anioła. Panowie rozumieją, ja, my w to wierzymy, a wiara płynie właśnie ze zrozumienia. Ale przemienieniu trzeba ogromnej siły, jeśli coś może to sprawić, to ten tekst, którego fragment przynieśliście. - Mechanicznie wlał sobie koniak do ust, ręka znów się zatrzęsała. - Czytanie małego fragmentu może rozerwać głowę lub serce, krew wypłynie z żył do całego ciała. Widziałem takich, napuchniętych jak worki. Poszukiwacze znają ryzyko. Ja znam.

W głowie księdza Gila zrodziła się myśl, że jeśli nowe fakty będą dalej pojawiały się w takim tempie, to niebawem pogrzebie ich bajzel nie do ogarnięcia. Zastanawiał się też, czy Kosecki dobrze zna Rutczyńskiego i kiedy ostatnio się widzieli. Wymienił spojrzenia z komisarzem i uśmiechnął się blado. Enka wyraźnie próbował odzyskać zainteresowanie dziewczynami, gapił się na nie wzrokiem lwa przy wodopoju.

– Kim są Poszukiwacze? - zabrzmiało pytanie z jego strony. Czy czas w Paryżu nie jest stracony? Każdy spotkany Polak to wariat, za to Ruskie bawią się w telekinezę; to jakieś narodowe specjalności? Co napisze temu cholernemu Aniołowi? Kim - powtórzył w myślach - są ci pieprzeni Poszukiwacze?

– Myślicie, że jesteście jedyni? - Twarz Rutczyńskiego wykrzywił niezdrowy uśmiech. - Dziwię się, panowie, że tego nie wiecie. O aukcji też nie? Myślałem, że razem na nią pójdziemy.

Dopił koniak, wytarł dłonie serwetką. Jego rozczapierzone palce zatrzymały się nad kartką. I zaraz się cofnęły.

– Chodzi o aukcję u Serge'a Domeyki - poinformował, sugerując, że muszą wiedzieć przynajmniej, kim jest ten człowiek. Jednak nie, Gil nie

miał pojęcia, czyje to nazwisko, a Enka zaraz je zapomniał.

– Aha - powiedzieli jednocześnie.

Dziesięć minut później stali się świadkami przedziwnego zjawiska: Rutczyński poderwał się i popędził do budki telefonicznej. Zatrzasnął się i zdołał wykonać skoczny taniec na maleńkiej przestrzeni: przebierał nogami, unosił dłonie jak przy bawarskich kaczuszkach, przetrząsał przy tym kieszenie w poszukiwaniu odpowiedniej monety; ta się odnalazła, spadła mu zaraz, podniósł, omal nie uderzył głową o aparat. Wybrał numer i zastygł w oczekiwaniu, z miną faceta, który widzi nad swoim domem grzyb atomowy. Ktoś odebrał i Rutczyński ruszył znowu, przebierał nogami, bębnił o budkę otwartą dłonią, giął się w tułowiu, pochylał na boki. Tylko szyja pozostawała nieruchoma. Jak z drewna.

§ § §

Drzwi mieszkania Domeyki mogłyby równie dobrze bronić twierdzy księcia lub, w opinii Gila, arcybiskupa. Z pozoru wyglądały zwyczajnie: wysokie, zdobione, z judaszem wielkości portfela. Bystre oko Enki wypatrzyło ślady po montowaniu zbrojeń we framudze, dziury po zbrojeniach w drzwiach samych, świetnie zresztą zasłonięte, poszedłby też o zakład, że gdzieś tutaj siedzi cichutko (do czasu) elektroniczny alarm.

Rutczyński nacisnął dzwonek. Momentalnie odsunęła się klapka w drzwiach, okazując nos bardzo długi, bardzo wąski i jeszcze bardziej garbaty. Po obu jego stronach łypały stare, wyblakłe oczy, powyżej bielusińkie brwi zbiegały się ku sobie. Rutczyński powiedział coś po francusku, drzwi się otworzyły. Na progu stał służący, przejmująco smutny i z rzadkim wąsem. Miał fular, koszulę, a jego trupie spojrzenie dawało do zrozumienia, że widział już wszystko i jest tym cholernie zmęczony.

– On jest potomkiem TEGO Domeyki - obwieścił Rutczyński Ence, zapewne tylko po to, żeby go rozsierdzić.

Na ścianach szerokiego korytarza, którym wędrowali, wisały Malczewskie, Kossaki, trochę anonimowych portretów pięknych kobiet, medale i zegary z epoki. Dotarli do salonu przerobionego wielkim wysiłkiem na salę aukcyjną. Na rozkładanych krzesłach siedziało kilkanaście osób, na oko czterdziestoletni lub starsi, wystrojeni i pachnący, z tym samym obłędem, który rozsadzał twarz Rutczyńskiego. Większość stanowili mężczyźni, kobiety były może ze cztery - uwagę Enki zwróciła wytworna pani w pastelowym kostiumie; pod pudrem, między rowami zmarszczek, dogasały resztki dawnego piękna.

Zebrani wpatrywali się w gablotę z grubego pleksi, z drugiego końca sali nie sposób było dostrzec, co mieści się w środku. Za to Gil z Enką świetnie widzieli te kilkanaście osób na krzesłach, stłoczonych w półokrąg, tak naprężonych, jakby zaraz mieli wystrzelić w powietrze, prasnąć głowami o gablotę, jeden z drugim. W nogawkach garniturów przeżyły się mięśnie, palce zaciskały się na poręczach foteli. Rutczyński przyspieszył, twarz mu pożółkła, wydawało się, że można naskórek zdrapać jak wosk. Utkwił oczy w gablocie. Enka zszedł mu z drogi, puścił. Idź.

Przy gablocie stał człowiek, jak ona sztywny, i straszliwie z siebie zadowolony. Uśmiech skamieniał mu pod wąsem, siwe, natłuszczone brylantyną włosy sięgały nieruchomego karku, garnitur sprawiał wrażenie wykonanego z blachy pomalowanej na czarno. Takie łachy to zabiera się ze sobą do trumny, pomyślał Enka i skonstatował, że to musi być ów Domeyko, tak słynny, jak wiekowy. Proszę, proszę, stoi nad grobem i jeszcze się cieszy. Rzeczywiście, twarz starca promieniała dziwną, bezduszną dumą i radością; podobny mechanizm nakręcał oczy

Rutczyńskiego. Było w nich tylko mniej dumy i radości, za to zdecydowanie więcej bezduszności.

Nikt nie zwrócił uwagi na Gila i Enkę, poza Domeyką, który ledwo zaszczyił ich spojrzeniem. Ze środka pomieszczenia widzieli już, że gablota jest prawie pusta, jeśli nie liczyć wymiętalonego, pożółkłego karteluska. Ludzie nie chcieli ich puścić, stłoczeni ciasno na krzesłach, zgarbieni, o drapieźnych spojrzeniach. Gil chciał iść bokiem, lecz Enka jakoś się przepchał pod samą gablotę. Ksiądz doktor habilitowany podążył za nim, ludzie rozstępowali się niechętnie, szurając krzesłami, mrużąc, ale nie odrywając wzroku od gabloty. Wyjątkiem był starszy facet w typie biznesmena, koło sześćdziesiątki, siwy i sflaczały. Tylko dłonie miał drapieżne, bez grama tłuszczu. Spokojnie przeniósł wzrok z gabloty wprost na Gila i Enkę, uniósł brwi, że niby ich rozpoznaje, i znów gapił się na kartkę.

– Prędzej spodziewałem się diabła niż jego - powiedział cicho Rutczyński.

Enka stwierdził, że może to faktycznie jest diabeł, bo nie pasuje do tego pomieszczenia. Facet nie miał w sobie nic francuskiego. Na czym jak na czym, ale na ubraniach Enka się znał i widział, że koleś nie ma na sobie kawałka kałesonów, który nie pochodziłby z Old Bond Street. Siedział ciężko, garnitur, choć bardzo drogi, zdawał się doń nie pasować, za to kłopoty - owszem. Tacy ludzie zaczynają od handlowania dolarami pod Peweksem albo od donoszenia do SB na kolegów z roboty, potem mnożą im się kantory, wznoszą magazyny i wielkie fabryki, lądują na listach najbogatszych (ostatnia dziesiątka setki), potem skaczą w ciągu roku do pierwszej dziesiątki, by na koniec powiesić się w świeżo budowanej hali. Nie chodzą, ale się snują, nie myślą, lecz rozważają, słowem, bogate, nieszczęśliwe fiuty. Tymczasem Gil dopchał się do gabloty i usiłował

przeczytać, co znajduje się na kartce. Stwierdził tylko, że jest stara, mniejsza i kiedyś złożono ją na pół. Zakładka? Luźne notatki? Zbliżył twarz i karteluszek zaczął wibrować niczym skrzydła kolibra. Cokolwiek na nim napisano, stało się nieczytelne, czasem z drżenia wykluwała się litera, sylaba, słowo, figura ludzka, Gil przypatrzył się jeszcze, pociemniało mu w oczach, odchylił się gwałtownie - Enka już trzymał go za fraki.

– Andrzej, eee, Andrzej? - powtarzał. Dostrzegł, że Gilowi nic nie jest, więc dorzucił: - Zrób coś ze sobą, wyglądasz na urzędnego.

Gil odciągnął go na bok.

– Nie wiem, co tam jest. Ale to zakładka. Zbyszek, to zakładka - powtarzał uszczęśliwiony.

Okazało się, że Gil z Enką dali przykład i zebrani rozpoczęli dziwny taniec. Po kolei zrywali się z krzesel, jakby te chciały ich zrzucić, na spiętych nogach zbliżali się do gabloty, garbili nad kartką, jeden, Francuz chyba, sprawiał wrażenie, jakby chciał ją polizać. Facet o wyglądzie biznesmena podszedł jako ostatni, niemal roztrącając siedzących, pochylił się do przodu, głowę wysunął niczym czapla, na nosie błysnęły okulary. Ledwo zerknął, uśmiechnął się i odszedł rozluźniony. Zaciskał pięści.

– Co to za gość? - zapytał Enka Rutczyńskiego.

– Niejaki Nejman. Poszukiwacz, jak wszyscy tutaj. Bardzo bogaty. Biznesmen z Polski. Dorobił się na cemencie, teraz chyba inwestuje w nieruchomości i media.

No to się nie pomyliłem, powiedział sobie Enka.

Wsparty na lasce Domeyko dotarł do pulpitu obok gabloty i zaraz się go uchwycił. Gestem poprosił o ciszę, niepotrzebnie, bo nikt nic nie mówił, tylko tłumacze szeptali do uszu swoich pracodawców. Oczy starca przejechały po zebranych, zatrzymując się dłużej na Rutczyńskim, Nejmanie, kobiecie w czerni. Zaczął coś mówić, właściwie charczeć po

francusku, wskazywał to na gablotę, to na plik papierów, które rozłożył przed sobą. Po sali przeszedł pomruk, za nim ciche śmiechy.

– Mówi, że aukcja dotyczy zakładki, której poeta używał przy pracy w ostatnich latach życia. Na niej są notatki. Jej oryginalność jest potwierdzona, Domeyko ma certyfikaty - tłumaczył Rutczyński. Stali dalej od innych, więc mógł mówić głośniej.

– Z czego tak rechoczą? - Gil zastanawiał się głośno.

Zaczął się. Już bez tłumaczenia zorientowali się, że Domeyko wymienia kolejne ceny, a licytujący akceptują je przez podniesienie dłoni. Kilku odpadło niemal od razu, chyba przyszli popatrzeć lub nie wiedzieli, z czym mają do czynienia. Domeyko wymieniał coraz wyższe sumy, dawał więcej czasu na zastanowienie, liczba rąk malała, opadały głowy, oczy gasły w mrokach rozczarowania, ludzie wędli na krzesłach lub spinali się w sobie, nie dając poznać, że im zależało, ot, żart, głupia aukcja - ale oczy nieustannie śledziły rozwój licytacji. Tylko Domeyko zachował spokój, wyglądał, jakby codziennie sprzedawał nie pamiątki wieszczą, ale co najmniej anielskie pióra i Chrystusowe gwoździe. Czasem czyjaś ręka zatrzymywała się w połowie i opadała siłą bezwładu i braków na koncie, czasem ktoś wypruł zbyt szybko i kamieniał przerażony, że przeszarżował.

– Jaka jest kaucja? - zapytał Enka na ten widok.

Rutczyński prychnął.

– Kaucja? W takich sprawach? To boska gra - mrugnął - tu wszyscy się przecież znają. Wiedzą nawet, kto ma ile stron, jak bardzo jest szanowany.

– A pan ile ma, panie doktorze? - szepnął ksiądz.

– Gdybym miał jedną, sprzedałbym i żył spokojnie, księżę, do końca moich dni, długich i dobrych - Rutczyński rzekł cierpko, z nutką fałszu. Minę miał kwaśną. - Dopuszczają mnie, bo jestem ekspertem. Poszukiwaczem nie.

– A Domeyko?

– Nie wiem. Może kiedyś był. Teraz skupuje, sprzedaje, bada autentyczność skarbów po poecie. Dobrze zarabia. - Rutczyński znów miał kwaśną minę. - Markiza Rochfourt na przykład jest bardzo ceniona. Ma już sześć fragmentów. Sześć, panowie!

Mówił o kobiecie w pastelowym kostiumie.

– Jeśli spojrzycie w róg, na ostatnim krześle siedzi łyśy mężczyzna w okularach, brodaty. Wygląda na Żyda, ale jest Włochem. To profesor Cipriani, najbardziej znaczący. Walczy o dziewiąty fragment, to nie fragment znaczy, lecz zakładka. Nawet ja nie wiedziałem, że taka ważna. Ale skoro są tu wszyscy...

W tym momencie jakaś starowinka odwróciła się do Rutczyńskiego i coś powiedziała po francusku. Zamknął się natychmiast i tylko patrzył. Gil za to próbował podzielić Poszukiwaczy na dwie grupy: pasjonatów i bogatych kolekcjonerów, zainteresowanych posiadaniem cennych pamiątek. Tacy zbierają obrazy albo rzadkie monety. Nie miał pewności, ale Cipriani wyglądał na takiego.

Domeyko wymienił kolejne kwoty i na placu boju zostali Nejman, Cipriani i markiza Rochfourt. Enka przypominał sobie gorączkowo kurs franka i stwierdził, że padają tu sumy większe niż budżet krakowskiej policji, łącznie ze sprzętem i cennym zaangażowaniem funkcjonariusza Gruli. Markiza słabła, nad każdym ruchem myślała dłużej, ocierała czoło. Nejman licytował z kamienną twarzą, Cipriani wstał, poprosił o czas.

Kiedy mijał Gila i Enkę, przyspieszył. Drogie perfumy nie tłumiliły odoru potu. Zmierzał do empirowej szafki obok. Tam stał telefon, pochylił się, wykręcił numer. Czekał nerwowo, wykonywał ruchy jak Rutczyński wcześniej w budce, mało nie zaczął skakać, aż wreszcie klarował coś długą chwilę i nie dał sobie przerwać. Entuzjizm ustępował miejsca uporowi, aż

Cipriani odłożył słuchawkę, zwiesił głowę i wrócił na miejsce. Nie usiadł, zabrał torbę i wyszedł, kłaniając się Domeyce.

Gil z Enką nie orientowali się już w kwotach (jaka w końcu różnica między milionem a milionem dwieście), wyżej i wyżej, Domeyko podnosił cenę o sto tysięcy, markiza rozglądała się, próbując nie patrzeć na gablotę. Ręka wystrzeliwała do góry w jednym szybkim ruchu, jakby Rochfourt nie mogła pozwolić sobie na wątpliwości. Licytacja osiągnęła sumę zawrotną i Nejman przystąpił do decydującego starcia. Z miną właściwą co najmniej Napoleonowi powoli uniósł kartkę.

Markiza odpuściła. Wyprostowała się na krześle, udając, że właściwie nic się nie wydarzyło, lecz gdy odprężony Nejman maszerował w kierunku Domeyki, wymachując walizką, posłała mu spojrzenie, jakim arystokraci obdarzają plebs. Niepotrzebnie. Biznesmen tylko pokręcił głową, wyraźnie zadowolony. I to zadowolenie udzieliło się innym przegranym. Gil zorientował się, że ta dumna kobieta dotarła do granicy płaczu, i nie chciał widzieć, jak ją przekracza.

Służący zakrył gablotę i zabrał się do podawania płaszczy. Ludzie się rozchodzili. Domeyko zamienił kilka słów z Nejmanem, potem zaczęli na całego, z trudem ukrywając irytację. Przerzucili się na polski, biznesmen kulił się przed staruszką, ale koniunkturalnie, bez śladu pokory. Przekonywał, rozkładając dłonie na pozór bezradności.

– Jak to gotówką? - zapytał Domeyko tak głośno, że wszyscy słyszeli. W odpowiedzi Nejman zatrząsł walizeczką, nawet na migi dawał do zrozumienia, że wszystko będzie dobrze, to nie ich pierwsza transakcja i nie ma żadnego powodu do braku zaufania.

Gadali tak jeszcze trochę. Staruszek słabł i wezwał sobie Rutczyńskiego do podpory. Ten poszedł, włączył się do rozmowy, która trwała stanowczo zbyt długo, ku irytacji komisarza Enki. Ale najbardziej zdezorientowany ze

wszystkich był sam Ruczyński. Szukał pomocy na sali, ale tu nie było już nikogo, jeśli nie liczyć księdza i policjanta.

– Panowie - powiedział im Ruczyński - poczekajcie, jak możecie. Nejman płaci gotówką. Poczekajcie. Nic się nie dzieje, czasem tak wygląda. Poczekajcie. Tam.

§ § §

– Widziałeś tych ludzi? Widziałeś ich oczy?

– Chryste, tak.

– Zauważyłeś, że mówią o nim tutaj nie inaczej jak po prostu Poeta?

Dzielił ich czarny stół z trzema szufladami - po stronie Gila - pełnymi zdobień, wysuwany za klamki. Obok na wieszaku wisiał surdut, na oko z epoki, a broniąca go pancerna szyba pozwalała się domyślać, że należał do kogoś przynajmniej tak ważnego dla Domeyki jak Mickiewicz. Wieszczyk uwieczniony był również w marmurowym popiersiu. Mniejsze, porcelanowe, tłoczyły się w oszklonej szafce, jego nazwisko mnożyło się na książkach w biblioteczce.

Gil zaczął krążyć bez słowa, zaciskając usta. Przyglądał się grzbietom okładek, stawał przed kolejnymi obrazami, wszystkie były ciemne.

– Czego my tu szukamy? - zapytał komisarz Enka, ale nie doczekał się odpowiedzi. Nie podobał mu się sterylny przepych, pancerne okna, portrety, za którymi najpewniej wmurowano sejfy, a najbardziej drażnił go brak popielniczki.

– Przyjechałem dowiedzieć się, dlaczego zmarł ten chłopak. I inni. Kto zabił Indiankę? A tu ganiem za wierszykami.

– Pytałeś mnie o ludzi - odezwał się Gil. - Wiesz, co zobaczyłem? Oni nie mają cienia sensu, są bogaci, znudzeni i smutni. W tych wierszykach,

jak mówisz, mogą znaleźć cel. Zmianę.

– Wiem. Tylko się droczę - odparł Enka.

– Czym jest sztuka dzisiaj, Zbyszek? Ludzie wydają fortuny na zwykłe mazidła, które wieszają sobie w swoich posiadłościach. Czasem znów kupują piękne rzeczy, Picassa, van Gogha, ale to jeszcze nic. - Gil zacisnął pifści. - Jest sztuka, która naprawdę zmienia wszystko. Ciebie, świat. Łączy między tym a tamtym światem. Daje pewność, że Bóg istnieje.

– A istnieje?

– Jestem księdzem.

Enka wstał, przespacerował się. Znalazł rękopis wprawiony w ramy, przeczytał. Tym razem tekst nie drżał, nie wywoływał mdłości, za to wiele mówił o gospodarzu:

Pamiętam, za mych czasów żyło dwóch sąsiadów, Oba ludzie uczciwi, szlachta z prapradziadów, Mieszkali po dwóch stronach nad rzeką Wilejką, Jeden zwał się Domeyko, a drugi Doweyko.

Do niedźwiedzicy oba razem wystrzelili: Kto zabił, trudno dociec, strasznie się kłócili I przysięgli strzelać się przez niedźwiedzią skórę: To mi to po szlachecku, prawie rura w rurę.

– Wydaje mi się, że to dobry trop - rzekł - ale nie rozumiem.

– Przecież widzisz, że te teksty nie leżą na ulicy.

– On zapłacił za to ze dwa miliony dolców.

Gil dotknął Mickiewicza. W nos.

– Rutczyński mówi, że to, co mamy, to kopia.

– Widzę to w ten sposób... - Enka opadł dłońmi na biurko. Przymknął oczy. - Nie, nie widzę tego wcale.

– Sprawa ujawnia się w dwóch miejscach. Tu i w Polsce. Najpierw profesor Malicki, potem ci wszyscy ludzie. Wygląda to tak, że ktoś

doprowadził do tego specjalnie, jakby chciał, żeby ci ludzie umarli. Jakby coś testował.

Enka zmarszczył brwi, a potem zmarszczył się cały.

– Ktoś im dał ten tekst? Albo fragmenty? Ktoś stąd? Przecież... Andrzej, cholera, każda ofiara - pierwszy raz użył tego słowa - chciałyby znaleźć się tutaj, na aukcji. Poloniści, antropolog, ktoś jeszcze, wszyscy mieli szajbę na wieszca.

– Jak do tego doszedłeś? - odparł Gil kwaśno. Nie opuszczało go wrażenie, że jest obserwowany, obejrzał się, tak, patrzyła kobieta. Ze zdjęcia. Stara i zmęczona, przygięta do ziemi, która już się o nią dopominała, pod stopami miała bruzdy jak otwarte usta. Jej oczy wypełniała pustka i ta pustka wędrowała za księdzem doktorem.

Enkę spotkała inna przykrość - wpadła mu do głowy złośliwa odpowiedź, arcydzieło szyderstwa, którym zamierzał się odgryźć, a tu do gabinetu wparował promieniejący Domeyko i Enka ułożonej wypowiedzi zapomniał. Nieodwracalnie. Nie wróciła do niego już nigdy.

– Witam rodaków z ojczyzny! - Uścisnął im dłonie, na stole pojawił się koniak. Jak cień, za Domeyką kroczył Rutczyński. Staruszek usiadł jako ostatni, założył okulary, w gabinecie oddychało mu się lepiej. W palcach obracał niewidzialną monetę.

– Ojczyzna jest piękna - rzekł komisarz Enka.

– Świat się kurczy. Kto by pomyślał, że będzie można tak po prostu jeździć? Jestem tu od przedwojnia.

– Bywa pan w Polsce? - Gil umoczył usta.

Oczy Domeyki pojaśniały.

– Podobno macie coś ciekawego. Wybaczcie staremu człowiekowi, w moim wieku każda minuta droga. Słabnę.

Akurat, pomyślał Enka, że żarłbyś mnie i nawet nie dostał zatwardzenia. Gil już wyjmował kartkę, już przesuwiał po stole. Domeyko się wyprężył, odsunął na bok wszystko, co mogłoby mu przeszkadzać: koniakówkę i futerał po okularach. Na palcu miał pierścień. Zerknął na kartkę i o czymś sobie przypomniał. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wydobyl złoconą lupę, przez nią jego oko stało się wielkie i nieludzkie. Zgarbiony nad stołem, w ogóle nie miał w sobie za wiele z człowieka.

Przeszedł go dreszcz, ale inny niż Rutczyńskiego, Gil dałby głowę, że liczy, że pod głową przesuwają mu się kwoty, najróżniejsze, a każda okrągła. Gdyby nie siedział, pewno by się uklonił.

– Macie skarb. Księżę doktorze, panie komisarzu. To niewątpliwie kopia, ale ten, który ją sporządził, trzymał w ręce oryginał *Części piątej*. Czystopis. Jestem pewien.

W jednej chwili Rutczyński zrobił się blady jak ściana. Pociągnął koniak.

– A jaka, panowie, różnica? - Enka nie pił, więc zapytał trzeźwo.

– Czasem, kiedy piszesz w wielkim napięciu, rzeczy wychodzą spoza ciebie. Słowa, zdania, całe strofy - deklamował Rutczyński. - Tak było z *Wielką Improwizacją*, ktoś inny, coś innego ją ułożyło, poeta tylko wypowiedział. W napięciu gorszym od śmierci.

– Możemy przypuszczać, że z *Częścią piątą* było podobnie. - Domeyko złożył lupę.

– Było tak na pewno - przekonywał Rutczyński. - Poeta napisał ją w czymś większym niż natchnienie, korzystał ze starszych fragmentów, ale dzieło powstało podczas jednej nocy. Boże, w ciągu jednej szalonej nocy, coś mu ją powiedziało, pisały ją jego nerwy, kości, serce zmieniło się w ropień. Ale napisał. Bał się, że umrze, więc natychmiast przepisał ją

ponownie, słowo po słowie, znak po znaku, o Chrystusie jedyny! Tak samo. Domeyko chrząknął.

– To były legendy, tak słyszałem. Od lat skupuję z zyskiem fragmenty brudnopisu i sprzedaję je na swoich aukcjach. - Pojaśniał na twarzy. - Słyszałem legendy, nie widziałem. Macie czystopis, panowie. Macie coś, co nie ma prawa istnieć.

Wydał się nagle mały i dziecinny, skurczony w zasuszoną prośbę. Połapał się, zmężniał, powtórzył:

– Nie handluję tym. Ale mogę kupić to od was. Będziecie naprawdę zadowoleni.

W głowie komisarza Enki zaświtała myśl, że ta chwila może odmienić jego życie. Ten stary wariat obsypie go dolarami, koniec użerania się z Aniołem, śmiechów kolegów z pracy, paskudnego komisariatu, a nade wszystko nigdy nie zagrozi mu zastrzelenie. Skończy się gonitwa za demonami, niedosypianie, wódka zmieni się w dobre łiskacze, mieszkanie w willę, przecież ten dziadyga da mu wszystko. Nowe życie.

– Po co panu kopia? - zapytał Gil. - Przecież pan nawet tym nie handluje.

– Jestem stary i bogaty. Mogę spełniać swoje kaprysy czy nie mogę?

– W tym wypadku, z całym szacunkiem, nie może pan - powiedział poważnie Enka. Sam był zdziwiony pewnością, którą miał w głosie. Domeyko spojrział na niego z szacunkiem, Rutczyński z przerażeniem.

– Nie widzieli tego panowie, och jej! Przecież to cała kultura, Poszukiwacze zbierają fragmenty jako talizmany, część siebie, czasem i widzą w tym inwestycję, kaprys. Cokolwiek.

Zamiast straconej przed chwilą złośliwości w Ence zrodziło się pytanie. Gnieździło się, ćmiło w jego głowie, odkąd wszedł w tę sprawę, przeczuwał

je, lecz nie umiał wypowiedzieć. Teraz pojawiło się, jasne i bez wątpliwości.

– Po co to wszystko? Ludzie zbierają różne rzeczy, to wiem. Właśnie kartka papieru zeszła za dwa miliony dolarów, za to można by kupić, jak sądzę, rękopis *Pana Tadeusza* z kompletem wierszy na dokładkę, a chyba zgodzicie się wszyscy, że sam Mickiewicz niezbyt interesuje pana klientów - zwrócił się do Domeyki. - Więc pytam, o co właściwie tu chodzi?

Dłonie starca pożegnały się już z kartką, oczy odwróciły się od niej.

– O przeanielenie, panowie. O przeanielenie. Zrealizowanie całego planu Bożego przez jednego człowieka.

– Wierzy pan w to? - zapytał Gil.

A Domeyko się uśmiechnął.

– Czy ja wierzę? Ja na tym zarabiam. Każdy, kto zdobędzie całą *Część piątą*, przeczyta i odczyta, stanie się aniołem. Wiedzą panowie, kim jest anioł? Księżę doktorze, panie komisarzu?

Książdz doktor habilitowany się domyślał, pan komisarz nie wiedział nawet, w którym kościele dzwoni.

– My, ludzie, musimy zabiegać o nasze istnienie - tłumaczył Domeyko. - Pytamy o to, kim jesteśmy. Mamy wątpliwości, czy istnieje Bóg, co stanie się z nami po śmierci, starzejemy się i obciążają nas ułomności. Anioł pozostaje od nich wolny, całkowicie i kompletnie, jeśli nie równy Bogu, to usadowiony wysoko, ponad człowiekiem. Nie będzie musiał zebrać - opuścił głowę, mamrotał do stołu, niczym dziad proszalny swoje zdrowaśki.

Daj mi rząd dusz! - Tak gardzę tą martwą budową, Którą gmin światem zowie i przywykł ją chwalić, Żem nie próbował dotąd, czyli moje słowo Nie mogłoby jej wnet zwalić.

Lecz czuję w sobie, że gdybym mą wolę

*Ścisnął, nateżył i razem wyświecił,
'Może bym sto gwiazd zgasił, a drugie sto wzniecił
– Bo jestem nieśmiertelny! i w stworzenia kole Są inni
nieśmiertelni; - wyższych nie spotkałem.*

Gilowi zrobiło się żal Domeyki - ten chciwy człowiek poświęcił życie na kupczenie prawdą, w którą wierzył i po którą nie miał odwagi sięgnąć.

– Co z tego by pan miał? Pan po przeanieleniu powiedziałby mi jedno słowo, a oddałbym panu wszystko do ostatniej koszuli i poszedł goły przez Paryż. Mógłby pan rządzić światem, gdyby pan zechciał. Mieć wszystkie kobiety, jakich pan zapragnie, zostać zbrodniarzem, a ludzie patrzyliby na pana jak na dobroczyńcę. Stałby się pan Bożym dziećciem. Wielkim *tak* dla świata. To mało?

Teraz naprawdę się uśmiechnął.

– Powiem wprost. *Dziady, część piąta* są zapisem pewnej przemiany. I ktoś posiadający pełny tekst przy odpowiednim doświadczeniu zdołałby ją powtórzyć Wówczas dostąpi przeanielenia. Ten tekst jest wielką świętością, a jego fragmenty relikwiami.

– Przecież ludzie mają po kilka fragmentów - przypomniał sobie Gil. - Czemu nikt nie usiłował ich połączyć?

Rutczyński spojrzał na niego jak na skończonego osła.

– Ludzie ginęli w Polsce - podjął Enka. - Słyszał pan może o tym?

Usta Domeyki pozostawały zaciśnięte.

– Widocznie nie byli gotowi - powiedział Rutczyński.

– Powinienem wam coś pokazać. - Domeyko pomęczył się chwilę z szufladą, nim ją otworzył. Wyjął pilota, nacisnął kilka przycisków i drzwi po lewej się rozsunęły. Poczłapał w ich kierunku, podążyli za nim, Gil z żalem zerknął na koniak. Znaleźli się w pomieszczeniu mniejszym od

gabinetu, lecz równie wykwintnie urządzonym. W pancernych gablotach wisiało mnóstwo drobiazgu: nadtargany rękopis, wizytownik, zabazgrany notes, książka z zamaszystym autografem, pióro, koszula, wykałaczka, miedziany pierścień, grzebień oraz, na honorowym miejscu, rękopis z fragmentem *Dziadów cz. II*.

– Ludzie zbierają. Ja pomagam zbierać - wyjaśnił Domeyko. - Osoby prywatne, fundacje, muzea. Te rzeczy - wskazał na gabloty - nie działają jak *Część piata*, ale są tacy, co kochają drobiazgi, które otarły się o wieszczka.

Zawahawszy się, Enka zdecydował, że nie odpuści.

– Mógłbym to wszystko kupić za dwa miliony dolarów?

– No tak, zakładka jest wyjątkowa. - Domeyko uśmiechnął się jak kocur nad śmietaną. - Rzeczywiście, poczułem się zaskoczony. Autentyczność zakładki nie podlega dyskusji. Mogę tylko przypuszczać, że mój dzisiejszy utarg zawdzięczam notatkom, które się na niej znajdowały. Zresztą nabywcy podbijali cenę. Ma pan rację, panie Enka, takiej kwoty jeszcze nie uzyskałem.

– Kim jest człowiek, który to kupił? Nazywa się Nejman, prawda?

Domeyko nie odpowiedział. Patrzył na fragment z drugiej części *Dziadów* i coś sobie myślał, marszcząc czoło. Lewą rękę włożył do kieszeni, żeby ukryć jej drżenie.

§ § §

Plany brały w łeb. Dosłownie.

Mieli wracać do siebie i pogadać z Cnotą, nie wiadomo o czym, bo były górnik rozjechał się ze wszystkim, z własną głową na czele. Rutczyński oznajmił, że od południa strajkuje metro, on bierze taksówkę i mogą się zabrać. Taksówka początkowo kojarzyła się dobrze, a zaczęła źle, w chwili

gdy Enka zobaczył jej kierowcę: wesolutkiego Algierczyka po dwudziestce, który nieustannie gwizdał, podśpiewywał i opowiadał żarty w swoim języku. Ence przyszło do głowy filozoficzne pytanie o przyczynę - czemu każdy paryski dryndziarz jest właśnie Algierczykiem, i to takim, że nie zasmuci go nic, nawet własny nekrolog. Popędzili przez miasto.

Enka, który siedział z przodu, zapytał Rutczyńskiego:

- Większość Poszukiwaczy to Polacy, Francuzi. No i ten Włoch.
- Właściwie to wszyscy.
- A Rosjanie?

Taksówkarz nie wytrzymał, zagadnął Rutczyńskiego po francusku i wyraźnie ucieszył się z otrzymanej odpowiedzi. Rozgadał się cały z tej radości, a jego mowę przetykały znajome słowa: *wódka, kurwa, na zdrowie, Waleza, bęc*.

- Mówi, że bardzo kocha Polskę - wyjaśnił Rutczyński. - Jego rodzice pracowali z polskimi inżynierami, mieli działki z ropą na Saharze, a potem przyszła nacjonalizacja i wynieśli się do Francji. Muzułmanin, ale pijący, mówi właśnie, że Polacy nauczyli go wielu rzeczy, na przykład otwierania piwa zapalniczką, i dlatego ich kocha. Tak mówi.

Niezależnie od swoich narodowych sympatii i antypatii Algierczyk świetnie radził sobie z tłokiem, znajdował dziury w litych, wydawałoby się, ścianach samochodów, nie patyczkował się chodnikiem czy pasami zieleni, psy zmykały przed nim, inni kierowcy trąbili. Zatrzymały go dopiero światła. Po przeciwnej stronie gęstniał sznur samochodów.

- Co z tymi Rosjanami? - nie ustępował Enka.
- Zdupiaj, bambusie jebany! - wykrzyknął Algierczyk po polsku i zaniósł się śmiechem.

Rutczyński rozłożył dłonie.

– No przecież ja odpowiedzi nie unikam, gdzieżby, niewiele wiem. Byli jacyś Rosjanie, ale to parę lat temu. Pokręcili się i poszli.

Po przeciwnej stronie skrzyżowania stał zielony citroen, a w nim facet, który nazywał siebie Abrahamem Ardziwianem. Gapił się prosto na nich. Enka wrzasnął ze złości, jakiś trzask przepadł w tym dźwięku, chciał wysiąść, lecz nie mógł otworzyć drzwi. Szarpał za klamkę, nie puściły. Algierczyk, wciąż uśmiechnięty, rozłożył dłonie.

– Problem! *Je ne sais pas*. Problem, *pas bien du tout!*

Enka ryknął do Rutczyńskiego, nie odpuszczając: - O niego pytałem! O tego sukinsyna!

– Zwalił nam rusztowanie na głowę! - krzyknął Gil.

Rutczyński - ku zaskoczeniu Enki - nie wahał się ani chwili. Sam spróbował wysiąść, a gdy nie zdołał, gorączkowo poprosił o coś Algierczyka. Na moment taksówkarz przestał rechotać, brew mu się uniosła, kiwnął głową i roześmiał się na nowo. Wskazywał palcem na doktora Gila. Światła się zmieniły, citroen ruszył, taksówka - wprost przeciwnie. Bieg nie wszedł, silnik jęknął, coś huknęło. Algierczyk zaklął. Mocno, wściekle, Enka chciał wyjść ze skóry. Ardziwian oddalał się szybko i już miał przepaść w bocznej uliczce, gdy silnik zaskoczył.

Popędzili! Dystans szybko się zmniejszył, raz czy dwa razy Enka mógł przeczytać numer rejestracji citroena, nabrał też do Algierczyka szacunku - ten gnał bezkompromisowo, skręcał ostro, to omal nie staranował motoru, to cudem ominął psa, nie walnął w mur. Gil dyszał z przerażenia. Przemknęli przez bulwar szeroki i zielony, pod prąd, z piskiem opon, z okien masywnych kamienic wychylały się zaciekawione głowy.

Ardziwian próbował ich zgubić, skręcił gwałtownie, zarzuciło mu tył - Algierczyk nie oddał pola, a że drogę mu zastawiono, wpadł na zieleniec, rozganiając dzieci grające w piłkę, Enka walnął się w głowę o dach, Gil się

za łeb trzymał, Rutczyński zeszywniał, jego mechaniczne oczy wyrażały i zachwyt, i przerażenie.

Z boku mignęły im piramidy przy Luwrze, słońce przestrzeliło szklane czuby, Ardziwian ustąpił pola, omal nie stracił panowania nad kierownicą, nie wyrznął w słup obok zejścia do metra. Prawie go mieli, silnik znów charknął, lecz już nie zamilkł. Algierczyk trzymał się zaraz za citroenem, podkreślił radio, grała jakaś muzulmańska pieśń, najpewniej o mordowaniu chrześcijan. Zawtórował jej. I zaraz wypadli na otwartą przestrzeń, szeroką ulicę prawie bez samochodów. Ardziwian nie miał gdzie skręcić, Algierczyk był szybszy.

– Montmartre! - połapał się Rutczyński. - Jedzie na Montmartre!

Ence nic to nie mówiło, Gilowi owszem. Po chwili pruli ostro pod górę, wąskimi uliczkami, między kawiarenki, sklepy z winem i pamiątkami; zdumieni turyści odskakiwali, wpadali na siebie, łup! - citroen nie wyrobił i wpakował się w stragan z pocztówkami, sprzedawcy nic się nie stało, ale taksówka wjechała prosto w papierową chmurę, na szybę posypały się paryskie widokówki. Citroen znów skręcił w wąską uliczkę, bardzo stromą, migąły im okna, skręcił znowu, jeszcze tylko parę metrów, już siedzieli mu na ogonie. Mamy go, pomyślał Enka, ależ cię spiorę, sowiecki sukinsynu.

Ostatnim, co widział, był samochód wyjeżdżający z przecznicy. Enka nie usłyszał nawet odgłosu zderzenia.

§ § §

Pierwszym, co ksiądz doktor Gil zobaczył, gdy się ocknął, były oczy Rutczyńskiego. Już nie mechaniczne, lecz szklane, jedno białe, drugie przekrwione. Doktor leżał przyciśnięty do resztek fotela, ucho zwisało na wąskim płacie skóry, z nosa szły czerwone wąsy, skroń prysnęła jak

porcelana. Usta zastygły otwarte, z resztkami zębów, i jeszcze ta ręka wyłamana, kość stercząca z uda, krew, tyle krwi, Boże, a ja żyję, on nie - zamrugał. Zaczęło się wielkie sprawdzanie ciała, ruch karkiem, kolanem, stopą, nic nie bolało, ale z klatki piersiowej uciekł wszelki ruch, nie bolała, lecz wcale jej nie czuł. Spróbował ruszyć całym ciałem, jednocześnie, w konkretnym kierunku, i zorientował się, że wszędzie pełno jest szkła. Udało się, szarpnięciem przesunął się trochę, ciało Rutczyńskiego opadło głową na ramię, sztywne.

Powoli dostrzegał coraz więcej - wywaloną deskę rozdzielczą, ostre krawędzie wygiętej blachy, potrzaskany samochód przed nimi; dalej jeszcze było mglisto i z tej mgły pomalutku wyłaniaли się ludzie. Tłoczyli się, żaden nawet nie podszedł, coś syczało, może w silniku, może to ich głosy.

Daleko zamigotały światła, zabrzmiała syrena. Gil rozmasował bolące czoło, wszystko zafalowało i pod nos podjechał mu Algierczyk, który wreszcie zamknął wesołą mordę - tej Gil jednak nie widział, tylko buty na masce, głowę rozsmarowaną o samochód dostawczy, otoczoną rozgwiadką krwi. Już się nie śmieje, o nie, pomyślał Gil, może zaśmieje się Tobie.

Nogi miał przygniecione, wydobył je ostrożnie spod fotela, skrzywił się na widok ciemnych plam na spodniach, poruszał palcami. Uderzył w szybę na znak, że żyje, że trzeba mu pomocy. Nikt się nie ruszył, o Boże, wycięci z kartonu, sztywni ludzie. Gil syknął. Fotel napierał na kolana, spróbował go odepchnąć. Fotel, na którym siedział komisarz Enka.

Gil nie wiedział nawet, jak znalazł się na zewnątrz i morduje się z klamką przednich drzwi; otwarły się ciężko, rąbnęły go o golenie, bolało, a tam był Zbyszek, nieprzytomny, niewidzący, z głową na bok przechyloną. Gil dotknął go delikatnie, przyłożył dłoń do twarzy - co się stało, czy taki samochód może wybuchnąć? Życie to czy film? Wokół księdza pojawili się ludzie, ktoś podtrzymał, coś truł w tym szwargocie, ksiądz nie ustąpił,

zapał się, dalej, do Zbyszka. Mówił mu coś, na przemian Bogu i przyjacielowi, aż poczuł na ramionach stanowcze dłonie. To sanitariusze próbowali go odciągnąć, nie dał się, aż pojął, że oni przyjechali, by pomóc, pomóc tym, którym pomóc można. Oderwał rękę od Enki, a ten odwrócił głowę, oczy miał zaskakująco przytomne. Wypluł kawałek zęba i powiedział: - Kiedyś wszyscy będziemy mieli telefony. Coraz mniejsze, takie aparaciki. A potem znikną całkiem. Wiesz, Andrzej? Całkiem. Ale ciiiicho. Bez Ruskich.

Rozdział piąty

Kochanka poety

Rajmund Cnota mamrotał modlitwy, klęcząc, z twarzą wtuloną w ścianę. Echo jego głosu obijało się po pokoju. Za oknem zapadała noc. Z wolna, bo we Francji nawet zmierzch się nie spieszy.

- Ojczy nasz, kieryś jes w niebie, świyńć sie imie Twoji - szeptał górnik.

Gil odmawiał tę modlitwę po swojemu, za to Enka milczał i gapił się na swoje ręce. Lewą opinała opaska identyczna z poprzednią, za to prawa była usztywniona po łokieć, wciśnięta w elastyczny materiał - dzięki Bogu, niezłamana - umieszczona na temblaku. Ramiona komisarza pokrywał gąszcz drobnych zadrapań, ze trzy większe szramy, za to twarz była poprzecinana siecią ranek, a przez czoło biegł szew nici chirurgicznej, ponadto pokiereszowana facjata Enki była czerwona ze złości. Próbował się kręcić, coś ze sobą zrobić, zerkał na unieruchomione ramię i kombinował, jak by tu zapalić.

Gil podał mu ognia, podsunął popielniczkę, kątem oka zobaczył, że za oknem uprzątnięto już rozwalone rusztowanie. Oko, którego kątem tak zerkał, było zwyczajnie podbite, za to drugie, mieniące się zresztą całą paletą barw - od zgniłej zieleni, przez jasny błękit, po grobową czerń - ginęło pod warstwą opuchlizny. Gil przytykał doń kwaśny okład i prosił, żeby zeszła jak najszybciej. Pod powiekami wciąż błyszczały szklane oczy Rutczyńskiego.

Trząsł się na samo wspomnienie wypadku, tego metalicznego huku, lecz znał gorsze dźwięki - głos Koseckiego, pierwsze słowa, które wypowiedział, usłyszawszy, co stało się z jego przyjacielem. Patrzyli teraz po sobie, Gil na Enkę, Enka na Gila.

Przemówił więc Rajmund Cnota. Skończył modlitwę, wstał, otrzepał kolana.

– Ruskie wymordujom colutki Paryż, moi złoci. Jok bydzie trzeba, podpalum i lej po grzychach zostanie.

Gil zanurzył gazę w miseczce z kwaśną wodą.

– Kim jest ten człowiek? Rosjanin. Skąd on tyle umie? - Przygryzł wargi, nie, Cnocie trzeba było zaufać. - Ja widziałem dużo, panie Rajmundzie. Ludzi, którzy leczyli dłońmi, narzucali swoją wolę i przyzywali demony, także... Ale takie cuda?

– Ale nikogo tak silnego to farorz nie spotkoł, pra? To jeszcze psińco, co ten czorci syn umi.

– Pytanie też skąd? - warknął Enka, zajęty głównie utrzymaniem papierosa w opuchniętych wargach. Wściekał się na własną bezsilność wobec rzeczy najprostszych, do tego Rosjanin załatwił go w jeden dzień, za to dwukrotnie i Enka nie chciał słuchać jeszcze o jego potędze. Rajmund Cnota najwyraźniej tego nie rozumiał.

– Czorci syn, jo mówia, a cudo to żadne, ale czarcie sprawy. Cuda Bóg człowiekowi zesyło, świętym, a nie takim drapichrustom, huncwotom, tym to czort pomoże. Szymon Mag na ziemia wrócił, jak nic, to ta staro bestyja.

– Kto znowu? - głos znów należał do Enki.

– Szymon Mag - wtrącił Gil - to postać z Biblii, pierwszy heretyk, niemal diabeł, tu pan Cnota ma sporo racji - dodał. - Próbował nawet kupić moc zsyłania Ducha Świętego zarezerwowaną dla apostołów. Legendy mówią również, że współdziałała z nim wielka nierządnicą, Helena.

– Kurew Bobilońsko, Mefistofelsko - zapunktował Cnota.

– Możemy przestać już o tym? - poprosił Enka. Jak na złość ciało zaczęło go swędzieć, tu strupek, tam krostka, rozbudziły się plecy, jedyna ręka, zgodnie z logiką małych uprzykrzeń, nie docierała nigdzie tam, gdzie powinna. Gil jak na złość nie zamierzał się zamknąć.

– Pan Cnota ma rację o tyle, że projekt, z którym ten Rosjanin jest chyba związany, polegał właśnie na próbie takiej transakcji. Chcieli na własną rękę kupić, wykraść moc czynienia cudów, należną tylko Bogu.

– Szymon spod i pysk rozkwasił. Moc Bosko go zabiła. - Rajmund Cnota się przeżegnał, na jego twarzy malowała się nadzieja, może nie niezachwiana, ale stabilniejsza niż paryskie rusztowania. Pewno powiedziałby coś jeszcze, co Gil ładnie przetłumaczyłby Ence, i tak by sobie gadali, gdyby nie Józefa, która wpadła do pokoju, cała zaaferowana, z garnuszkami i gazetami. Odłożyła je na stół i załamała dłonie.

Wyrzuciła z siebie bardzo wiele słów, z tym że te wygłoszone po polsku brzmiały z francuska i na odwrót, tak że z jej ust popłynął brzęczący lament - że dopiero dzień i tyle nieszczęść, że gdyby wiedziała, toby ostrzegła, że ksiądz doktor kochany to na pewno takich okropieństw w Polsce nie doświadczał, rany boskie, może sobie całkiem źle o nich nie pomyśla, o Polakach we Francji, to tacy Polacy jak zwykle, tyle że tęsknią mocniej i do kościoła za całą Warszawę chodzą, księżę kochany.

Zignorowała Cnotę, co ten zniósł z godnością, wracając do pacierza. Stała przed Enką, zlustrowała temblak, opaski, co większe zadrapania, nie uszła jej uwadze muskulatura.

– Boże kochany, jak mi przykro. Okropnie pan wygląda, czy ręka bardzo boli? Pewno mi pan nie powie, panie komisarzu, jakby pan potrzebował, to o wszystko tutaj zadbamy jak należy. Znam dobrych lekarzy. Pan twardy

człowiek, podziwiam, jak pan to znosi. Ale dla pana to nie pierwszozna, prawda? - Otarła łzę. - Pan to żadnego niebezpieczeństwa się nie boi.

No nie pierwszozna, przyznał w duchu Enka. Ogarnęła go złość, bynajmniej nie przyjacielska. Dotąd wychodziło zgodnie, że większy łomot zbierał ksiądz doktor, wiadomo, niektóre rzeczy po prostu się dzieją, rzeki zawracają, ludzie fruną pod chmurkę, zamiast spadać, to i karta się odwraca - jeśli tak dalej pójdzie, jęczał w swej policyjnej duszy, zwyczajnie tego nie przeżyję.

- Niech pani się nie przejmuję. To nie pani wina - ksiądz doktor habilitowany włączył się do rozmowy.

- Faktycznie - Enka otrząsnął się ze złych myśli - rzeczy po prostu się dzieją.

Oddech pełen ulgi wydobył się z piersi pani Józefy, popatrzyła na Gila ciepło, na Enkę gorąco i przypomniała sobie, z czym przyszła. Drzwi trzasnęły, za moment już rozkładała przed nimi talerze zdobione na ludowo, uniosła pokrywę garnka, uwolniła zapach domowy i niefrancuski.

- Pierogi wam sama zrobiłam, polskie, jak przed wojną. A tu prasa - pchnęła gazety na środek stołu - właśnie przyszły gazety z Warszawy.

Enka zastanowił się zaraz, jak tu zrobić, żeby się najeść. O gazetach z Polski nawet nie myślał, w kiosku na lotnisku widział nowsze, przecież wczoraj wylecieli. Wczoraj! Od tego czasu zdarzyło się więcej niż w ciągu ostatniego kwartału. Dopiero wczoraj, a tu już takie jaja. Józefa nakładała pierogi. Ostrożnie odcedzała i kładła po jednym na talerzu. Zaczęła od Enki.

- Co panowie przywiozą z tego Paryża? Same kłopoty, to może chociaż te pierogi zasmakują. I wczorajsza wódeczka, poczęstunek. Byli gdzieś panowie? Rany, co wam się stało? - jęknęła, bo Gil nachylił się nad talerzem, ukazując w pełnej krasie rozcięty łuk brwiowy. - Gdzie byliście?

Powiększający się stos pierogów był bardzo piękny i Gil mógł myśleć tylko o nim.

– Na aukcji. U niejakiego Domeyki - powiedział i ugryzł się w język.

Pieróg zsunął się z chochli i pacnął o ceratę, za nim spadła sama chochla, Józefa zawyła tak, że nawet Cnota przestał się modlić. Jej twarz błyskawicznie przeszła w purpurę, trysnęły łzy i poniósł się lament, już bez słów, rozpaczliwe zawodzenie. Jęła wirować powoli wokół własnej osi, wywróciła białkami, dłonie uniosła wysoko, rozczapierzając palce. Pierwszy dopadł ją Enka, niezdarnie uspokajał, ale był mistrzem przy Rajmundzie Cnocie - górnik klepał ją po ramieniu z bezbrzeźnie głupią miną.

Dopiero Gil dał radę. Dał się wypłakać, objął, otarł oczy, szeptał ciepłe słowa.

– On nie żyje! - wykrztusiła wreszcie. - To czarny, czarny dzień. Wy tu jesteście, ale Rutczyński, biedny, dobry Rutczyński, co każdemu pomógł i kochał polską mowę, co on komu zawinił? A jeszcze nie ostygł, jak pana Domeykę w gabinecie znaleziono. Szafa go przygniotła. On antyki zbierał!

– Poni tok sie nie denrwuja, poni tu bezpiecno jest - przekonywał Cnota.

Akurat, antyk go zabił, pomyślał Enka. Wystarczyło zerknąć na Gila, by wiedzieć, o czym ten myśli. A Gil myślał o Domeyce, jak siada w gabinecie, rozważa dzisiejszy dzień, zachodząc w głowę, czy coś go nie przerosło. Pije koniak. Spaceruje. I nagle szafa wali się na niego, pchnięta niewytłumaczalną siłą. Brzmią kroki, pisk opon. Rosjanin odjeżdża. Dlatego minęli jego samochód. O ile szaleńczy pościg przedłużył życie Domeyki, dziesięć, dwadzieścia minut? Za jaką cenę?

Józefa szlochała.

– Też to był dobry człowiek, filantrop, ile nam tu ufundował, ile darów dał muzeum. Trzy portrety! Listy! Polacy go kochali, żeby tylko, cały Paryż go kochał! Dobry Boże, tak nagle umarł, wszyscy tak szybko odchodzą, ja nie wiem, ja nie wiem, nikt nie może być pewien niczego, niczego!

Zawisła na szyi komisarza Enki, sztywne palce splotły się na karku. Nikt by jej nie oderwał, nawet tuzin Rajmundów Cnotów z ciężkim górniczym sprzętem.

– Znaliście go? - zapytała.

Gil przytaknął. Uwolniony Enka zaczerpnął powietrza.

– Jest jedna radość - chlipnęła. - Wyście wywinęli się śmierci. - Pochwyła chochlę. - Macie, kochani, macie. Jedzcie, póki ciepłe. No jedzcie. Ja pójdę. Wypocznijcie, ja pochodzę.

§ § §

Przed nimi stygły pierogi. Tylko Cnota jadł. Powoli.

– Czego on tam szukał? - zapytał ksiądz doktor. Enka wyglądał jak robot, nieruchoma twarz, sztywne ramiona.

– Po mojemu to zakładki. Widzieliśmy, do czego zdolny jest ten facet. Tacy nie ruszają się z byle powodu, a dwa miliony dolarów to chyba dobry powód.

Pierwszy, wciąż ciepły pieróg wylądował w ustach księdza doktora. Smakował prawdziwym polskim serem i pieprzem. Enka spróbował zmierzyć się z widelcem, nie dał rady, wstał, obszedł pokój.

– Zakładka - powiedział.

Gil uniósł brew.

– Otóż zakładka. - Enka, głodny i wściekły, że nie ma jak zjeść, zabrał się do gazet. Nie zdołał żadnej otworzyć, więc rozsuwał okładki usztywnionym palcem. „Polityka”. „Gazeta Wyborcza”. „Tygodnik

Solidarność”. - Ten Rosjanin wiele może, a tacy ludzie nie ganiają za byle czym.

– Czemu jej po prostu nie kupił?

– Boby mu jej nie sprzedoli - poinformował Cnota.

„Niedziela”. „Przegląd”. „Przekrój”. „Wprost”.

– Trafna uwaga - zgodził się Enka. Chyba że jest to gość, który sądzi, że wszystko mu się należy. Mówię wam, takiej forsy nie wydaje się na próżno. Zakładka - gwałtownie wciągnął powietrze - ...jest kluczem.

Zgarbił się akurat nad „Wprost”, spróbował się podrapać w czoło, co mu oczywiście nie wyszło. Pchnął gazetę w kierunku Gila i ksiądz doktor także się zdziwił: z okładki spoglądał facet, który akurat zakładkę kupił, trochę odmłodzony, uchwycony z profilu, na brunatnym tle. Jasne oczy patrzyły w lepszą przyszłość. Podpis głosił: *Nowy Wokulski?*

– To jo pójda - rzekł Cnota sam z siebie.

– Nałożyć jeszcze pierogów? - zapytał Gil. Cnota tylko się uśmiechnął. W rękach już trzymał małą wojskową menażkę, nabrał do niej, ile się dało, docisnął, dołożył jeszcze dwa. I skwarki. Skłonił się, wstając, jak miał w zwyczaju.

– Nie chodzi o to, że panu nie ufam - rzekł Enka.

Cnota położył na nim łagodne spojrzenie i Enka wpuścił go do siebie, otwierając głowę jak najszerzej potrafił. Nie wiedział, Cnota skorzystał czy nie, za to wyszedł z cichym *pochwalony*, jeszcze ciszej zamykając drzwi. Gil już przeglądał gazetę.

– Poczytaj mi co piękniejsze fragmenty, Andrzej - poprosił komisarz Enka.

Więc Gil przeczytał. Co nudniejsze fragmenty streszczał, komentował, cytując co istotniejsze zdania. Robert Nejman skończył filozofię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i jak sam wspominał, miał straszną

chrapkę na doktorat. Porwał go handel zagraniczny, robił w tym od połowy lat osiemdziesiątych, jak się wydaje, ze sporym sukcesem. Fasolki. Tekstylia. Materiały budowlane.

– Agent jak nic. Wszyscy, co robili w handlu zagranicznym, podpisywali kwity - skomentował Enka.

– Dalej jest lepiej - mówił Gil podnieconym głosem. - Przejął kilka upadających fabryk cementu i kamieniołom w Myśliborzu. Spróbował z telewizją kablową, zainwestował w kilka gazet, teraz koncentruje się na budownictwie - wyliczał. - Ma lokalne radia. Nawet Polmos mu się trafił. Członek różnych klubów, rad biznesmenów. Wielki filantrop.

– Nie widzę tego *lepiej*. - Enka nie mógł oderwać wzroku od pierogów. Żeby jeszcze nie pachniały tak pięknie... żeby nie stygły. Gil widział potrzebę w oczach przyjaciela, ale myślał, czy narzucanie się z karmieniem jest tym, czego oczekuje zawsze polegający na sobie Enka.

– To masz. Nejman sponsoruje katedrę na poznańskim Uniwersytecie imienia Mickiewicza, zgadnij, którą katedrę, co? Wyłożył pieniądze na kilka międzynarodowych seminariów mickiewiczowskich, ten *ceniony w świecie kolekcjoner pamiątek, znawca późnego okresu życia wieszca* - przeczytał Gil. - Trzeba ci czegoś jeszcze?

– Zaraz zadzwonimy do Gruli, żeby sprawdził tego pana. I Ardziwiana też, jeśli wpadnie na jakiś pomysł. Niech sprawdzą wszystkie dowody pod ich kątem. Popatrz, jednak jest jakiś postęp. - Podrapał się w czuprynę ręką, którą ledwo władał. - Głowy dwóch grup najwyraźniej się pojawiły. Tylko że, cholera, wysoko są. Zwłaszcza ten Nejman.

– Bardziej obawiałbym się Rosjanina.

– To zwykły gangster, tyle że wyczynia cuda - przekonywał Enka. - Z Nejmanem byłaby afera. Jednego załatwisz, drugi wygrywa. Nic. Zobaczymy w Polsce.

- W Polsce?
- A myślisz, że gdzie powędrowała zakładka?
- Jeśli Rosjanin nie dopadł Nejmana - powiedział Gil. Oczy Enki rozszerzyły się gwałtownie, zaraz zgasły w zakłopotaniu.
- Wreszcie myślisz jak należy - rzekł szybko, jakby te słowa chciał już mieć za sobą. Gapił się na pierogi. Białą, ciepłą górę wypełnioną doskonale przyprawionym serem, na ich łagodne stoki, bursztynowe korony ze skwarek, lśniący tłuszcz. Przełknął ślinę, zapytał księdza: - Nakarmisz mnie?

Gil widział przed sobą Enkę, rumianego, jakby właśnie złowił pierwszy pocałunek w życiu. Nic nie powiedział, tylko nabił pieróg na widelec i włożył mu do otwartych policyjnych ust, dziękując Bogu za rozwiązanie niezręcznej sytuacji i licząc po cichu, że pan komisarz przynajmniej ze srajtaśmą da sobie radę w samotności.

§ § §

Ciemność, światło i ciemność ponownie - tak to wyglądało. Mrok spływał z chmurnego nieba na ciche kamienice wyspy. Paryż przygasł, by za chwilę rozjarzyć się setkami świetlnych reklam i latarni. Budka telefoniczna już jaśniała nazwą dezodorantu, której i tak wymówić nie sposób. W budce ksiądz doktor Andrzej Gil, w czarnych butach, spodniach i takiej też koszuli, wrzucał monetę za monetą.

Obok krążył komisarz Enka. Nie wiedział, co ze sobą zrobić, z jedną ręką wysuniętą po żebraczemu, drugą niemal sztywną od nadgarstka, ledwo przebierał palcami. Nawet w pięść nie mógł ich zacisnąć, nawet szum rzeki go złościł, nawet niebo wydawało się chmurzyć z czystej złośliwości. Do

budki zaś wejść nie mógł, nie mówiąc o wybraniu numeru. Wybrał go ksiądz Gil.

Ledwo się przedstawił, ktoś mu przerwał. Gil kiwnął głową, brwi miał ku sobie ściągnięte, szepnął, powiedział coś, stłumił krzyk.

– Gula już idzie - powiedział do Enki.

Trochę to trwało, coś stuknęło w aparacie i Gil nieustannie musiał wrzucać monety, tylko czekać, aż aparat zacznie kłapać wąskim pyskiem.

– To ja, panie Edwardzie. Nie, no nic... tak, Paryż jest bardzo piękny. Ma pan rację, najpiękniejszy. Czy... - Posłał w stronę Enki rozpaczliwe spojrzenie. - Oczywiście, bardzo dobre. Był... a, słyszał pan, ja wiem, że koszty. Mieliśmy wypadek. Dwa wypadki. To dobrze, nie przejmujemy się... Dobrze z nim.

Gdyby tylko mógł, Enka uniósłby dłonie ku milczącemu niebu i tak nimi potrząsnął, jakby chciał coś z siebie zrzucić, to coś siedziało jednak mocno. Aż pysk mu wygięło, jak ręce wcześniej.

– Panie Edwardzie... no tak, wiem, że koszt. Miałem sam go składać? - pytał Gil podniesionym tonem. - No oczywiście, że tak, przecież się nie złoścę - natychmiast spowolnił. - Nie, wieży jeszcze nie widzieliśmy... Ma pan rację, widać ją zewsząd, ale z bliska to nie. Znacząco widać, ale... Tak, świeci... Nie ma piękniejszej rzeki... No, na wyspie. Naprawdę nie wiem, która ładniejsza, jeszcze nie zdecydowałem. Co sądzi Zbyszek?

Spojrzał na Enkę i przestraszył się, co ten może sądzić.

– Podoba mu się ta mniejsza. Ta, na której mieszkamy. Tak, z muzeum. - W szczelinę poleciały trzy kolejne monety. - Panie Edziu, potrzebujemy... Tak, pyszne, butelkę panu przywiozę, ale potrzebujemy teraz wszystkiego o człowieku, który nazywa się Nejman. Biznesmen. I jego związkach z Mickiewiczem. Nie przesłyszał się pan, ten sam. Jak pana proszę... dobrze. Brelok. Widoczki są. Takie duże i małe, nie wiem jaki...

Pod budką pojawił się Enka, kiwnął, by przyłożyć mu telefon do ucha, Gil przerwał mówienie i zajął się tylko monetami.

– Edziu... Kurwa, jak cię proszę... Edek, tak, karmią. Ożeż cię, spadło na mnie rusztowanie, więc zamknij się wreszcie i leć w podskokach do archiwum, dzwoń do Wawy, gdziekolwiek, daj mi tego Nejmana, i to migiem, zrobię ci tutaj Verdun, Vichy, co tam sobie marzysz, Edek? - urwał, poruszył głową. - Edek, kurwa mać, nie ciskaj mi słuchawką! Rób, co chcesz, nie ciskaj mi słuchawką!

– Zbyszek! - krzyknął Gil.

– Pierdołę go! Pierdołę! Tyle lat mordęgi z grubasem, a ten ma dla mnie trzask! - wypluwał z siebie Enka. - Ot co mam! Trzask słuchawką!

– Zbyszek!

– Co za człowiek...

Gil oderwał mu słuchawkę od ucha, odwiesił ją, a Enką potrząsnął.

– Zbyszek, mówię ci przecież. Monety. Monety się skończyły.

W tej samej chwili rozległ się trzask, jakby pękła wielka żarówka. Reklama nad budką zgasła, posypał się deszcz niegroźnego pleksi. Nie było w tym już nic dziwnego.

§ § §

Siatkę niósł ksiądz doktor. Pyszniły się w niej złociste bagietki, spomiędzy których sterczała czerwona główka Jasia Wędrowniczka. Szli przez cichy budynek muzeum do pokoju Rajmunda Cnoty. Enka miał nadzieję, że Cnota pomodlił się już i teraz chlapnie coś z nimi. Z jakiegoś powodu ten sfiksowany górnik-apostoł Pański, wyraźnie go uspokajał. A Enka teraz potrzebował uspokojenia.

– Jeśli nie wyjedziemy stąd jutro rano, mogę nie móc już chodzić - prorokował Enka. Opanował sztukę palenia bez użycia rąk, tylko mrużył oczy, gdy szedł w nie dym.

– Przesadzasz.

– Chce ci się tu tkwić?

W świetle lamp kamienie podwórka były ciemnopomarańczowe. Gil nie odpowiedział.

– No więc właśnie - kontynuował Enka. - Zanieś zakupy do siebie i przyłaż z butelką. - Dostrzegł pytanie w oczach księdza. - No co, ja? Od razu pójdę do Cnoty. Mam pod drzwiami tkwić?

Gil powiedział, by nie tkwił, i poszedł do siebie. Przekraczając próg, zobaczył jeszcze Enkę, jak ten stuka niezdarnie do Rajmunda Cnoty i zaraz, zniecierpliwiony, próbuje ułożyć nadgarstek w ten sposób, by móc nacisnąć klamkę. Unieruchomiona ręka szorowała o drzwi, papieros prawie ich dotykał.

Gil zniknął w swoim pokoju. Potrzebował samotności. Choćby paru chwil, żeby się pomodlić. O cokolwiek, choćby o szczęśliwy powrót, o życie dla całej trójki - no, może to już nie jest takie cokolwiek. Boże, czy nie nadużywam Twojej dobroci? Jesteśmy tu jak na widelcu, każdy, kto chce, może nas znaleźć. Tak modlił się, odkładając siatkę. Wyjął butelkę. Przeprosił Najwyższego i swój organizm. Inni księża mają dziwki, jeszcze inni przegrywają w karty pieniądze parafian, a ja czasem, no dobrze, często, bawię się buteleczką, ale za pieniądze z uniwersytetu. Za moje. Nie krzywdzę nikogo przecież, mało tego, niczego nie kupię sobie, oszczędzam. Tanie koszule. Zwykłe buty. Najpotrzebniejsze książki. Czy w ten sposób też siebie krzywdzę?

– Andrzejeej!

Zbyszek mnie woła? Dlaczego? Czemu zawsze wykrzykuje moje imię, do czego mu jestem potrzebny? Dobry Boże, w imię jakiej ciemności nas połączono? Czy kiedykolwiek sprowadziliśmy dobro na świat, co, jeśli samo nasze istnienie generuje diabły, psychotroników, tym podobnych, co, miłosierny Chryste, jeśli to nie my jesteśmy odpowiedzią na nich, ale oni na nas? Było tak od początku!

Nie wolno ci tak myśleć. Nic a nic.

– Jędreku!

Jak to się skończy? Wydaje mi się teraz, że ściany zacieśniają się wokół mnie, jeśli rusztowanie może spaść, to i samolot runie, prawda, czy ja przypadkiem...

– Andrzej, do chuja!

Gil zapomniał o wszystkim, tylko nie o butelce, tę porzucił dopiero na łóżku w pokoju Rajmunda Cnoty. Pokój jak pokój, tylko łóżko nietknięte, ze świeżo upraną, złożoną w kosteczkę pościelą, na stoliku nocnym leżało kieszonkowe wydanie Nowego Testamentu i kopia ikony Matki Boskiej Częstochowskiej. Z boku stał bezradny Enka. U jego stóp telepał się Rajmund Cnota.

Bił głową na boki, z kłapiących ust toczyła się piana, kolana uderzały o siebie, ręce zwinęły się przedziwnie, miękkie i twarde jednocześnie. Oczy były białe. Policzki ciemne. Broda zapluta. Gil widział już takie rzeczy, porwał pierwsze, co wpadło mu w ręce, i wcisnął mu między zęby, a rzeczą tą była Biblia zabrana z biurka. Dygot Cnoty wszedł w nową fazę, skoro usta unieruchomiono, rozedrgały się ramiona, jeszcze bardziej, ślina ściekała po Piśmie Świętym.

Gil rzucił się po poduszki i wepchnął mu je pod głowę, docisnął lekko, lecz stanowczo; nogi Cnoty jęły wykonywać synchroniczny ruch, jakby od

czegoś próbowały się odepchnąć. W tym wszystkim stał beznadziejny Enka ze sztywną łapą.

– To padaczka? - pytał. - Rajmund, miałeś padaczkę?

– Masz padaczkę? - poprawił ksiądz doktor.

Cnota z wolna dochodził do siebie, znieruchomiał.

Trwał chwilę zupełnie sztywny, zamykał oczy, a gdy je otworzył, okazały się czerwoną plamą. Jakby je wydłubano, zostawiono resztki, mrugnął, już lepiej. Usiadł gwałtownie, rozejrzył się.

– Znowu?

– Masz padaczkę? - zapytał Gil raz jeszcze. Podał mu wody. Cnota pił łapczywie, kiwnął głową, że chce sięść na łóżku. Nogi wciąż miał słabe, ledwo dało się go podnieść. Mokłą głowę oparł o ścianę.

– Jo nie wiem, co jo mom. Dochtór godo roz tok, a roz tok. Farmazony.

Pił łapczywie, chciał jeszcze.

– Często tak ci się dzieje? - chciał wiedzieć Enka, wciąż zawstydzony własną bezradnością.

– Ino jok Pónbóczek do mnie mówi. Tyrozki znów mi pedzioł.

Gil pobiegł i wrócił, przetaił mu czoło wilgotną chusteczką. Cnota przyssał się do butelki. Więcej wody, a może czegoś innego? Ledwo dyszał, jakby ktoś włożył mu łapy w klatkę piersiową i ścisnął płuca.

– Co widziałość?

Gil obrócił się zdumiony, bo to pytanie zadał Enka. Nalał whisky do szklanki. Na wszelki wypadek.

– Jo nie tylko widzioł, jo wiem. Musimy stować sie w somo południe, wszyscy trzej. No wielkiej bitwie. Widziołech... - Przymknął oczy. - Łuki olbrzymie, marszałków i generołów, oficerów i wojsko pospolite, ogromne storcie i strzokone szkło. Tych, co somi na bitwa szli. Wywyższenie kurdupła też zech widzioł. - Żyły na szyi się naprężyły, czoło miało barwę

mąki, z tej bieli wyłaniały się, jak czerwone robaki, przejęte oczy. - My tom pójdziemy. No bitwa. Jutro. W samo południe.

Skończył, zwiesił głowę.

- A co, jeśli nie? - zagadnął przyjaźnie Gil. Nie doczekał się odpowiedzi, błysnęło tylko przekrwione oko. Jakie znowu *nie*, pomyślał sobie, jak znam Cnotę, już kiedyś zignorował głos Boski i dostał za swoje. I siedzi teraz jak mokry rudy pies, którego obito. Do tego epileptyk. Można było się tego domyślić.

Niespodziewanie przypomniał sobie świętych, do których Bóg przemawiał, ponoć z otwartego nieba - jak wyglądało to naprawdę, czy w epileptycznym szale także coś nie pęka? Przecież inni ludzie niczego nie widzieli. Taki Cnota, z niewzruszonym spojrzeniem, granitową wiarą, wielkim cierpieniem, czy święci właśnie tacy nie byli? Rajmund siedział sztywno, uwolniony spod nacisku wielkiej siły, jego twarz przypominała teraz pieczęć. Gil widział opętanych i epileptyków, tu zdarzyło się coś innego, jakaś siła odcisnęła znak na górniku.

- Lepiej już? - zapytał Enka.

Cnota potwierdził skinieniem głowy, a na jego bladym czole pojawiła się plama wściekle czerwona, rozmiarów biletu tramwajowego. Przyszła błyskawicznie, jakby farbą chlapnąć. Cnota coś poczuł, zaczął macać się po twarzy, palec trafił w czerwień i zaraz się cofnął.

- Mocie pić?

Gilowi plama kojarzyła się z Biblią i utopionym faraonem, a Ence z przepiciem, w każdym razie było to płynne skojarzenie.

Ksiądz doktor nalał jeszcze wody, komisarz niezdarnie wskazywał bursztynową setkę whisky. Rajmund Cnota wybrał bramkę numer dwa.

- Zimno mi w głowa - powiedział.

Plama zrobiła się purpurowa, czoło jeszcze bielsze - krew na śniegu. Napił się, Enka chciał jeszcze połać, już nie. Drgawki przeszły przez Cnotę, Gil pomógł mu, podłożył pod głowę poduszkę, Cnota nie chciał się okryć kołdrą, ale przystał na prześcieradło.

– Zostowcie mnie. Jo odpoczunć musza, nie mortwicie sie, jo zowsze tak mom. - Próbował machnąć ręką, lecz ledwo ją uniósł. Wybałuszył oczy. - Jutro w południe. Bitwa, marszołki. Szkło. Pomiętejcie. Dobranoc, dobre chopy. Pónbóczek sie o wos nie pomylił.

Gil stał chwilę pośrodku pokoju. Zakręcił butelkę i zabrał ze sobą, w progu coś go tknęło.

– Dobre chopy - szepnął Cnota.

Na ziemi leżał ośliniony Nowy Testament, z odcisniętym półksiężycem śląskich zębów, między którymi było widać już ogólnopolskie ubytki. Gil wytarł książkę rogiem koszuli i położył przy stoliku, tak by Rajmund Cnota mógł sięgnąć po nią w każdej chwili.

§ § §

Nie uszli trzech kroków. Enka poprosił, by włożyć mu papierosa w gębę i zapalić.

– Facet oszalał ze szczeniem - zawyrokował. - Jakie łuki? Jacy marszałkowie? Jaka znów bitwa? - Tak się złościł, że papieros wypadłby mu z ust, gdyby nie refleks Gila.

– Może i zwariował, ale leżałbym pod torami, gdyby nie to jego szaleństwo. Może choć odrobina zaufania?

– Dyrzymały - skwitował Enka.

W Gilu zawrzało.

– To ja ci pokażę te jego dyrdymały! - syknął i poszedł szybkim krokiem do swojego pokoju. Enka podążył za nim, kręcąc głową: - Czasem mam wrażenie, że zmieniasz się we mnie - powiedział.

Usiedli ze szklaneczkami, ksiądz doktor wertował przewodnik. Zatrzymał się na stronie poświęconej Polom Elizejskim.

– Proroctwa nigdy nie spełniają się wprost. Biskup Rurak ma zwyczaj powtarzać, że gdyby Bóg chciał mówić do nas wprost, założyłby sobie telewizję. Popatrz tutaj. - Przyłożył palec obok zdjęć płaskorzeźb na Łuku Napoleona. - Tylko się przyjrzyj.

Enka potulnie spojrział. Na Łuku Tryumfalnym widział armię, wymarsz armii Napoleona i jej powrót w chwale, sceny z rozmaitych bitew wymienionych z nazwy, wreszcie rzędy nazwisk zasłużonych oficerów: marszałków, generałów, niższych rangą. W myślach powtórzył słowa Rajmunda Cnoty.

– No to napijmy się, skoro wstajemy - powiedział.

Nastąpiła wymiana. Gil wyjął papierosa z ust Enki i wlał w nie pięćdziesiątkę Johnniego Walkera. Dobiegło ich chrapanie, miarowe i spokojne, właściwe ludziom, którzy odzyskali spokój.

– Jednego nie rozumiem - zastanawiał się Enka, próbując zarazem uchwycić szklanekę w palce, i, niestety, właśnie zastanawianie się szło mu lepiej. - Cnota wspominał o łukach. Nie łuku.

Ksiądz doktor bez słowa przewrócił kartkę. Następną stronę wypełniało zdjęcie potężnego nowoczesnego łuku po drugiej stronie Pól Elizejskich, wzniesionego niedawno z inicjatywy Francois Mitterranda. Wydawał się jeszcze większy i wbrew swojej nazwie był prostokątny.

Butelka była prawie opróżniona, kiedy zjawiała się Józefa - w szlafroku naciągniętym na koszulę nocną, rozspana i miła na siłę. Dzwonił Grula z komendy, więc Enka poszedł krokiem chwiejnym, lecz pełnym nadziei na polepszenie przebiegu śledztwa. Żałował, że Gil nie idzie. Ksiądz wołał posiedzieć samemu i pomedytować nad ostatnią już szklaneczką, już drzwi zamknął. Enka kopnął je mocno.

– A słuchawkę kto mi potrzyzyma?

– Panie oficerze, ja pomogę, jak trzeba - głos Józefy dobiegał z ciemności korytarza. - Ksiądz dobrodziej niech zostanie, niech wypoczywa.

To wystarczyło. Gil dopił haustem i poszedł razem z Enką.

Byli pewni, że zejdą do portierni, ale Józefa Zmarz-Koczanowska zawiodła ich do prywatnego gabinetu w skrzydle budynku - znać, że odpowiadała za sprawy ważniejsze niż przydział pokoi zagubionym emigrantom. Większość miejsca zajmowało biurko, którego masywna potęga niemal zmuszała regały do przyciśnięcia się jak najbliżej ściany. Centralne miejsce na blacie zajmowała starodawna maszyna do pisania, a wokół niej piętrzyły się papierzyska złączone spinaczami, książki, spinacze, masa notatek na karteluzkach z kubika, zdjęcia wnuków oraz, nade wszystko, papierki po czekoladkach.

Ze ścian, ustawieni w rzędzie, jak do rozstrzelania, spoglądali Słowacki, Mickiewicz, Paderewski, Dmowski i Piłsudski. Gil wziął słuchawkę, przyłożył do ucha komisarza Enki.

Stwierdził, że Ence jest głupio za wcześniejsze wrzaski, bo komisarz mówił niewiele i cicho, nim zadał pytanie, to się zastanowił, a nim podniósł głos, to nawet wstrzymał oddech. Twarz mu posmutniała, potem poczerwieniała, brakowało mu najwyraźniej kogoś, komu mógłby przywalić, oraz ręki, którą mógłby to zrobić.

– No nie denerwuj się tak - rzekł, nie wiadomo, do Gruli czy do siebie. - No weźże, no. Ej, spokojnie. Przecież już wracamy. - Przymknął oczy, słuchał, jak Grula coś klaruje. - No dobra. Tak, dziękuję. Nie zwariuj mi tam, Edziu.

Enka, czerwony i zawstydzony, ujął panią Józefę za rękę i pocałował.

– Dziękuję pani za wszystko i przepraszam za kłopot. - Przełknął ślinę. - Mam ostatnią prośbę. Zarezerwuj nam pani lot? Jak najwcześniej. Może być z międzylądowaniem w Niemczech.

Nie takiej reakcji się spodziewał. Józefa Zmarz-Koczanowska błyskawicznie zalała się łzami, w jednej chwili sztywna i sucha, w drugiej - jakby jej twarz w morzu zanurzyć. Kurczowo uczepliła się Enki.

– To pan komisarz już jedzie? I ksiądz dobrodziej też? Co wy z tego kraju zapamiętacie, połamani jesteście... Boże jedyny, czemu akurat was to musiało spotkać, i jeszcze mi teraz jedziecie, już jutro, już jutro... To prawie dziś.

Po Rutczyńskim z Domeyką jednak mniej płakała, a oni przecież wyjechali dużo dalej, pomyślał Enka.

– Pani Józefo, spokojnie. Przecież spotkało nas tu wiele dobrego - powiedział. - Na przykład pani.

Oczy Józefy zrobiły się wielkie, błyszcząły od łez. Przestała szlochać, tylko pociągała nosem, pierś, czy też raczej to, co piersią było za Czwartej Republiki, falowało.

– Jeszcze na pewno tutaj wrócimy - obiecał ksiądz Gil, zaniepokojony tym, że kłamstwo przyszło mu łatwo, proste, zgrabne, zaraz o nim zapomni i się nie wypowiada. Rzeczywiście zapomniał, bo pani Józefa przemieniła się po raz kolejny, radośnie piszcząc, rzuciła się na Gila, a Enkę wyściskała już bezgłośnie. Ze sztywnym ramieniem wyglądał, jakby chciał ją objąć.

– Jesteśmy w dupie po uszy - Enka odsłonił karty, jak tylko znaleźli się sami na korytarzu. Gil więc uszu nadstawił. - Nejman mieszka w Poznaniu, Gula tam zadzwonił i jak się poznaniacy dowiedzieli, o kogo chodzi, rzucili mu słuchawkę. To chłopina się wkurwił i wykręcił do Wawy. A z Wawą to samo, tyle że ktoś tam uruchomił Anioła, Anioł wezwał Grulę do siebie i zjechał jak burą sukę. Wszystko tam było, Edka krew zalewa. - Szli korytarzem w stronę schodów. - Usłyszał, że jak w tym jeszcze trochę pogrzebie, to wyleci na krawężnik albo i na mordę. Jak miło.

– Poważna sprawa. - Gil nie wiedział, co powiedzieć.

Coś huczało na niższych piętrach, jakby ktoś kogoś gonił, wrzaski jakieś, tupot, jęk. Przytłumione wszystko.

– Ale Edzio nie odpuścił, uderzył w swoje kanały i wiemy tyle, że Nejman zabiera się jutro, LOT-em o siedemnastej. A my na ten samolot się nie dostaniemy.

– To też sobie załatwił? - zapytał Gil. Hałasy z dołu wyraźnie się nasiliły, więcej, powoli przestały być hałasami z dołu, stając się łoskotem z półpiętra. Już się nie bali, ktoś zwyczajnie bawił się w najlepsze, dziewczyny się śmiały, a nad wszystkim królował głos donośny i tubalny, jakim jakiś afrykański król mógłby wydawać komendy.

Enka chrząknął. Chciał papierosa. Odpowiedział, dopiero gdy wciągnął dym do płuc:

– Czasem zdumiewasz mnie, Jędrus. Żaden spisek. Biletów nie było.

Ze schodów na piętro wypłynął tłumek, tak kilkanaście osób różnego wzrostu, płci, a nawet koloru - grupie przewodził dwumetrowy Murzyn w bieli, dzierząc niczym znicz olimpijski butelczynę tequili. Włosy na żelu stały mu dęba, strasznie żartował, a na nosie miał okulary. Było z nim ze trzech robotników w poplamionych strojach, jakieś studentki, inny czarny, tyle że mikry i pokrzywiony, wreszcie ludzie całkiem zwyczajni, w lekkich

swetrach i koszulkach polo. Towarzystwo śmiało się, podśpiewywało, Enkę i Gila przywitali z radością.

– Polaki? Polaki? - zagadnął Murzyn.

Przytaknęli.

– *Student? Are you students?* – zapytał łamaną angielszczyzną, za to bez francuskiego akcentu.

– Jestem człowiekiem, który szuka - rzekł Enka lodowatym głosem. Nie wiedzieć czemu Murzyn zaraz się rozpromienił, spróbował podać Ence rękę i za drugim podejściem nawet się udało.

– Wygląda na takiego, co chce ci pomóc znaleźć - wyjaśnił uprzejmie ksiądz doktor Andrzej Gil. Przyjrzał się zbieraninie, w większości była młoda, a już każdy targał ze sobą jak nie otwartą butelkę, to przynajmniej siatkę pełną chipsów i flaszek. Przez tłum przedarł się wesoły kurdupel w spranym T-shircie.

– Ja jestem Marek, a to moi przyjaciele z Polski i Francji. Ten wielkolud, z którym rozmawiacie, ma na imię Bubba. A wy skąd?

Bubba, zadudniło coś w Ence, potoczyło się jak ziemniak po schodach, bubba, bubba, bubba.

– Nazywam się Andrzej Gil i jestem księdzem.

– Komisarz Zbigniew Enka. Na urlopie. - Enka wyrwał się wreszcie z zadudnienia, Bubba dotarł na parter.

– Ksiądz i policjant! - Marek rzucił w zebranych kilka słów po francusku, wywołując niemałe poruszenie, Bubba zamrugał ze zdziwienia.

Ludzie wzięli ich w półkole, patrzyli, jakoś się przemieścili, żeby zrobić przejście, na wszelki wypadek. Szeptano sobie, ktoś szepnął coś Markowi, a Bubba powtórzył to samo, tylko na głos i radośnie.

– Chodzi o to - podjął Marek - że robimy tutaj taki mały remoncik za dnia... - ugryzł się w język, pewno pomyślał o rusztowaniu. - Znaczy my

we wnętrzach. I mamy takie jedno niewykończone. Pani Ziuta dobrze płaci. I mamy taką małą imprezeczkę w tym atelier, taką petit, i byłoby miło, to znaczy gdybyście z nami poszli.

Proszę, spotkasz rodaka na obczyźnie i to od razu pijanego, pomyślał ksiądz Gil, uświadamiając sobie jednocześnie, że sam nie zalicza się do trzeźwych.

Marek patrzył wyczekująco, pełne nadziei oczy Bubby sugerowały, że w razie odmowy Murzyn zrobi sobie coś okropnego.

– Podziękujemy - Gil zaryzykował. - Jutro rano wstajemy.

Jeszcze Bubba nie zdążył posmutnieć - do gry włączył się Enka i gdyby tylko mógł, machałby rękami.

– Jędrus, daj spokój. Co, będziemy siedzieć każdy sam i o suchym pysku? Zaśniesz teraz? A cośmy w tym Paryżu widzieli? Łapy se powyginałem i tyle. - Dostrzegł, że Gil się waha, więc cisnął: - Człowieku, przynajmniej uszczknijemy coś z tej Francji. Kiedy ostatni raz zabawieś się w Paryżu?

– To jakaś piwnica.

– A co ty tam wiesz. Andrzej, ja nawet rąk nie mam, no, Jędrak, stary, ludzie czekają. Jak cię proszę. No, proszę. Idź po flaszkę. Ej, stary, przecież nie jest źle...

§ § §

Andrzej Gil poszedł po flaszkę, między wąskie uliczki, pastelowe kamienice, odprowadzany przez chór imprezowiczów, śpiącego portiera, wreszcie szum Sekwany i inne rzeczy małe, wielkie, niesprawiające jednak najmniejszej radości. Odprowadzał go też zegarek, nieubłagane wskazujący czas coraz bliższy północy. Odprowadzały go własne wspomnienia. Przyszło mu do głowy, że nie powinni się rozdzielać.

Szedł i pamiętał jak dziś - miał dwadzieścia lat, nie śnił o posłudze kapłańskiej, za to o koleżankach bardzo, chciał, nie umiał, wysoki gaduła, wycofany we własną głowę. Wtedy wódka pomagała mówić, przemówić, zamówić kolejną wódkę i od nowa, aż znajdował siebie otulony w ciepłą skórę, złożony pod biciem nagiego serca.

Potem miał czarną plamę, nie wiedział, ile trwał w mroku, ale wydobył się już w koloratce, na cyku albo i pijany. To była gra w przyciąganie i odpychanie z butelczyną w dłoni, wspomnienia, ból, odpływ, tak w kółko, pomagało na trochę, ale potem przychodził kac i noc okropna, chwycił się więc Boga, ale Jego czasem brakowało.

I jeszcze ta śmierć, okrutna, niepotrzebna, dziewczyna kochała go nad życie, no i życie poświęciła, woda je przyjęła, woda przyjęła [12], woda i woda - oto semantyka picia. Trwało to, że hej, bo zawsze jest łatwiej coś zapominać, te fatalne egzorcyzmy, kłopoty, jak nie swoje, to kolegów w kapłaństwie: ich baby, ich chłopców, przepuszczone pieniądze, Gil nie robił takich rzeczy, ale słuchał często. Dlatego tak mu się zwierzano. Bo nie robił tego, co inni.

Potem już z górki, przyszło stypendium i wyjechał do Rzymu, miasto jest piękne, a nudy - potworne, można było pić do woli zresztą, Gil nie wiedział, że pije, tylko coś w nim wiedziało, to coś nie pozwalało przejść granicy urznięcia. Nie wywracał się, nie leżał w rowie, nie bełkotał, jakby kto go zobaczył, powiedziałyby - trzeźwy jak ksiądz. Tylko wieczorem cyk. Gil lubił pić samemu, nie potrzebował rozmowy, tylko tej chwili, kiedy przeszłość, złe myśli tonęły w alkoholu. Inna część Gila, chyba ta sama, która kazała mu zostać księdzem, dopominała się o trzeźwość, słuchał jej więc, nie pił całe miesiące, a potem zawsze coś się działo, śmierć albo sprawa z Enką, którą należało, którą musiał odreagować.

Nienawidził siebie wtedy, ale na krótko. Przychodziła chwila, kiedy decyzja zapadła, ale jeszcze się nie napił, musiał iść do sklepu albo baru. Ta droga była straszna, coś ślizgało mu się pod czaszką, przykra świadomość, że odpycha konsekwencje, a one gromadzą się i kiedyś runą falą, zmiażdżą, do widzenia.

Gil tak sobie myślał i nie patrzył na nic, co dzieje się wokół, stwierdził tylko, że zrobiło się jaśniej, w oczu biło sztuczne światło, odbijało się w rzędach butelek. Nie spał, czy może śnił o sklepie. Na jawę przywołał go własny głos: - Jack Daniels, silwuple.

§ § §

Wracając, zajrzał do Cnoty. Górnik spał jak studwudziestokilogramowe, włochate niemowlę, brakowało tylko kciuka w spierzchniętych ustach. Gil cichutko zamknął drzwi.

Balanga odbywała się w nieodnowionej jeszcze sali, właściwie Gil nie mógł orzec, czy cokolwiek w tej sprawie zrobiono. Stały jakieś drabiny, wały się kawałki folii, gazety, a z wiaderek farby i worków cementu zrobiono siedzenia. Stół, przy którym zgromadzili się ludzie, wykonano ze starych drzwi podpartych skrzynkami. W rogu leżały materace, jakieś narzędzia oraz przedwcześnie zgasły uczestnik imprezy.

Gila powitały podniesione głosy, ludzie cieszyli się na jego widok, a ci najradośniejsi nawet się podnieśli. Enki z nimi nie było, Enka siedział naburmuszony między Markiem a brzydką, piegowatą Francuzką i gapił się na plastikowy kubek. Niewątpliwie kubek był pusty. Pieguska coś trajkotała, a dzielny policjant próbował słuchać, wodząc oczyma po zebranych. Każdy trzymał coś do picia: piwo, martini, whisky, a Marek nalał sobie setkę wody i zaraz ją wypił, nawet się nie obejrzał.

– No jesteście wreszcie - rzekł Enka. - Chodź prędko, jakoś dziwnie tutaj się pije.

Gil wyszarpnął flaszkę, zapytał się, komu polać. Ludzie odstawili swoje piwa i winiaki, jednorazowe kubki podjechały pod złotą butelczynę, śmiano się co najmniej w trzech językach. Pewno bali się, że nic nie przyniesiemy, pomyślał ksiądz doktor.

Flaszka właściwie się rozeszła, na dnie zostały ze trzy porządne łyki. Wzniesli toast, Enka miał najtrudniej, ale nie chciał, żeby mu podawano, skrzyżował ramiona, pochwycił kubeczek w łokcie, odchylił się i wlał sobie alkohol do gardła. Prychnął, zakrztusił się, wywołując wesołość zgromadzonych. Pośmiali się i dalej w wir rozmowy. Całkiem ładna brunetka zagadała do Gila po angielsku, czy warto być księdzem.

– Warto - odpowiedział.

Gil pracował dla policji nie od wczoraj i wiedział, jak Enka zachowuje się w towarzystwie, zwłaszcza jeśli są dziewczęta - robi się gadatliwy i skupiony jednocześnie, spogląda w ten szczególny sposób, by nikt nie domyślił się, kogo naprawdę obserwuje, ocenia. Tu rozpoznanie już trwało i wypadło fatalnie. Widział dezaprobatę w drgnięciach mięśni na twarzy pana komisarza i dziwił się trochę, bo choć był księdzem, uznał, że przynajmniej dwie z pięciu dziewczyn są całkiem ładne. Jedna, prawdziwa Francuzka, już po trzydziestce, ale o młodych oczach, wciśnięta w kostium przylegający do ciała, tej Enka się chyba podobał, a przynajmniej, oceniał Gil, chciałaby sprawdzić, jak to jest z facetem, który nie używa rąk. Za to jej koleżanka budziła obrzydzenie nie tyle własnym wychudzeniem, co uśrednieniem kształtów, wybaczone, Boże, przypominała kawał blachy falistej z małą, moką głową. Nosila wyciągnięty sweter, workowate spodnie, włosy ufarbowała na czarno, miała metal w uchu, a jej spojrzenie świadczyło, że chętnie uwiodłaby księdza.

No, jak zaraz nie poleją, to się zbieram, pomyślał Andrzej Gil. Tymczasem nic nie wskazywało, że tak się stanie. Ludzie wrócili do swoich butelek, Marek polewał sobie znowu, tylko nikt nie kwapił się, by poczęstować Gila i Enkę. Obsłużyli się sami, rozlewając resztę whisky do swoich kubków, i to tak, żeby nawet ślepy zwrócił uwagę. Enka chwycił kieliszek nowym sposobem i wycharczał najgłośniej jak umiał:

– Zdrówko!

Towarzystwo bawiło się przednio, dziewczęta piszczały, no i nikt sobie nie żałował. Gil robił się coraz bardziej blady, Enka czerwony, dokładnie jak piegi dziewczęcia, które go zagadywało. Nawet trącił ją sztywnym ramieniem, niby przypadkiem, za to boleśnie i w nos - nie pomogło. Wciąż trajkotała. Enka odwrócił się do Marka i zapytał głosem, jakby chciał przypierdolić. Przynajmniej w tym był szczery.

– Ej, człowieku, ktoś umarł? Co się dzieje?

– Nic przecież! Wszystko gra! - powiedział i klepnął Enkę tak, że ten walnął sztywną ręką o stół. Czy też drzwi stół udające. Marek połapał się, że przegiął, i zapytał: - O co właściwie ci chodzi?

Obok siedzieli sami Francuzi. Enka mówił swobodnie:

– Przecież przynieśliśmy wódkę. Macie problem z tym, że jestem policjantem? - Po kiego chuja zapraszałeś mnie, cepie, powiedziały jego oczy.

– A skąd... przecież... - Marek zorientował się, o co chodzi. - Bo my tu pijemy inaczej, po europejsku, światowo! Żadnych wspólnych kieliszków. Wiesz, Zbyszek, bo ty Zbyszek jesteś, prawda? No, to ile zawsze było kłopotów ze zrzucaniem się na butelkę, potem kłótnia, na jaką i że kolejka nie doszła. Zachód pije inaczej, każdy przynosi swoje i cześć.

W powietrzu gęstniało od dymu.

– To ja się zbieram - powiedział ksiądz doktor, który słyszał wszystko.

– Ej, zostańcie - podpalił się Marek. - Przecież skąd mogliście wiedzieć? Zostańcie, ej! - Wyrwał butelkę wiśniówki długowłosemu Francuzowi, dał ręką znak, że spoko, nalał Gilowi i Ence. Uśmiechnął się szeroko i powiedział: - *Nous devons partager, ce sont mes pauvres amis de la Pologne* [13].

Każdy postawił swoją butelkę na stole, tak żeby Gil mógł sięgnąć, a Enka spróbować to uczynić. Nie zdążyli. Na schodach zabrzmiał tupot i do pomieszczenia wpadł Bubba, jeszcze szczęśliwszy niż wcześniej i trzy razy bardziej nieprzytomny. Jak wojownik ucięty łeb wroga, jak koronę zdartą z głowy pobitego króla, tak on ścisnął woreczek z czymś zielonym. Dostrzegł komisarza Enkę i jego uśmiech stał się głupkowaty.

– Nie jestem, kurwa, na służbie - powiedział Enka zrezygnowanym głosem. - Niech ktoś mu to powtórzy, z łaski swojej.

– Francuskiego ani w ząb, co? - zagadnął Marek.

– Żadnego innego też nie, po angielsku umiem zamówić kolejkę - wyjaśnił Enka, rozjaśniając mroki myśli wizją, w której był Mareczek, zimna cela i masa fajnych recydywistów. - W ogóle nie mam pojęcia, po kiego grzyba uczyć się języków. Bo, widzisz, znasz języki, to rozmawiasz z ludźmi, ludzi jest więcej i więcej, a ty coraz bardziej chcesz, żeby się od ciebie odpierdolili.

Bubbę przywitały brawa. Ten wziął się do roboty, najpierw rozłożył papierek, potem skręcił ustnik z kartonika wyrwanego ramce fajek, wysypał zioło i jął zwijać, bardzo sprawnie, nie powiedziałbyś trzy razy *odwyk*, a już w jego palcach pojawił się joint, jeszcze koślawy i brzydki. Bubba ugniatał go pieścizotliwie, cały na tym skupiony, za okularami w grubych oprawkach mrużyły się uważne oczy. Oceniał swoje dzieło, cmoknął, zapalił i podał dalej.

Kolejka najpierw doszła do Gila. Ksiądz odmówił, wskazując na koloratkę, w dziwnym przekonaniu, że marihuana leży sobie w innej szufladce na grzechy niż wódka. Po namyśle stwierdził, że nie wie, czemu taki pomysł wykiełkował w jego głowie. Ci, którzy palą, przynajmniej nie skręcają się w drgawkach, gdy zabraknie zielonego, jak to zwykli robić alkoholicy, gdy braknie przeźroczystego. Towarzystwo cieszyło się paleniem, biorąc po dwa, trzy machy, Mareczek nie chciał, co nie znaczy, że Gil poczuł z nim jakąś bliskość. Joint, ledwo napoczęty (był długi jak Sekwana), dotarł wreszcie pod nos pana komisarza.

Enka zmarszczył brwi. Kiedyś już palił, ale nie bardzo mu się podobało, złościł się też, że musi trzymać w ustach to samo co Bubba. Ale co tam, w końcu Paryż, w Polsce by tego nie zrobił, więcej, nie ma co się łamać, sam powiedział wcześniej - korzystaj z miasta. Oceniał krytycznie długość, grubość, zapach. Marek trzymał jointa tuż przed jego nosem.

§ § §

Marek włożył jointa w usta komisarza Enki i komisarz Enka zapalił, czując się trochę jak facet, który zdradza żonę. Spodziewał się czegoś gorszego, smak był mdły, dym drapał w gardło, ale dało się znieść. Z młodych czasów pamiętał, że marihuanę zmieszaną z tytoniem należy trzymać w płucach jak najdłużej, nie mógł też zrozumieć, czemu inni tego nie robią. Zaciągnął się więc i trzymał, wypuścił, zaciągnął się ponownie. Dym drażnił go w płuca. Z drugiej strony zaimprovizowanego stołu ksiądz doktor Andrzej Gil wytrzeszczał oczy.

Właśnie, oczy - pomyślał sobie Enka i zaciągnął się znowu - co ten facet ma z oczami? Przecież nieustannie coś się z nimi dzieje, jaja jakieś, albo je wybałusza, albo spuszcza, to znów mruży, jakby był ślepcem albo czytał

druk drobny, ej, można się zapatrzeć. Jest taki blady, a oczy ma ciemne, jeszcze ciemniejsze jest to, co wokół nich się znajduje. Ciekawa sprawa. Zaciągnął się znowu. To jednak coś innego niż papierosy, jak można palić codziennie, oczy by wysiadły. Nie oczy, ale płuca, wróćmy więc do oczu, Andrzej, masz takie ślepie, że jaja, dałbym se jajo uciąć, żeby wiedzieć, co ty właściwie widzisz, może dlatego idzie nam, jak idzie, że widzimy zupełnie inne rzeczy. Przecież znam cię lata, a tak naprawdę wcale, ganiamy za kolejnym diabłem, ja wracam do siebie i wiadomo, pójdę do kawiarni, do kumpla albo kogoś, obrócę panienkę albo pogapię się w telewizor, wpadnę do Gruli na działkę, pośmieję się z dzieciakami, o żeż twoja mać, jaką Grula ma żonę brzydką. A ty co, Andrzej, co ty robisz, jak kończy się jakaś sprawa? Wracasz do siebie, idziesz na wykład, na mszę, czy co tam księża mają w zwyczaju, no, fajnie, ale jak wygląda twój wieczór, czytasz, modlisz się, walisz wódę albo konia, właśnie, przecież, kurwa, nigdy cię o to nie spytałem - jak u ciebie z tymi sprawami, przecież nie ucinają ci jajec w seminarium, czujesz wolę bożą i jak sobie z tym radzisz? Ludzie się biczowali. Pokażesz mi plecy? O kurwa, o kurwa, lepiej o tym nie myśleć.

Enka palił i już miał dosyć. Niestety, z jointem w ustach trudno powiedzieć cokolwiek, próbował dać znak, by mu go wyjęto, nawet dłoń uniósł, ale nie zdołał go schwycić. Próbował zaciągać się rzadziej i płycej, szło średnio, zrobił zęza i zobaczył, że joint wyraźnie się skurczył. Tak szybko schodzi? Jak szybko, to nie może być mocny - czy ktoś wreszcie zabierze go ode mnie?

Enka dostrzegł, że nie tylko ciemne oczy Gila, ale spojrzenia wszystkich wbijają się w jego skromną osobę. Zróbcie coś, chłopcy i dziewczęta, reszta dla was - i zaraz przypomniał sobie dziewczyny, mało tego, prawie uwierzył, że nigdy nie szukał worków na spernę, ale zwykłej bliskości.

Żeby ktoś zrobił mu śniadanie, objął od tyłu w ten sposób, że jej nogi krzyżują się na jego udach, ramiona na klatce piersiowej, a potem takie zwykłe pytanie: *Jak ci dzisiaj, Zbyszku? Jak minął twój dzień?* Przecież ja ich nie odrzucam, tych wszystkich dziewczyn, to im się zdaje, że wolałbym zaraz zniknąć. A nie wolałbym przecież. Gdybym miał dziecko, wszystko byłoby inaczej.

Zaciągnął się, dym przesłonił wszystko.

Wreszcie Gil ruszył, spróbował przechylić się nad drzwiami, za daleko, więc obszedł, odsunął Marczyka i wyjął jointa, z ust komisarza Enki wydobyły się dym i westchnienie. Ksiądz doktor wiedział, czego jeszcze trzeba, chwycił kubek, wyrwał wódkę z rąk Marka, zmieszał z sokiem i wlał Ence do gardła.

– Trzymasz się jakoś?

Oczy Enka miał nieprzytomne.

– Z naciskiem na jakoś - rzekł Enka, uśmiechnął się. - No, daj, Jędrak, spokój, jest wszystko w porządku.

I zatonął w sobie. Bardzo spokojnie, tak jak zasypia się po morderczym dniu. Znikał czas. Enka obserwował imprezę spod półprzymkniętych powiek, tych miękkich ludzi, szkoda, że w bidulu nie byli - a może i nie szkoda, dobry to kraj, w którym można być miękkim. A Marczyk tak pierdolił nad uchem, że historia. Murzyn, Murzyn się śmieje.

Piegowaty dziwoląg położył Ence rękę na kolanie, a Enka nie wiedział, jak jest *spierdalaj* po francusku.

– Nie przejmuj się Bubką, on jest taki cały czas. Ma chorą tarczycę i za dużo energii. Dlatego jest taki wesoły. Nauczyłem się z nim przebywać i jest dobrze - powiedział Marek.

Chciałbym, żeby stało ci się coś strasznego, pomyślał komisarz Enka. Czuł na sobie rękę piegowatej, objęła mu kolano, pogłaskała po udzie,

musnęła pasek i powędrowała pod koszulę. Zadrżał. Nie chciał patrzeć na dziewczynę, bo przypomniałby sobie, jaka jest brzydka, nie umiał powiedzieć, żeby poszła w cholerę, ani nawet strącić tej cholernej dłoni. Zamknął oczy. Przecież to wszystko dzieje się na oczach księdza doktora, właśnie na oczach, tych wielkich, świętojebliwych ślepiach, które widzą więcej, niż usta powiedzą, a przecież to też facet jest i Ence przypomni, jak to kleił się do szkarady. Nie ma nic bardziej idiotycznego niż piegi, po co w ogóle ktoś to wymyślił? W ten sposób komisarz Enka pojął, że nie wypalił wcale papierosa i jest zrobiony jak działo.

Więc spojrzął na piegowatą, ale ona wcale piegów nie miała. Jakimś sposobem okazała się zupełnie inną dziewczyną - złudzeniem, lecz Enka nie miał złudzeń, zioło, nawet najmocniejsze, nie wywołuje halucynacji. Kobieta nie zmienia się w inną tylko dlatego, że płuca pompują coś do krwi, a krew do mózgu. A przecież była inna. Drobna. W szarej sukience. Błada, ale nie trupio. O wąskich, ale co dziwne, ciepłych ustach i wielkich oczach, za to piersiach malusieńkich. Jej dekolt zdobił łańcuszek z połową medalika.

A na medaliku była twarzy połowa.

– Co to takiego? - zapytał komisarz Enka.

– Bo to Ksawera, moja święta - odpowiedziała. Jej głos przywodził na myśl muzykę fortepianu.

– Czemu masz tylko połowę medalika?

– Bo kobieta jest niepełna bez mężczyzny.

Dopiero w tej chwili Enka połapał się, że dziewczyna mówi po polsku. Piegowata była Francuzką, więc nie upił się, nie spalił tak bardzo, żeby coś się wydawało. Jej ręka zastygła pod koszulą, na jego brzuchu.

– Przyjechałeś z Polski niedawno i zaraz wracasz. Może to przykre, a może i nie. To miasto można pokochać, wiesz, Zbyszek? Naprawdę

pokochoać. Mieszkam tutaj już bardzo długo.

– Kim jesteś? - zapytał Enka, myśląc, czy zdążył się jej przedstawić.

Roześmiała się.

– Kochanką poety, a kim myślałeś?

– Nie jestem poetą.

– A chciałbyś, żebym została twoją kochanką?

– Pod warunkiem, że nie będę musiał zostać twoim poetą.

Otoczyła go ramieniem, przytuliła się mocno, złożyła głowę na jego barku i Enka zorientował się, że ta dziewczyna nie posiada zapachu. Była miękka i namiętna, ale równie dobrze mógłby wachać szkło. Nie potrafił też stwierdzić, ile dziewczyna ma lat, czy jest kobietą, czy dziewczyną właśnie.

– Można z ciebie czytać jak z książki, tylko trzeba znać język, w którym napisano Zbyszka. Większość ludzi nie widzi, myślałeś kiedyś o tym? - Pogładziła go po szyi. - Ale są tacy, którzy umieją cię zobaczyć.

– Nie wiem, czybym chciał.

Miała papierosy długie i cienkie. Zapaliła jednego, zaciągnęła się i włożyła Ence w usta. Na filtrze został ślad szminki.

– Powiedz mi, dlaczego tu jesteś? Nikt nie włóczy się po Paryżu z połamanymi ramionami. Życie też masz połamane? Jaki jest powód, dla którego się tutaj zjawiłeś?

Pieprzy głupoty jak każda inna laska, przeszło Ence przez głowę. Zastanowił się jednak, skąd dziewczyna tyle o nim wie. No i skąd zna jego imię, a on *jej* imienia wcale.

– Jestem służbowo i jutro wracam - powiedział. - Moje życie jest w porządku i dlatego jestem tutaj.

Popatrzyła mu w oczy.

– Znałam wielu takich jak ty. Chodź.

Ujęła go za rękę, tę nieruchomą, i Enka wstał jak robot. Zobaczył jeszcze zdumionego Gila i roześmianego Bubbę, Marek skulił się na krześle i zasnął jak świątek. Enka chciał się pożegnać, ale dziewczyna pociągnęła go przez pokój, po schodach, ku otwartej sali. Tam wisiały obrazy, a ona utykała. Były antyczne krzesła o czerwonych obiciach, nowoczesny stolik z karteczkami po gościach, którzy tutaj perorowali dla Polonii. Enka zapamiętał jedno nazwisko, Wisława Szymborska, a potem dziewczyna zsunęła z siebie sukienkę. Była naga i miała ciemne łono. Rozpięła mu spodnie.

Obudził się, bo było mu niewygodnie.

Spała przytulona do jego piersi, na policzku miała białą, zaschniętą smugę. Przepołowiony medalik leżał na sutku Enki, a Enka, mimo że nie czuł żadnego ciężaru, nagle zaczął się dusić.

Rozdział szósty

Uuuuuuu, szanselize!

Dochodziła dwunasta. Stali we trójkę pod Łukiem Tryumfalnym, Gil ponury, Enka zmęczony i wściekły, zaś Cnota dziwnie rozpogodzony, jakby wyczekiwał miłej niespodzianki. A wokół Paryż wibrował życiem, z bulwarów spływały fale samochodów rozświetlone słońcem, przypominały złocistą rzekę. Między nimi wiły się ławice motorów i skuterów, całe dziesiątki, cudownym sposobem znajdowały wolną przestrzeń. Nieustannie wydawało się, że zaraz wszystko runie w gigantycznym karambolu, co rusz brzmiał klakson albo ktoś wrzeszczał.

Przy Łuku krzyżowały się wszystkie drogi, samochody mijają się pod najdziwniejszym kątem i byli jeszcze ludzie, drepczący sobie zupełnie innym rytmem, niezainteresowani niczym poza czubkami własnych butów. Głowy podnosili wolno, unikali słońca. Gil, Enka i Cnota skryli się pod sklepieniem Łuku. Powiewała francuska flaga.

– Duże to - stwierdził komisarz Enka.

– No, duże - zgodził się zadowolony Cnota.

Przed nimi rysowała się ulica szeroka, lecz gęsta od drzew, skuterów i samochodów, błyszcząły dalekie układy fontann, po obu stronach pyszniły się wystawy sklepów, a na samym końcu, nie większy od pudełka zapalek, błyszczał Grande Arche, łuk wzniesiony przez Mitterranda. Dwa łuki *olbrzymie*, jak mówił Cnota.

Gil zastanawiał się, jak długo będą tutaj tkwili i czego oczekują. Cnoty by nie zapytał, bo jeszcze usłyszałby odpowiedź. Czytał miejsca bitew, nazwiska generałów, rozpoznawał Polaków, ale nie czuł się dumny, zadzwoniły mu wczorajsze słowa, głucho i po śląsku: *widziolech... marszołków i generołów, oficerów i wojsko pospolite*. Wodził wzrokiem po ogromnych płaskorzeźbach na fasadzie Łuku, wyteżał wzrok, już wiedział, tak, w ten sposób spełniają się wizje. Oto anioł unosił się nad głową Bonapartego, rozpościerał skrzydła, dał w trąby, Napoleon stał dumnie, westalka dekorowała go wieńcem. Minę miał wyniosłą, lecz nogi króciutkie. *Wywyższenie kurdupla też zech widzioł* – przypomniał sobie ksiądz doktor. Obok żołnierze ruszali na walkę i śmierć.

– Widzisz? - rzekł Gil do Enki, który tymczasem się doń przykolibał. - Cnota opowiadał nam o tym.

Enka kiwnął głową. Rozpoznał i zachodził w głowę, czy zwariowany dobry górnik nie przeczytał po prostu przewodnika. Przyjrzał się Napoleonowi, przeczytał kilka nazwisk, a jedno nawet go uradowało:

– O! Van Damme - powiedział i zarechotał. Gil popatrzył na niego jak na idiotę.

– Gdzie wczoraj zniknąłeś? - zapytał.

– Nie wygłupiaj się nawet. Daj spokój.

– Nie wygłupiam się. - Gil wzruszył ramionami. Przyglądał się Cnocie, który stał zupełnie spokojny, wystawiając twarz do słońca. - W jednej chwili siedziałeś, a w drugiej cię nie było.

Cnota pomachał im, jakby pozdrawiał i zbierał się do domu. Jednak nie zrobił kroku.

– No wiesz. Poszedłem pokazać muzeum tej miłej pani, jak już musisz wiedzieć - warknął komisarz Enka.

– Przecież ruda została w sali. Ruszymy się stąd?

Poszli krokiem spacerowym. Gdzieś za ich plecami zawył klakson. Zakłopotany Enka nieustannie zerkał na swoje nieruchome ramię. Z ręką było już lepiej, wciąż nosił opaskę, ale mógł już swobodnie zginać palce i nawet radził sobie z papierosem. Dymem próbował odegnać wspomnienie poprzedniej nocy.

– Nie ruda. Taka czarna, mała. Fajna babeczka - mruknął. Gil zmierzył go spojrzeniem.

– Nikogo takiego nie widziałem.

Coś strzeliło w Ence, zimna chmura podniosła się z serca ku głowie. Zdusił ją w rejonach gardła. Mimo upału nagle zrobiło mu się lodowato, chłód pełzył przez kości, wnikał w stawy, paznokcie.

– Może była krótko. A ty byłeś urżnięty - odpowiedział, i to takim głosem, że ksiądz doktor stracił ochotę na dalsze pytania. Nie zdołałby też żadnego zadać, bo Cnota raptem ruszył, wycofał się do cienia, przykucnął, chcąc chyba być niewidocznym. Kiwał na nich głową, więc podeszli i też przykucnęli. Zasłaniały ich samochody, niewiele też widzieli. Coś jednak tak.

Po drugiej stronie, pod budynkiem ambasady Kataru - co to znowu za dziwny kraj, zastanawiał się Enka - stał sobie znajomy Rosjanin, zaaferowany konwersacją ze starszym gościem w czerwonej dżalabiji, coś mu mówił, a ten tylko kiwał głową.

Cnota ocenił odległość i ruszył, dalej skulony, chcąc przebiec przez rondo, między samochodami. Gil chwycił go za fraki i górnik nie potrzebował czytać mu w myślach, by wiedzieć, o co chodzi. Musiałby przedrzeć się przez kilka rzędów Francuzów rozpędzonych w swych metalowych maszynach, uniknąć motorów i jeszcze uprosić Boga, by skrył go przed wzrokiem dwójki policjantów uważnie obserwujących ruch.

– No to co? No to co? - dopytywał Cnota.

Enka błyskawicznie ocenił sytuację. Rosjanin i Arab wyglądali na takich, co długo sobie nie pogwarzą. Przez ulicę przejść na rympał nie można, naokoło za daleko, sukinsyn zdąży nawet do swojej Rosji wrócić. Zerknął, już wiedział, a gdyby miał sprawną rękę, z pewnością by nią machnął.

– Panowie! Szybko! Przejściem podziemnym!

Pognali, Enka, choć wyęczał siły, musiał pozostać nieco z tyłu, sztywna ręka przeszkadzała, a nawet zabolęła, gdy rąbnął nią przez nieuwagę białowłosego emeryta w szaliku. Staruszek warknął coś, Enka jeszcze zwolnił, dzięki temu zobaczył oddalające się podeszwy Rajmunda Cnoty. Oraz Rosjanina, który zmierzał właśnie do tego samego przejścia, po drugiej stronie.

W przejściu było brązowo i ciemno, omal nie wpadł na barierkę i wcale nie pocieszał się, że innym idzie gorzej. Gnający na przedzie Cnota, niczym ruda chmura, roztrącał ludzi; mały piesek śmignął sprzed jego stóp. Gil biegł prześmiesznie, rozrzucając nogi na boki. Ten widok dopiero, nie wiedzieć czemu, uświadomił Ence, co się dzieje i co właściwie robią.

– Zwolnijcie! - wrzasnął.

Z końca korytarza wyłoniła się grupa maleńkich ludzi w kolorowych ubrankach i identycznych białych czapkach, krasnoludki lub dzieci, cholera, nie, japońscy staruszkowie spacerowali dwójkami, podziwiając gołe ściany. Cnota sam jeden by połowę zdeptał.

– Staaać! - zawył Enka i tym razem posłuchali, Cnota stanął, jakby natrafił na ścianę, za to skołowany Gil wytracił prędkość tuż przed pierwszym Japończykiem. Rozłożył szeroko ramiona, że to nie jego wina, nie wie nawet, co się dzieje. Enka już wiedział. Zębami zdarł opaskę uciskową ze zdrowszej, lewej ręki, zgiął palce, zabolęło, zwolnił do truchtu. Wyprowadził pierwszy, kontrolny cios w pustkę. Ledwo wyszło, drugi już

lepiej - szykował się do starcia z facetem, którego myśl miażdży ludzi, burzy rusztowania.

Zrównał się z Gilem i Cnotą, Japończycy, wydając pełne oburzenia odgłosy, rozproszyli się, by ich ominąć. Przez nich, za nimi Enka dostrzegł Rosjanina, idącego krokiem człowieka spełnionego. Ten również ich dostrzegł, aż go wmurowało, zacisnął pięści. I zaraz zmiękł.

Pierwszy poderwał się Gil, za nim Cnota, Enka ich nie zatrzymywał, wyciągał tylko nogi, by dopaść sukinsyna jako pierwszy, nie miał pojęcia, jak Cnota się bije, ale informacje, które miał o górnikach, nie wróżyły psychotronikowi zbyt dobrze - jeśli Rosjanin nie użyje swego hokus-pokus, może zmienić się w mokrą plamę po paru ciosach. Żywego, do jasnej cholery, myślał Enka, co mi z trupa?

Lecz Rosjanin użył hokus-pokus. Wysunął ręce przed siebie zupełnie jak jego krajan w telewizji i krzyknął coś do Japończyków, coś, co musieli zrozumieć, bo odwrócili się natychmiast i jednocześnie. Powtórzył to samo słowo, wskazał palcami na ściany. Nic na nich się nie zmieniło, lecz Japończycy zesztynieli, wodzili oczami po nieistniejących zdarzeniach, grupa zmieniła się w mur. Uśmiech przemknął po twarzy Rosjanina. Gnający przodem Cnota wpakował się prosto w ludzki mur. Naderwał go, ale nie przełamał.

Rosjanin odwrócił się i odbiegł, wcale rączo. Japończycy stali zastygli, nikt nawet ręką nie drgnął, a gdy Enka jął się przeciskać między nimi, zobaczył rozszerzone ze zdziwienia oczy. Nie chciał myśleć, co widzą, nie był też tego ciekaw - jemu akurat przepychanie się szło najgorzej, sztywna ręka zahaczała o równie sztywne ciała, musiał nieustannie wysupływać się z żółtych ramion, bioder, aż wściekł się, skręcił i podążył drogą wyznaczoną przez Rajmunda Cnotę. Górnik zwyczajnie brał kolejnych Japończyków i brutalnie wciskał między pobratymców, tworząc w ten

sposób rodzaj wąskiej ścieżki, naznaczonej po obu stronach skośnymi oczkami. Enka z trudem tam się mieścił, a jeszcze zdziwił się szczerze, gdy po drugiej stronie zobaczył oddalającego się Andrzeja Gila. Ksiądz sobie znanym sposobem precyzyjnie przesuwał się pierwszy i gdyby Enka miał lepszy humor albo chociaż chwilę, roześmiałby się na myśl o treningu przy procesjach na Boże Ciało.

Widzieli nikielne plecy Rosjanina, popędzili, ten się obejrzał, jego oczy znalazły się bliżej, niż być powinny. Coś trzasnęło, poszedł podmuch, dwóch chłopaków tuż przed Gilem runęło na kolana, jakby oberwali niewidzialnym drągiem pod kolanem. Jeden milczał, drugi wrzeszczał, temu wrzeszczącemu zegarek zerwał się z ręki i śmignął koło ucha księdza doktora.

Rosjanin biegł wolniej - nie sposób galopować z dłońmi rozrzuconymi na boki - nie przejmował się, gdy kogoś trącił, za to za nim ludzie padali jeden za drugim, obaleni przez rzeczy, które mieli przy sobie: torebki i torby, plecaki, kaski do jazdy na motorze. Gil, Enka, Cnota przeskakiwali ich z trudem, przerażonych i wrzeszczących, ksiądz nawet by runął, cudem zachował pion. Chmura przedmiotów zerwała się do lotu, śmigały stoliki turystyczne, portfele, klucze, nawet buty i czapki, a na mokrej pierśi komisarza Enki roztrzaskało się jajko. Zaraz przeskoczył jego właściciela, wąsacz wił się, wskazywał na złamaną nogę i przeklinał po polsku.

Chmura przedmiotów zgęstniała, jakby Rosjanin zwielokrotnił swoją potęgę - mknęły już całe siatki z zakupami, Gil dostał w kostkę aparatem fotograficznym, zestaw lego (rycerze, wielki zamek) przywalił w czoło Rajmunda Cnoty, wirowały bułki, narzędzia, książki, całe płachty gazet dziurawione przez drobniejsze przedmioty. Szli jak pod wiatr, garbiąc się i osłaniając oczy. Kubeł przemknął między nogami księdza Gila, ktoś chwycił go za kostkę, ksiądz obrócił się - kobieta w strzaskanych okularach

próbowała się podciągnąć, zawahał się, szarpnął, odprowadzał go jej jęk. Gdzieś z przodu zawył Rajmund Cnota - to menażka wyrwała się z kieszeni kurtki i walnęła go w szczękę. Splunął krwią, ale szedł dalej, przeciwstawiając się huraganowi.

Z tego wszystkiego Enka wysunął się naprzód. Przeskakiwał przez rzeczy i ludzi, unikał pędzącej w jego stronę kamery turystycznej, zbliżał się do Rosjanina. Rosjanin zwalniał coraz bardziej, może bieganie szło mu gorzej niż czary albo i tracił prędkość przez to czarowanie - tak przynajmniej kombinował Enka. Dystans się zmniejszał, piętnaście, dziesięć metrów, nagle Rosjanin odwrócił głowę, wykonał piruet w biegu, a Enką szarpnęło. Unieruchomiona ręka pociągnęła go na ścianę, jakby ktoś chwycił za szynę i zaczął wywijać Enką, jeszcze próbował amortyzować ciałem, wykręcić się, gdzie tam - rąbnął o mur, w oczach mu pociemniało, od przedramienia po dłoń rozlał się ból. Nawet się nie zorientował, że wrzeszczy. Wydało mu się, że kość pękła i przebiła skórę. Nie, ruszył palcami. Zerwał się i spróbował pobiec. Upadł na kolana.

Gil i Cnota byli już przy nim, podnieśli, pociągnęli. A Enka wrzeszczał: - Dam radę! Dam radę!

Rzeczywiście, po kilkunastu krokach dał. Rosjanin stał się rozpędzonym punktem z łapkami. Enka jeszcze spojrzął za siebie, ludzie podnosili się powoli zdezorientowani, pierwsi już krążyli po przejściu, szukając swoich drobiazgów. I tylko Japończycy stali jak wcześniej, nieruchomi, a na ścianach rozgrywało się przedstawienie przeznaczone tylko dla ich oczu. Enka wybiegł na słońce i słońce go oślepiło.

Z okolicznych bulwarów wylewał się tłum: całe rodziny, kobiety z dziećmi, pary, tabuny młodzieży wyrwane z trzewi szkół. Nie wiadomo czemu: czy to przez doświadczenia ostatniej wojny, czy za sprawą wpojonego instynktu społecznego, coś kazało tej masie rozstąpić się przed

trójką mężczyzn wrzeszczących po polsku: włochatym facetem z połamaną ręką, rudym olbrzymem i bladym gościem, który wyglądał na szaleńca przebranego za księdza. Tłum się rozstał, niektórzy unosili dłonie, a oni biegli w kluczu, którego czerwony trzon stanowił Rajmund Cnota.

Jeszcze czerwieńszy, chyba najczerwieńszy - jeśli nie liczyć barwy na fladze pod Łukiem - był Rosjanin, który w drzwiach czarnego mercedesa zerkał na zegarek i wymachiwał paszportem przed twarzą nie mniej rozjuszonego policjanta. Samochód stał w osamotnieniu, czyli tam, gdzie wjechać nie bardzo można, ale Rosjanin wyglądał na takiego, co myśli, że wolno mu wszystko. Może rzeczywiście tak było - policjant trochę zmałał, krew odpłynęła mu z twarzy. Kiwnął głową. W Rosjaninie zaszła błyskawiczna przemiana, wyciągnął długą szyję i gadał, gapiąc się w oczy gliniarza, zrobił jeszcze gest dłonią i gliniarz ustąpił.

Nie ustąpili Cnota z księdzem doktorem, górnik już dopadał drzwi, Gil brał samochód ze strony pasażera. Za późno. Rosjanin wpakował się w ruch i byłby umknął, gdyby nie van dostawczy pomalowany w świnki, który raptem zajechał mu drogę. Pisnęły opony. Gil i Cnota już mogliby chwycić za zderzak, Rosjanin gwałtownie cofnął, wykręcił i pognął pod prąd, wśród wrzasków i klaksonów. Ludzie się rozbiegli, auta umykały i tylko policjant stał jak wiejski głupek z książeczką mandatową w zeszywniałej dłoni.

Rosjanin dotarł do najbliższej przecznicy, lecz zamiast w nią skręcić wprost w ciężarówkę, tym razem nie uniknął zderzenia, przekręcił się tylko tak, że walnął bokiem, huknęło, beemką zakręciło, pomknęła na środek ulicy, cudem unikając dwóch rozpaczliwie hamujących samochodów. Za to w ciężarówkę wpakował się citroen, za nim drugi, wyginając bok, kierowca wyskoczył i upadł na twarz.

Gil z Enką byli pośrodku tego wszystkiego, we wrzaskach, trzasku metali, kurzu wirującym nad głowami, jeszcze Cnocie starczyło

przytomności, chwycił ich obu za ręce (Enkę szczęśliwie za lewą) i pociągnął ku poboczu. Ksiądz runął na kolana, odwrócił się, widział Rosjanina, jak próbuje zapalić silnik i wali pięścią w deskę rozdzielczą, chyba na zapłon jego psychika nie działała. Nagle w maskę walnął motor, kierowca przekoziołkował, upadł, przetoczył się po chodniku, coraz bardziej miękki, pod koniec jakby wypełniony piaskiem. Spod kasku po szyi ciekła krew. Nie zdążyli nawet się temu przypatrzeć, bo w BMW wjechał kolejny samochód, pędzący dotąd ostatnim wolnym pasem. Wyhamował, więc prasnął jeszcze po ludzku, w tył, nic nikomu się nie stało. Motocyklista bił nogami w asfalt.

Po wolnych pasach wciąż sunęły samochody, kierowcy najwyżej zwalniali, obserwując wypadek, za to policjant odzyskał wigor. Darł się przez radio głośniej, niż auta trąbiły. Rosjanin odpuścił. Pchnął drzwi i wysiadł, zataczający się i zalany krwią, obrócił wzrok ku Gilowi, Cnocie i Ence. Spojrzeniem jednak zabijać nie mógł.

Zrobił kilka słabych kroków. Ludzie biegli w jego stronę, wyhamowywali sami, tylko jedna Francuzeczka doń dotarła, zalana łzami i roztrzęsiona. Mówiła bardzo szybko, on dotknął palcem jej czoła. Spuścił dłoń, jakby coś strzepywał, a dziewczyna tak została, odprowadzając go wzrokiem. Szedł nie niepokojony przez nikogo, pustym pasem, który pozostał przed miejscem karambolu, wokół niego drżało powietrze, pojawiały się ciemne kropki niby płatki sadzy, blakły kolory, białe stawało się szarym, skóra nabierała barwy popiołu, ludzie odwracali głowy. Patrzyli tylko ksiądz Gil, komisarz Enka i Rajmund Cnota.

Rosjanin lazył prosto na nich, zwiślał mu strzęp rozprutego policzka, dłoń uniósł z ogromnym wysiłkiem, ale ją utrzymał. Palce mu drżały. Powłóczył nogą. Oczy były chłodem. Złożył usta, jakby ssał powietrze przez wentyl. Kaszlnął i zassał znowu. Raptem przymknął powieki, zachwiał się i

upadłby, gdyby nie dach samochodu, o który się oparł. Ręka zjechała bezwładnie, zostawiając czerwony ślad. Wyciągnął drugą dłoń. Zatrzymał się, zamknął oczy.

Przez ułamek sekundy każdy sądził, że nic się nie stało, dopiero kiedy między krwią a strupem błysnął złośliwy uśmiech, podwracali głowy. Z przeciwległej strony ulicy pędziły ku nim trzy kolorowe skutery, wysoko w powietrzu, zataczając ostry łuk, jednego nawet wciąż trzymał się kierowca, wyjął i machając nogami. Kątem oka Gil dostrzegł, że Rosjanin ponownie zbiera siły i w tej sekundzie przednie koło skuterka, który dotąd jechał sobie spokojnie blisko pobocza, gwałtownie stanęło. Kierowca spadł, maszyna poleciała, rąbnęła w barierkę tuż za plecami Gila. Inne też nie sięgnęły celu, zielony skuterek śmignął nad głową Enki i roztrzaskał się między samochodami. Dwóm pozostałym poszło słabiej, rąbnęły między pędzące od Łuku samochody, zabrzmiał pisk opon, klakson - za późno. Amerykański van zahamował pospiesznie, wykręcił się i stanął w poprzek, dokładnie tak, by zderzyć się z bordowym fiatem, odepchnięty poleciał ukosem i władował się w kolejnego citroena.

Szkoło z potrzaskanych szyb migotało w słońcu. Zapadła chwila lodowatej ciszy, taka trafia się pod niebem biegunów, a potem nagle weszły w nią krzyki, płacze i jęki. Ludzie wpełzali z rozbitych samochodów - kierowca vana wysiadł, na chwiejnych nogach zrobił kilka kroków, z głowy zwisał mu włochaty skalp, czerwona czaszka lśniła, a on sam opadł na kolana. Jakaś kobieta trzęsła się w szoferce fiata. Już brzmiały syreny, zewsząd zbiegali się policjanci. Zignorowali Rosjanina, Cnotę, Gila z Enką, gnając do rannych. Wyciągali ich z samochodów, układali na plecach, podtrzymywali głowy. Pogotowie nie mogło się przebić, karetka stanęła z boku, wysypali się sanitariusze.

Rosjanin opadł na jedno kolano. Opuścił głowę. I zaraz ją podniósł, błysnął okiem. Był wyczerpany. Fizyczne obrażenia i psychiczny wysiłek nie mogły nie pozostawić śladów. Nawet na nim.

Od strony Łuku nadjeżdżały dwa samochody z kogutami na dachach, pod słońce nie dało się poznać marki. Zamiast zwolnić, przyspieszyły, jednym zaniosło i przerażony Gil pojął, że pędzą wprost na nich, już rozpoznał, bliźniacze renaulty, w jednym, tym bliższym, facet rozpaczliwie wykręcał kierownicą, na próżno, tylko jego przerażona twarz była bliżej i bliżej. Ani uciec, ani się przeżegnać, auta pędziły wprost na nich, ułamek sekundy i będzie po wszystkim, można przysiąc, że Rosjanin się śmieje. Ludzie zamarli na zapowiedź nowego nieszczęścia. Koguty wyły.

Już parę metrów, Enka odzyskał władzę w nogach, spróbował uskoczyć, nie zdążyłby, ale nagle auta zmieniły kierunek, jakby odrzucone przez nową siłę, której istnienia Rosjanin nie przewidział. Jedna renówka walnęła w ciężarówkę, druga w pobocze, mijając Gila z Enką o włos. Odgłos uderzenia zadźwięczał im w głowach, popatrzyli po sobie, cudem ocaleni. Enkę oblewał pot, Gila można było wykręcać. Coś kazało im się odwrócić, i to jednocześnie.

Za nimi, oparty o rozbity samochód, stał kredowobiały Rajmund Cnota i wysuwał przed siebie drżące dłonie. Rozczapierzał palce, po brodzie ciekła mu ślina. I odpłynął, ręce opadły, za nimi cały Cnota, obracając ku niebu nieprzytomne oczy. Nie zdążyli go podtrzymać, padł na chodnik, osłaniając twarz. Gdy go dopadli, już przekręcił się na plecy. Łapał powietrze. Spróbował się uśmiechnąć, cieszył się, że żyją. Gil włożył mu rękę pod głowę.

– Goń - rzekł Cnota.

Enka nad nim przykucnęła.

– Goń kogo?

– Czorta. - Cnota zmrużył oczy. - Zostowcie mnie. Ze mnum bydzie dobrze.

Zaburczał silnik, podnieśli głowy. Rosjanin siedział na porzuconym skuterze, zgarbiony i jakiś biedny. Nacisnął gaz i popędził niezdarnie między samochodami, niemal przyciskając czoło do kierownicy. Enka poderwał się na nogi, zapomniał nawet o nieruchomej ręce.

– Jędreerek! Zapierdalamy!!! - wrzasnął i popędził w sobie znanym kierunku, nie czekając na odpowiedź. Andrzej Gil nie śmiał protestować, wiedział zresztą, że takie to życie już dziwne jest i trzeba raz na jakiś czas pozapierdalać - krzyżyk i koloratka od tego nie uchronią. Ale mogą o czymś przypomnieć. Z niemałym wysiłkiem posadził Cnotę pod samochodem, oddech górnika trochę się wyrównał. Czoło znów ozdobiła purpurowa plama. Gil nakreślił na niej znak krzyża i pognął za Zbigniewem Enką.

Enka pędził jak wariat, przeskoczył barierkę dzielącą ulicę z gracją sprintera, wyhamował dopiero przy wywróconym skuterze. Jeszcze zdołał go podnieść, spróbował usiąść, ale nie dał rady utrzymać kierownicy. Wycofał się, jakby robiąc miejsce dla księdza Gila.

– Nie ma mowy - rzekł ksiądz doktor.

– Dawaj, dawaj! - wrzeszczał Enka.

– Przecież ja...

A Enka rzekł magiczne słowo:

– Zapierdalamy.

Andrzej Gil nigdy nie prowadził samochodu i żył w przekonaniu, że nie zdałby prawa jazdy nawet na hulajnogę, gdyby tylko takie istniało. Raz w życiu przejechał się WZK-ą z okazji szesnastych urodzin kumpla. Ledwo pojechał. Przełknął ślinę, widok oddalającego się Rosjanina zdopingował

go akurat tyle, by wsiąść i złożyć ręce na kierownicy. Kluczyk tkwił w stacyjce. Silnik zapalił od razu, ale Gil nie ruszył.

– Martwi tej sprawy nie rozwiążemy - rzekł.

– Dawaj! Dawaj! - Enka usiadł za nim i objął w pasie tak jak umiał. - Ja z tą ręką nie pojedę! Cnota nie wysłałby nas na śmierć. Jedź! Nie myśl! Bo chuj ucieknie!

W głowie księdza doktora zakwitła myśl, że Enka znów bierze go pod włos i będzie trzeba mu odpłacić, przecież nie pojedzie, nie mając pojęcia, nawet jak się skręca, i ledwo ta myśl wybrzmiała, stopa księdza doktora znalazła odpowiedni pedał, skuterem szarpnęło i popędzili między ludzi i samochody. Gil zaciskał ręce na kierownicy, wytrzeszczał oczy, szeptał w myślach: *Święty Judo Tadeuszu, chwalebny Apostole i wielki przed Bogiem Orędowniku tych, którzy idą ku Tobie z głęboka ufnością. Otwieram moje serce stroskane i proszę, i błagam Cię o opiekę nade mną* [14].

– Szpula, bo spierdoli! - wył Enka.

Gil wywalił język i przypomniał sobie, że kiedy szedł na księdza, szukał świętego spokoju. Docisnął gaz, liczył na szczęście, a przed przeszkodami nie do przebycia zaciskał oczy, czekając na kraksę albo aż znajdzie się po drugiej stronie. Inaczej Rosjanin, odzyskał kontrolę i śmigał gładko między pojazdami. Gil nadrabiał Enkową szpulą na prostych odcinkach, strach podrywał mu resztki włosów, a wiatr je rozwiewał.

Raz z prądem, raz pod prąd, gnali w szczeliny między karoseriami, odprowadzani przez klaksony, wrzaski i zdumione spojrzenia. Ludzie upuszczali siatki z zakupami, chłopcy puszczały dłonie dziewczyn, odrywali się od ich ust, obracali głowy. Matki odstawiały swoje dzieci, mężczyźni nesesery, a pewien staruszek opuszczający aptekę zapomniał z rozpędu o metalowym balkoniku, ruszając samodzielnym truchtem, by zobaczyć jak najwięcej.

Przez cuda paryskie, na łeb na szyję, z buciarami i prędko - obok nich migały wodne stopnie fontann, woda tryskała w najróżniejszych konfiguracjach, dziesiątki wyrzeźbionych figur przysiadło na brzegach, odprowadzając ich ślepyimi spojrzeniami, błyskały zielone szyldy aptek, a Ence nawet przeszło przez myśl, że jeśli się wyłożą - a wyłożą się z pewnością - to pomoc nadejdzie z każdej strony. Niczym gigantyczny katafalk, mignął mu czarny wieżowiec, chyba o stu piętrach, zielona rzeźba, wreszcie kolorowe cudo przypominające przerośniętą zabawkę albo lizak wielkoluda. Mignęła tylko ogromna kula o błyszczących oknach, cholera, wszystko śmigало i błyszczało, oni pędzili, przed nimi rósł drugi łuk.

Całkiem nieźle idzie mi z tą jazdą, pomyślał Gil, znajdując lukę między harleyem a obejmującą się struchlałą parką. Enka zaś, przytulony do księdza, zastanawiał się gorączkowo, czemu właściwie przyszedł na świat i kto, do cholery, ten Paryż wymyślił. Wystawiał głowę, a że rękami chwycić się nie mógł, objął nogami łydki księdza doktora. Użył też palców, nieustannie wpijał je w bok księdza doktora: lekko *znaczy jedź szybciej*, mocno - *uwaga na babę, o kurwa, samochód*, a pazury wbite w tłuszczyk *znaczyły no dobra, po nas*. Tak pędzili, walcząc z Paryżem i samymi sobą, Gil - by się nie wywalić, a Enka - by nie spaść.

Świat rozstępował się przed nimi, samochody hamowały, ludzie uciekali, czasem zręcznie, a czasem szczupakiem, inne motory skręcały rozpaczliwie, zaś Gil nie skręcał wcale, zwyczajnie prując środkiem, z imieniem Judy Tadeusza na wyschniętych ustach. Gdzieś za nimi zawyły syreny policyjne, Enka z trudem obrócił głowę, no to ładnie - dwóch policjantów zasuwało na motorach. Jakoś nie mogli ich dogonić, nadziejąc się na przeszkodę za przeszkodą, wymijając samochody, hamując przed ludźmi. Gil już dawno zapomniał, co właściwie się dzieje, jazdy nie zapomniał, bo nigdy nie umiał, pruć więc, wierząc, że modlitwa i

gardłowa sprawa znaczą więcej niż doświadczenie rajdowe, Chrystus z nim jechał, a przynajmniej ksiądz doktor momentami w to wierzył - gdy zaś wiara słabła, wrzaski komisarza Enki kazały dodać gazu.

Coraz lepiej, przemknęło Gilowi przez głowę. A Enka pomyślał dokładnie coś przeciwnego, konstatuując jednocześnie, że Rosjanin zasuwany niczym pieprzony cyborg, pewnie i bez potknięć. Nagle zmienił pas, pomknął w bok i nim zdecydowali się, co robić, znalazł się tuż za nimi. Błady i wściekły. Jego ręka sięgnęła po Enkę, minęła jego głowę. Gil zacisnął powieki. I zahamował. Za gwałtownie, za szybko. Zdezorientowany Rosjanin wypruł do przodu, jeden raz się zachwiał i omal nie wpadł w wodotrysk po lewej. Odzyskał równowagę, popruł dalej, już pewnie - Gil zrobił to samo, lecz bez żadnej pewności.

To bardzo dziwne - nowy łuk tryumfalny najpierw wydawał się wcale nie zbliżać, a potem wyrósł przed nimi w całym swym ogromie, biały i kanciasty, z namiotem rozpiętym pośrodku i dostojną bielą schodów. Pruli ku górze, między ludźmi, Rosjanin zmienił się w nieruchomy punkt - odległość nie malała. Zahamował u podnóża schodów, zeskoczył ze skuterka. Spokojny, rozluźniony Enka pomyślał, że skoro już tyle przejechali, to na sto procent teraz się wypierdolą.

§ § §

Gil wyglądał jak urzędnik, Enka zaś jakby zobaczył diabła, widywał go już wcześniej, więc wyglądał dokładnie jak wtedy. Zatoczył się, ze sztywną ręką, na oczy opadła mu sadza. Z kolei księdza doktora przepelniała energia, czuł, że w tej chwili mógłby wskoczyć na maszynkę i popędzić w drogę powrotną.

Rosjanin wbiegał po schodach Wielkiego Łuku; nie znać było po nim zmęczenia. Akurat zjechała winda, skierował się w jej stronę, przystanął, cofnął się o krok, bo szklane drzwi stanęły otworem, wytoczył się z nich sprężysty facet, przystrzyżony po wojskowemu, w świetnie dopasowanym garniturze. Za nim szedł Nejman z miną zadowolonego turysty, za jego plecami zaś kroczył drugi ochroniarz, szczuplejszy, o jasnych włosach i z blizną biegnącą od ucha do brody. Do dłoni miał przytroczoną czarną walizeczkę z błyszczącej skóry. Trzymał się prosto.

W nuklearnym błysku myśli ksiądz doktor pojął, co tu się wyrabia - przejechali na złamanie karku najbardziej reprezentacyjną dzielnicę Paryża, stali u stóp nowiuńskiego łuku, z windy wysiadał rekin polskiego biznesu, a leciał na niego ruski psychotronik. Oni też byli częścią tego zdarzenia, najbardziej niedopasowani i cholernie niemożliwi, polski ksiądz ze śliwą na oku, polski policjant ze złamaną ręką. Kilkaset metrów za nimi pędzili gliniarze na motorach.

Nejman szedł szybkim krokiem i rozmawiał przez biały telefon rozmiarów cegły, pomagał sobie dłońmi, pohukiwał i z tego ambarasu zupełnie nie dostrzegł Rosjanina. Zerkał tylko na ochroniarza, za siebie. Policjanci już dotarli, czterech innych nadciągało od lewej, już gnali po schodach i Nejman się spiął. Nerwowym ruchem złożył antenkę, nie wiedział jednak, co zrobić z samym telefonem. Szepnął coś ochroniarzowi z blizną, ręka zacisnęła się mocniej na walizce. Tam jest zakładka, pomyślał ksiądz doktor.

Dostrzegli Rosjanina, w gruncie rzeczy można się dziwić, czemu tak późno. Wspiął się na schody krokami maszyny, strużki krwi zaschły mu na policzkach i obsmarowały włosy. Nie udawał nawet, o co gra idzie, szedł na Nejmana, wbijał weń wzrok i zdawał się ignorować wrzeszczących policjantów pędzących w jego stronę.

Nejman warknął coś, Gil z Enką nie słyszeli. Blondyn z blizną został, ochroniarz z przodu ruszył na Rosjanina, spokojnie i pewnie, powinien dopaść go przed policjantami. Zginał i rozprostowywał palce, odprowadzany przez kpiący uśmiech swego pracodawcy. Rosjanin odpowiedział tym samym uśmiechem, zerknął za siebie, ocenił sytuację, sapnął jak maratończyk, który ma przed sobą ostatnie kilkaset metrów. Raptownie wciągnął powietrze, wyrzucił ramiona ku górze, jego twarz przypominała czerwoną maskę, w której niby larwy migotały białka oczu.

Zawył. Niczym zwierzę, jednostajnym głosem, szklanym i wysokim, na jednym tonie. Głośniej i głośniej, prawie dym szedł z ust, za to czerwone podgardle drżało z ogromnego wysiłku, oczy wyszły na wierzch, czoło pulsowało, dygotały rozczapierzone palce. Z ust poszła niewidzialna fala, precyzyjna niczym kule zawodowego snajpera, tu i tam, najpierw pchnęła policjantów, stoczyli się po stopniach, nie myśląc o niczym innym jak tylko o zatykaniu uszu. Fala poszła w łuk i odbiła się od niego, białej ściany rezonującej uderzenie głosu, popędziła szerzej, już bardziej chaotycznie. Ochroniarz zbiegający po schodach zatoczył się, zbladł natychmiast i upadł. Nejman już leżał, przyciskając twarz do ziemi, za nim blondyn z blizną runął na plecy, targały nim spazmy, walizka podskakiwała w dygoczącej dłoni. Gil nawet nie zorientował się, kiedy upadł, po prostu znalazł siebie przyciśniętego jakimś wielkim ciężarem, dwa krwawe bąble nabrzmiwały mu w uszach.

Francuscy policjanci ocknęli się u stóp schodów, zadarli głowy, jeden z drugim, ale żaden nawet nie spróbował się podnieść, tylko wrzeszczeli przez krótkofalówki coś o terrorystach. Rosjanin zamilkł, opuścił zmartwiałe dłonie, krwawa głowa wyglądała, jakby właśnie miała stoczyć się z karku. Gil omiótł wzrokiem okolicę: leżący Nejman i ochroniarze, Rosjanin idący w ich kierunku, niezdolni do ruchu policjanci. Brakowało

tylko komisarza Enki lecącego z pięściami w celu wypełnienia obowiązków służbowych.

I Enka się pojawił, kompletnie przytomny i kompletnie wściekły, gnający po dwa stopnie, z jedną ręką wciąż nieruchomą, drugą fioletową i gotową do ciosu. Gil pojął nagle, że w tym stanie pan komisarz nie podłubie sobie nawet w nosie, nie mówiąc już o spraniu kogokolwiek. Spróbował się podnieść. Raz, nie wyszło, za drugim - nogi posłuchały i ksiądz doktor, kulejąc, popędził za Enką.

Rosjanin przekroczył leżącego Nejmana, zgarbił się nad ochroniarzem z blizną. Spróbował wyszarpać walizkę, zaklął na widok łańcuszka. W jego ręku błysnął nóż, wyszarpnięty gdzieś ze spodni, opuścił go raz i ponownie, ostrze zmieniło barwę, blondyn wrzasnął, przeszły przezeń drgawki, nie podniósł jednak głowy. Rosjanin uniósł się, trzymając uwolnioną walizkę, z obręczy wysunęła się odcięta ręka ochroniarza. Zadowolony z siebie Rosjanin poszedł w dół schodów.

Nie uszedł kilkunastu kroków, gdy dopadli go Gil i Enka. Ksiądz doktor wysunął się naprzód, a że nie wiedział, co robić, wskoczył mu na plecy, zacisnął przedramię na gardle, oplótł go nogami, wpił palce w ranę na policzku. Rosjanin warknął, Enka już go dopadł i dokładnie w chwili, gdy szykował się do pierwszego ciosu, mężczyzna walnął Gila w bok, płynnie i lekko; ksiądz doktor zwolnił uchwyt, odsłonił mostek, tam spadł drugi cios, wyprowadzony z tak małej odległości, że nie miał prawa być bolesny. Był. Odebrał oddech i posłał na kolana.

Do walki włączył się Enka, wyprowadził kopniak, Rosjanin odgiął się gładko, kop także trafił w pustkę, dopiero trzeci sięgnął celu, częściowo, bo zamiast na szczękę opadł na bark przeciwnika. Enka skonstatował, że facet w tym też jest dobry, bez jaj, służby go szkoliły, to sambo [15], jasna cholera - uskoczył. Rosjanin wślizgnął się pod niego, rozłożył słabą gardę i

gładko wykręcił prawą rękę. Enka zobaczył wszystkie gwiazdy, Rosjanin nacisnął ponownie, sprowadził ciemność i w tej ciemności było jeszcze pchnięcie, Enka runął, przywalił głową boleśnie. Przed oczyma sunęły mu czarne obłoki, zza nich wyzierał kulący się Gil i Rosjanin, który rozprostowywał kości.

Rosjanin posłał im dziwne spojrzenie, jakby zaskoczony, że zaszli tak daleko. Stał w rozkroku, dyszał. Uśmiechnął się. Cofnął nogę, jakby chciał sprzedać kopniaka w brzuch komisarza Enki. Krew zakrzepła mu na twarzy i zaraz twarzy nie było, zginęła w huku i krwawym obłoku. Kolana się ugięły, opadły bezradne dłonie, a za nimi korpus z czerwoną szczerbą na linii szyi. Padł tuż przed skamieniałym księdzem doktorem.

Kilkadziesiąt metrów dalej, na schodach, ciemnowłosy ochroniarz Nejmana mierzył z pistoletu. Lewą rękę podtrzymywał prawą. Mrużył oko. Niesłychanie wolno opuścił broń, rozluźnił ciało. Nogi Rosjanina drgały konwulsyjnie. Enka rozdziawił usta z podziwu dla precyzji strzału, a Gil podczołgał się, brudząc kolana we krwi, i wyszarpnął walizkę z martwiejących dłoni.

Nie zdążyłby się obejrzeć albo splunąć - nad nim wyrósł Nejman. Oczy mu błyszczały, uśmiechnął się dobrotliwie. Kucnął. Pulchną dłoń położył na walizce.

- To chyba moje, prawda? - powiedział, a Gil oddał mu ją bez słowa. Popatrzyli po sobie i obaj wiedzieli o sobie wszystko. Nejman miał pustkę w oczach, wielki lej po duszy, rozpaczliwie wypatrujący deszczu. Czas zastygł, razem z nim dwie sylwetki - leżący ksiądz, biznesmen w rozkroku - gdzieś w innym świecie z bólu wił się komisarz Enka. I nagle świat puszczono w ruch, jak z naprężonej struny, zaroilo się od policjantów, zbiegali się gapie, migotały koguty.

Enka, któremu ból w ramieniu odebrał słuch i mowę, gapił się w rozdwojony podłużny kształt. Katamaran we krwi. Sztyblety Rosjanina.

Ptaki (III)

Ptak, Który Dziobie fruwa i bawi się tym lotem. Ptak, Który Patrzy tkwi na gałęzi, ma nieruchome, skrzące oczy, skrzydła przyciska do boków, a szpony wpija w gałąź. Brzmi jego gorący oddech.

– I co tam wypatrzyłeś dzisiaj? - Tamten sfruwa, gapi się na pień. - Przecież coś tam widać, nie? Ja latam, ja szukam, ty gapisz się i gapisz? Powiedz, co ci z tego gapienia?

– Powiedz po prostu, że pytasz o nich?

– A skąd! - rzuca żartobliwie i zaraz poważnieje. Przełyka ślinę, mówi: - Tak.

– Powiem ci najpierw, co słyszę. Okrutny rytm fałszywego boga i śpiew pijanej służby. A widzę tańczących w tańcu, co świat spopiela i wznosi na nowo - bierze oddech. - To wcale nie jest wesołe.

Ptak, Który Dziobie wyęcza wszystkie siły, by wytrwać w bezruchu; ledwo starcza mu ich na słowa: - Czemu oni tańczą cudzy taniec, skoro każdy ma swój?

– Niektóre tańce tańczy się raz tylko - pada odpowiedź. - Drugi raz nie mogą, więc okradają innych. Z ich tańców, z ich słów.

Ptak, Który Dziobie przełyka ślinę.

– Aha - mówi - aha, aha.

Podrywa się do lotu i kreśli elipsy pod samym słońcem, nieruchomieje i gapi się w dal. Teraz jest kreską narysowaną na niebie.

Ptak, Który Patrzy spogląda na niego i jest zadowolony z samotności. Wprawnym ruchem wbija dziób w korę i szybko przełyka robaka.

Rozdział siódmy

Papiery profesora Doparda

Gruła siedział przy oknie i gapił się na chmury. Na głowie miał nowiutki berecik, szyję oplatał mu szalik, spodnie trzymały się na szelkach, a z plastikowej siatki wystawała masa drobiazgu zakupionego przez Grulę nad Sekwaną: akwarele, pocztówki, wieża Eiffla wielkości pałki policyjnej, książki Balzaka, Woltera i Prousta. Enka nie wiedział nawet, kiedy Gruła to kupił, nie mógł też żywcem pojąć, jakim cudem ten niezgrabny człowiek załatwił sobie delegację u komendanta, zameldował się w Paryżu dobę po strzelaniu u stóp Wielkiego Łuku i zabrał się za odkręcanie. Nie wiedzieli, z czym przyjechał ani co powiedział, ważne, że przesłuchanie na francuskiej komendzie przybrało lepszy obrót, a potem zadzwonił Nejman i puścili ich razem z Cnotą. Enka nie mógł znieść myśli, że coś biznesmenowi zawdzięcza, wolał już pocieszać się tym, że uwolnienie jest efektem erupcji Grulowej energii oraz zeznań urzędników z Ministerstwa Zaopatrzenia, Budownictwa, Transportu i Turystyki, którzy widzieli starcie z okien swych biur w filarze Łuku. Sam minister, twierdził Gruła, siedział w wietnamskiej niewoli po bitwie pod Dien Bien Phu i niezbyt lubił Rosjan, zwłaszcza tych, co wyglądają na agentów i piorą brudy, wymachując paszportem dyplomatycznym. Gil miał połamane zębra.

Rosjanin nazywał się Grusznicki. Dobiegał pięćdziesiątki i pracował w ambasadzie. Tyle dowiedział się Gruła. Rosjanie nabrali wody w usta, zapominając nawet, że są już demokratami - uświadomiwszy sobie tę

szokującą prawdę, konsul wyjaśnił na piśmie, że Grusznicki zwyczajnie oszalał i tej szajby nie powinno łączyć się z ambasadą, a jak Francuzi będą dalej drążyć, to odpowiednie służby rozejrzą się za szpiegami we francuskim korpusie dyplomatycznym w Rosji. Do pisma załączono podziękowania dla funkcjonariuszy z Polski i ich ofiarności w zapobieganiu eskalacji skandalu. Enka dostał to razem z ramką. W bagażu miał też laudację od komendanta paryskiej policji, przynajmniej tak mu się zdawało, bo nie miał jak przeczytać, a o pomocy Gruli nie chciał słyszeć. Kto by pomyślał, że tak to się skończy? Najpierw przelecieli przez pół Paryża, zebrali łomot, potem ich zgarnięto, aż nagle wszyscy zaczęli przymilać się na wyścigi - ocalili bezcenny skarb kultury polskiej, zatrzymali szalonego Rosjanina, odwalając robotę za francuskich gliniarzy, oraz prawdopodobnie złapali Boga za brodę.

– Szkoda, że tak krótko - powiedział Gula. - Myślałem, że namówię was, żebyście zostali jeszcze dzień lub dwa. Przecież są świetne warunki w tym muzeum, ono zresztą też mi się podobało. Żarcie mają świetne. - Oblizął palec. - No i ta pani jest bardzo miła. Bardzo kulturalny portier. A jak pomyślę, że wracam do tych papierów, to zwyczajnie robi mi się smutno.

Dyplomy, uściski, przeprosiny, zaproszenia na rauty i zwiedzanie czegokolwiek nie zmniejszyły bólu w ramieniu, Gil nie widział przez to lepiej i tylko coś dzwoniło w skołowanych głowach, że sprawa wcale nie dobiegła końca, choć wszyscy by sobie tego życzyli. Gil milczał. Pamiętał dobrze pustkę w oczach Nejmana i zimny błysk białych zębów, gdy ten zabierał walizkę. Rzeczywiście, była w niej zakładka, a Nejman twierdził, że to prezent dla Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, przesłał zaproszenie na galę, która wprost nie mogła się obyć bez bohaterskiego księdza i oszalałego od własnej dzielności policjanta. Już,

już, myślał Enka, a Ruski pewno chciał ten świstek dla muzeum w Petersburgu.

Nejman śmierdział jak szambo na dwóch nogach - znał lub otarł się o wszystkich, którzy umarli w Polsce, co można było wyjaśnić łączącą ich mickiewiczowską pasją, ale niekoniecznie. I na cholereę to sympozjum? Gula odezwał się po chwili milczenia:

– W Paryżu trzeba by mieszkać przez miesiąc albo dwa, inaczej zwyczajnie nie poznasz miasta. Stałem, słuchajcie, chyba godzinę przed Luwrem, patrzyłem na piramidę i te figury obok, wysoko, i zastanawiałem się, wejść czy nie wejść. Znam Luwr. Tam to trzeba tydzień siedzieć, wyobraziłem sobie, jak biegnę od sali do sali, żeby zobaczyć wszystko, co jest do zobaczenia. No i nie wszedłem. Teraz trochę żałuję.

– Nigdy nie byłem w Luwrze - odpowiedział ksiądz doktor Andrzej Gil. Chmury pociemniały, biło deszczem.

Na cholereę ci to sympozjum, Nejman? - zastanawiał się Enka, nie po to walczyłeś jak lew o zakładkę, by teraz ją oddać, a nie wyglądasz mi na takiego, co zwyczajnie lubi ścisnąć się z profesorami. Że notatki jakież pokażą? Że rocznica czegoś tam? Mnie oczu nie zamydlisz. Co przegapiłem, gdzie zrobiłem błąd?

Samolotem zatrzęsło, na suficie błysnęły rzędy świateł, Gil pobladł. Podniosły się głosy, za plecami Enki zabrzmiał płacz dziecka. Enka zerknął przez ramię Gruli, poniżej migotały światła Krakowa, lało jak z cebra, strugi ciężkiej wody zalewały okna. Wysoko błysnął piorun. Samolotem znów zatrzęsło, tym razem światła pociemniały, pospadały bagaże, ktoś wrzasnął, bo oblał się kawą. Potem cisza - stewardesy przepadły. I tę ciszę rozdarł płacz chłopca. Gil odwrócił się pierwszy.

Chłopiec mógł mieć siedem lat. Matka głaskała go po głowie, patrzyła na zawieruchę i wyglądała, jakby zaraz miała rozpaść się na pół. Gil

poluzował pas.

– Nie bój się, mały. Bóg nas nie opuści.

Z nosa dziecka zwisał szmaragdowy śpik.

Jasna cholera, rzekł do siebie Enka, właściwie gdybyśmy teraz się rozpierdolili, wszystkim byłoby to na rękę. Zerknął na Grulę, podobnego do różowego Buddy, a raczej do tego tłustego bożka szczęścia, którego sprzedaje się jako Budkę, pogrążonego w doskonałej obojętności, przypomniał sobie jego dzieci, stadko Grulątek, brzydką żonę, nie, nie wszystkim. Znów naszło go nieprzyjemne wrażenie, że świat bez Zbyszka Enki będzie dokładnie taki sam.

Gil wcisnął nos między siedzenia. Zapytał:

– Jak masz na imię?

Samolotem zatrzęsło po raz trzeci, już słabiej. Zataczali koło nad lotniskiem. Chłopiec się rozplakał, aż stracił oddech, gardło mu nabrzmiało.

– Jestem księdzem - rzekł Gil, trzęsąc się ze strachu - i wiesz, mam swój szczęśliwy medalik, kiedy mam go przy sobie, nic nie może mi się stać, a jeśli mnie nic się nie stanie, to i tobie też. - Pogrzebał w kieszeni, w dwóch palcach przez szparę pokazał medalik ze świętym Benedyktem. Oczy chłopca rozszerzyły się.

– Czy w tych samolotach, co się rozbijały, ludzie się nie modlili? - zapytał tonem dorosłego człowieka. - Czy Bóg opuścił tych ludzi, a nam tego nie zrobi?

Nad oparciem wyrosła uśmiechnięta głowa komisarza Enki, który wbrew zaleceniom odpiął się i uklęknął na fotelu.

– To nie tak. Ja jestem policjantem, a to moja blacha - pokazał. - Widzisz, w tamtych samolotach nie było jednocześnie księdza i gliny. A jak lecą razem, nikomu nic nie może się stać.

Malec natychmiast przestał płakać. Gapił się, zachodząc najpewniej w głowę, czy Enka nie żartuje. Nim doszedł do jakiegoś wniosku, nad oparcia obok, niczym zatłuszczone słońce, wzniosło się oblicze Edwarda Gruli. Gula rozdał nozdrza i policzki, wybałuszył ślepią, wargę dolną założył na górną, do tego opuścił brodę, tak że szyja zrobiła się szeroka niczym kołnierz ortopedyczny. Malec zaśmiał się i nie chciał przestać, nawet gdy Enka tłumaczył stewardesie, że za jasną cholerę nie usiądzie jak należy, Gula też nie, bo dziecko nie pocieszy się samo.

Za trzecim okrążeniem samolot podszedł do lądowania, koła zetknęły się z płytą lotniska. Ludzie westchnęli z ulgą, chłopiec zamilkł i zainteresował się obrazkiem. Dopiero drżący głos stewardesy dziękującej za wspólny lot uświadomił, jak blisko byli najgorszego.

Enka pomyślał więc, że jednak chyba nie lubi latania, nie lubi właściwie niczego, ale życie owszem. I chłopca, któremu można powiedzieć coś głupiego, a ten wybuchnie śmiechem. Jak żaden dorosły. Odprowadzał wzrokiem jego jasną głowę, potem jeszcze wymienili spojrzenia, matka go odciągnęła. Widocznie złościła się, że sama nie umiała pocieszyć syna, wkrótce też złościł się Enka, bo bagaże nie chciały pojawić się na taśmie, a w hali nie wolno było palić.

Więc zapalił pod zadaszeniem przy kiosku, czekając na Gila i Grulę, myślał o tym całym Paryżu, przyglądał się swoim unieruchomionym rękami i zachodził w głowę, jakim cudem wszyscy jeszcze żyją. Był pewien, że niedługo coś się wydarzy. Zobaczy znów Rajmunda Cnotę. Gdzieś pojedą... A może nie, zastygną w zwykłym życiu. Zwykłych sprawach. Próbował odgonić te myśli i spojrzął na kiosk. Za szybą rozpościerała się płachta „Gazety Wyborczej”, kolumnienka w rogu informowała o Dniach Mickiewiczowskich w Poznaniu. Pierwszą stronę zajmowały tłuste literki: *Trybunał Konstytucyjny uznał uchwałę lustracyjną za niezgodną z*

Konstytucją. Poniżej jakiś dziennikarz bronił niesłusznie oskarżonych o agenturalność polskich patriotów: Leszka Moczulskiego i Michała Boni.

§ § §

Coś zmieniło się przez ostatnie lata w arcybiskupie Ruraku i Gil nie wiedział co. Może skóra zrobiła mu się jakaś zmięta. Albo oczy, otoczone zmarszczkami, same trochę przygasły i się pomarszczyły. Albo usta, organicznie już niezdolne do śmiechu stalowe wargi. Dłonie silne i drżące. Rurak wygrał walkę o życie, ale rak odłożył się na nim głębokim cieniem.

Za to gabinet się nie zmienił, przybyło trochę nowych książek - kolorowe okładki nowych tytułów kontrastowały z wyciszonym brązem regałów. Ściana, kiedyś śnieżnobiała, odrobinę poszarzała, a może tylko Gilowi się zdawało?

– Mów - powiedział biskup Rurak.

Wiem, co się nie zmieniło, skonstatował Gil. Chrystus na pustej ścianie, wydarty z drewna, o grubych palcach i ledwo obrobionej twarzy, w której zanurzono oczy pełne cierpienia. Więc Gil powiedział w oszczędnych słowach, co wydarzyło się w Paryżu i dlaczego ma wielką śliwkę na opuchliźnie wokół oka. W miarę słuchania biskup zaczął się wiercić, ruszał wargami, mrużył oczy, słowem, wychodził ze skóry, żeby nie dać po sobie poznać, jak wciąga go ta historia. Gil zrozumiał, że z perspektywy biskupiego biurka on, ksiądz doktor, doświadcza niezwykle, barwnych przygód. Rurak miał przecież minę jak stary belfer słuchający o zabawach studentów, jak żonaty facet obserwujący młodszych kumpli figlujących z kochankami.

– No i wtedy Nejman nas wyciągnął. To bardzo dziwne. Zadzwonił i Francuzi natychmiast się uspokoili. Dostaliśmy medale, dyplomy. W rzeczy

samej należały się, tamtejsza policja była zupełnie bezradna - uzupełnił Gil z satysfakcją. Naszła go myśl, czy przypadkiem nie mówi zbyt wiele i nie odsłania Enki.

Dostrzegł na ścianie dwa zdjęcia, których nie było wcześniej, na pierwszym był Rurak w towarzystwie Karola Wojtyły, na drugim, już kolorowym, stał sobie z Janem Pawłem II. Pierwsze, luźne, obaj w krótkich turystycznych spodniach na tle Tatr, uśmiechnięci i zadowoleni z życia. Drugie - oczy głębokie i ciemne, skóra pełna bruzd i cieni, ślady po chorobach na twarzy. Papież był w bieli, Rurak w czerni, obaj kredowobladni, więc i zdjęcie miało tylko pozór koloru.

– Znowu wdałeś się w awanturę - powiedział Rurak sucho. Marszczył nos, jakby go swędziało.

– Lubią mnie te awantury. Trudno pracować w takich sprawach na pół gwizdka - zawiesił głos, zmrożony biskupim spojrzeniem. - Sam mnie tam posłałeś. Na komendę. Wiedziałeś, co będę robił.

Jestem wtyczką czy nie jestem? - pomyślał. Co to za wtyczka, o której każdy wie?

– Co zrobiłem, podtrzymam - Rurak mówił już łagodniej, poprawił okulary. - Przecież ty się, Andrzej, wykończysz. Posiwiałeś. Twarz ci się zrobiła taka wymięta. Jak szmatka, nie skóra. Gonileś się na motorze. - Zrobił pauzę. - Masz połamane żebra.

– Mam połamane żebra - odparł ksiądz doktor i Rurak odpuścił. Rozsiadł się na fotelu, wpatrzony we własne palce.

– Więc Mickiewicz?

– Wiesz coś?

Wydął sine wargi.

– Coś tam wiem - splótł dłonie na biurku - chyba nie ma sensu, żebyśmy żartowali. Mickiewicz był na indeksie, konkretnie, *Wykłady z literatur*

słowiańskich, w mojej opinii, całkiem zasłużenie. W niektórych krajach, jak u nas, heretykami są artyści, a nie myśliciele religijni.

– To już wiemy.

Biskup Rurak się spłoszył, wykonał gest, jakby chciał gwałtownie zerwać się z biurka. Zastygł wczepiony w oparcie krzesła. Nabrał powietrza.

– Mówiłeś o tej kartce.

– Zakładce. Tego elementu nie mogę jakoś wpasować. Kosztowała dwa miliony dolarów, to dużo pieniędzy, nawet dla takiego człowieka jak Nejman. Grusznicki, też nie byle kto, choć wiemy o nim niewiele, zginął, próbując ją przejąć. Człowiek tego kalibru nie biega za byle czym.

Tym razem Rurak jednak się podniósł, poczłapał do okna i zastygł z rękami skrzyżowanymi na piersi. Mówił, a Gil musiał wyęźać słuch, aby go usłyszeć.

– Lata temu dałem ci piątkę z doktryny wiary, twoją pracę do dziś pamiętam. Są różne drogi dojścia do tego samego, po śmierci dowiadujemy się, która była słuszna, mimo sukcesów na ziemi. Bóg osądza. Mickiewicz wybrał trudną drogę, lecz ta, którą oferuje religia, jest jeszcze trudniejsza. Musisz czekać, co z ciebie wydobędzie się na zewnątrz, a przeważnie nie jest to nic dobrego. Mówię to po to, żebyś zrozumiał to, czego nie pojęli ludzie, których spotkałeś. - Odkaszlnął. Odwrócił się. - Człowiek nie może zostać Bogiem. Ani nawet aniołem.

– Tylu ludzi za tym szło.

– Za bardzo wierzyli w słowo, i to nie Boże, ale własne. - Rurak go nie słuchał. - Ludzkie słowo jest węzłem, Andrzej, i czasem wydaje mi się, że w Biblii chodzi właśnie o to. Słowo Boga przeciwko ludzkiemu. Wiesz, co leży u podstaw tego wszystkiego? Pycha i gniew. Mickiewicz, ten twój Rosjanin nie rozumieli, że Bóg ma prawo zamilknąć albo mówić w sposób

tylko sobie właściwy. Więc postanowili Go ściągnąć siłą. Jak kota z drzewa. Stąd pojawił się tekst z zapisem ruchów, na którego ślad natrafiliście.

– Myślisz, że to zapis ruchów?

– Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Wypowiadasz słowa, wykonujesz określone gesty i coś się z tobą dzieje. Ślady, na które natrafił twój policjant, wskazują, że nic dobrego.

Makabryczne obrazy przefrunęły przez głowę księdza Gila: kobieta uduszona własnymi rękami. I ręka odcięta. Student rozsmarowany po ścianach. Czerwony ukwiał po głowie Grusznickiego. Wszystko jak klamra spinało obrzydliwie puste spojrzenie Nejmana.

– Do dziś nie wiadomo, co dokładnie zabiło Mickiewicza. Oficjalnie nabawił się cholery.

– Cholery - przytaknął ksiądz doktor. Rurak zgromił go spojrzeniem.

– Gdyby nie to, jak wyglądasz, nie kosztą, których żadną miarą nie odrobisz, cieszyłbym się z tej sprawy, bo to naprawdę fascynujące. Może powinienem bać się i o swoją duszę. Mógłbym ci kazać przestać. - Oparł dłoń o biurko. Wystarczył rzut oka, by wiedzieć, że Gil wcale by nie przestał. - Uważam, że powinieneś jechać. Szukać.

– Szukać czego?

– Miejsca jego śmierci - łaskawie wyjaśnił Rurak. - Choćby i tego, ważne, żebyś szedł do końca. Jedź, Andrzej, a ja się z tego wypowiadam. Może Bóg ma jakieś względy dla członków swojej mafii - uśmiech mu nie wyszedł - zwłaszcza dla tych, którzy cierpią niezasłużenie. W innej sytuacji Andrzej Gil by się z tej mafii uśmieł. Przyglądał się młodemu papieżowi, nim ten papieżem został. W oczach tego człowieka była jakaś jasność, dla Gila już niedostępna.

– Wierzysz w to? - zapytał.

– W co znowu?

– W to, że można złapać Boga za nogi.

Po raz pierwszy Rurakowi udało się uśmiechnąć, kąciki bezkrwistych warg pojechały ku górze, reszta twarzy pozostała nieruchoma. Trupio.

– A czy zawrócisz transatlantyk, pływając crawlmem przy burcie, próbując go przepchać? Nie, on sobie popłynie tam, gdzie chce. - Zrozumiał, że Gila tak łatwo zbyć się nie da. - Ja dopuszczam możliwość, że dla nas, ludzi wierzących, pewne drogi są zamknięte i czasem nie dopuszczamy możliwości ich istnienia. Romantycy wiedzieli swoje.

Przyjrzał się rzędom książek na półce, wyraźnie czegoś szukał, wyłuskał jedną, przekartkował. Zacytował z pamięci:

Pośród niesnasek Pan Bóg uderza

W ogromny dzwon,

Dla słowiańskiego oto papieża

Otworzył tron.

Ten przed mieczami tak nie uciecze

Jako ten Włoch,

On śmiało, jak Bóg, pójdzie na miecze; Świat mu to proch!

Zrobił gest, jakby zamykał niewidzialną książkę.

– Słowacki to napisał. Dwieście lat temu, a teraz proszę. - Wskazał na zdjęcia. Zawiesił głos, spojrzenie wbił w okno. Poruszył barkami, jakby coś uwierało go w plecy.

– Nie znałem tego - przyznał Gil.

– Z Karolem znamy się od lat, to wiesz na pewno. Od czasów wojny. Nie mówiłem ci, że działaliśmy razem w Teatrze Rapsodycznym - wystawił twarz do wspomnień, jak do słońca - pracowaliśmy pod boki Niemców

nad *Królem-Duchem*. Oni pracowali, ja miałem czternaście lat, co mogłem zrobić. Ale wiem już, że romantycy to fascynująca sprawa.

Stanął przed Gilem. Zastygł.

– To się rzuca na mózg.

§ § §

Już sama droga do Poznania cuchnęła śmiercią.

A była to śmierć kolei.

To był kult zmarłych rozpisany na metal, stalowa pieśń w nutach stukotu, bezduszny wiatr - pot gęstniał w słońcu. Dziesiątki ludzi tłoczyły się na korytarzu, w nienaturalnych pozycjach i nienaturalnie też słabi, z nosami rozprasowanymi na brudnych szybach, mniej ważni od swych własnych tobołów, które wisały, dyndały, rozpychały się między nimi. Gil z Enką wykupili pierwszą klasę i ku zdumieniu księdza to policjant zaproponował, by wpuścić starą dziewczynkę, która usiłowała nie zemdleć rozgnieciona na drzwiach. Wsiadła: z warkoczykami, ale pomarszczona, uśmiechnięta, lecz wściekła, w modnej bluzce, lecz odrapanych butach, za nią włąli się inni, czego Enka - niewprawiony w dobrych uczynkach - nie przewidział wcale. Zaraz przedział wypełnił się ludźmi, stłoczono się i rozśmierdziano. Ci z korytarza spoglądali zazdrośnie, czy nawet chciwie i z tej chciwości tłoczyli się jeszcze bardziej.

Stara dziewczynka przypominała samą kolej, już konanie się rozpoczęło i pociągnie przez lata, dziesięciolecia nawet, i rozklekocze się między stacją a stacją. Rozklekotana też będzie ciągnąć, obsuwając twarz lub termin, zmęczona i potrzebna: zawsze są takie kobiety i zawsze jest kolej.

Z dworca wyszli między wiadukty, w bezdrzewną ulicę osaczoną przez dalekie budynki, po kilkuset metrach miasto zgęstniało, sunęły stare

tramwaje. Przed uniwersytetem rozpraszał się tłum: człowiek za człowiekiem znikał w bramie półokrągłej fasady zamkniętej kopułą. Gilowi budynek skojarzył się z kościołem, który ktoś usiłował przerobić na wielką kamienicę. Po przeciwnej stronie trochę zieleni, kiosk z kolorowym porno, w nim beznamiętna babinka sprzedawała Ence papierosy.

– Ciekawe, czy ona stamtąd wychodzi. Może tam śpi, w tym kiosku - powiedział Enka.

O konferencji mickiewiczowskiej informowała kartka przyklejona do bramy, że międzynarodowa, że ważna, bo z okazji niemal okrągłej rocznicy debiutu poety. Błyszczało wytłuszczone nazwisko Nejmana, a gościem specjalnym miał być niejaki Dopard, również ujęty z liter tłustych. Gil postawił torbę i ścisnął nogami.

– Mam nadzieję, że nie marnujemy tutaj czasu.

– A skąd - odparł Enka - uwielbiam poezję.

Palik. Rękę miał wciąż na temblaku, ale polskim, szmacianym. Opuchlizna z wolnej dłoni zeszła, zostały zadrapania i samotny czarny paznokieć.

– Zastanawiam się, ile jeszcze będziemy to ciągnąć. - Gil obserwował studentów, stojących w grupach, opartych o mury. Ćmili tanie papierosy, jakby byli przynajmniej profesorami, mieli miny poważne na swój wiek, lecz oczy dziecinne w zadęciu. Marynarki rozdymały wąskie ramiona.

– To już koniec - obwieścił Enka. - Nie obejrzysz się, jak polecą komendant i sprawie łeb ukręca. Czyszczą wszystko, wyczyszczą i ją. A jak nie, pójdzie wyżej, przez tego martwego Ruska. A nas odeślą do duchów i utopców. - Uśmiechnął się zgryźliwie.

– Duchów i utopców?

– No.

Z grupy studentów wyróżniał się jeden, chudy i wysoki, niby rozciągnięty w gorącym powietrzu, marynarka z wypychanymi ramionami oraz strzecha jasnych włosów nadawały mu wygląd stracha na wróble. Unosił brodę wysoko, ponad głowami innych, piskliwym głosem wygłaszał tezy o romantykach, które budziły przynajmniej kontrowersje - inni rozmówcy kręcili głowami, doskakiwali i odskakiwali albo i machali ręką. Tamten tego nie widział. Może dlatego, że patrzył tak wysoko.

Z bramy wypadł Kosecki, w przypadkowej marynarce i koszuli bez krawata. Oblicze miał smutne i poszarzałe, szarości jeszcze przybyło, gdy przetrząsnąwszy kieszenie, nie znalazł papierosów. Poprosił wysokiego studenta o jednego, przerywając przemówienie: student popatrzył nań jak na intruza, lecz chciał się podzielić. Nie zdążył. Przed Koseckim wyrósł komisarz Enka i podsunął otwartą ramkę marlboro. Kosecki zapalił.

– Bardzo cierpiał?

– Nie wiedział nawet, że umiera - odparł Enka. Jak wspomnienie złego snu, mignęła mu martwa twarz Rutczyńskiego. Oczy jak nadtłuczone szklane kulki. Krew w ustach. Ech.

– Zostajecie na wykładzie? Będę mówił. A potem... - chrząknął - pokażą tę zakładkę.

Zezował w stronę Gila. Enka zrozumiał.

– To ja zajmę miejsca - powiedział radośnie. - Jędrus! Jakoś z tyłu, co?

Jędrus odparł, że z tyłu bardzo chętnie, odmachał i podszedł do Koseckiego. Enka, kołysząc się lekko, jakby powoli w Grulę się przemieniał, zniknął w bramie. Świeciło słońce. Gil mrużył więc oko, a drugiego nie musiał: opuchlizna nie zeszła do końca.

– O czym będziesz mówił?

– Słowo i czyn u Mickiewicza. Wciągnąłeś się, co? Wiesz, czasem przerasta mnie to wszystko. Biedny człowiek.

– My...

– Przecież wiem. Takie rzeczy po prostu się dzieją. Czasem zastanawiam się, czemu Bóg nie pozwala dokończyć nam tego, co najważniejsze. Przecież Rutczyński napisałby jeszcze niejedną książkę. Właśnie pracował nad tą najważniejszą. Jak myślisz, Andrzej? Często cię o to pytają, czemu Bóg coś zrobił lub nie zrobił?

Kosecki w kącikach ust miał czarne strupki. Papierosa trzymał niezdarnie, dym drażnił go w oczy. Westchnął. Tłumek studentów wciąż malał.

– Bóg ma plan dla każdego. Rutczyński coś zaczął po to, żeby inni skończyli. Ktoś będzie musiał podjąć jego dzieło. Skończyć tę książkę albo napisać nową o tym samym. Może nawet... - zastanawiał się Gil - ktoś odczyta na nowo Rutczyńskiego, jego pracę i książki.

– A uważasz, że o to chodzi w życiu? O książki? Ty, ksiądz?

Obrócił głowę. Andrzej Gil z napuchniętym łukiem brwiowym wyglądał, jakby żartował, puszczał oko.

– Pozwól, że ja też cię o coś zapytam - zaryzykował. - Chodzi o te fragmenty. Czemu tak wyglądają? Czemu tak drżą?

– Ta nowa kartka, zakładka, nie drży, ale widać na niej tylko plamy - powiedział Kosecki. - Problem w tym, że jeśli tekst, zestaw słów, zapis ruchu, może zmienić świat, to zapisuje się w nim energia zdarzenia, w którym dokonał się przekaz. Tekst tutaj jest tekstem tylko z nazwy, to rodzaj energii, więc także wygląda inaczej od, nazwijmy to, strony formalnej. Jeśli oczywiście, jeśli znane nam pojęcia treści i formy tutaj obowiązują. I różni ludzie różnie widzą te energie.

Gil mruknął.

– To jak z aktorem, Andrzej. W niektóre role wierzysz, w inne nie, czasem aktor zespoli się z rolą tak mocno, że jest Hamletem, wampirem,

księdzem Markiem. Nie wiesz, jak długo pracował nad rolą, ale wierzysz mu, jak oglądasz przedstawienie. - Zmarszczył brwi, papierosa palił z wyraźnym obrzydzeniem. - Mam też swoją prywatną teorię, że to drzenie tekstu jest *zabezpieczeniem* przed niepowołanymi. Nie każdy może go odczytać z racji ułomnej wiedzy, inteligencji, wiary, wrażliwości, nazwij to, jak chcesz. Zrozumieją ci, których coś łączy z jego twórcą. Wspólna wibracja - mówił teraz słabiej, rozłożył dłonie, a fajkę upuścił. - Andrzej, ja naprawdę nie wiem. Ci, co zobaczą, to przejrzą. Wielu jest powołanych, ale niewielu wybranych.

Odwrócił się i poszedł, wykonał niezdarną próbę zdeptania własnego szluga, but minął cel, Kosecki nawet nie spojrzął, przyspieszył. W połowie drogi odwrócił się, uniósł rękę.

– Muszę iść! - zawołał.

Popędził, podskakując, wydawało się, że nie trafi w bramę, prawie minął się z drzwiami. Przystanął w progu.

– Andrzej, zapomniałbym! Macie ważne spotkanie! Z Dopardem, on wam pomoże! Z Dopardem!

Gil średnio kojarzył, kim jest Dopard, kilkakrotnie słyszał to nazwisko, ale jeszcze na studiach, przywoływane tonem zarezerwowanym dla duchów i przodków. Nie wiedział też, w jakiej sprawie potrzebują pomocy, skoro śledztwo utknęło, prześladowca jest martwy, a mocodawca drugiej grupy, kimkolwiek by był, znajduje się poza ich zasięgiem. Wszystko, co mieli, to kartkę, wymownego, niewygodnego świadka, tak sądził Gil i nim się zorientował, już wyjmował ją z torby. Przyjrzał się.

Tekst lśnił w słońcu, jakby naniesiony na folii. Książd doktor zmrużył oczy, z blasku wyłoniły się pojedyncze litery, zadrzały, splatając się w rzędy, a między nimi tańczyły ludziki z kresek. Papier zafalował, maleńkie postacie sunęły po marginesach, płynnym krokiem wbiegały swobodnie

między słowa, tak, słowa, bo w głowie Gila zabrzmiał głos starszego mężczyzny. Seplenił, jednak nie był śmieszny. Gil otworzył oczy, blask z kartki zalał mu twarz, postacie wirowały niczym plamy na słońcu, a głos mówił słowa o dziwnym brzmieniu, cudownie obce i jasne zarazem, każde trafiało bezbłędnie w mięsień serca. Szept i jęk, charkot recytacji gęstniały, litery i postacie zmieniły się w ciemny, zalany blaskiem obłok, Gil już rozumiał, czuł - coś spoza świata wyciągało łapę. Szponiastą i ciepłą. Nie. Tak, słuchaj, słowo za słowem, lawa Boskiej mowy pieniała się w uszach. Otworzył oczy, najszerzej jak umiał, na tle ogromnego słońca mignęły konary drzew, niby kolejne ciemne słowo, i nagle błysnęło: bezgłośnie i groźnie.

Gil poczuł się, jakby padał na kolana, w ciemność, głos starego mężczyzny umilkł, ucichła ulica, poszedł chłód od wody; czuł, że jest w niskiej jaskini, klęczy na mokrych kamieniach i właśnie nadciąga podziemny przypływ. Gdzieś poniżej sunęły ławice ryb bez oczu, węże, które nigdy nie widziały światła, niósł się skrzek, chlupot. Gil zaczął tonąć w ciepłej i lepkiej wodzie, pod powierzchnią było jeszcze ciemniej, coś zimnego otarło mu twarz. Spróbował to schwycić, lecz śliski kształt wymknął mu się z rąk.

– Eee...dza...eee...dza... - coś takiego dobiegało gdzieś z góry. Wydawało mu się, że błądzi teraz po podwodnej sali, gdzie jednak nie brak powietrza lub go zwyczajnie nie trzeba. Ściany były delikatne i ciepłe. Wiedział, że za nimi jest światło.

– Proszę księdza! Proszę księdza!

Otworzył oczy.

Wysoki student, podobny do stracha na wróble, potrząsał Gila za ramiona. Klęczeli naprzeciw siebie. Gil przyciskał mokrą kartkę do piersi.

– Z księdzem już wszystko w porządku - skłamał, otrzepał się i odszedł.

§ § §

W sali konferencyjnej - wielkiej, o łukowatym sklepieniu - ziszczały się koszmary komisarza Enki.

Wypełniały ją drewniane krzesła obite zielonym sukniem i na tych krzesłach głądził kwiat profesorstwa. Kiwano głowami, bito brawo, na mównicę wychodzili kolejni prelegenci, trując o własnych fascynacjach. Między zebranymi krążyli młodzi, choć zdolnych, sądząc po oczach, nie znalazłoby się zbyt wielu. Przyklękali przy swoich mistrzach, próbowali zabierać głos i wymijać siebie bez szkody. Powietrze wypełniał zapach mocnych dezodorantów, wód po goleniu, wszystkim udzielała się głodowa nerwowość - w sali obok czekał poczęstunek z alkoholem, o którym raz na jakiś czas przypominała studentka w roli hostessy, stając w drzwiach i patrząc, jak przebiega konferencja.

Konferencja przebiegała średnio, bo dobrodziej Nejman jeszcze się nie zjawił. Kosecki czekał na krzesło przy mównicy, bębniąc palcami o plik kartek na kolanach. Obok nad pulpitem kołysały się głowy gadające i uczone, rozprawiając o roli średniówki w *Panu Tadeuszu*, patriotycznym wydźwięku dwóch pierwszych stronic *Konrada Wallenroda* i czy to ważna książka, skoro sam mistrz miał ją potem za nic. Akurat wychudły brodac z rzęził o losach zwłok Mickiewicza, z racji wieku - jak stwierdził Gil, nim się opamiętał - temat ten musiał być mu bliski.

Pośrodku stała gablota podobna rozmiarami do tej, którą widzieli na aukcji u Domeyki, tylko przesłonięta sukniem i wstęgą. Tam kryła się zakładka Mickiewicza, dar dla uniwersytetu, dwa miliony dolarów, śmierć Grusznickiego.

Na sali znajdowało się dość pustych miejsc, by zmieścić jeszcze ze trzy wydziały, lecz nieznany optymista kazał dostawić z tyłu kilkadziesiąt krzeseł. Na takim przysypiał komisarz Enka. Gil dosiadł się i go trącił, zaraz też zwrócił uwagę na niezwykle obiekt na krześle rząd dalej. Była to profesorska głowa, ale niczym księżyc, pełna żłobień, mórz, kraterów i kanałów, do tego przykryta rzadką zaczeską zastygłą w ruchu, jakby uchwycono ją na kadrze, rozwianą przez wiatr. Do tego po czasie rozlały się plamy różnych rozmiarów, kształtów i barw: małe jak główka od szpilki, to znów o średnicy pięciozłotówki, czerwone, fioletowe i popielate, prawdziwa konstelacja na uczonej głowie. Po bokach sterczały sztywne uszy. Gil nie mógł oderwać oczu.

– Ja już się nacieszyłem - powiedział Enka.

Z bocznych drzwi za mównicą wyłonił się rektor i zaraz stanął z boku, puszczając Nejmana. Biznesmen szedł sztywno, powoli, dając się podziwiać, myślami musiał być gdzie indziej, nieruchome oczy jakby patrzyły na coś zupełnie innego niż na salę konferencyjną. Za nim wyłoniła się jeszcze elegancka blondynka w towarzystwie barczystego faceta z krótką brodą. Facet uśmiechał się, jakby właśnie obrobił kantor i zwiął spokojnie na metę.

– O, Kluczyki - rzekł Enka i zamknął oczy.

Nejman z małżeństwem Kluczyków usiadł na honorowych miejscach, zwróconych bokiem do mównicy, a skosem do sali, tak że każdy, łącznie z prelegentem, mógł podziwiać ich wielomiliardowe piękno. Rektor, gnąc się w pas, powitał najdroższych sponsorów, a Gil pomyślał, że gdyby teraz Bóg strącił słońce, w egipskich ciemnościach jarzyłyby się tylko rektorskie ślepie. Dobiegł go dziwny dźwięk, czyli gwizdanie przechodzące w wysoki świst, załamane następnie po oktavach w cichy kwik. Narastało to znów z

bezszałtanych drgań ku gwizdom i znów, cykl ulegał powtórzeniu. W ten sposób ksiądz doktor dowiedział się, jak chrapie komisarz Enka.

Kosecki wyszedł na mównicę, skłonił się publiczności i sponsorom, kartki rozłożył przed sobą. Nejman zadarł głowę, oczy miał obojętne, lecz brwi ściągnęły się ku sobie, markując zainteresowanie. Enka wciąż gwizdał, niepomny na szturchnięcia, a Kosecki zaczął mówić tonem, jakim wygłasza się mowy pogrzebowe.

– ...kiedy Mickiewicz zerwał z poezją, zaczął właśnie mówić o Słowie, wielką literą. Był to zupełnie nowy rodzaj niemocy. Jego literackie milczenie wynikało bowiem z potrzeby znalezienia nowych form wyrazu, łączących przekaz poetycki z tańcem, śpiewem, zmierzających całościowo do formy rytuału. Punkt wyjścia upatrywał w swoich *Dziadach*, do których, w odróżnieniu od pozostałych tekstów, zachował odrobinę sentymentu.

W Nejmanie zaszła przemiana. Spiał się, palce wpiły się w kolana, zacisnął usta, a oczy zrobiły mu się wielkie jak spodki; wyglądał teraz niczym karykatura siebie samego. Żyła wystrzeliła mu pośrodku czoła. Sapał. Gil spojrział na niego i w nagłym błysku pojął wszystko: człowiek równie bogaty co pusty, jak studnia, która tęskni do wody. Dobry Boże, pomyślał ksiądz doktor, to ty, nikt inny, ty masz *Część piątą*.

– ...chodziło o powrót do źródeł poezji, jej kolebki w antycznej Grecji, gdzie słowo tylko zapisane było świadectwem niemocy poety. Prawdziwa poezja jest czystym działaniem, czynem obliczonym na obcowanie z transcendencją. Słowo w rozumieniu Mickiewicza miało uzyskać właśnie moc boską, zdolność spopielenia świata i stworzenia go na nowo. Nie ma tu mowy o jakiegokolwiek przenośni. Poeta, który zyskałby tę zdolność, miałby możliwość fizycznego oddziaływania na materię i w konsekwencji wyzwolenia się od niej.

Krew odpłynęła z twarzy Nejmana, był blady i płaski jak kartka, tylko oczy wytrzeszczał, uniósł zaciśnięte pięści - chory czy co - wygiął szyję, jak spragniony ku miarce wody. I nagle się opamiętał, przecież ludzie na niego patrzyli. Założył nogę na nogę, opadł na oparcie, na wargi zabłądził niepewny uśmiech. Zmusił się do przymknięcia oczu.

– Tak jak Bóg istnieje w świecie i każdym jego przejawie, tak Słowo mieszka w człowieku i świadczy o jego człowieczeństwie. Mickiewicz przejął się Biblią: *Me samym chlebem żywie człowiek, ale wszelkim słowem, które pochodzi z ust Bożych*. Właśnie z tego powodu, z punktu widzenia romantycznych buntowników, Kościół katolicki i Kościoły protestanckie zagubiły sedno Chrystusowego przekazu, stając się instytucjami, nosicielami biernych formuł. Ale o co chodziło Mickiewiczowi? Poeta zdawał sobie sprawę z ogromu ludzkiego cierpienia. Cierpienia, które jest niezawinione. Ulgę może przynieść tylko Bóg, nie abstrakcyjny konstrukt znany z Kościołów, ale Bóg żywy. Słowo. Tylko Słowo przyniesie ulgę w niezawinionym cierpieniu.

Naprawdę Nejman próbował się opanować, skurcz przeszedł go całego, w przygasłych oczach mignęła niewysłowiona tęsknota. Skulił się w sobie, niby unikając ciosu, zaraz się rozprężył. Spocony, przejęty, słuchał słów doktora Koseckiego.

– Trzeba też dodać, że mistyka późnego Mickiewicza, trudna zresztą do zrekonstruowania, zwraca się ku cielesności. Poznanie dokonuje się poprzez ciało. Tu poeta przejął się Starym Testamentem, gdzie ascetyczny stosunek do ciała nie obowiązywał. To, rzecz jasna, wynalazek późniejszy. Poznanie może dokonywać się zarówno przez ruch, jak i na przykład zbliżenie seksualne. I nie ma tu sprzeczności, więcej nawet, najgłębsza, najbardziej pełna relacja człowieka z Bogiem ma w sobie wiele z seksualności, o czym przekonują nas teksty mistyków.

Kosecki zrobił pauzę, podziękował i skłonił się lekko. Wybuchły brawa tak głośne, że nawet komisarz Enka poderwał głowę, rozglądając się, czy przypadkiem nie strzelają. Klaskano z entuzjazmem, bo tylko odsłonięcie zakładki dzieliło zebranych od poczęstunku. Nejman klaskał z innego powodu: zerwał się na nogi i uderzał o siebie wielkimi dłońmi, oczy mu płonęły: wydawał się małym chłopcem. Podeszedł do Koseckiego, uściśnął mu rękę. Coś powiedział. Nie słyszeli co.

Na mównicę wyszedł zadowolony rektor. Pochylił się, czubek krawata uwolnionego z marynarki opadł na blat. Poszły banały. Enka znów zaświstał.

– Dziękuję doktorowi Koseckiemu za interesujący wykład. Teraz mam przyjemny obowiązek zaprosić państwa do podziwiania skarbu, który otrzymał nasz uniwersytet. Wstęgę przetnie fundator i dobroczyńca, pan Marek Nejman.

Brawa! Brawa! Brawa! Przekleństwo Enki i brawa raz jeszcze. Nejman pokiwał głową. Bardzo nie chciał być tutaj.

– Niestety, nasz darczyńca nie zdoła zostać na bankiecie - ciągnął rektor - wzywany przez obowiązki służbowe. Skądinąd jednak wiem, że - wyszczerzył się szelmowsko - pan Marek Nejman niebawem wybiera się do Stambułu. Oczywiście w interesach. Kto wie, może w miejscu śmierci wieszczą natrafi na kolejną bezcenną pamiątkę... - Rozjaśnił się w przymilnym uśmiechu i zszedł z mównicy, odprowadzany przez brawa, już słabsze. Nejman panował nad sobą, tylko zaciśnięte pięści zdradzały wściekłość. Nie mówił długo, za to bez kartki. Jego rzeczowy, tubalny głos docierał w najdalsze kąty, podrywał drzemiących kolejnymi banałami: - Cieszę się, że jestem tutaj, i cieszę się również, że moje życie przebiegło w taki sposób, iż mogę zrobić coś nie tylko dla siebie, ale i dla kultury polskiej. Myślę, że artysta formatu Mickiewicza jest bliski sercu wszystkich

Polaków i zaznaczył nas na mapie świata kultury lepiej niż ktokolwiek przed nim i po nim. Dziękuję - rzucił, porwał nożyczki i marszowym krokiem ruszył w kierunku gabloty.

Opadła przecięta wstęga, zdjęto zasłonę, Nejman ledwo zerknął na kartkę i po prostu wyszedł w mżawce oklasków, nie oglądając się, odprowadzany smutnym rektorskim wzrokiem. Rektor westchnął i jął szukać pocieszenia w widoku zadowolonych Kluczyków, stojących przy gablocie. Napatrzyli się i poszli, ludzie podchodzili w małych grupkach i zaraz wycofywali się ku drzwiom wiodącym na bankiet.

– Zastanawiam się, na cholerę myśmy tu przyleźli - westchnął Enka, podnosząc siedzenie z krzesła. Wyprzedził Gila i podszedł do gabloty. Sala niemal opustoszała, pozostało kilku wyjątkowo starych i powolnych profesorów oraz smutny student oddelegowany do pilnowania skarbu za szkłem. Enka przyjrzał się zakładce.

Najpierw myślał, że to inna kartka. Szepnął coś do Gila. Gil odszepnął. Zakładkę pokrywały plamy jak po kawie. Zakrywały niemal cały tekst. Tylko w rogu zostało kilka liter. Drżały.

§ § §

Zajrzeli do drugiej sali, gdzie szacowne grono tłoczyło się przy stołach z poczęstunkiem. Wykruszały się pierwsze szeregi kieliszków pełnych Sofii, rozdrapywano kanapki i koreczki, a ten profesor, który wcześniej rozprawiał o szczątkach doczesnych poety, dławił się kabanosem. Dwóch doktorów poklepywało go po plecach. Enka chciał jeść na mieście i orzekł, że wino go mdli.

Już zawracali, gdy z tłumu wypadł Kosecki - czarna kulka na tle siwych głów - podbiegł, zamachał.

– Chodźcie, chodźcie! Przecież Dopard czeka!

Gil go powstrzymał: - Kto to właściwie ten Dopard?

Taką minę zrobiłby Włoch z Rzymu zapytany, kimże jest ten papież, lub też Niemiec, zaraz po wojnie, zagadany o Goeringa. Kosecki spał się, niedowierzanie mieszało się na jego obliczu z niepewnością. Popatrzył jeszcze na Enkę, no tak, gliniarz mógłby od biedy nie wiedzieć.

– Dopard jest najpoważniejszym autorytetem w kwestii Mickiewicza mistycznego - brzmiało to jak nazwa własna. - Był uczniem samego Malickiego. Dowiedział się o was, o Paryżu i Rutczyńskim. Sam wyraził zainteresowanie spotkaniem.

Sam, o, ja pierdołę, powiedział w myślach Enka i spostrzegł tę sprawę jako wędrówkę od jednej gadającej głowy do drugiej, mało tego, każda następna miała być mądrzejsza od wszystkich poprzednich i jeśli tak to jeszcze potrwa, napotkają stuletnie dziwadło wypowiadające zdania złożone w sobie tylko znanej mowie.

– Malicki to ten, co zginął w latach osiemdziesiątych? Rozsmarowany jak ten nasz student?

Gil przytaknął, a Kosecki o mało nie przyłożył palca do ust.

– Musicie wiedzieć dwie rzeczy, tu go teraz adorują, ale jest czarną owcą. Na Zachodzie noszą go na rękach, ma pieniądze, dyplomy, kontakty, a naukowcy, panie komisarzu, bywają zawistni. To jeszcze nieważne. - Spuścił oczy. - Widzicie, on pije.

– Każdy pije, kochany panie doktorze - odparł komisarz Enka.

A Kosecki tylko machnął ręką.

– On PIJE – powtórzył.

Zapewne Enka miał rację i Dopard był kolejną gadającą głową, wyjątkowo wiekową i mądrą, pił za to na pewno i jego widok wzbudził w komisarzu niemałą sympatię. Dopard miał na sobie marynarkę o barwie

butelkowej zieleni i koszulę z džinsu. Wory pod oczyma niemal nachodziły na powieki, trudno było stwierdzić, gdzie akurat patrzy. Siedział, między nogami ścisnął laskę, a zbrązowiałe palce zamknął na prostej szklance z wódką, w którą wpuszczono kilka kropel soku pomarańczowego. Oddychał przez usta, jakby nos, czerwony i napuchły, nie nadawał się już do przepuszczania powietrza. Palił.

Profesora otaczał szczelny kordon gości, ci z tyłu zadzierali głowy, ci z przodu je chylili, słuchając odpowiedzi wygłaszanych półgębkiem. Enka prosił, by się rozsunęli, na próżno, spróbował się wcinać, znowu nic, więc natarł, używając własnego, zdrowego barku niczym klina. Odbił się gładko, w jego oczach błysnęła złość. Gil spróbował ponownie zastosować metodę wypróbowaną na tłoczących się wiernych i także nie podołał.

Dopard ich dostrzegł, poznali nie po oczach, lecz głowie, która raptem odwróciła się od akolitów. Wstał, uniósł dłoń z laską, wódka zadrżała w szklaneczce. Tłum mruknął i pokornie rozstąpił się wśród szelestów i chrząknięć. Powstała wolna przestrzeń, zaśmiecona patyczkami po koreczkach i plamami wina. Dopard cisnął precz niedopałek. Kosecki poszedł pierwszy w pijacki smród.

Dopard uścisnął im dłonie. Enka próbował trzymać dystans, obezwładniony przez alkoholowy zaduch otaczający starca. Zabawne, bo Dopard, choć zapity z wyglądu, stał prosto i sprawiał wrażenie trzeźwego. Wypił pół szklanki naraz.

– Słyszałem, że przy was ludzie umierają - stwierdził. - Wydaje mi się, że to właściwy duet. Policjant i ksiądz. Znaliście go?

– Rutczyńskiego? Trochę - odparł Gil. Kosecki nerwowo rozejrzał się po zebranych. Zabrał kieliszek Sofii, ledwo zamoczył usta.

– Nie Rutczyńskiego, tylko Domeykę. Obu ich znałem. Ale z Domeyką mieliśmy wspólnego nauczyciela i jak się okazało, kobietę też wspólną. -

Wargi wydęte w uśmiech ukazały brązowe zęby. - Wiecie, panowie, że przez to nigdy nic mi nie sprzedał? - Zamyślił się i rzucił od niechcienia: - Co go zabiło?

- Szafa.

- Szafa - zdumiał się Dopard. - A kto tę szafę pchnął? Rosjanin?

- Też nie żyje - Gil uznał, że nie ma co robić z tego tajemnicy.

- Piękny wyjazd, panowie. - Roześmiał się, zupełnie bez ironii czy złości. Beknął i znów zaniósł się pijackim śmiechem. - Tyle to się ciągnęło i wszystkich szlag trafił. Nauczyciel Rosjanina pracował razem ze mną. Ten świat jest mały, co?

- Właściwie dlaczego my rozmawiamy? - rzekł Enka, w odróżnieniu od Doparda trzeźwo. Przez chwilę myślał, że profesor obrazi się na amen. A ten roześmiał się znowu.

- Lubię wspominać, wiecie? Jak z pięćdziesiąt lat temu wszyscy biegaliśmy za jakąś ideą. Ludzie z różnych baśni, z rodzinami albo bez, młodzi, starzy, pedały i impotenci, ktoś mi potem powie, że ludzie są różni. Scena pustoszeje, ale mnie to nie martwi. Widzicie - dopił drinka - miałem piękne życie - coś w nim zadudniło, uniósł powiekę i mignęło oko, umęczone i przekrwione - a rozmawiam z wami, bo chcę czegoś, co macie. Waszej kartki.

- Fiu, fiu - odparł Enka.

- Co w zamian? - chciał wiedzieć Gil.

- Dostaniecie notatki Malickiego. Nie powie mi pan, panie oficerze, że ten świstek przydał się wam na cokolwiek, i raczej nie znajduje się w ewidencji dowodów. Lepszej oferty nie złożą wam nikt.

- Na razie mamy coraz lepsze - tymi słowy komisarz Enka po raz pierwszy wprowadził Doparda w zdumienie. Dał znak, że zaraz wróci, szarpnął

Gila i pociągnął w pusty róg sali, z daleka od stołów i jedzących. Kosecki podążył za nimi.

Enka był tak wściekły, że ledwo sobie podpalił papierosa.

– Jędrak, w co ten facet tnie?

– Ja... - wtrącił Kosecki.

– Pan za chwilę - Enka nie dał nikomu dojść do słowa. - Czemu łączę ślepy od wielu tygodni, a wszyscy inni widzą świetnie, zaraz babę w kiosku zapytam, a ta wyjedzie mi z jakimś mickiewiczowskim cudёнkiem i powie, że trzyma starodruki pod pornosami. Co wygaduje ten facet? Co nam da? Zamienimy świstek na świstek? Omal się nie zabiłem w tym pieprzonym Paryżu.

– Wygadałem się - przyznał Kosecki.

– Staruch umie omotać, co? - prychnął Enka i dodał spokojniej: - Fakt, wygadałeś się.

– Właśnie, Paryż - przypomniał Gil.

– Co, kurwa, znowu? - Popiół z papierosa Enki poleciał na podłogę.

– Jechałeś na tym motorze. Kartka jest u mnie w kieszeni i ten facet ma rację, do niczego się nie przydała. Znaleźliśmy ją na ziemi - Gil mówił bardzo spokojnie. - Nie wpisałeś jej nigdzie, noszę ją w kieszeni i zwyczajnie mogłem zgubić.

– Tego by brakowało!

– Po co ci ona?

– Słuchajcie - wtrącił Kosecki - jak mu powiedziałem o tym, oczy mu się zaświeciły. Nie oszuka was.

– Dopard ma rację. Kartka nam niepotrzebna. Chcesz zamknąć tę sprawę czy nie chcesz?

– Ale nie ma żadnej sprawy, człowieku! Przyjechaliśmy tu za własne pieniądze! Który już raz tak się dzieje? - Enka zorientował się, że krzyczy,

dopiero na widok głów profesorów odwróconych w jego stronę. Patrzyli, nie przerywając jedzenia. Uciszył się tylko troszeczkę: - Wszyscy wiedzą więcej ode mnie, a każdy sprzedałby matkę za ten karteluszek, więc może otworzą mi się oczy i zobaczą, na co mi on.

– Dopard właśnie to proponuje.

– Świstek za świstek. Wtedy się okaże, że potrzebuję kartki.

– Potrzebujesz do czego? - cisnął Gil.

– Przecież to nie jest zwykły papier!

– Zbyszek?

Nabrał powietrza.

Zerknął za siebie, szukając czegoś, co by mu pomogło, ale znalazł tylko kremową ścianę.

– Potrzebuję do sprawy, której nie ma. Albo żeby gapić się w nią, aż mnie zemdli. Wiesz co, stary? Idziemy do tego pijaka, bo zaraz padnie i dołączy do kumpli z Paryża. Niech bierze i da nam cokolwiek.

Niepokoił go tylko spokój Koseckiego.

Dopard miał już kolejnego drinka i jak tylko usłyszał odpowiedź, wylał go do misy z sałatką, ku rozpaczycy doktora zmierzającego w tę stronę z pustym talerzykiem i widelcem. Posłał mu drwiące spojrzenie i poszedł do wyjścia, nie żegnając się z nikim.

Enka poszedł przodem, zastanawiając się, jakim cudem ten człowiek trzyma pion - słyszał o ludziach napędzanych wódką prawie do setki, ale Dopard powinien wykorkować od swojego własnego smrodu. Ence wydało się, że widzi kogoś znajomego - studentkę napełniającą kieliszki po drugiej stronie długiego stołu. Zwolnił, zbliżył się, odprowadzany przez zniecierpliwione, lecz wyrozumiałe spojrzenie księdza doktora.

To była ona albo ktoś bardzo podobny - dziewczyna, z którą w Paryżu miał przyjemność. Drobna, sądząc po jej posturze, było właściwym

słowem. Tu wyglądała młodziej, miała krótsze włosy, spódnicę za kolana i białą bluzkę. Szyję obwiązała apaszką. Patrzyła wprost na niego.

– Świat jest mały - powiedział.

Odwróciła głowę.

– Przecież widzieliśmy się wcześniej - najpierw tak rzekł, a potem ugryzł się w język.

Podniosła ciemne oczy. Cerę miała młodszą, pieprzyk koło wargi, tego nie pamiętał. Ona czy nie?

– Nie sędzę - odparła, nie udając nawet zainteresowania. Enka więc poszedł za Gilem i Dopardem, którzy już opuścili salę, tak jak jego, mógł przysiąc, opuszczał zdrowy rozsądek. A potem zerknął przez ramię.

Dziewczyna nie odrywała od niego wzroku, popatrzył jej prosto w oczy i nie miał już wątpliwości.

§ § §

Profesor Dopard zajmował dwupokojowe mieszkanie na drugim piętrze starej kamienicy, okna wychodziły na płytę rynku, podwójnie szarą ze względu na cechy własne i grubą warstwę brudu zalegającą na szybach. Kłęby kurzu kotłowały się na dywanie. Wysokie ściany miały barwę skorupki od jajka, pociemniały już pod sufitem. W rogu pokoju stała masywna szafa ze zdobionym zamkiem, tkwił w nim klucz. Dwa regały pełne książek w kilku rzędach niczym skrzydła okalały najistotniejszy mebel w tym domu - barek. Drzwiczki otwierano od dołu i pierwszym, co gospodarz uczynił, było właśnie ich otworzenie.

Usiedli naprzeciw siebie, przedzieleni stołem. Przesunął papiery na skraj blatu, postawił szklanki przed sobą, Gilem i Enką. Odmówili, więc nalał

sobie kilka kropel angostury i dopełnił po brzegi ginem. Szkło zabarwiło się na różowo.

– Macie to przy sobie?

– Mamy - odparł Gil, wpatrzony w pełną szklankę. Enka przyglądał się książkom, rozumiejąc powoli, że prędzej czy później, choćby dla przyzwoitości, będzie musiał jakąś przeczytać. Regały zapełniały pozycje z historii literatury, antropologii religii, teorii dramatu i innych dziedzin, tajemniczych dla Enki, i to podwójnie, bo wyrażonych po angielsku. Zauważył, że nic tutaj nie dotyczy Mickiewicza.

– Wiem, że macie - rzekł Dopard. - Takie rzeczy nosi się zawsze przy sobie. Czasem żałuję tego Domeyki, byłem przez to trochę z boku. A jak raz poznasz tę prawdę, pojawia się potrzeba, by iść w nią do końca. Do końca się nie da. To żre człowieka. - Pociągnął ze szklanki. Twarz mu wykrzywiło, a później pojawiła się na niej ulga.

Ksiądz doktor sięgnął do skórzanej torby, z niej wydobył teczkę, a w teczce, zbyt mała w stosunku do formatu, leżała kartka o drżących literach, chłonąca półmrok mieszkania starego profesora. Zmieniła się od czasu, gdy ją znaleźli. Róg się zagiął, margines pobrudził, cała się zmięła, straszły plamy po spoconych dłoniach. Gil zerknął nań jeszcze, Enka odwrócił głowę. Otwarta teczka pomknęła po biurku, do drżących rąk Doparda. Gil zatrzymał na niej końcówki palców.

Zadrzał, ale inaczej niż inni, mógł być to zwykły wódczany dreszcz. Tylko oczy mu się poszerzyły, czerwone jak Mars, z ćwiekami żrenic. Enka popatrzył po mieszkaniu i stwierdził, że gdyby usunąć połowę książek, byłoby tutaj trochę jak u Gila za wiele lat. A gdyby wywalić wszystkie, znalazłby się u siebie, tylko kiedyś, w swojej własnej starości.

– Widzicie to? - zapytał Dopard. - Widzicie znaki? Jak dobrze, że to mam. Nie mogliście mi odmówić, dobrze, dobrze. Widzicie więc?

– Tak - odparł Andrzej Gil.

– Ksiądz ma rację - przyznał komisarz Enka.

Dopard nie odrywał wzroku od kartki. Szklankę stawiał daleko.

– No to jesteście sami. Ty i on. Jeśli odkrywasz tamten świat, wlewasz pustkę do tego, żyjesz życiem innych, chwytasz cudze emocje, tylko po to, by okłamywać siebie, bo tak naprawdę ciągle jesteś słaby i pusty. Nic w tobie nie ma. Nic. - Znów zadrżał, na pewno od wódki, jego ciało straciło sztywność, omal nie walnął głową o blat. Odzyskał równowagę. Napił się. Uniósł głowę.

– Mamy umowę?

– Co dajesz? - zapytał Enka zmęczonym głosem.

– Pytam. Czy jeśli powiem wam wszystko, co wiem, jeśli dam wam papiery, będę mógł to zatrzymać? - Przechylił głowę jak smutny ptak. We włosach miał paprochy, broda była poskręcana. - Nie przeżyję, jeśli mnie oszukacie.

Potwierdzili bez słów. Jednocześnie. Gil zdjął z kartki swoje palce.

– Musicie najpierw zrozumieć, kim był Malicki. Ludzie uważali go za wariata albo niemal czcili, co ja powiem, każdy jego gest miał dla mnie znaczenie. On przetwarzał świat, nie fizycznie. W pewnym momencie cały świat zaczął się zmieniać wokół niego. Znałem go. Te zmiany, które czynił, zawsze były zmianami na gorsze - wspominał Dopard. - Odmienił także moje życie.

– Kim byłeś wcześniej? - zapytał Gil.

– Zwykłym człowiekiem - odparł Dopard znad szklanki. - Poznałem go, jak byłem młodym doktorem. Miał czystopis. To Malicki miał *Piątą część*. Niedokończone arcydzieło, takie rzeczy pisze się przez całe życie, żeby potem przelać je na papier w rozbłysku iluminacji. Nie wiem, skąd to wziął. Mickiewicz pisał to nieustannie, przez wiele lat, do grobu prawie.

Zrozumcie mnie dobrze, czym jest *Piąta część*. Ona nadaje sens... - splótł dłonie pod brodą - sens wszystkiemu. Lata sześćdziesiąte. Czasy bez Boga. Czerwone mały. A my - błysnęła łąza - mogliśmy dotykać niewypowiedzianego. Wprowadzał nas powoli. Pomału. Wykruszaliśmy się.

– My? - zapytał Enka.

– Grupa doktorów i studentów. Wykruszaliśmy się szybko, nie każdy mógł głęboko wejść, no i cóż, Malicki nie należał do łatwych ludzi. Żył Mickiewiczem i Towiańskim, chciał znaleźć źródło, z którego oni czerpali. Może nawet znalazł? Zdziwaczał, a potem spotworniał. - Dopard gapił się w szare okno. - Krzyczał, biegał korytarzami, we śnie i na jawie nawiedzały go potwory. Nazywał nas imionami uczniów Mickiewicza, zaklinał wrogów prawdziwych i urojonych, a studentkę, z którą sypiał, miał za Ksawerę Deybel, kochankę poety.

Enka drgnął. Szczęściem, Dopard przypomniał sobie o swym kolejnym nałogu, wziął papierosa, poczęstował Enkę, zapalili razem. Gil wstał, bez słowa otworzył okno i stanął przy nim.

– Zostało w końcu nas trzech. Domeyko, którego poznaliście we Francji. Polonista z Rosji, Zwiewnow, i ja. Człowiek, który zginął w Paryżu, był uczniem Zwiewnowa. Długo myślałem, po co Malicki trzymał taką miernotę jak Domeyko. Jego szaleństwo potrzebowało tego człowieka, lichego związku z poetą, a rozsądek pieniędzy. A my ze Zwiewnowem byliśmy mu wierni jak psy.

Nalał sobie czystego ginu. W butelce zostało go na palec. Pił małymi łykami, jakby chcąc tylko zwilżyć gardło.

– Pokazał nam *Część piątą*. W swoich badaniach zaszedł tak daleko, że uwierzył w możliwość przejścia tego samego co Mickiewicz. Zamiany człowieka w anioła, nawet w Boga. To już nie było literaturoznawstwo,

zabawa w modlitwę albo czytanie ksiązek na role, chcieliśmy rządu dusz, przeanielenia. Bycia Bogiem - opowiadał, trzęsąc się na krześle, ledwo utrzymał szklanę, dziwnie płaski, miękki, bez kości - więc spróbowaliśmy odczytać ten tekst, raz i drugi, nie muszę mówić, jakie to było trudne. Byliśmy gotowi na wszystko. Ten tekst zabijał. Jeden student zabawił się z nim i zmarł. Piliśmy u Malickiego, wyciągnął kartki, zaczął czytać. Wylew. Przeczuwaliśmy, z czym igramy. Jest tylko jedna próba. Dla każdego po jednej.

Zalał się łzami, jakimi może płakać tylko starzec, dziecinnie i prosto. Chlipał, ocierał oczy, chwycił się za usta, drżał w spazmach. Chwilę to trwało.

– Robiliśmy rzeczy straszne. Malicki wymyślił, ale nam nie przeszkadzało, chcieliśmy tego, chcieliśmy prawdy... Nazwał to metodą próby wielokrotnej. Tekst lub fragmenty dostawali kolejni studenci. Mogli czytać, próbować go odczytać, kto by tego nie odczytał. Zapadali na choroby. Rak. Schizofrenia. Nerwice. Wrzody. Dwóch zmarło. Śledziliśmy ich, by zabrać papiery.

Skąd ja to znam, pomyślał komisarz Enka.

– Nazywaliśmy ich tancerzami. Nic nie dzieje się bez konsekwencji, zwłaszcza szukanie prawdy. Zwłaszcza po trupach. - Dopard opanował się trochę, łzy zasychały na napuchniętych policzkach. - Malicki pogrzyżył się w szaleństwie, a może nie był to obłąd, ale następny krok, obłąd jest krokiem i tak dalej, brał na siebie te śmierci, mówił, że my jesteśmy niewinni, że on nas w to wciągnął. Aż postanowił sam zatańczyć. Wziął *Piątą część* i notatki, które robił, to, co wynikało z kolejnych prób. Zamknął się w domu. Podobno na ścianach nie można było znaleźć jednego punktu, jednej białej kropki. Krew była wszędzie. Chciał być aniołem, rzeczywistość go zatrzymała. Straszna burza była tej nocy. A wcześniej

powiedział mi, że robi to dla nas, dość ludzi poświęcił. Myślę jednak, że robił to dla siebie.

Zgarbił się nad kartką. Delikatnie tarł dłonią o dłoń.

– Śmierć profesora nas nie uwolniła, przeciwnie, zostaliśmy w rozpacz. Nie mogliśmy wrócić do starego świata ani zachować tej wiedzy dla siebie. Zwiewnow miał potem jednego wybitnego ucznia, Grusznickiego, człowieka o wyjątkowych zdolnościach i lodowatym sercu. Ja długo się wahałem. Poloniści mnie brzydzą. Czas uciekał. Przekazałem wszystko, co wiem, młodemu studentowi filozofii, który urzekł mnie swoją inteligencją i wrażliwością. Widzieliście go dzisiaj. Udaje, że mnie nie widzi.

– Nejman - rzekł Andrzej Gil.

Dopard skłonił się na krześle.

– Bardzo się zmienił - ciągnął. - Upodabnia się do Malickiego. Ta sama pustka i obłąd. Widziałem to u niego dzisiaj i widzę u siebie, jak czasem spojrzę w lustro. Ale nie o tym. To, co stało się z tymi ludźmi, z Janowską i innymi... Ktoś zna metodę próby wielokrotnej. Rozsyła ludziom fragmenty tekstu i patrzy, co się z nimi stanie. Tworzy rodzaj mapy działania, a potem, jak będzie wiedział wszystko, sam zatańczy i dostąpi przeanielenia. Uczy się na błędach innych. Nejman...

Wstał, przewędrował przez pokój, wspierając się na biurku i półkach. Spomiędzy sterty grubych teczek wydobył jedną cienką, zerknął do niej i zaraz zamknął. Podał Gilowi, nie patrząc.

– Tu macie zarysowane plany dzieła życia Malickiego. Zatańczył i przegrał. W pewien sposób dalej podziwiam tego człowieka.

Został tak, nieruchomy, z wyciągniętą ręką i szparkami oczu skierowanymi na samotną kartkę po drugiej stronie biurka. Gil chciał zaraz zobaczyć notatki, lecz Enka nie pozwolił, z łagodnym uśmiechem zagarniając teczkę dla siebie. Otworzył. Zadrżał razem z tekstem, zakręciło

mu się w głowie. Styl pisma był inny, współczesny i niezachwiany, wokół liter naniesiono ludziki z kresek i dziwne symbole, podobne do tych, które widzieli na fragmencie *Części piątej* i zakładce. Strona po stronie pismo robiło się coraz bardziej chaotyczne, wersy falowały, a litery robiły się płaskie i wydłużone. Jak wcześniej w rękopisie poety.

– Masz. - Enka oddał Gilowi teczkę. Próbował ułożyć sobie w głowie wszystko, co usłyszał, oddzielając fakty od mistyki. Nie wyszło. Nejman, Enka był pewien, znał metodę próby wielokrotnej, to on rozsyłał teksty do ludzi, którzy poumierali. Nagle z cichym świstem wewnątrz komisarzowej głowy układanka złożyła się samoistnie. Dwóch ludzi walczących ze sobą. Nejman. Grusznicki.

– Kim był ten Rosjanin? - zapytał. Obok Gil zanurzał nos w teczce.

– Kimś takim jak Nejman - odparł Dopard bez emocji. - Poszedł do pracy w służbach, ze swoimi możliwościami zrobił ogromną karierę. Nowy świat go nie potrzebował, co tylko pogłębiło pustkę wewnątrz niego. Bawił się w ezoterykę, jakieś gry w magię, aż zrozumiał, że czas ucieka. Widzieliście jego śmierć. Ciekawe, czy Nejman wiedział, kto to. Byli tacy podobni.

– Skąd o tym wiesz? - Enka zapalił kolejnego papierosa i poczęstował Doparda.

– Zwiewnow wciąż żyje. Jest dwa lata starszy ode mnie. Obserwował swojego ucznia. Tak jak ja śledziłem karierę Nejmana. Nie trzeba chodzić za kimś krok w krok. - Zamknął oczy, wciągając dym. - Moim zdaniem, Nejman, który wygrał to starcie i przejął zakładkę z ostatnimi wskazówkami, przeprowadzi rytuał na sobie.

– A po jasną cholere? To on rozsyłał fragmenty? - upewnił się Enka.

Gil podniósł głowę znad papierów.

– Fascynujące - rzekł.

– Panie profesorze - Enka spróbował się zdystansować - przecież ten człowiek nie wie, co się z nim stanie, jeśli nawet rozsyłał te papiery, musiał działać szybko i na mój rozum potrzebowałyby dokładnych danych z miejsc, gdzie znaleziono zwłoki, to znaczy...

Głos zamarł mu w gardle, z trudem stłumił wściekłość. Chciał mówić, lecz milczał, słowa go rozsadzały - już po raz drugi w życiu wykonał robotę za kogoś, jaki komendant, jaki minister z córką, Nejman ich nakręcił, by ganił po świecie i znosili mu brakujące elementy układanki: awantura w Paryżu. Zaginione raporty. Dostał wszystko, co to za kłopot, przekupić kogoś na policji, zwłaszcza jeśli jest się tej policji dobroczyńcą? Grusznicki pojawił się przypadkiem, czy jego też mieli sprzątnąć?

Krew by cię zalała, myślał Enka, jak chłopiec, którego oszukali w piaskownicy, ale koniec z tym. Wystarczyło zerknąć na Gila, by wiedzieć, że ten też zrozumiał.

– Dotrzymamy umowy - rzekł ksiądz doktor.

Dopard usiadł z powrotem, po raz pierwszy uniósł kartkę do oczu. Enka powiedział poważnie:

– Nie jestem naiwnym policjantem i widziałem, co tekst robi z ludźmi, którzy odczytali, powiedzmy, odczynili ten rytuał w niewłaściwy sposób. Proszę mi jeszcze powiedzieć, co będzie, jeśli Nejmanowi się uda?

Śmiech Doparda był pełen starości i wódki.

– Czytałem kiedyś takie opowiadanie, tytułu nie wspomnę. Było o słowie właśnie... o słowie, *które rozsadzi tę planetę tak, jak laska dynamitu rozsadza przegniłe jabłko*. – Zerknął w stronę półki z książkami, kartki nie wypuścił. - Pan pyta, komisarzu Enka, co będzie, gdy na ziemi pojawi się istota nieskrępowana wolą Boską. Jak szatan. Mógłby być szatanem w istocie albo nową siłą sprawczą. Wszystko zależy od woli tej nowej istoty.

Poza wolą nic jej nie ograniczy. - Przejechał dłonią po włosach. - Wątpię, aby przemieniony przejmował się nami.

Wyraźnie tracił zainteresowanie czymkolwiek poza kartką.

– Czy Nejman ma całość tekstu? - dopytywał się jeszcze ksiądz doktor.

– A to nie oczywiste? Po to jedzie do Stambułu. Miejsce także jest ważne, a tam umarł poeta. - Odkaslnął, przypomniał sobie o szklance. Wypił dzin jednym haustem. - Jak panów znam, to pojedziecie tam za nim i spróbujecie przeszkodzić. Powodzenia więc. - Wstał. - Odradzałbym, bo ten świat akurat nie ma żadnej przyszłości. Teraz was zostawię. Chcę zająć się wreszcie czymś, co ważne.

Bez uścisku ręki czy spojrzenia w tył opuścił pokój i zamknął za sobą drzwi. Enka z Gilem zostali sami, w towarzystwie książek, kurzu i ciszy.

Wychodząc, ksiądz doktor przystanął na półpiętrze i patrzył na głowy ludzi spacerujących poznańskim rynkiem.

– Cieszę się, że nie umrze przy nas - powiedział.

§ § §

Ksiądz doktor habilitowany Andrzej Gil leżał na tapczanie i przerzucał *Dziady*. Zatrzymał się przy słowach księdza Piotra i pomyślał, że, niestety, nic nie jest tak proste, jak wydawać by się mogło, a jeśli nawet jakimś cudem prostota się trafi, to skrywa noże, wilcze doły:

Duchu nieczysty, znam cię po twym jadzie, Znowuś tu, najchytrzejszy ze wszystkich szatanów, Znowu w dom opuszczony leziesz, brzydki gadzie.

Tyś wpęłznął w jego usta, na zgubęś tu wpęłznął, Z Imię Pańskie jam ciebie pojmał i ochęłznął.

Exorciso...

Tak, ksiądz Gil był egzorcystą: w Brazylii, Rzeszowie, nawet w Nowym Świecie, dziwnym królestwie czarnoskórych studentów na ostatnim piętrze krakowskiego akademika [16]. Inni księża tego nie doświadczali, w gruncie rzeczy nie znał niemal nikogo podobnego sobie. Przerzucił kartkę, litery zwały się ze sobą. Dlaczego mi zdarzają się takie rzeczy, zapytał sam siebie, przecież nic nie dzieje się bez przyczyny, sam na siebie ściągam to szaleństwo, te diabły. Zrozumiał, że nigdy nie wątpił w istnienie ciemnej strony, obchodził ją od lat, nim jeszcze został księdzem, najpierw jak panią, co chce, ale się boi, potem śmieiej. I zrobiło się upiornie. Przyszedł niewidzialny towarzysz, widmowy cug, zimny przeciąg, który zmuszał, by zwracać twarz ku tamtej stronie. Czasem szumiał. Czasem wył.

Jak ćma ku świecy, powiedział sobie, odkładając książkę. Ale przecież się nie spaliłem. Jeszcze nie. Stał przed lustrem brudnym od pasty do zębów i wody, ochlapał twarz zimną wodą. Przyjrzał się sobie: przedwcześnie postarzała twarz, bladokóra i dziwnie zmięta, głębokie cienie pod oczami, zakola przechodzące w łysinę jak się patrzy. Czuł się za słaby na ten świat. Na tamten także.

Przypomniał sobie Poszukiwaczy naprężonych przed gablotą na aukcji u Domeyki. Budzili jego obrzydzenie, lecz teraz w łazience pojął, że wcale nie jest od nich tak odległy, jak się wydaje. Czuł zimny bezsens wszystkiego, schował się przed nim za koloratką, pomogło? A skąd. Pojawił się Enka i sprawa w Stachowartach [17], dalej poszło, ani się obejrzał, a stał przed swoim własnym cieniem. Czy jestem dobrym księdzem? Nie mam, nie miałem kochanki. Nie wydaję za dużo na siebie. Traktuję poważnie powołanie, ale to wyuczone, jak aktor w spektaklu, a Bóg przecież wie wszystko - co On mi powie? Liczy się intencja czy

szczerzy odruch serca? Jak mam Cię, Boże, poznać, skoro nie rozumiem sam siebie?

Próbował przywołać te dni, kiedy powołanie stało się przemożne, określiło mu przyszłość - co wtedy naprawdę czuł? Przecież nawet nie wiedział, co znaczy być księdzem, za to pojmował świetnie, do czego się nie nada: nie pójdzie do normalnej pracy, nie założy rodziny. Śnił o wielkości. Bóg to wielka sprawa. Weźmy takiego Enkę, ten przynajmniej jest uczciwy, wykonuje zwyczajnie swoją pracę, jest gliną na terytorium diabła i Boga nie miesza w te sprawy. Gil uniósł głowę. Liczył, że tynkowany sufit przemieni się w niebo, do czego nie doszło, ale poczuł gdzieś w pobliżu słabą życzliwą obecność. Cień kogoś dobrego. Zaczął się modlić, na stojąco i przed lustrem, zamykając oczy, i gdzieś po kilku minutach powróciło znajome wrażenie - ktoś go jednak słucha i nie ma odruchu wymiotnego. Otworzył oczy i spojrzał na siebie raz jeszcze.

Odbicie zadrzało, jak wcześniej kartka. Złudzenie, złudzenie - Gil musiał odpocząć, zmęczenie mamiło zmysły. Znowu gnali z Enką, popychani przez niewidzialną siłę, od trupa do trupa: Kraków, Paryż, Poznań też, bo Doparda trudno uznać za specjalnie żywego. Właśnie, jeśli Dopard zmarł za życia, jest takim Gustawem z *Dziadów*, tylko starszym i cuchnącym, to kim jest ksiądz doktor? Niewiele ich dzieli, dodajmy lat, zostawmy wódkę - jakby widział siebie samego za pięćdziesiąt lat, kiedy wszystkie kłamry puszczą i siły, z którymi się zмага, rozerwą go i rozwłócą krwawe truchło po kilku różnych światach, aniołów, demonów, duchów, Boga, własnych pragnień i lęków. Czy tak mówi ksiądz? Zapragnął owinać sobie czymś głowę, żeby nie pękła, na przykład taśmą klejącą, jak Linda w filmie Agnieszki Holland.

O kurwa, o kurwa, o kurwa. Głowy naprawdę pękają.

Teraz mógł zrobić tylko dwie rzeczy: wypić piwo z lodówki i spróbować zasnąć, a potem stanąć na wyświęconych uszach, by zamknąć ze Zbyszkciem tę przeklętą sprawę. Wtedy odpocznie. Znow nadeszły niepokojące myśli - to, co miało być dodatkiem do życia, stało się jego sednem, przestał myśleć rytmem sesji, wakacji, świąt i nabożeństw, ale żył od sprawy do sprawy, wycieńczony po każdej, wyczekiwał tylko telefonu od Enki i tego drzenia wynikającego z przekonania, że naprawdę styka się z tamtą stroną. Czy to dziwne? Na mszy, na wykładzie mówi się o diable. Tym samym, którego widział razem z Enką. A jeśli w tym wszystkim można, powinno się dogrzebać jakiegoś pocieszenia, to przecież zyskał piorunującą pewność: skoro istnieje Szatan, to Bóg tym bardziej. Umierając, nie rozpadamy się w proch. Może jakiś znak, dobry Boże? Przeraził się tej prośby: nie, lepiej bez żadnych znaków.

Żarówka u sufitu rozbłysła, jakby pomnożyć liczbę watów, i natychmiast, przy akompaniamencie wrzasku księdza doktora, zrobiła się ciemnopomarańczowa. Opanował się, zakręcił wodę i runął na łóżko.

Znow *Dziady*, znow przerzucał strony, w pełni świadomy, że lektura nie bardzo pomoże. Coś czało się w tej książce, jakaś groza, która umknęła mu w szkole.

I straszne słowa z ust księdza Piotra:

Módl się, bo strasznie Pańska dotknęła cię ręka.

Usta, którymiś wieczny Majestat obraził, Te usta zły duch słowy szkaradnymi skaził; Słowa głupstwa, najsrozsza dla mądrych ust męka, Oby ci policzone były za pokutę,

Obyś o nich zapomniał

Zmroziło go.

Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra -

Potrzeba mi lotu,

Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,

Tam dojdę, gdzie graniczą Stwórcy i natura.

I mam je, mam je, mam - tych skrzydeł dwoje; Wystarczę: - od zachodu na wschód je rozszerzę, Lewym o przeszłość, prawym o przyszłość uderzę.

I dojdę po promieniach uczucia - do Ciebie!

Zatrzasnął okładki. Z gniewem. Pod powiekami słowa ułożyły się w obrazy, pełne rogów, jaskiń, ale i słońca. Przez moment widział ciemną drogę, ponad którą wirowały roje świetlików. Otrząsnął się, odeszły - rozmasował kąciki oczu. Wierzył już, że się nie pomylił, diabelski taniec istnieje, pełny zapis ma Nejman w swojej teczce. Znów przejął się sobą, oto zaczyna myśleć jak Cnota. Ale gdzie mu do Cnoty, jego wiary niczym ziarnko gorczycy, jego prostoty i ufności. Jak mogli zlekceważyć takiego człowieka? Cierpi jak każdy. Są różne lekarstwa na cierpienie.

Podjął decyzję i zaraz zmienił ją, jeszcze w drodze do kuchni. Zignorował puszkę EB, wybierając świeżo napoczętą półlitrowkę. *W pocie więc oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie, póki nie wrócisz do ziemi, z której zostałeś wzięty; bo prochem jesteś i w proch się obrócisz,* tak szcęknęła w nim *Księga Rodzaju*. Zatrzymał wódkę w ustach. Wypluł. Wściekłym ruchem wylał wyborową do zlewu, cisnął pustą flaszkę, aż rozbiła się w koszu. Ugryzł kiełbasę. Twarda, smakowała czosnkiem. Wrócił na łóżko.

W telewizji nadawano *Koło Fortuny*, Pijanowski tubalnym głosem wyrzucał z siebie spółgłoski i samogłoski, uśmiechał się pod wąsem i życzył powodzenia kobiecie o wyglądzie zagubionej sklepikarki. Magda

zaczęła odsłaniać litery, dużo trafień, i dojadający kielbasę Gil stwierdził, że jeśli pozna rozwiązanie, niechybnie oszaleje. Przełączył kanał. Na ekranie przebarwiała się poważna twarz Marka Nejmana.

Biznesmen siedział w towarzystwie wąsatego kolegi, który akurat gadał, a wąsy miał co najmniej jak Pijanowski, za to garnitur zupełnie bez sensu: obcisły pod pachami, za luźny w pasie, sraczkowaty. W żołnierskich czy też cinkciarskich słowach opowiadał o prowadzeniu biznesu w Polsce, swojej drogi od stolika na bazarze po prawdziwe imperium handlowe i medialne. Na koniec palnął mądrość, że prawdziwy biznes bez moralności jest niemożliwy. Czarnowłosa prowadząca zapiszczała nad tą konkluzją. Nejman się uśmiechnął.

Prześladujesz mnie, rzekł do siebie Gil i zgasił telewizor. Zastanawiał się, co robić, posłuchać muzyki, napisać coś - co, dobre sobie - poczytać te *Dziady* czy tam co innego albo po prostu leżeć długie godziny i gapić się w sufit. Znaleźć przyjemność w niezdolności ruchu, ułożeniu siebie, przechodzeniu w kamień. Zastygł rzeczywiście i może nawet by tak potrwał, gdyby domofon się nie rozbrzęczał. Gil sklął pod nosem administrację, która nic nie robiła z tym dziadostwem, oraz niespodziewanego gościa, którego nie chciał widzieć. Tym razem gość okazał się mile widziany, choć przyszedł wściekły i zbierał się na burzę.

– Wszystko wymyka nam się z rąk - rzekł Enka, jak tylko usiadł. - Nie chcesz się przejść na piwo?

Brakowało mu papierosów. Siedział w fotelu i bawił się własnymi dłońmi, nie mógł uspokoić wzroku.

– Co się stało? - zapytał Gil. Już żałował wylanej wódki i pytał siebie, co go podkusiło. Głupi gest, który nic nie zmieni. Złe myśli, wątpliwości, z którymi szarpał się wcześniej, zniknęły.

– Wszystko się stało, a raczej wszystko szlag trafi. Dokumentację, zdjęcia z tych mieszkań, z magazynu, gdzie umarł nam Czujka, zapisy przesłuchań, poszło w cholerę. Mamy puste ręce. Nikt nic nie wie, a jak wie, to nie powie - zrobił kilka sekund przerwy, ocenił, czy ksiądz doktor rozumie, co się dzieje. Ksiądz doktor nie rozumiał. - Więc został w tym śmiertelnie przerażony Grula - ciągnął Enka - który zmienił się w cień siebie samego, trzęsie się i gada, że musimy odpuścić, bo nie doczekamy emerytury.

– Napij się herbaty?

– Gdzie tam ci teraz będę pił. Słuchaj, co się dzieje. Burdel na komendzie nie do opisania. Powracali ludzie, których trzy lata temu wymiotło, i powiem ci szczerze, że żołądek mi się skręca na widok tych sukinsynów. Poleciał komendant razem z przydupasami, a ten nowy to żaden komendant, tylko *pełniący obowiązki*. Chyba kanałami do roboty chodzi, bo nikt go nie widuje.

Założył nogę na nogę. Przyglądał się gratom w mieszkaniu księdza doktora: książkom tłoczącym się w trzech rzędach na półkach i parapetach, zakurzonej oponie roweru wystającej z przedpokoju, świętemu Tomaszowi, który także poszarzał, ponurej wieży stereo, zagraconemu biurku.

– No, ale się do niego wybrałem. W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak się bał. Wymachiwał rękami, wił się i mówił, że mają kontrolę, on nic nie wie, trzeba kombinować służbowymi kanałami, bo od tego są. Dobre sobie, żałuj, że cię tam nie było.

Ksiądz doktor Andrzej Gil jednak nie żałował.

– Zamknęli sprawę? - zapytał.

Enka machnął ręką.

– Przecież ci, Andrzej, tłumaczę, że nie mieli jak zamknąć, bo jej w ogóle nie ma, jebła drzwiami i znikła. Zostały jakieś bzdury, szczątki tego,

co było, że jeden dostał wylewu, a drugi, nie wiem, powiesił się, więc gdzie problem. Żadnego Mickiewicza, niczego niezwykłego, ot trupy. Jędrak, Jędrak - kręcił głową - jakbym teraz te teczki widział po raz pierwszy, za Chiny Ludowe bym nic nie wyczuł.

– Nie rozumiem - Gil rozłożył dłonie - przecież niedawno sami cię pogonili. Co z córką tego wiceministra? Przecież dzięki niej sprawa miała priorytet.

– Gdzie ty żyjesz? Córka ministra gryzie ziemię, a minister przestał już być ministrem, złożył rezygnację i go wywiało, siedzi w mysiej dziurze i się trzęsie. Paru jest takich, co ja ci zrobię.

Gil otarł zmęczone oczy i pomyślał, że może wreszcie film o nim zmienia się w życie, a w życiu są sprawy nierozwiązane, zawieszona w połowie, kamera opuszcza bohatera i idzie za kimś innym. Enka zaś wstał i zabrał się do przemierzania pokoju nerwowym krokiem. Wyglądał jakby odbijał się od niewidzialnych zapór w rejonie drzwi i przed świętym Tomaszem.

– To jednak jest bez sensu. Przecież masa ludzi o tym wiedziała. Ten twój człowiek od butów, ci z laboratorium, Wroński, który robił zdjęcia. Gruli nawet nie liczę.

– Co ja zrobię, Andrzej, jak cię proszę, nie ty, nie teraz. Przecież to policja i burdel po dach, wszyscy ganiają przerażeni, nic nie mogą, nie chcą móc, mają w dupie wszystko.

– Jest jeszcze komputer Gruli - przypomniał ksiądz doktor.

Enka zatrzymał się, jakby dostał cios w środek czoła, niezbyt mocny, budzący zdziwienie.

– To akurat jest najlepsze, przecież Grula zgrywał wszystko po trzy razy i było świetnie, ale, Andrzej, gdzie ty masz oczy? Wyjdź z kruchty i

przejrzyj! Gazetę otwórz! Kto komputeryzował policję w Małopolsce? Czemu, powiedz mi, wszystko wali się na łeb, a czyj pysk widzę?

– Nejman?

– No pewnie, że Nejman. Wiesz, że robi w komputerach? Grula wiedział! No i poszło w diabły, cały materiał, nic nie ma, a jak poprosiłem naszego czarodzieja od kompów, żeby odzyskał dane, to powiedział, że nie umie, nawet nie sprawdzając. Wiesz, jak to wyglądało? Ta komputeryzacja? - stał i skandował. - Dyskietki osobno, kompy osobno, monitory jeszcze później, jak byś to złożył? No jak? Myślisz, że coś z czymś się zgrało, otóż nie! Dobrze myślisz! A teraz wyczyszczone dyski! I jak myślisz, kasa z góry czy z dołu poszła?

– Z góry - odgadł Gil.

– Brawo, Jędrek! Ty to masz łeb na karku! Patrz teraz! Nejman miał robić z komputerami? No nie Nejman, bo przetarg wygrał niejaki Klucha z Nowego Sącza! A potem kto się melduje?

– Nejman! - wypalił Gil.

– Z której strony Nejman? Facet z ministerstwa. I co mówi? Że błędy proceduralne w czasie przetargu, Klucha leci, a kto przyszedł? Tu już sam sobie odpowiedz. A potem co zrobili? - wykrzykiwał, już nie chodził, lecz miotał się po pokoju. - Szkolenie dla wszystkich, Andrzej, a tacy spece przyjechali, że Grula na kacu w dzień ich przegonił. Lepsza rzecz, stary, odtąd po komendzie raz na czas kręci się technik, jeden albo drugi, nieważne, ważne, że mógł zrobić to, co chciał, bo każdy go lubi, z komputerem pomoże, no i co jest, Jędrek? Dlaczego tak?

Andrzej Gil podrapał się po głowie.

– Bo burdel.

Enka aż zaniemówił z wrażenia, wyczepił się z ruchu, zastygł na brzegu łóżka z ręką przyspawaną do brody. Zdrowszą ręką, chora sterczała

śmiesznie.

– Żebyś wiedział, że burdel.

– Kim jest ten Nejman, jak myślisz? Mafia? Psychotronika? Zły biznesmen z nowoczesnej bajki?

– Czarodziej, co? - Enka zaśmiał się bez wesołości, aż chłód poszedł po pokoju. - Witamy w erpererel!

Na Gilu nie zrobiło to wrażenia. Patrzył po pokoju, odnajdując rzeczy, które kiedyś były dlań ważne. Parę książek. Krzyż. Święty Tomasz, w którego patronat wierzył mocno. Reszta była czymś przypadkowym, drobiazgi opadające jak stara skóra, gdy znajdował się w nowym miejscu.

– Przecież tego tak nie zostawimy - rzekł.

– Jasne, że nie. Akurat wziąłem urlop. Chcieli odciążyć mnie po Paryżu - westchnął, dodał poważniej: - Znaczy to tyle, że spakować musimy się sami.

W takich momentach twarz Gila tężała, jakby nagle weszła w siarczysty mróz, jednocześnie brwi się straszyły, a usta opadały nieznacznie, opuszczone przez mięśnie zeszywniałe z zaskoczenia. Usta te składały się do pytania, lecz stygły milczące. Przypomniał sobie Ruraka.

– Otóż, Jędreku, jedziemy do Stambułu - wyjaśnił Enka z miną wrednego lokaja. - A to z tego powodu.

Wręczył Gilowi kopertę z listem, zaadresowaną starannym, równym pismem. Na adres komendy, do Enki. Tak pisze człowiek pewien każdego słowa, w sobie i poza sobą, lecz niechętny stawianiu liter, kreślący je w obawie, że mogą go zdradzić. Gil obrócił kartkę. Przeczytał: *Rajmund Cnota, Katowice ul. Zamkowa 6.*

Rozdział ósmy

Tancerze

Podróż do Turcji była gorąca i pachniała padliną. Właściwie kilkadziesiąt godzin w autobusie zlało się w wielki kolorowy gwar i wilgoć.

Nie mieli pieniędzy. Za jasną cholere nie zdołali ich wyciągnąć od Ruraka, choć Gil stanął na uszach, tłumacząc, że podróż jest droga, lot długi, a bez wizyty w Stambule sprawa wymknie im się z rąk. Rurak popatrzył mu w oczy i stwierdził, że sprawa już się wymknęła, i to całkiem ładnie, pieniądze da, lecz niewiele, a zamiast nadmiaru taką radę: nie lećcie, są autokary, nie takie jak kiedyś, tylko wygodne. Gil zaczął żałować, że Rurak nie należy do tych biskupów, którzy „poszczą jesiotrem” i defraudują pieniądze pod pozorem organizacji wydawnictw katolickich.

Autokar jednak był taki jak kiedyś, taki jak zawsze, czyli autosan w brudnej bieli, żółci i pomarańczu, o słabych oponach i kierowcach jeszcze słabszych, pochodzenia tureckiego. Stał na poboczu; wlewali się doń ludzie w swetrach i bluzach, choć z nieba spływał skwar, objuczeni, wąsaci i brzydcy, wpychali dobra do bagażnika, zabierając drugie tyle ze sobą.

– Andrzej. Niech Bóg broni ci powiedzieć, kim jesteśmy. Żaden glina, żaden ksiądz - rzekł Enka. - Słówko, a sam cię zatłukę.

Wewnątrz były wąsy, mnóstwo wąsów, za którymi chowały się czerwone twarze, młode, stare, dziobate i gładkie, nawet jedyna kobieta, ogromna czterdziestka z udami niczym pale wbite w Odrę, wyglądała, jakby wąsy zgolono jej minutę temu. Nazywano ją Hela Baltona, jak później wyszło,

najpiękniejsze swe lata spędziła, pracując w Baltonie właśnie. Pachniało potem, wodami kolońskimi, brudem i trupem, można by pomyśleć, że pod podłogą ukryto zwłoki. Każdy gadał z każdym, a kiedy kierowca, pierwszy wąsacz, zapalił gaz, zabrzmiały odbijane flaszki.

Gil usiadł przy oknie. Enka orzekł, że świat to ma w dupie.

Rozdźwięczały się dziwne słowa: ferszlus tandetnie zblindował czy coś, klin w muterkę, jumać jumać, roztrajbowanie tego i tamtego, lochbajtel w cajtung, cajtung notgut, uberlałf szwajc.

– Dżabbersmoka strzeż się, strzeż - rzekł Gil ku zdumieniu pana komisarza.

Ledwo ruszyli, pojawił się mały człowieczek, na którego mówiono tutaj Mały Stasio, uścisnął im ręce, polał do plastikowego kubka, i to hojnie. Opowiadał chwilę, wisząc nad nimi jak wąsata lalka, opowiadał, jak to mu świetnie i źle zarazem, bo świat okrutny, a dobrych ludzi można jednak spotkać wszędzie, nawet w tym autobusie, kim jest człowiek dobry, taki, co potrzebującego pomoże, on, Stasio, zawsze przecież pomaga.

– Koledzy, no, prośbę mam. Wy jesteście normalni! Patrzę na was i wiem, więc schowalibyście mi coś? Drobiazg! Nic specjalnego, nikt nie zapyta.

Drobiazgiem okazały się dwie potężne torby pełne jakichś narzędzi, zegarków, kalkulatorów, tanich aparatów fotograficznych i innego szajsu, które Gil upchnął nad ich głowami - Mały Stasio nie sięgał. Podziękował i zniknął na tyle autobusu. Ledwo usiadł, z przedniego siedzenia odwrócił się inny wąsacz, tyle że wiekowy.

– Nic wam, koledzy, nie będzie, ale uważajcie na tę mendę, kabel i tyle.

W jego starych oczach odbijały się niezliczone bazary, przejścia graniczne, kartony ukryte w siedzeniach i sufitach, torby wyrzucane z pociągów, które zaraz ktoś odbierał, punkty celne z palcem w dupie,

tymczasowe aresztowania, brzydkie kurwy i ochmistrynie namiętności, wszystkie kolory nieba i milczące słońce. Bruzdy szły po jego twarzy jak po spalonej ziemi, skóra zwisała z podbródka, nieustannie marszczył brwi. Palił czerwone marlboro setki, z których urywał filtr.

– Mówią na niego Bartuś Ekstraklasa - powiedziała potem Hela Baltona. Stała nad nimi, jej biust, niby dwie poduszki, zwisał smętnie nad głową komisarza Enki. Zerkąła. Bartuś rozmawiał z kierowcą. - On był wszędzie i wcale nie jest biedny. Tu biedni ludzie jeżdżą, a co? A on ma trzy budki z zapieksami w Katowicach! Jeździ, bo lubi - nachyliła się do Enki - od żony zwiewa.

– Lubię ich, bo to ludzie normalni - powiedział Mały Stasio, pijany w trzy dupy.

Enka szybko zawarł znajomość z grubasem w koszulce polo, na którego mówiono tutaj Władzio Taryfiarz - większość towarzystwa się znała. Władzio Taryfiarz był opalonym mężczyzną z błyszczącą łysą czaszką.

– Jeżdżę na dryndzie dziesiąty rok i widzę, że nie ma to przyszłości, Zbyszek, mówię ci, raz-dwa i się skończy, radio okrada, nikt nie chce płacić, powiem ci, mercedes to jest to. Mówię Jaškowi, mówię Jolce, mercedesa kupię, raz-dwa pojedę.

– Po co ci mercedes, jak nie chcesz jeździć na dryndzie? - zapytał Enka. Pili rum „Kapitan Morgan”, przemieszany z colą wyprodukowaną w jakiejś pokątnej fabryczce. Obok chrapał ksiądz Gil, noc była.

– Trzeba myśleć w latach, przyszłościowo, co? Cholera wie co będzie, tramwaje nowe kupią, taksówkarzy przegonią, benzyna podrożeje, coś się stanie, mafia przyjdzie, skurwysyny mafijne, nie wiadomo, jak to się podzieje z taksówkami. Powiedz mi, Zbyszek, co zawsze było i będzie?

– Pogrzeby - odparł Enka.

– Blisko, lecz nie całkiem. Śluby! Odłożę jeszcze trochę i będę jeździł na ślubach jak ta lala, tanio i wygodnie, a znam kobiety, oj, znam, jak taką dobrą furką przewieziesz, to będzie fikała w łóżku do rana. To dopiero jest noc poślubna, po mercedesie.

Gdzieś w rejonach Czechosłowacji Hela Baltona jęła interesować się księdzem Gilem, rozumiejąc, że droga doń wiedzie przez Enkę, który siedział z brzegu.

– Władek to dusza, nie człowiek - oświadczyła. - Opowiadał ci o merolu? Każdemu mówi. Nigdy go nie kupi. Wszystko wydaje na wódkę i dziwki.

– Widzę, że znasz tu każdego - odpowiedział Enka.

– A kim jest twój kolega?

Jechali przez Słowację, mijając średniowieczne lasy i cygańskie osady, pełne tabunów brudnych bajtli z kamykami w dłoniach, te kamienie odbijały się od szyb, zostawiając mikroskopijne ślady, w trzasku, w zgiełku, potem dzieciaki machały tylko, wykrzywiając brudne, dorosłe twarze. Między domami, brązowymi jak lepianki, ciągnęły się sznury prania, które wyglądało na brudne, mężczyźni obnażali torsy splukane z mięśni, kobietom na przedramionach wiły się fioletowe żyły, ujadały psy.

– Ludzie są głupi. Po prostu - opowiadał Kazio Ojciec Rodziny. - Przestali dbać o siebie nawzajem i całkiem nie wiem czemu, przecież razem jest łatwiej. Ja próbuję po prostu przeżyć, nie ściemniam wam, po prostu próbuję. Dom synowi wystawiłem. I co? No i ma ten dom. Ja to sobie od ust odejmę, będę jeździł, nie dlatego, żeby pomóc, dzieci se radzą, a żona to kurwa, ja nie chcę być jak chuje wokoło. To dbam. A co.

Mijali pola ciągnące się po horyzont i ogromne bloki stojące pośrodku - wokoło ani drogi, ani drzewa. Samochody w Rumunii wymijały się z wozami ciągniętymi przez pogarbionych ludzi lub konie także garbate.

Wszędzie grano w piłkę, brudną jak obcięta głowa. Raz na jakiś czas zatrzymywali ich policjanci, a kontrola odbywała się bez słowa - kierowca podawał gliniarzowi karton papierosów i jechali dalej.

– Mam zmartwienie, stary. - Gil także popił. - Nie mogę się opędzić od tej wielkiej kobietki. Zrozum mnie, przecież jestem księdzem.

– Chyba nie tylko dlatego - odparł komisarz Enka.

– To co mam robić?

Zmarszczył czoło, dopił stocka, Mały Stasio z Bartusiem Ekstraklasa klepali się po plecach.

– A skąd ja mam wiedzieć? - w głosie komisarza Enki brzmiało przekonanie, że jak dobrze wypije, toby każdą zrobił. - Daj jej odczuć, że jesteście pedałami.

Bułgaria wyglądała jak obsiana słonecznikami Rosja, a wszyscy tam się spieszyli i opuszczali głowy, widocznie wstydząc się tego pośpiechu. Wiatr pchał kartony ulicami, strzelał z ptaków i kotów, obłąkany wichur pod niskim niebem zawinał chmury w brudny koc. Autobusem trzęsło i lała się woda, lądując na koszulach i kolanach, butelka stocka, którą wydobył Enka, była w ludziach i na ludziach, pojawił się też nowy zapach - czosnek. Wsuwano kiełbasę. Nikt nie spał, bo zawsze ktoś wył.

– Najgorsza jest samotność - płakała Hela Baltona nad komisarzem Enką, tak aby Gil słyszał. - Człowiek może być piękny, może być mądry, od czego to zależy, że jest tak strasznie sam? Ja nie chcę być sama! Tak życie ucieka, ja nie chcę tak jeździć, tak wracać, gdybym mogła tak swoje życie ścisnąć, co zostanie? Powiedz mi! - Potrząsała Enką. - No powiedz, niech ktoś powie! Czemu tak jest?

– O Boże. - To Małemu Stasiowi pękł słoik z ogórkami kiszonymi. Cierpki zapach zmieszał się ze smrodem.

– Kompletnie nie wiem, czemu tak jest - odparł Enka.

Oczy Heli Baltony zrobiły się olbrzymie, skupiając na sobie światło z żarówek nad siedzeniami. Podała Ence butelkę ajerkoniaku, ledwo co wypił, oddał, a ona wypła więcej niż ledwo. Otworzyła usta, zamknęła zaraz, nadeła policzki, gardło jej zafalowało i nie utrzymała: przetrawiona kiełbasa z czosnkiem, wódka z likierem wylądowały wprost na kolanach komisarza Enki.

– O Boże! O Boże! Tak strasznie przepraszam! - Hela Baltona wyrwała skądś chustkę, uklękła i zaczęła ścierać dżinsy komisarza Enki.

– Masz przejebane - powiedział Kazio Ojciec Rodziny.

Na granicy był sklep bezcłowy i Gil poszedł kupić po butelce whisky oraz karton papierosów dla komisarza Enki, który, cały w wymiocinach, do wyjścia się nie kwapił. Pasażerowie ustawili się rzędkiem i każdy powrócił z identyczną siatką, do której nawet nie zajrzał. Enka też dostał taką i musiał wyłożyć przed siebie, na specjalny stół, kiedy przyszło do kontroli. Nikt na nic nie patrzył, tylko ludzie się chwiali.

Siatkę oddał kierowcy już w Turcji, nie patrząc, co jest w środku.

Pojechali przez Turcję w całkowitej ciemności, rozjaśnianej tylko przez głosy, zapachy, nadzieję.

§ § §

Komisarz Enka uchodził za dobrego w swoim fachu - miał nosa i umiał przewidywać wydarzenia dotyczące siebie i innych, choć za „mistrza dedukcji” dałby w pysk. Niestety, tym razem zawiódł sam siebie: przewidział, że Stambuł jest miastem tysiąca zapachów, rozchodzących się pod niebem wiszącym niżej, bardziej rozległym niż gdzie indziej; że kolory jawią się inne i jest ich bardzo wiele. Słyszał i czytał o wąskich uliczkach handlowych, gdzie ludziom wbrew ich woli wciska się dowolny szmelc,

nawet o wąskich czerwonych tramwajach, przy których bardzo blisko spacerowali przechodnie. Wiedział, że są tam meczety podobne kosmodromom, jakby ludzie w dawnych czasach wierzyli, że rakieta minaretu można odfrunąć do nieba, lecz błyskotliwy umysł komisarza Enki w tragicznej swej zapaści nie przewidział Turków. Ci byli wszędzie, różnych rozmiarów i kształtów.

Ledwo pan komisarz i ksiądz doktor opuścili autokar, wyżęci z sił i potu, znaleźli się w otoczeniu handlarzy. Ci upodobali ich sobie szczególnie, widząc, że mają do czynienia z turystami. Ledwo Enka zrobił krok, dopadł go nastolatek w koszulce Pумы bez rękawów, na ramionach odznaczały się pierwsze, jeszcze słabe sploty mięśni. Usiłował wcisnąć mu kosz pełen owoców. Pan komisarz wzgardził tym prezentem, natomiast niezwłocznie sprzedał swój zegarek, zyskując na tym trzykrotnie.

Dopadła go potem potężna Turczynka w zielonej szacie, na bosych nogach miała miękkie sandały; rozświergotała się po swojemu i Enka nie mógł pojąć, o co biega, wskazywała tylko na bramę pobliskiego budynku; wywnioskował, że mieści się tam hotel. Spróbował odmówić, bezskutecznie, musiał wejść w chłodny półmrok i na jego szczęście kobiecina powędrowała przodem, wycofał się i umknął.

Na ulicy - nieszczęście, ksiądz doktor przepadł. Enka rozejrzał się bezradnie, wpadł w tłum miejscowych, dyskutujących zawzięcie, aż wypatrzył wysoką znajomą sylwetkę. Gil szedł zupełnie bezradnie, ciągnięty przez dwoje brudnych brzdąców. Po ciężkiej atmosferze autokaru i kilku dniach spędzonych pośród społeczeństwa nie miał siły na stawianie oporu. Zniewolony, skręcił w wąską uliczkę i oglądając się za siebie, dotarł pod pomarańczowy baldachim, gdzie stary Turek zachwalał swoje dywany, a na widok klienta rozpląnął się w ukłonach.

Enka nie zmarnował okazji, popędził i jął szarpać Gila. Ten się otrząsnął, chciał iść, nie dali - dzieciaki w krzyk, rozmachały się brudne łapki, stopy biły o asfalt, wzniesając pył, wreszcie Enka się ugiął, dał każdemu po monecie i odszedł, odprowadzany przez wściekły wzrok starego Turka. Zerknął jeszcze raz za siebie i dostrzegł, że sprzedawca zabiera malcom monety, chciał wracać - tym razem powstrzymał go ksiądz doktor.

Jeden handlarz okazał się jednak pożyteczny: stał w zaułku, z papierosem bez filtra, otoczony murem warownym tekstyliów. Enka przyspieszył i wdał się w rozmowę, powiedział jedno słowo, sprzedawca dziesięć, komisarz machnął ręką, facet zawirował, Polak szepnął, a Turek niemal zaśpiewał. Gil nie wiedział, co jest grane, bo Enka wysuwał banknot, cofał zaraz, dokładał kolejny i zaraz znów cofał rękę. Już chciał iść, lecz sprzedawca skoczył w jego stronę i sam pociągnął za przepierzenie wzniesione na stelażu w kącie stoiska. Enka porwał jakąś szmatę, dał pieniądze.

Wrócił po chwili z dzinsami w zaciśniętej pięści. Miał na sobie czarny dres, podróbkę adidasa, z trzema białymi paskami. Nawet pasował do koszulki.

– Brakuje ci czapki z daszkiem - powiedział poważnie ksiądz doktor.

– Trzeba było zainteresować się tą piękną panią. Pospiesz się, trzeba coś zjeść. Swoją drogą, jest tutaj całkiem ładnie.

Mijali akurat meczet.

– Powiedz mi lepiej, co tutaj tak trzymasz? - Enka wskazał na rozek z czymś sypkim w środku. Gil zaciskał na tym dłoń.

– Wcisnęli mi. Ziarno dla ptaków.

– Tutaj nie ma ptaków, Andrzej.

Ksiądz doktor wepchał rozek do kieszeni.

Im dalej szli, tym pachniało intensywniej, ludzie szumieli, gnali, gięli się przed sobą nawzajem. Kobiety zakrywały twarze, spod długich sukien ledwo wyglądały stopy w sandałach, inne, przesadnie umalowane i wyfiokowane, przypominały, że Turcja jest państwem świeckim; Enka próbował rozpoznać, jakie są, po oczach. A oczy były ciemne i nieodgadnione. Gil patrzył na budynki, wszystko mieszało się tutaj, z targowych uliczek wychodzili na szerokie place, między europejskie budynki. Powiewały flagi.

Enka się mylił, ptaki były i Gil przystawał co chwilę, by rzucić im trochę ziarna, niepomny na przekleństwa pana komisarza. Gołębie dziobały nieprzytomnie, nad nimi krakały mewy, a ksiądz doktor zaklął tak, jak nie przystoi osobie duchownej - rozek pękł i ziarna rozsypały się po kieszeni.

Nieustannie ktoś ich zaczepiał, próbując sprzedać dywany, owoce, a nawet zwierzęta. W odróżnieniu od Enki, Gil mimo licznych propozycji nie rozstał się z zegarkiem. Nie było kogo pytać o drogę, każda rozmowa skończyłaby się próbą sprzedaży czegoś, szli więc na azymut z wyrysowaną mapką. Co chwilę wpadali w dziecięcy obłok, półnaga hałastrza zasypywała ich śmiechem, czasem chciała drobne, a jeden malec, z wybitym przednim zębem i oczami dorosłego faceta, już pakował rękę do kieszeni pana komisarza. Enka chwycił go za nadgarstek i odepchnął. Malec zniknął bez słowa.

Wszędzie byli czyściciele butów; na każdym rogu, na stopniach, na matach, przed nimi stały kolorowe słonie. Enka nawet się skusił, usiadł na wysokim stołku, na migi utargował cenę, nogę złożył na złoconym oparciu, a i tak się pokłócili. Turek upierał się, że chce więcej, Enka utrzymywał, że za tę cenę może mieć nowe buty, a stare są wciąż brudne. Rozstali się w nieprzyjaźni, wśród wrzasków i przekleństw zrozumiałych tylko dla siebie.

– Paryż bardziej mi się podobał - rzekł komisarz Enka.

Długo błądzili, nim znaleźli swój hotel. Był to jednopiętrowy budynek, niby miniaturka bloku z serca Polski Ludowej, trzy okna na górze, spadzisty dach, całość w żółci, fiolecie i brudzie nade wszystko. Portier przysypiał i stawał na uszach, by na nich nie patrzeć. Pokazał tylko drogę na piętro, otworzyli drzwi i Enka pomyślał, że wygodniej byłoby im w szafie. Na łóżkach zmieściliby się z trudem, obok stała maleńka szafka i czarno-biały telewizor. Telefon nie działał.

Okno wychodziło na Bosfor.

§ § §

Ranek, a taki upał - Gil siedział w majtkach i koszulce nad papierami, ocierał pot z czoła. Enki nie było, zostawił po sobie jedynie ślady - rozbebeszoną kosmetyczkę i smród dzinsów. Zza drzwi dochodził szum wody. Gil zerknął za okno, na błękit wody i nieba, otarł znów czoło chusteczką i pomyślał, że w sumie mógłby popływać. Nie robił tego od bardzo dawna.

Wybrał jednak papiery, notatki Malickiego, rzeczy, które przekazał mu Kosecki. Czytał bezgłośnie, ruszając ustami: *Henryk Służalski wspominał Adamowi Czartoryskiemu, że poetę powaliła nie choroba, ale piorun. Tych samych słów użył Armand Levy w liście do syna Mickiewicza.*

– Piorun - powtórzył Gil.

Powietrze było ciężkie i parne, jak przed burzą.

Mickiewicz chciał dobrze, pożądał tej potęgi, by przywrócić prawdę światu i odkupić Polskę, przeczytał i zakręciło mu się w głowie. Co właściwie tutaj robi? Jest księdzem, naukowcem, a gania po całej Europie w towarzystwie wkurwionego na ową Europę policjanta, są duchy, poeci,

wszędzie czai się śmierć. Ale - pocieszył się - może nie będzie tak źle. W życiu nie ma przypadków, ocalał w Paryżu z jakiegoś powodu.

Stanął w oknie i uderzył go Stambuł. Barwy i zapachy, ludzie, psy i ptaki, rozpędzeni pod palącym słońcem, wciśnięci w wektory uliczek, rozedrgani jak powietrze, kotłowali się pod jego oknem. Cienkie pasma chmur przecinały niebo, a uliczka, choć zgięta i wąska, kończyła się błękitem Bosforu, złamanym przez stalowy chłód wiszącego mostu. I Gil nagle poczuł obecność Boga, silnie i pewnie, jakby Ten niespodziewanie położył mu rękę na ramieniu.

– A wiesz, że da się tutaj wytrzymać? - Do pokoju, w miejsce Najwyższego, wparował zadowolony Enka. - Mają tutaj wódkę z winogron, do wypicia. Aż się zdziwiłem, myślałem, że Arabusom nie wolno.

– Jest przeźroczyta, co? - zapytał ksiądz doktor. - Allah *jej* nie widzi. - Postanowił nie wyprowadzać Enki z błędu. Dla większości ludzi muslim to Arab.

– Popatrz, co za naród. To jak, idziemy coś zszamać? Tylko benzynę kupię, zapalniczka mi padła.

Gil bezradnie zerknął na papierzyska.

– Nie mogę z tym. Utknąłem.

Komisarz Enka zmienił podróbkę Versace, koszulkę polo kupioną jeszcze w autobusie, na zielony T-shirt, poprawił dres - leżał na nim idealnie.

– A ja ruszyłem sprawę. Gula jest jednak niezawodny. Nejman jest już na miejscu, przyleciał wczoraj wieczorem, dziś otwiera biuro Marcpolu w Turcji, a jutro musi być z powrotem w Polsce, bo wpada z wizytą do Belwederu. Lechu da mu jakiś order.

– Czy ten facet robi cokolwiek poza bywaniem na przyjęciach?

– Robota nie zając - roześmiał się Enka - a takie spotkanko załatwi mu więcej interesów niż ileś tam pokoleń ciężkiej pracy. Marcpol otwierają o szesnastej.

Usiadł. Był sztywny.

– To piękne miasto - rzekł - bardzo wielkie. - Wydobył papierosa, w ostatniej chwili przypomniał sobie, jak Gil nie znosi dymu, ale i tak zapalił. Podczas tej przygody zapomniał o jego astmie. Co dziwniejsze, Gil też wydawał się o niej coraz rzadziej pamiętać. Gapił się na błękit. - Masz w ogóle jakiś pomysł?

– Nejman nie odpuści. Zatańczy tutaj. Ma już wszystko. Testy z fragmentami. Materiały od nas. Informacje z zakładki, których mu brakowało, i czystopis *Części piątej*. Jego aż rozrywa ku tej tajemnicy. Rozumiesz? Taniec, przeanielenie, pierwszy raz w historii. Tutaj.

– Nie bardzo wiem, co mógłbym z tym zrobić. Teraz wpadło mi to do głowy. Jak jestem właśnie tutaj. Przecież go nie zastrzełę.

– Będzie cię to żarło do końca życia. Jeśli odpuścimy.

Enka skinął głową. Mełł dolną wargę, miał na niej ciemny osad.

– Skoro już przy żarciu, to stawiam śniadanie. - Wstał, rozprostował ramiona. - Masz rację, nie darowałbym sobie.

Błysk w oku komisarza wyjaśnił wszystko, aż po przerażenie, Enka nie myślał o Nejmanie, któremu nie wiedział, jak przeszkodzić, on chciał zobaczyć taniec, wychodził z siebie przez tę ciekawość. Stąd sztywność, stąd dreszcz.

– Mogą nam przynieść żarcie do pokoju - zaryzykował Gil. Enka już zakładał buty.

– Nie warto. Mimo wszystko to naprawdę piękne miasto. No i on łatwiej nas znajdzie.

– Nejman?

Powietrze przeciął krótki, urwany śmiech pana porucznika.

– Jaki znów Nejman? Cnota. Przecież on tu jest.

Ksiądz doktor westchnął i poszedł do łazienki.

§ § §

Znaleźli tanią restaurację dwie przecznice dalej i byliby szybciej, gdyby nie Enka, który uparł się, że musi kupić benzynę do zapalniczki. Wrócił z nią jak z czymś zbędnym, o czym śnimy, a na jawie natychmiast chcemy się pozbyć.

Drewniane stoły stały na zewnątrz, przykryte białymi obrusami. Baldachim dawał cień, ale i tak panował skwar. Gil wypił pół karafki wody naraz. Zamówili po kebabie: podsmażane pieczywo posypane ścinkami grillowanego mięsa oblano sosami, dodano sałatkę. Do picia Enka wybrał wódkę z winogron, Gil, nie bez wahania, kefir rozcieńczony wodą.

– Niezłe to jest - powiedział Enka, przeżuując pierwszy kęs. - Przydałby się taki w Krakowie.

– A kto ci u nas będzie robił tureckie żarcie? - Gilowi aż uszy się trzęsły.

Wypatrywali Cnoty, lecz zamiast niego zjawił się Cygan w towarzystwie gitary, usiadł nieproszony tuż przy Gilu, odsuwając krzesło, tak by zrobić sobie miejsce. Kiwnął głową, jak artysta estradowy przed występem, założył nogę na nogę i zabrał się za muzykowanie. Trudno określić, cóż to były za dźwięki, gorsze niż brzdąkanie, kakofonia szarpnięć i brzęknięć, do tego bił w pudło, wystukiwał rytm i śpiewał. Tak może wyć pies, któremu jaja żywcem urżnięto, pijak, gdy pęknie mu ostatnia półlitrowka, zdradzana żona albo płaczka podwójnie opłacona na pogrzeb jakiegoś notabla. Wywracał przy tym oczyma i otwierał gębę, ukazując zęby w dwóch tylko kolorach - czarnym i złotym.

– Zabieraj się stąd, facet, bo ci gitarę na łbie rozbiję - rzekł Enka. Próbował napełnić zapalniczkę, ale niezbyt mu szło, zerkał na Cygana, jakby ten był winien także temu.

Cygan, rzecz jasna, nie rozumiał słów, ale ton głosu i spojrzenie pana komisarza nie rodziły wątpliwości, cóż z tego, pieśń zabrzmiała jeszcze głośniejsz, ręka rozsmigała się po gryfie, palce zmieniły się w smugę. Enka wstał, gotowy do ciosu, Cygan spiął się, lecz grał dalej.

– Zbyszek, rany boskie, daj spokój - rzekł ksiądz doktor. Dał Cyganowi banknot i muzyka umilkła, jakby grajkowi ręce odrąbać, a gardło poderznąć. Wstał, ukłonił się Gilowi, Ence podesłał mściwe spojrzenie i krokiem co najmniej księcia powędrował w stronę podstarzałej najwyraźniej angielskiej pary trzymającej się za ręce.

– Nie wiedzą, co ich czeka - powiedział komisarz Enka i zamówił jeszcze wódkę. I drugą, dla księdza doktora.

Przedpołudnie przeszło w popołudnie, siedzieli w cieniu i upale, wymieniając leniwe uwagi o czymkolwiek, w nosy wwierał się ostry zapach przypraw. Ence kebab tak smakował, że zamówił kolejnego, Gil zadowolili się pomidorem skrojonym w plasterki, oliwkami i serem. Zaraz też wynikła kłótnia z kelnerem, który w opinii pana komisarza znacznie zawyżył rachunek. Enka wciąż przeżywał porażkę z Cyganem i tym razem postanowił nie odpuścić. Tłumaczył cierpliwie we wszystkich znanych sobie językach, czyli po polsku, czerwieniał przy tym, pokazywał na kieliszki pozostawione na stole, liczył je, przestawiał, bębnił w talerze, aż zaczął wyć, że zawoła kierownika i będzie tutaj piekło. Nawet Cygan zamilkł na moment. Kelner odpyskowywał dzielnie, lecz w końcu odpuścił, skreślił sumę na rachunku i wpisał nową, znów niepoprawną. Enka westchnął, cisnął banknoty, odrobinę za mało. Gil postanowił nie angażować swojego angielskiego, widząc, jaką radość sprawia Ence ta

kłótnia. Popatrzyli po sobie. Kelner westchnął. Westchnął też komisarz Enka i tak się rozstali.

Dochodziła trzecia, przynajmniej taką godzinę wskazywał zegar zawieszony na ścianie za szybą. Milczeli kilkanaście minut, pękła ostatnia wódeczka, Gil wstał, miał trochę w czubie. Enka poradził sobie z zapalniczką i cieszył się papierosem. Czas naglił. Za godzinę Nejman otwierał tu swoje biuro. Więcej czasu zmarnować nie mogli. Więc poszli, powłócząc nogami, najwolniej jak się dało.

– Weź mi to - powiedział Enka i Gil schował benzynę do kieszeni.

Już wychodzili spomiędzy stolików, już Enka klął pod nosem na własną naiwność i myślenie życzeniowe, gdy zza rogu wypadł zziębnięty Rajmund Cnota w zielonej, spranej, a nade wszystko mokrej koszulce kopalni „Wieczorek”.

– Poczekaście! Poczekaście! - wołał, dopadł ich i z rozpędu uściskał. - Już żem myślał, że sie spóźnie, pra?

Wybuchnęli śmiechem. Szczerym w swej nerwowości.

§ § §

Wiózł ich brodaty Turek, tak ponury, jakby prowadził nie volvo, lecz karawan. Przed nimi w bezpiecznej i stałej odległości sunęła czarna limuzyna Nejmana, wywołując w komisarzu Ence uczucie palącej zazdrości. Był to rolls royce silver seraph, model z tego roku, więc spod igły, czarny i bardzo długi, a jednocześnie niespecjalnie seryjny. Z trudem wchodził w zakręty w wąskich uliczkach. Ich taksówka była zaś żółta i odrapana, trzęsło w niej jak na statku podczas sztormu. Volvo miało swoje lata. Kierowca zdawał się cieszyć z tego i pogwizdywał.

– Taksometr, człowieku! Włącz taksometr - denerwował się Enka z tylnego siedzenia. Gil powtórzył to samo po angielsku, Turek udawał głuchego, więc Enka przechylił się ku przodowi i trącił paluchem wyłączoną skrzyneczkę. Kierowca prychnął i ustąpił. Rozgadał się po swojemu.

Poprzedni kurs, w Paryżu, omal nie kosztował mnie życia, pomyślał ksiądz doktor.

Okolica się zmieniała - wyruszyli z dzielnicy willi i pałacyków, kąpiących przepychem i zielenią ogrodów, tam gdzie ulice były szersze, a płoty złocone, powietrze różniło się od tego w centrum: bez woni potu i przypraw, za to coraz cięższe, zapowiadające burzę. Sunąc za limuzyną, wjechali w drogi węższe i zabiedzone, domy stały się mniej okazałe, a nawet pospolite, ludzie pędzili, zamiast kroczyć z godnością. Nieskazitelna czerń rolls royce'a odcinała się od brudnych barw ubrań, murów, innych samochodów.

Kierowca przyspieszył, odległość jęła się zmniejszać, samochodem znów zarzuciło, omal nie wpadli na stoisko z pomarańczami. Gil przymknął oczy: jeszcze krok, a powtórzy się Francja. Enka otworzył gębę i piorunował:

– Matole jeden! Ma nas nie widzieć! Zwolnij, i to teraz, głupi Turku, gównu mnie obchodzi, że nie rozumiesz, właśnie, że rozumiesz, wy, taksówkarze, rozumiecie wszystko!

Siedzący obok Rajmund Cnota patrzył na to obojętnie.

Pogoda uległa zmianie nieustępliwej i powolnej: niebo przesłoniła leciutka mgiełka, nad Bosforem gęstniały czarne chmury; deszcz wisiał w powietrzu. Przechodnie nie wiedzieli, co robić, gapić się w niebo czy na furę Nejmana. Kierowca wcale nie słuchał Enki i jak na złość podkręcił

radio wygrywające wesołą muzykę turecką. Wysoki głos piosenkarki zlał się w jedno z wyciem pana komisarza:

– No nie, no, ja nie mogę, przecież go walnę, zatrzymaj się, bucu! Nie! Zwolnij, bo ten nas zobaczy!

Turek odwrócił się z drwiącym uśmiechem, ale traf chciał, że zamiast na Enkę spojrzął na Rajmunda Cnotę. Górnik uśmiechał się pobożnie i zaciskał wielką pięczę. Więc zwolnili. Daleko przetoczył się grzmot.

– Enka, jak cię proszę, zamknij się wreszcie - poprosił ksiądz doktor, ale Enka nie usłuchał.

Byli już na peryferiach miasta, wśród niskich domów, gdzie półnaczy mężczyźni wyglądali z okien, kobiety zasuwwały z wiadrami i tobołami, a watahy dzieci przetaczały się przez pobocza. Limuzyna Nejmana wyglądała jak z innego świata, dzieciaki patrzyły z otwartymi ustami, stawały w biegu, w półkroku, nie mogąc uwierzyć. Anioł w żelaznym pojeździe, pomyślał Gil i zaraz się przeraził.

Wiedział już, dokąd zmierza Nejman, trącił taksówkarza, by jechał wolniej, a ten usłuchał, o dziwo, już za trzecim razem. Rolls zatrzymał się przed pobielanym dwupiętrowym budynkiem, okien na parterze broniły kraty. Ciemność gęstniała za brudnym szkłem, nad dach powoli nadciągały chmury, a może nie powoli właśnie, z masywnych obłoków na horyzoncie biegły skłębione nitki, zachodziły na słońce, splatały się ze sobą. Z limuzyny wysiadło dwóch rosnących ochroniarzy - co z nimi zrobimy, pomyślał ksiądz doktor - za nimi wytoczył się Nejman, szedł, jakby miał pistolet przystawiony do głowy.

– Wiedziałem, że tu przyjedzie - rzekł Gil. - To dom, gdzie zmarł Poeta - zdał sobie sprawę, że mówi jak Poszukiwacz, i zająknął się - Nejman chce zatańczyć właśnie tutaj. Wcale mu się nie dziwię...

Ostatnie słowa powiedział zbyt szybko. Pozbył się ich.

Taksówkarz chciał zaraz stawać, ale Gil poprosił, by pojechał dalej, skręcił i zatrzymał się uliczkę dalej. Turek skinął głową, można by pomyśleć, że znów zaczął rozumieć angielski, roześmiał się bowiem drwiąco i brytyjsko, potem dodał gazu, minął trzy przecznice, dopiero skręcił i wyhamował. Enkę całkiem już krew zalała, próbował naśladować Cnotę, to jest siedział, milczał i zaciskał malowniczo pięści, jednak gdy tylko zobaczył Gila wyjmującego pieniądze, puścił oparcie i poleciał. W jednej chwili jego twarz znalazła się naprzeciw zdziwionej gęby księdza doktora, najpierw ryczał, a potem myślał co:

– Andrzej! Złodziejowi płacisz? Takiemu fagasowi! Gdzie on pojechał?! Nawet mnie nie wkurwiał - chciał odepchnąć dłoń księdza z pieniędzmi - człowieku, gdzie masz rozum?!

Gilowi krew odpłynęła z twarzy. Gwałtownym ruchem wcisnął taksówkarzowi forszę w łapę, aż ten podskoczył.

– Teraz ja coś ci powiem, Zbyszek, bo słucham tego twojego pierdolenia i mi źle się od tego robi. Zdziwiony, co? Ale jesteś zdziwiony, więc jeszcze cię, kurwa, zdziwię, to moja forsa i gównu mnie obchodzi, że robisz tu próbę sił z miejscowym, nie po to tu jesteśmy, myśl o dwóch facetach z obstawy, nie, kurwa, o własnych chorych ambicjach i nie drzyj mi się nad uchem, ten tu mi wyje - wskazał na taksówkarza - puszcza zasrane radio, cały Stambuł jest w chuj głośny, więc twoich wrzasków mi tu jeszcze nie trzeba!

Enkę zatkało kompletnie, miał minę, jakby ślina, co chciał ją przełknąć, zmieniła się w ołów. Zagrzmiało. Blisko.

– Proszę, proszę - wyszczerzył się po chwili - Jędrus, ty czasem naprawdę masz jaja.

Gil akurat otwierał drzwi taksówki. Zesztywniał, odwrócił się jednym mechanicznym ruchem. Prawie pewne, coś w oczach kazało sądzić, że rzuci

się na Enkę. I ciszę, gęstą, przed burzą, przeciął spokojny głos Rajmunda Cnoty:

– Kochani, spokój. Spokój mo być.

Spokój rzeczywiście nastał, nie w nich, ale między nimi. Gil odwrócił się i odszedł, Enka powędrował z tyłu, w towarzystwie Cnoty. Żaden się nie odezwał przez całą drogę do muzeum, tylko głowy zadzierali ku ciemniejącemu niebu. Zazwyczaj chmury przed burzą wiszą nisko, te były odległe jak nigdy, jednobarwne.

Przed nimi wyrósł jednopiętrowy budynek o brudnoczerwonych ścianach, których barwa skojarzyła się księdzu Gilowi ze schnącą krwią. Kiedy się zbliżyli, Enka wyodrębnił dźwięk piszczałki czy też fletu. Gil już stał przy oknie, dziwnie urzeczony. Patrzył, otwierał usta. Cnota przystanął, Enka stwierdził, że sobie popatrzy. Przyłożył nos do szyby.

W przestronnej sali o brązowych ścianach wirowało pięciu mężczyzn, wszyscy odziani na biało, w wysokich czapkach, które w innych okolicznościach wydałyby się komisarzowi Ence cholernie śmieszne. Ich luźne szaty unosiły się w tym dziwnym tańcu, odsłaniając kolana, sprawiały wrażenie sztywnych. Ręce mężczyzn unosiły się wysoko, lecz każda lewa dłoń zwracała się ku ziemi.

Przy ścianach siedzieli ludzie w czerni.

A tamta piątka wirowała miarowo, szybciej lub wolniej, każdy dla siebie i czegoś więcej, mali i wielcy, jak drżące żyjątko doczepione do struny rozpiętej między Niebem a Ziemią. Ich oczy - nieobecne, ich ruchy tak płynne, że nieludzkie, twarze i stroje nie z tego świata.

– Dobry Boże, nie sądziłem, że zobaczę ich na żywo - rzekł Gil z zachwytem w głosie. - Wirujący derwisze!

– Chyba Kosecki pokazywał nam coś podobnego.

Taniec zwolnił, pieśń z melodią stały się markotne, między derwiszów wszedł mężczyzna w czarnym stroju i identycznej czapce co oni. Kłaniał się każdemu po kolei.

– Enka, czy ty jesteś wrażliwy na cokolwiek? - zapytał Gil, już bez złości.

– Przecież mówię, że mi się podoba - uśmiechnął się Enka i dodał smutnym głosem: - Tak po prawdzie to nie podoba mi się wcale. Przez muzykę. Inna być chyba nie może, ale... Nie rozumiem jej. Jest w niej jakaś rozpacz, której normalny człowiek nie przeczuje, nim ta go dopadnie i ugryzie w dupę.

Gil na to nic nie odparł, nie musiał, popatrzyli po sobie i wiedzieli już wszystko. Każdy zatopił się w swoim pustym wnętrzu. Zaraz zjawił się poważny Cnota i ich pogonił. Musieli iść.

Muzeum znajdowało się tuż za rogiem, wyjrzeli ostrożnie. Limuzyna stała jak wcześniej, a przy niej prężyło się dwóch ochroniarzy: jeden, znany już z Paryża, ten sam, który odstrzelił głowę Grusznickiego, stał oparty o samochód i niespiesznie kurzył szluga, jego bystre oczy krążyły po oknach i zaparkowanych pojazdach. Kolega był szczuplejszy i bardziej nerwowy, przypominał wykidajkę z dyskoteki, rwącego się do bijatyki. Zaciskał i rozprostowywał pięści, zagadywał kolegę. Ten zbywał go jednym słowem i dalej się rozglądał.

– Co robimy? - szepnął ksiądz doktor.

Na nos spadła mu tłusta kropla.

– Jakoś damy radę. Podejdę z Cnotą. Można by... - Enka zerknął za siebie na drewniany płotek. - Wyrwiemy po drągu i jakoś sobie poradzimy.

– Przecież oni nas znają. Ten jeden na pewno.

– Bo taki to ma pamięć do twarzy!

– A ty pamiętasz Grusznickiego?

Niebo przed burzą zazwyczaj wisi nisko, tu inaczej, oddaliło się, podobne do szarego wiru. Ludzie biegli ulicami, Turek o lasce trącił Cnotę. Ludzie już zniknęli. Enka zerknął jeszcze, żeby się upewnić. Ochroniarze nie byli już tak zadowoleni.

– Deszcz ich wkurwia - orzekł. - Dam radę.

– Znów zaczynasz?

– No co zaczynam? Możemy stać tutaj i moknąć jak oni albo czekać, aż wejdą do rollsa, i wtedy chuja zrobimy. On jest pancerny na stówę. Proszę, sam idź do nich, może ich przekonasz, dasz święty obrazek czy co, człowieku, czasu nie ma.

– Rozwalą cię.

– A skąd. Właśnie, że nie rozwalą. Wymyśl coś sam, jak jesteś taki mądry. - Czoło Enki było gorące i czerwone, krople deszczu zdawały się na nim syczeć.

– Ty byś tylko walił ludzi po pyskach.

– Tu ci się dziwię! Zwyczajnie ci się dziwię, gdzie byśmy byli, gdyby nie to? A kto biegał z karabinem od Ruskich? [\[18\]](#)

– Masz jeszcze trochę takich historii?

Enka już rwał się do płotu. Gil stał przed nim, wypinał kogucią klatę. Tymczasem Cnota przesłał im spojrzenie zarezerwowane dla zidiociałych kumpli i zajął się sobą. Z namaszczeniem zdjął swą piękną zieloną koszulkę ozdobioną logo kopalni „Wieczorek”, ukazując sporych rozmiarów bandzioch, włochatą klatę i kuliste bicepsy. Mokra czupryna lepiła się do czaszki, zmierzwił ją jeszcze. Wepchnął koszulkę cokolwiek zbaraniałemu Gilowi i zaczął wirować, unosząc wysoko ręce. Pamiętał nawet o lewej dłoni, zwróconej ku dołowi.

Naśladował derwiszy, których widzieli przed chwilą, czyniąc to w swoim stylu, nogami ruszał, jakby obracał pannę w tańcu i był o krok od

zupełnie innego obracania. Zawył też na podobieństwo świątobliwych Turków, wydając z siebie jednostajny, wysoki dźwięk, i Gil nie miał wątpliwości: ów górnik, protestant, czciciel Maryi, wiceprezes Towarzystwa Kultury Ezoterycznej „Jezus Maria” i cholera wie kto jeszcze, śpiewał pieśń na cześć swojego Pana. Jak umiał. Nawet Enka zapomniał o kłótni i wybałuszył gały.

Cnota zawył głośniejsze, rozkręcił się tak, że ręce zmieniły się w smugi, i ruszył w stronę węgła, za którym stało muzeum, limuzyna i ochroniarze. Enka spróbował go zatrzymać, skoczył, zanurkował pod żywym śmigłem i chwycił w pasie. Na próżno, ciało mokre od potu i deszczu wysliznęło mu się z rąk. Gil ruszył z odsieczą, lecz nawet nie doszedł górnika - ten już znalazł się za rogiem i szedł wprost na limuzynę.

Enka spojrzawszy jeszcze na płot. Nie zdążył. Więc rzucił się z pomocą, zaciskając pięści, runął na pysk, ledwo osłonił twarz. Z sykiem obrócił się na plecy, wściekłe i zmrużone oczy odwrócił ku księdzu doktorowi, który podłożył mu nogę.

– Ty! - syknął.

Andrzej Gil przyłożył palec do ust. Wolną rękę wyciągnął i pomógł wstać komisarzowi Ence.

Przykucnęli i ostrożnie zerknęli zza węgła. Cnota wirował jeszcze szybciej, wył głośniejsze i bardziej bez sensu, znać, że koncentrował się na sprawach ziemskich. Sunął w swym tańcu prosto na limuzynę. Mniejszy ochroniarz sięgnął do kabury, ten z Paryża chwycił go za przegub. Nie pozwolił. Daj spokój, to wariat, pełno tu takich, rozwalisz go i narobisz ambarasu, mówiły jego oczy. Jeszcze w łeb się stuknął. Mniejszy odpuścił.

Wzięli z dwóch stron rozkręconego Cnotę, skoczyli jednocześnie, jak dwie części tej samej maszyny. Górnik zdawał się ich nie widzieć, wył. Wirujące dłonie błyskawicznie zacisnęły się w pięści, Rajmund Cnota

wyhamował, zarył nogami w pył, ręce opadły idealnie na dwa podbródki, zabrzmiał grzmot i trzask kruszonych kości, ochroniarzy dosłownie odrzuciło, niby szarpniętych przez niewidzialne sznury, mniejszy rąbnął o chodnik, drugi wyrzwał podstawą czaszki o maskę limuzyny i po niej się osunął. Leżeli nieruchomo. Rajmund Cnota opuścił dłonie. Dyszał.

W zalanych wodą oknach pojawiły się zaciekawione twarze. Na ułamek chwili. Taka dzielnica, dziwić się nie ma czemu, być może gdzieś w załomie muru, za płotem, w oknie stłuczonym błysnęły złodziejskie oczy, chciwie skierowane na limuzynę. A może to mignęła butelka, piorun odbity w szkło? Nie wiadomo.

Dopadli go jednocześnie, Enka z Gilem. Ksiądz doktor oddał koszulkę.

– Człowieku, co to było? - Enka ekscytował się jak dziecko. - Przecież to fachowcy, komandosi pewnie...

– No to nie byli na zobowoch w Janowie - oświadczył zadowolony z siebie Cnota. Na klatce piersiowej, barkach wyszły mu grube żyły. Naciągnął mokrą koszulkę. Otarł czoło. Tymczasem Enka odpuścił sobie zachwycanie się morderczą sprawnością Cnoty i zabrał się do przeszukiwania ochroniarzy. Znalazł masę drobiazgu: portfel wypchany liram tureckimi z podobizną Atatürka, jakieś kable, wizytówkę, paszport oraz dwie rzeczy bezcenne, coś, co wyglądało jak scyzoryk wędkarski, a okazało się wytrychem o kilku ostrzach, oraz kluczyki od samochodu. W bagażniku czekało kilka kawałków mocnego sznura, więc skrępowali ochroniarzy jak balerony i usadzili obu delikwentów na tylnym siedzeniu, tak by pozostawali z daleka niewidoczni. W usta wepchali im szmaty.

Gil, choć zachęcany do pomocy, nie raczył jej udzielić, gdyż niespodziewanie poczuł się księdzem. Ksiądz ów zbliżył się do domu Mickiewicza i opuszkami dotknął muru. Cofnął się i zaraz wrócił, przyłożył całą dłoń.

– Zobaczcie!

Cnota pozostał obojętny, Enka podszedł. Dotknął. Mur wibrował jak wiertło, komisarz przyjrzał się, lecz nie dostrzegł śladów drżenia.

– Co robimy? - zapytał ksiądz doktor.

– Chyba niewiele możemy zmienić. - Enka pokazał wytrych. - Gdyby nie ten kolega, wjechalibyśmy do środka samochodem.

Zabrał się do drzwi, wytrych wibrował w zamku, poszło szybko, akurat w chwili, gdy deszcz przeszedł w ulewę.

Znaleźli się w wykuszu tak małym, że Cnota został na zewnątrz, po raz pierwszy zdradzając objawy zniecierpliwienia. Strugi wody spływały mu po twarzy. Enka zabrał się do kolejnego zamka i wściekły stwierdził, że wytrych już nie wibruje, lecz drży jak panienka tuż przed orgazmem, coraz mocniej z każdym ruchem. Więc ruszał nim szybko i precyzyjnie, aż otworzył drogę. Poszedł pierwszy.

Znaleźli się w ciemnym pomieszczeniu. Cnota wszedł jako ostatni, a ledwo to zrobił, drzwi trzasnęły, okna otworzyły się jednocześnie do środka, szkło prysnęło na podłogę, do pokoju wpadł deszcz, wiatr szarpał czarnymi kotarami. Nikt nie śmiał się odezwać, przez wicher brzmiało sapanie Cnoty. Enka uczynił to, co powinien: wyjął powoli papierosa, ubił o drżącą ścianę, zapalniczka rozjaśniła ciemności.

– Co jest znowu, panowie? - Wciągnął dym. - Będziemy się tu modlić?

Gil odpowiedział poważnie:

– Nie. Tutaj nie.

Ściany wydawały się niewyraźne, nie dlatego, że spowijał je mrok, wibrowały na całego, trzask, trzask, obrazy i zdjęcia ześlizgiwały się z łebków gwoździ, regał uwolnił książki, nogi stołu uderzały o podłogę. Kotary unosiły się pod sufit, błysnęło - zobaczyli siebie nawzajem, przerażonych, w srebrze. I poszli, stół rozszalał się, wielki owalny portret

paskudnej matrony roztrzaskał się koło Cnoty, drzwi za nimi trzasnęły znowu, jak echo, z ocalałych szyb poleciało szkło. Gil odruchowo osłonił twarz. Enka zaklął.

Znaleźli się w wąskim korytarzu o białych ścianach, te drżały, pod tynkiem przeszedł kształt niby rybi grzbiet, sufit wybrzuszył się, skrywając drapieżne usta, to było mgnienie tylko, można myśleć, dziwny cień zza ich pleców. Ale kłapnęły naprawdę, lampa rozbłysła i spadła, szli teraz po szkłe i można pomyśleć, korytarz cofa im się pod stopami, Gil aż przyklęknął, dotknął wierzchem dłoni, przeszedł go łagodny dreszcz. I ciepło. Ksiądz poderwał głowę, cofnął się, wpadając na Enkę.

Pędził ku nim olbrzym zgarbiony, o krowim łbie, z łapami szorującymi o parkiet, zbliżał się, by pęknąć i rozpaść się na cienie tuż przed twarzą księdza doktora.

– Złudzenie - rzekł Enka.

Pojawił się dźwięk, coś pomiędzy melodią a warkotem silnika, dochodził ze wszystkich kierunków. Drzwi za nimi znów trzasnęły, raz za razem, teraz waliły o ścianę, obraz spadał za obrazem, nim korytarz dobiegł końca, ściany były puste. Zawirował tynk.

Teraz schody. Miękkie, z błota, prawie nogi w nich grzęzły, dźwięk się nasilił, okno za oknem szło razem z zawiasami, nie było już różnicy, w środku czy na zewnątrz, tak wiało, chłostani zimną wodą wpadającą zza okien otwartych pokoi, wędrowali gęsiego, Enka z przodu, Cnota z tyłu, Gil schroniony między ich siłą, dotknął barierki, chłód aż parzył. Zerknął w dół, podłoga zniknęła, za nimi kotłowały się chmury - tylko upadek po stopniach dzielił od czarnego wiru. Gil mrugnął, nie, to dalej podłoga. Ale inna. Ciemniejsza. Żywa.

Znów korytarz, już szerszy, nie, wyższy, o jasna cholera, jaki wysoki, bo bez sufitu całkiem, jedyne światło szło od lamp niby kuł zawieszonych w

przestrzeni, biły jak serca, samym światłem, skurcz i rozkurcz, mrok i blask. Unosiły się i opadały, Gil próbował dotknąć jednej, uciekła, patrzył, co wyżej, ciemność, ale gęsta - maź lub ściana. Nagle widok na przestrzał, tunel długi jak życie, złe oko na końcu, znów ta szczęka, fioletowy błysk - znów nastał spokój, Gil stał przed drzwiami i trzymał klamkę.

To takie dziwne, przecież szedł w środku, a teraz Enka z Cnotą znaleźli się daleko z przodu, w gruncie rzeczy bliżej było mu do sufitu - gdziekolwiek by był - a do pokoju po drugiej stronie już całkiem blisko. Nacisnął klamkę, zawahał się, ścisnął mocniej, a klamka odpłaciła mu pięknym za nadobne, oplatając mu dłoń mosiężnym węzem. Zabolało. Syknął, a jak tylko szarpnął, ucisk zelżał, drzwi stanęły otworem.

Zobaczył biedny pokój, stęchlizna wdzierała się w nos. Na łóżku leżał siwy poeta, twarz zwrócił do ściany, jakby szukał w niej nadziei, świat go zawiódł, ludzie zawiedli, oddychał ledwo ledwo, zaraz zawiodą i płuca. Po lewej z nieba schodziły zastępy aniołów, z jamy w podłodze wygrzebał się diabeł ubrany jak szlachcic, w kontusz, z szablą u boku, zamiast twarzy miał jamę w głowie, pełną zębów, wąż wił się w miejscu języka, w gadzim łbie płonęły ludzkie oczy.

Diabeł uklęknął nad łóżkiem poety.

Wąż wysunął się z paszczy, polizał drżącą twarz mężczyzny, a ręka diabła powędrowała w kierunku serca. Aniołowie nadciągali, lecz diabeł był szybszy. Gil już zrozumiał, skoczył na pomoc. Nawet nie myślał, co czyni. Drzwi zatrzasnęły się za nim.

I wiatr, cuchnący trupem, owiał twarz księdza doktora.

§ § §

To Rajmund Cnota zorientował się, że Gila już nie ma: moment wcześniej szedł tuż przed nim, teraz przepadł. Tyle było do patrzenia: świecące serca pod nieistniejącym sufitem, krzyże pojawiające się i niknące pod tynkiem, szum deszczu, kły. Cnota wrzasnął na Enkę, trącił go, Enka odwrócił się ku Cnocie.

Zobaczyli księdza doktora, jak znika za drzwiami, wrzasnęli jednocześnie, jednocześnie też ruszyli, ale było za późno, szczęknął zamek, z sufitu zerwał się tynkowy obłok, pył wpadł im do oczu. Enka szarpnął za klamkę, naparł na drzwi, niepotrzebnie, bo otwierały się na zewnątrz, właściwie diabli wiedzą, bo nie drgnęły, jak przyspawane. Kopnął. Wrzasnął, Andrzej! Andrzej! nic. Cnota go odciągnął.

– Tutaj. - Enka wskazał na drzwi obok. Jedne z wielu.

Cnota go nie zatrzymał.

Za drugimi drzwiami muzealny pokój w wibracji, klekoczące obrazy starych kobiet, skaczące łóżko, regał rozchybotany, kwadratowe okno: i na to nałożył się inny czas, czas, w którym były tu proste krzesła i łóżko inne, miejskie, lecz ubogie, z siennikiem przezroczystym niby mgła. Obok starzec klęczał tyłem w surducie identycznym jak ten, który widzieli w gablocie Domeyki, modlił się, lecz bez pokory, jakby do siebie samego. Enka spróbował wejść, nie zdołał. Odepchnęło go na przeciwległą ścianę dokładnie w chwili, gdy stary zaczął odwracać twarz.

– Zostow - poprosił Cnota.

Przemienienie świata.

– ...Jędre! Jędre!

Pokój szpitalnej sterylności, pełen kunsztownie zdobionych mebli, jak miejsce w domu bogacza, gdzie wchodzi się tylko z okazji wizyty gości. Na niego nakładała się klisza kościoła, złoto przeszło w szarość, śpiew w jęk i skrzek. Przed obrazem Najświętszej Pani klęczał mały chłopiec, jak

starzec wcześniej, czyli tyłem, głowę zwiesił, ręce złączył, modlił się całym sobą. Obraz był bogaty w złoto, a chłopiec bogaty w siebie. Madonna trzymała na ramieniu Dzieciątko, nienaturalnie małe, uśmiechała się smutno, mądrze, ta to wie, co w życiu jest grane, pomyślał Enka i znów go odepchnęło.

– Musi tu być! - wył Enka. Cnota szedł za nim. Ku kolejnym drzwiom, były jedne tuż obok drugich, niczym w wielkiej szafie. A za nimi pokoje ogromne - jak ten, który stanął przed Enką. Nie, to piwnica jakiegoś domu, przerobiona, w niej młodzi ludzie z rzadkimi bokobrodami pod młodzieńczym wąsem, w surdutach, półprzeźrocyści, a każdy zniekształcony: jeden z nosem świńskim, inny ledwo nadział buty na racice, temu znów rogi sterczały z kołtunów. Pili coś z kubków. Wznieśli toast:

– Zemsta! Zemsta na wroga!

Szklanice uderzyły o siebie.

– Z Bogiem lub mimo Boga!

– Ej! Ej, wy tam! - ryknął Enka. Ci nic. Płascy, półprzeźrocyści, jeden stał tyłem w płaszczu narzuconym na ramiona, z chudymi dłońmi krążącymi w powietrzu przypominał wampira. Dym z cygaretki owiewał mu głowę.

– Pójdziemy pić krew wrogów. Porąbiemy ich ciała, ukrzyżujemy ścierwa, by nie powrócili. Zawlecemy ich dusze do piekła. Słuchajcie mnie dobrze, to jest możliwe: wydusić nieśmiertelność z duszy, niech szarpie się, niech drapie, kochani, zdołamy.

– Zdrowie!

Kielichy poszły ku górze:

– Zemsta! Zemsta na wroga.

– Skurwysyny! - wrzeszczał Enka.

Stuknęli się mocno, rozchlapując wino. Nagle pojawił się ksiądz, trochę nawet do Gila podobny, wysoki, szczupły, lecz z czarną brodą poprzetykaną pasmami siwizny. Chwycił odwróconego mężczyznę za ramię.

– Co ty mówisz, Adam? Błuznierstwa pogańskie...

Adam, poeta, wzruszył ramionami i od tego wzruszenia rozpadł się, rozmył wraz z księdzem i kolegami. Enka widział teraz ciemność, niewyraźne kształty mebli, przetaił oczy. Gdzieś za nim krzyczał Rajmund Cnota. Nie rozpoznawał jego snów. Wydało mu się, że pokój zmałał, kąty się przybliżyły, niespodziewanie wyrosło okno, zieleń drzew, wpadł promień słońca. Było teraz jasno i biało, ściany się rozbiegły i złożyły w daleki domek. Enka stał w ogrodzie. Aż zatkało go od tej zmiany.

Rdza obsypała drzewa, pierwsze liście opadały na ciemniejącą trawę. Jezioro miało barwę głębokiej zieleni. Świeciło słońce, lecz Enka czuł przejmujący chłód. W jeziorze pojawiła się dziewczyna, niezbyt ładna za sprawą wielkiego nosa i dziwnych, małych piersi; stała w wodzie po pępek. Zaraz pojawił się mężczyzna, Enka wiedział, to poeta, stanął na brzegu, woda obmywała skórzane buty. Dziewczyna ruszyła w jego stronę, stał nieruchomy, a ona rozkrzyżowała ramiona, objęła go czule i mokro, oddał pocałunek i uklękła przed nim.

Drzewa pociemniały, popędziły ku sobie, poeta z dziewczyną zapadali się w siebie, jezioro przemieniło się w drewnianą podłogę, słońce w zgaszoną lampę naftową. Enka stał w pokoju, między widmami mebli: bieliźniarki, biblioteczki, łóżka z kołdrą puchową. Wielki krzyż wisiał na ścianie, jedyne okno pozostawało otwarte, wyglądała przez nie dziewczyna, na oko dwudziestoletnia, całkiem ładna, choć zbyt drobna, by tak naprawdę podobać się Ence. Ręce wpięła we framugi, zaparła się, aż drżały, a powód tego zaparcia był prosty: za nią stał poeta, zadzierał krynolinę i robił swoje,

nawet w jego ruchach było coś poetyckiego. Dziewczyna zaciskała usta i wytrzeszczała oczy, jakby coś bardzo ją bolało.

To takie dziwne - ściany, okno były jak z folii, dziewczyna już wyraźniejsza, a Adam prawie jak człowiek. Enka widział, jak rusza się w niej, intensywnie czerwony członek w widmowej, półwidzialnej pochwie. Dziewczyna odsunęła się z jękiem: - Idzie! Idzie!

Poeta zapiął się błyskawicznie, poprawił surdut, jeszcze sprzedał buziaka, klepnął w tyłek i popędził na łeb na szyję ku drzwiom, czyli ku Ence. Przeszedł przez niego. Enka poczuł przejmujące zimno, w uszach zabrzmiał świst, nadeszła ciemność, w niej burze i wiry.

Dwóch poetów naraz - jeden po lewej, klęczący u stóp dziewczyny, ściskający jej dłonie, cały rozszeptany, jak grzesznik padający na kolana przed księdzem, wokół wielkie zawieszenie, połówki krzesel, ćwiartki lichtarzy. Enka spojrział w prawo i tam poeta rznął na całego szykowną mieszczańkę. W lewo, w prawo, między tymi kobietami było jakieś podobieństwo, być może w innej sytuacji Enka patrzyłby z zaciekawieniem, tak pięści zacisnął i jęknął z przerażenia. Podłoga pod nim zniknęła, wisiał w pustce, pod stopami migotały mu gwiazdy.

Przewalił się kolejny obraz przez gęstą kosmiczną plamę. Dworek cały pobielany, murowany, o dużych oknach, z ganeczkiem jak marzenie. Enka mógł iść, nogi same go niosły, nie wybrał kierunku, nie mógł nic, tylko dotrzeć do okna i przez nie spojrzeć, przyłożył twarz do szyby i przez nią przeniknął. Czuł szkło, jego twardą, śliską powierzchnię, lecz przechodził przez nią jak przez wodę. Wewnątrz stało pianino, sekretarzyk z lustrem, ściany były białe - w cholerę tej bieli, zdumiał się Enka - podłoga drewniana, a na niej wiły się dziewczęta. Trzy. Służka całowała poetę, pani kołysała się na nim miarowo, jakby w rytm fal morskich, tak, brzmiał szum, trzecia, naga całkiem, całowała jego bosc stopy. Tło pękło, został tylko

Adam z kochankami, a za nimi toczyła się walka: grzmiąły działa, żołnierze dźgali się bagnietami, szabla przeszła nawet przez dziewczynę, nie czyniąc jej krzywdy. Kula gwizdnęła koło Enkowego ucha.

To był kościół, ławy przewrócono, witraże w oknach pękły. Wśród rannych i konających żołnierzy, w dymie, prochu, kurzu wojny stał starszy mężczyzna w mundurze generała, lewą ręką oparł się o obrus ołtarza, zaparł się drewnianą nogą, wyciągnął szablę przed siebie i czekał na wroga. Poeta doszedł.

Znów gwiazdy, ciemno, tak ciemno.

Enka na moment poczuł swoje własne ciało, wydało mu się, że gwiazdy płoną w nim, całe konstelacje, mgławice i widma starych słońc rozpalają rękę, brzuch, głowę, serce. Opadło go straszliwe zmęczenie, jakby biegł wiele kilometrów przez czas, przestrzeń, nie mogąc się zatrzymać. Usta wyschły, serce się tłukło, szarpnęło Enką. Dosyć, dosyć, niech to się skończy. W czerni, wśród księżyców, unosił się Rajmund Cnota.

– Wracej! Wracej! - wołał.

Teraz obrazy biegły szybko, migawki, podwójne klisze: kobieta wrzeszczy, wyrywa sobie włosy z głowy, poeta w zimnym mieszkaniu, teraz dzieci krzyczą, jedno, najwyżej dwuletnie, płacze na kolanach wieszczą, ten kołysze je, tuli w dziwnych rozpaczliwych ruchach. Dalej, dalej, Enka pęka, Ence się zdaje, oczy Enki spływają ze łzami po policzkach, tak - poeta klęczy znowu, ale przed mężczyzną o wyglądzie obłąkanego urzędnika, spowiada mu się, drżące dłonie splata jak do modlitwy. Gdzie jesteś, Zbyszku, gdzie twoja blacha, twoja broń, co zostawiłeś w Polsce, do czego wrócisz, skąd wzięłeś się tutaj, w tym domu między światem i czasem? Przecież to Paryż. Znasz. Choć z innych czasów. Poeta maszeruje ulicami, za nim towarzysze i ten facet o wyglądzie

urzędnika, za nimi płonęła ulica, ludzie wznosili barykady. Enka obserwował to z góry, zawieszony na niebie.

– Wracej! - wrzasnął Cnota i Enka poczuł jego dłoń na ramieniu.

I szarpnięcie.

§ § §

– Zostaw mnie!

Omal nie uderzył Cnoty.

– Nie znejdziesz go! Nie tok!

– Zamknij się!

Byli znów w korytarzu, dywan miał barwę krwi, w nim - odcisnięte kopyto. Enka zorientował się, że płacze.

– Jesteś górnikiem, wiesz? Pojebanym górnikiem, co czyta w myślach, wiruje sobie uczepony jakiejś tam prawdy jak gównu dupy. Gdzieś nas zaciągnął, Cnota? Po co? Żeby on przepadł? Przecież ty wiedziałeś, kurwa mać, wiedziałeś, bo widzisz przyszłość w tej swojej głupiej głowie. - Enka zaszlochał. - A przyprowadziłeś nas tutaj.

– Ino Pónbóczek zno przyszłość. Mi jum może pokozoć, ale może tyż zmienić.

Enka się zaśmiał, przyłożył dłoń do ust.

– Wiedziałem, że tak będzie, ja też wiem swoje, też widzę, Rajmundzie Cnoto, inaczej niż ty, ale jest w tym więcej pierdolonej prawdy niż w świętych, z którymi tam gdzieś sobie gadasz. Bóg. Ja czuję Boga, nie przypuszczałem, tak, czuję, że aż serce mi trzaska, poznać Boga i mordę sobie nim wytrzeć. Może On od tego jest, co?

– Wierzysz już w Boga?

– Tak - rzekł zimno Enka. - Wierzę, ale go nie kocham.

Cień przeszedł przez twarz Rajmunda Cnoty.

– Mógłbym teraz z nim pogadać, co mi zależy, posprzątane i tyle. Hej! - rozdarł się. - Jesteś tam gdzieś? Oddaj mi go, słyszysz?! Co ci po nim, masz swoje dusze, swoje wieki, co tam chcesz, kurwa, szlag by z tym, hej! Czemu teraz milczysz! Widziałem anioły! Kopnąłem diabła w pysk, więc teraz mi się pokaż! Nie dla mnie, dla niego, pokaż się i mnie zjedz. Ale jego wypluj. Dla mnie nic, słyszysz?! Zawsze tego chciałeś? Powiedz mi - załkał. - Przynajmniej powiedz, co powinienem zrobić?

– Przestoń! - ostrzegł Rajmund Cnota.

– O to ci chodzi, co? Żebyśmy rozpruwali siebie dla innych, więc proszę, bierz, a jego zwróć. A jeśli nie zwrócisz, powiedz, jak mam żyć dalej. To jedno, jedno słowo. Dla twojego Zbyszka. Czy kiedyś chciałem coś dla siebie? Po co to było, po co dom dziecka, idiotyczne studia, lata żarcia się z Grulą, myślałem, po to, by go spotkać. Nie byłem sam, przestałem być sam. Znalazłem cel. I co, sam będę to ciągnął? Wiesz, że przegram. Wiesz to, więc nie będę sam.

Podcięło mu nogi, kucnął, podparł się ręką. Uniósł głowę i pięść.

– Dooość - zawył Cnota.

– A może będziesz zsyłał kolejnych księży, sługi Twoje, szlag ich trafi przeze mnie i za mnie, oni będą umierać, ja trwać, starszy, słabszy, głupszy, nie wiedzieć po co, nie wrócę do starego życia, nie mam nowego, zabrałeś, wziąłeś, oddaj - ryknął. - Oddawaj! Bo przejdę w ciemność! Znam, będę jej służył. Diabeł nic mi nie zabrał, więc może, o kurwa, pierdolone życie, kurwa mać, nie oddasz, to pójdę do diabła. Czym się różnisz od niego? Kłamstwa. Łżesz nam od początku, bo przecież nie ma żadnej walki, ja powiem, kurwa, oddaj albo powiem tutaj, kim jesteś naprawdę. Nie miłością, nie troską, nie ojcem. Nie...

Rajmund Cnota zatkał uszy.

Zbigniew Enka, wygięty na podłodze, jakby przetrącili mu kręgosłup, powiedział coś jeszcze. Dwa lub trzy słowa. Wyjęczane, żółć, krew, rozpacz.

Bezgłośnie otworzył się sufit, odsłaniając wir skłębionych chmur, kolumna światła ogarnęła Enkę, ten nawet nie wiedział, co jest, zaślepiiony przez łzy. Szarpnęło nim, przeszedł dreszcz, odgiął głowę, już unosił się nad ziemią, coraz szybciej, rozłożył dłonie, policzki mu schły. Pędził wprost w wir, a nim ten go pochłonał, Enka poczuł jeszcze słabe szarpnięcie.

To Rajmund Cnota chwycił go za nogi.

§ § §

Pokój wibrował - przemienił się też zupełnie. Była to izba o ciemnych ścianach, biło wilgocią i zapachem starości. W rogu stało żelazne łóżko okutane kapą, kiedyś białą, teraz żółtą i podziurawioną, był jeszcze stolik z papierami, lustro, umywalnia; lustro zaplute, z tego wszystkiego, z tej smutnej przestrzeni konania, wychodziły diabły w garniturach, kontuszach i surdutach, o twarzach bezbłędnie obojętnych, ruszały się wspólnym rytmem, lecz jeden przez drugiego.

Z góry spływali aniołowie w zbrojach, o skrzydłach niby pierzaste żagle, włosach białych lub złotych; twarze mieli pociągłe. Sunęli powoli, czwórkami i dziesiątkami, w kobiecych dłoniach dzierżyli miecze. Oczy były utkane ze światła, usta czerwone, rozwarte - napięcie rozsadzało te piękne twarze.

Anioły i diabły wychodziły naprzeciw siebie, sufit zmienił się we wzburzone niebo, za oknem siekł deszcz, biły pioruny, przemknęła dorożka ciągnięta przez oszalałe ze strachu konie. Pośrodku pokoju, dosłownie, bo

metr nad ziemią unosił się człowiek o białych włosach i twarzy, w białej koszuli, czarnych spodniach, z których wystawały włochate nogi - wyglądał jak uciekinier z przedwojennego filmu. Unosił się i upadał, jak w gęstej cieczy, wypychany nieznaną siłą, a wokół niego wirowały kartki. Zapisane i puste. Słowo poety zapełniało je same, wykwitwały rzędy liter bez pióra, bez ołówka.

Nie mogli dostrzec jego oczu, wokół gorzejącej głowy wirowały białe glisty włosów. Pierwszy rząd aniołów ruszył na poetę, schwycić, do ziemi przycisnąć, rozszarpać *Księgę piątą*. Nie doszli, jakby uderzyli o nieprzenikalną sferę, faktycznie, wokół wieszczą powietrze drżało mocniej, polecili do tyłu, z pełnym rozczarowania westchnieniem, na swych pobratymców.

Z dołu brzmiał syk. Diabły usiłowały ściągnąć ku sobie poetę, za stopę, nogawkę, dłoń. Próbowaly schwycić choćby którąś z wirujących kartek. Na próżno, odbijały się od sfery. Więc spróbowały głosów: szeptów, zawodzeń, kobiecych jęków, brzęku monet, gwizdu wiatru na szczycie świata, warkotu ciężkich pszczół. Znów nic, poeta nie słyszał. Poeta tańczył.

Zobaczyli go w trzech miejscach jednocześnie.

Tu, w pokoju, rozpoczynał ostatni etap tańca. Kartki rozświeślały się po kolei w złocie i srebrze. Płynęły po nich słowa. Pokój dygotał, piorun za piorunem, było jasno jak w dzień. Poeta rozłożył dłonie, kręgosłupem szarpnęło, wygiął się w ostry łuk, wreszcie błysnęły oczy. Rozprostował palce.

Tu, w salonie, otoczony kobietami, w towarzystwie starego oficera.

– Nie należało Warszawy oddawać - rzekł. - Lepiej już zginąć, zagrzebawszy się w jej ruinach.

Tu oficer podniósł siwą głowę.

– Byś pan, panie Mićkiewicz, mógł usiąść z lutnią na ruinach i opiewać zgliszcza?

Tu, w sali koronacyjnej pod wielkim złotym orłem, poeta założył sobie na głowę czerwoną koronę. Miał płaszcz w szkarłacie, a na nim roje pszczoł z kruszcu i szlachetnych kamieni. Obok niego stała kobieta, którą Enka znał: kochanka z Paryża, poznańska studentka, Ksawera Deybel. Koronowany poeta nałożył jej diadem. Miała świeżo wyrwane paznokcie, krew kapiała powoli, lecz jej twarz nie zdradzała bólu. Spoglądała spokojnie, nawet z zadowoleniem, i Ence wydało się, że go rozpoznała.

Tu, u stóp tronu, klęczał półnagi tłum. Pochylały się owrzodzone głowy, na plecach czerwieniły się smugi po świeżych ciosach biczem, Enka z Cnotą widzieli pięty odarte ze skóry, las kikutów pozdrawiających nowego pana, kobiety miały zwęglone piersi, z rozprutych brzuchów wylewały się wnętrzności. Sunęły niżej, dalej od tronu. Dzieci kroczyły spięte łańcuchami, a między nimi brzmiało Słowo.

Tu wojna - poeta spoglądał ze swojego tronu, gnał miliony do boju swoją pieśnią, lecz za te miliony nie cierpiał, lód, a nie człowiek, sopel wywyższony. Pod nim kłębili się żołnierze przeciw żołnierzom, ściśnięci, jak diabły i anioły obok. Brzmiał szcęk broni, jęki mordowanych, dym poszedł w niebo, świeciło przezeń słońce, które choć stało w zenicie, z wolna stawało się czerwone. Krwawe obłoki biły wysoko, całe fontanny tryskały na żywych, umarłych i konających: fruwające głowy, czeznący w błocie, ludzie-rycerze, ludzie-robaki, wszyscy sprzęgnięci z pieśnią i wojną poety.

Poeta podniósł się z tronu, dał sygnał i wypowiedział Słowo. Nowe zastępy ruszyły do boju, błysnęły szable, huknęły karabiny, pociemniało od pyłu. Zwarli się znowu, na śmierć i bez jeńców, poeta powoływał nowe zastępy w miarę wykruszania się starych szeregów.

Pojawiła się pielgrzymka dzieci, z dwójką młodych na przedzie: chłopcem w stroju wieszczka, chłopcem w stroju księdza. Pierwszy niósł księgę, drugi krucyfiks, za nim niekończący się sznur brudnych główek. Zmiotły ich działa.

Tu walczono na polach i w miastach: strzelano z piwnic, psy obciążone prochem wpadały we wrogie szeregi, kobiety, dzieci wyrzynały języki i prącia, kobiety lały wrzątek z wyższych pięter prosto na głowy żołnierzy. Walczono na bezdrożach i w kościołach, płonęły krzyże i ołtarze, ławki potrzaskano, cięto się nawet szkłem z witraży. Walczono na wsiach, wśród gór, ludzie wpadali w wilcze doły, skrępowanych, pobitych palono w stodołach.

Tu poeta powiedział Słowo.

Tu Słowo stało się Ciałem.

Tu Ciało stało się Krwią.

§ § §

Marek Nejman tańczył w otoczeniu aniołów i diabłów; przypominał ożywiony pomnik lub golema. Ruszał się niesłychanie płynnie, wciśnięty w półszczelną sferę kartek. Dotykał ich kolejno, czytał w ich rozbłysku, ruszał wargami, a jego oczy nie mrugały. Ani razu. Otwierał je szerzej i szerzej.

Gil zobaczył go całego w jednej straszliwej chwili.

Tu ślub, Nejman był szczupły, niemal strzelisty, a dziewczyna po prostu piękna mimo wydatnej zuchwy i garbatego noska, piękno przenika ją do kości, wylewa się w spojrzeniu i uśmiechu. Nejman pracuje. Nejman pracuje więcej, Nejman zmienia się w papier do podpisania, w konferencję, raut i giełdę, a jej już nie ma. Trzasnęły drzwi. Nawet w tej chwili była piękna, jego świat spochmurniał, przeszedł w czerń.

Nejman obracał dwie dziwki, wciągał kokainę z gołych tyłków i biustów, pił na umór najlepsze alkohole, tarzał się w pieniądzach, jego twarz była maską o wilgotnych oczach. Czasem stawał w oknie i patrzył na deszcz, czasem to okno otwierał, przechylał się, patrzył na uliczny ruch, noga już rwała się na parapet. Tylko głowę wystawiał. Chciał, żeby mokła.

Prosty pokój przesłuchań i dwóch jeszcze prostszych funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa; Nejman raportował bez mrugnięcia okiem, podpisywał co trzeba, będąc zarazem zupełnie gdzie indziej. Biznes, donosy, dziwki nie zapełnią pustki. Zabiłby, żeby znowu żyć.

Pierwszy wykład o Mickiewiczu, Nejman poczuł pierwsze słabe drżenie. Mówiła starsza kobiecina z paskudną trwałą, w zbyt wielkich okularach, brzydka, nudna, lecz jej słowa kryły prawdę, której Nejman szukał. Serce biło inaczej - w tym przerażającym świecie pojawiła się odrobina światła.

Młody ponownie, jeszcze dłonie słabe, jeszcze oczy gorące; na wieszakowatych ramionach tanie ubrania, za obszerna koszula, spodnie chyba po bracie, a Nejman zasłuchiwał się cały, wodził błyszczącymi oczyma, chłonał opowieść o słowach poety.

Nejman koło trzydziestki, w towarzystwie Doparda. Między nimi stół. Dopard opowiadał o Malickim, pomagając sobie dłońmi w tej opowieści o tańcach i cudach. Twarz wydawała się za mała dla tej historii, napięta skóra chciała uwolnić kości, nagle Dopard nalał wódki, wypili. A potem sięgnął po notatki profesora Malickiego.

Nejman, nagi, jeśli nie liczyć szortów i gumowych rękawiczek, rozkładał kartki na stole, wedle pośpiesznie nakreślonego schematu. Garbił się, oczy lśniły jak dwie gwiazdy. Pocił się cały, już prawie wiedział, co trzeba zrobić, nagle westchnął z rezygnacją i schował kartki do srebrnej koperty. Znow stanął w oknie, z drinkiem na trzy palce. Deszcz zalewał pokój i jego.

Już po tańcu. Nejman jest królem świata. Drzewa zmieniły się w maszyny, ludzie ruszali się jak roboty i mieli straszne, blade twarze - Nejman nie wyzwolił się z pustki, lecz sprzedał ją światu. Wszędzie rosły wielkie budynki o opływowych kształtach, nie było barw poza szarością i srebrem, a on spacerował w drogim garniturze, jego Słowo wskrzeszało, mnożyło pieniądze, budziło armie, wszystko jednak na próżno. Nejman wędrował jako władca świata, władca, który naprawdę niczego nie posiada.

Ostatnie piętro najwyższego budynku, Nejman stał w deszczu i spoglądał w dół, na tłum robotników w jednakowych ubraniach, o tuszy i wzroście też jednakim. Miał szary, prosty uniform i trzy jednakowe twarze. Wyzierała z nich groza. Dłonie zacisnął na barierce. Wypowiedział Słowo i świat zaczął drżeć. Rozkołysało się blade słońce.

– Bądź wola moja - rzekł Marek Nejman.

§ § §

Widzieli Mickiewicza, jak zaczyna jaśnieć, mocniej z rozbłyskiem każdej kolejnej karty. Mruczał, zawodził połamaną pieśń. Diabły szeptały, roztańczyły się z poetą. Pierwszy ruszył Enka.

Bez poczucia dziwności. Bez rozczarowań i zaskoczeń, rozrywającego poczucia straty, nagle Zbigniew Enka złożył się w sobie, cudownie naturalnie: był Enką w Ence. Policjantem o silnych, choć nadwyręzonych ramionach. Pełnym nałogów i gniewu. Gliną. Psem. Mordobijcą. Jeszcze zerknął ku górze, na skłębione chmury, których być nie powinno - skoro już wierzę w Ciebie, milczący Boże, pozwól mi Cię pokochać, niech umrę, Cię kochając. I poszedł przywalić poecie, pozbawić przytomności, prosto w kłęb kartek, tylko przeczuwając, że losy świata *zależą* od precyzji ciosu, siły pięści.

Aniołowie unieśli się w nadziei, syk gniewu poszedł ze strony diabelskiej. Enka szedł, nie patrzył, mogli go w dupę cmoknąć, bo był teraz, w tej chwili, tylko policjantem, poeta szaleńcem z bronią, co świat spopieli, inną bronią niż wszystkie, ale on, Zbyszek Enka, już wierzył. I uderzy - dokładnie w brzuch, szybki, mocny cios przez sferę, powinno zgiąć skurwysyna, wtedy za łeb, do ziemi, rękę wykręcić i będzie po tańczeniu.

Uderzył, odepchnęło, poleciał między diabły, telepiąc się, jakby prądem dostał - chcieli go pochwycić, lecz Enka nie czuł już strachu, odwrócił się, był potężny, nie tknęli. Ruszył na poetę ponownie, tym razem z rozmysłem, chciał uderzyć od dołu, przebić sferę i szarpnąć za nogi. Nie wyszło, tym razem odepchnięcie było mocniejsze, aż w powietrze się uniósł, runął na plecy, nie czuł bólu. Rzucił okiem na aniołów: w zbrojach, ze skrzydłami powinni wyglądać na uciekinierów z kościelnego baletu albo postacie z jasełek. Czuł ich siłę wbrew temu. Zrozumiał, że nie może ich zobaczyć inaczej, tamten świat pojawia się w formach tego świata, zresztą chuj z tym, diabły były zwyczajnie straszne, a trzeba było pokonać poetę.

Więc uderzał i padał, bez strachu czy zmęczenia, oblewał go pot, krew biła do oczu, tak że świat stawał się czerwony, coraz więcej rozświetlonych kartek, coraz więcej mocy, słowo Słowem się dzieje - więc Enka bił, pióro nie może być potężniejsze od pięści. I słabł. Z każdym ruchem ciało odchodziło w słabość, tylko gniew płonął, lecz nawet w tej wściekłości Enka zaczynał rozumieć, że nie podoła - poeta był kimś wielkim, dużo ogromniejszym niż on, policjant, do tego między światami rozpiętym. Pięść musiałaby trafić i ciało, i duchy, tego nie zdoła zrobić, właśnie przez złość. I nie tylko. Przypomniawszy sobie ludzi, których zlekceważył, oszukał, złamane serca, porywczność, wódkę, żądzę - w czym tak naprawdę jestem lepszy od tego faceta? Czy wiele musiałoby się zmienić, żeby to on mnie powstrzymał? Ta myśl podcięła mu nogi. Zbyszek Enka upadłby, lecz

powstrzymał go Rajmund Cnota. Łagodnie i stanowczo, potem poszedł, straszny, śmieszny i święty zarazem, w przepoconej koszulce kopalni „Wieczorek” i z piąchami niczym bochny. Twarz jego była czysta, wzrok pozbawiony gniewu. Enka zrozumiał, czemu nie podołał - tylko człowiek czysty, pozbawiony pychy lub pragnienia zemsty zdoła przejść przez sferę. Aniołowie zastygli, diabły zawyły ze zgrozy, a Rajmund Cnota jednym ciosem zaciśniętej pięści wepchał ostatnią błyszczącą kartkę prosto w bezzębne usta poety.

Aż dziwne, że głowy mu nie oderwał, pięść weszła w gardło po nadgarstek, trzasnęły kości, ciałem jeszcze skurcz przeszedł, nogi się splotły ze sobą, zakrwawiona głowa opadła, runął i Mickiewicz, wybita szczeka nadała jego twarzy wyraz głupkowatego zdziwienia. Zdaniem Enki, zmarł, nim rąbnął o ziemię.

Z przeciągłym gwizdem anioły uniosły się ku niebu, diabły poleciały w dół, ku jamie pełnej lawy, wszystko zniknęło - nad trupem poety stał Rajmund Cnota.

Komisarz Enka zrobił chwiejny krok. W ustach pojawił się słodki smak. Jak cukierek.

Po nim przyszła ciemność.

§ § §

Na ziemi leżała kartka. Podniósł ją przekonany, że to zagubiony fragment *Części piątej*. Nie. Był to schemat, kilkanaście nazwisk połączonych skomplikowanymi liniami, w wielu kolorach. Czujka. Janowska. Gódlewski i inni, wszystkie ofiary tanecznego eksperymentu. On naprawdę to zrobił, pomyślał Gil w przerażeniu, rozesłał, zabrał. Teraz sam tańczy, Boże, on miał rację, wie już, jak to zrobić.

Pokój wypełniał wibrujący śpiew Nejmana. Drżał, jak wcześniej tekst na kartce, na skórze wykwiwały, by zaraz zniknąć, złote plamy. Kartka za kartką przesuwały się przed jego oczyma, dotykał ich, znajdując właściwy ruch i słowo. Sprawiał wrażenie, że ktoś go nakręcił, a każdy kolejny krok wynikał z poprzednich; nie mógł być inny. Nejman zawodził wysokim głosem, pełnym cierpienia i tęsknoty. Diabły mu wtórowały.

Aniołowie spoglądali na Gila z rozpaczliwą nadzieją. Oto świat zaraz się przemieni w wielką maszynę, taniec to wielkie kłamstwo, zasłona, za którą nie ma nic poza cierpieniem. Białe dłonie wyciągały się ku Nejmanowi, ale nie mogły przebić sfery. Gil drgnął. Nie zrobił jednak kroku.

Nejman widział go dobrze i nawet się uśmiechnął - chciał mieć świadków swojego przemienienia, pierwszego ucznia, króla niewolników. Jego drżenie stało się szybsze, nogi śmigały w powietrzu, wirowały smugi rąk i tylko oczy pozostawały nieruchome, niby wzięte z innego świata. On to zrobi. Naprawdę to zrobi, taniec dobiegnie końca, pomyślał ksiądz doktor.

Najpierw przypomniał sobie o benzynie, już trzymał ją mocno - żółty plastikowy pojemniczek. Potrząsnął. Nejman uniósł się jeszcze, rozedrgany i mocny, naprawdę tańczył, zawieszony w połowie drogi między człowiekiem a aniołem. Gil rozlał benzynę w okrąg. Teraz zapalki. Przeżegnał się, trzy słowa modlitwy, uklęknął i podłożył ogień, płomień pomknął na spotkanie z samym sobą.

- Dusze czyścicowe! - zaczął Gil drżącym głosem. - Gdziekolwiek jesteście, w wodzie lub ogniu, przyjdźcie tutaj - zorientował się, że krzyczy, krzyk ten ginął w diabelskich gwizdach, pieśni Nejmana, anielskim zawodzeniu. - Spieszcie, spieszcie do gromady! Gromada się tutaj zbierze! I jałmużnę mam, modlitwę, pokorę, jeść, jeść, jeść będziecie.

Ręka sama poszła do kieszeni, posypało się ziarno.

Zacisnął palce na medaliku ze świętym Benedyktem. Metal był ciepły. Nejman nie zwrócił uwagi na ogień, już drżał cały, łącznie z głową, płonęły niebieskie smugi oczu. Za to diabły odwróciły głowy, jedno po drugim węzowe ślepia wbiły się w księdza doktora. Znał je i dlatego bał się bardziej. Wydawało się, że skoczą, kucały niczym zwierzęta, wyciągały ku niemu ostre pazury. Gil zmówił modlitwę i krzyknął znowu:

– Gromada się tutaj zbierze! I jałmużnę mam, modlitwę, pokorę, jeść, jeść, jeść będziecie!

Nejman wreszcie go usłyszał, nie przestał tańczyć, zwrócił się w jego stronę, wyciągnął ręce; wyglądał jak kolejny diabeł, cały rozmazany. I wtedy ze ścian wypadły ogromne białe ptaki, cała pierzasta chmura, pokój wypełniło wściekłe bicie skrzydeł, zagłuszając wycie, śpiewy, jęki i modlitwę księdza doktora. Dzioby jak kły, haki pazurów, wściekłe ludzkie oczy - Poszukiwacze zabici podczas tańca wracali upomnieć się o Nejmana, student, nauczyciel, poeta, stara wariatka, Gil widział ich prawdziwe cienie, momenty śmierci: poderżnięte gardło, wyłupione oko. Widmowi wszyscy, przezroczyste pióra, wodne oczy, tylko pazury, dzioby prawdziwe i mocne. Nawet trzepot brzmiał ulotnie, jak chmura świstów z innego świata.

Gil dostrzegł Ksawerę, poznał ją natychmiast.

Mimo że była sową. Unosiła się w powietrzu nad ptakami, machnięciem skrzydeł wybijała się wysoko, by powoli opaść niemal nad samą ziemię. Nienawistne spojrzenie utkwiała w Nejmanie. W podmuchu powietrza szły słowa: *Nawet do nieba nie chcę, do piekła już prędej, byle duszę uwolnić, byle tutaj już nie tkwić, dwa wieki, skurwysynu, to prawie dwa wieki, ile się już błąkam? Ile tej pokuty? Co mam, dawnej szkarady pamiątki, od wschodu do zachodu, od zachodu do wschodu.* Wznosiła się, opadała. Gil się przeląkł.

Przeląkł się, bo zrozumiał, Mickiewicz nigdy nie umarł do końca, pozostał w swoich *Dziadach*, a przez to nie mogła odejść kobieta, która mu je dyktowała, wiedźma, kochanka, wcielone nieszczęście wielkiej miłości. Zobaczył jej twarz, wcześniej widywał ją w snach, a Enka przecież zobaczył ją na jawie, więcej, niż zobaczył. Nieszczęsna dziewczyna, nikt nie jest aż tak zły, by cierpieć ponad dwa życia między światem żywych i umarłych. Zawieszony między słowami a pragnieniem władzy, oszukany przez ukochanego.

Ksawera obracała oczy ku ptakom, mknęły na jej rozkaz, otarły się o sferę, nie przebiły jej, zatoczyły pętle, atakowały teraz trójkami, w milczącym, wściekłym rytmie. Oczy sowy obróciły się ku Gilowi, były teraz ludzkie; a wdzięczność ich już na pewno.

Szum ptasich skrzydeł, pisk składał się w słowa zlane w jeden żal, przemieszane i czytelne zarazem. Gil struchlał. Nejman nieruchomiał. Nagle, w połowie tańca. Kartki opadły.

– *Me znałeś litości, panie! I my nie znajmy litości, szargajmy ciało na sztuki, niechaj nagie świecą kości.*

Najpierw kartki - poszły w strzępy pod pazurami, anioły zniknęły w świetle, diabły w jęku rozczarowania, pokój pociemniał, Nejman znieruchomiał i spróbował zatańczyć znowu, już bez wzoru i słów, wykonując ostatnie, straceńcze ruchy na oślepe, jak starzec, któremu nagle wytrącono kule z rąk. Opadł, zawył - kolano trzasnęło, klęczał teraz, zalany łzami i drżący. Ptaki spadły na niego, pazury wpiły w przedramiona, uda, dalej, rwały mięso do kości, rzeczywiście, Nejman w okamgnieniu zrobił się czerwony. Biły w twarz, oderwały wargę, wrzasnął, próbował się opędzić, wreszcie skulił się, przycisnął ręce do oczu, żeby choć je ochronić - szybciej niż szept, niż najkrótsza modlitwa ręce obdarto do kości. Już nie

miął siły. Zacisnął kolana, by ochronić krocze, i skulił się na ziemi, odsłonił bok, pośladki, plecy. Niemal zniknął pod chmurą piór. Ogień dogasał.

– Precz, jeśli chcecie pomocy! - zawył Gil. - Precz! W imię Boga Ojca, w imię Jezusa Chrystusa, w imię Ducha Świętego, precz! Zostawcie nas w spokoju!

Najpierw ptaki znieruchomiały, z krwią na pazurach, mięsem w dziobach, jeden, największy, siedział na barkach Nejmana. Przekrzywił głowę, mrugnął okiem. Wydawał się zwyczajny. Raptownie wzbił się w powietrze i zniknął w ciemnościach sufitu. Za nim poszły inne, została tylko Ksawera, już przeźroczyta, nieruchoma, jak wypchane zwierzę. Z najwyższym wysiłkiem obróciła głowę, oczy były czarne i ślepe i być może tylko Gilowi wydało się, że widzi w nich jakąś wdzięczność, zdziwienie, że rzeczywiście nastął koniec.

Za to sam pokój się przemienił - ściany zbiegły się ku sobie, okno zmałało, przybyło sprzętów, nie, to nie był żaden pokój, lecz zwykła komórka na szczotki, teraz cała czerwona od krwi Nejmana.

Dłonie i przedramiona miał ogryzione do kości, przez wyrwane policzki Gil widział zęby. Rozszarpano mu plecy, wyrwano mięso z ud, stracił ucho, część nosa, barki zmieniły się w wielką ranę. Oczy ocalały. Leżał nieruchomo i w pierwszej chwili ksiądz doktor myślał, że Nejman nie przeżył. Spróbował zmierzyć puls na nadgarstku, cofnął się, przyłożył dłoń do szyi.

– Żyje - powiedział i zdziwił się, że tak głośno. Zrobił znak krzyża. Podziękował Bogu i wszystko nagle do niego dotarło. W jednej chwili. Co ważniejsze, Zbyszek czy Nejman, pędzić po pomoc czy szukać przyjaciela? Jak wyjaśni wszystko, co tutaj się stało? Zdecydował, popędził ku drzwiom, przeskoczył przez dogasający ogień.

Przypomni  sobie, potem b dzie za p zno - drz cymi d onmi pozbiera  Nejmanow   wi to , rozdziobane kartki *Ksi gi pi tej*. Nie spojrze  nawet, sennym krokiem wr ci  i cisn  je w ogie , po kilka naraz,  eby dobrze si  paliły. Nim Gil zd rzył po alowa , ogie  obj  je i spopieli .

Sowa zapadała si  w kuli  wiatła. Jeszcze mign  cie  kobiety i Gil nie wiedzia , dok d odeszła, ledwo podni sł g ow . Piekło? Niebo? Ciska  kartki do ognia. Wszystkie. Prawie.

Poza t  jedn , ktor  w ostatniej chwili schowa  do kieszeni.

§ § §

– Enkaaa!

Napar  barkiem, drzwi nie drgn y. Tak  dlatego,  e otwierały si  do  rodka. Pomieszczenie by o tak w skie,  e dotkn by  cian, gdyby rozpostar  d onie, pop dził ku małe kiemu oknu. Wychodzi  na podw rko, puste, z cieniem g odnego psa w przeciwneg ej bramie. Wrzasn  znowu, lecz nikt nie podszedł do okna.

Musia  przeszuka  Nejmana, ten to na pewno ma klucz, wzdrygn  si  - gdzie jest Enka? I Zbyszek nagle si  zjawi , konkretnie: run  wprost z ciemnego, niewidocznego sufitu, jakby wypadł przez nieistniej c  bram . Otwiera  oczy i wrzeszcza . Os oni  twarz i niezawodnie prasn by o ziemi , gdyby nie Nejman, który z agodzi  upadek.

Gil znieruchomia .

Komisarz by  zwawy, lecz obolały. Wsta  na kl czki. Potrzasn  g ow .

– Andrzej? Ty... Ju  po wszystkim? Co?

G owa ksi dza Gila, u miechni ta od ucha do ucha, szykowa a si  w asnie do radosnego potakni cia, gdy z tego samego miejsca, gdzie wy ej, run  Rajmund Cnota, przypl szczaj c Enk  do ziemi. Enka j kn 

tylko i wytrzeszczył oczy, spróbował Cnotę z siebie zrzucić, lecz ten wygramolił się do pionu bez niczyjej pomocy.

Omiótł wzrokiem skołowanego Gila, obolałego Enkę, Nejmana we krwi, cały schówek. Uniósł głowę ku sufitowi, który nie był już czarny, lecz zwykły, brudny jak cały Istambuł.

– Pieruna - powiedział.

Epilog

Był sierpień, lecz Wisła śmierdziała jak zaraz po wiankach. Przy stolikach starzy ludzie grali w szachy, pionki przesuwwały się leniwie pod słabnącym słońcem. Czasem błysnął płomień zapalniczki. Dym niósł się w kierunku wody.

Enka miał koszulkę polo i bandaż na dłoni, z papierosem radził sobie już sprawnie, za to na twarzy przybyło mu zmarszczek. Gil zeszczupeł, szara koszula zwisała na wąskich ramionach; wyglądał młodziej, choć posiwiął.

– Czego nie rozumiesz? - zapytał.

– Tego, że zawsze nic nie rozumiem. Idziemy gdzieś. Są trupy, niby wszystko się kończy, a ja zostaję sobie ot tak, z pustym łbem i rozłożonymi dłońmi.

Rzeczywiście, dłonie rozłożył, spomiędzy palców wysunął się niedopałek. Dymiłby tak, gdyby ksiądz doktor go nie rozdeptał.

– Co tu do rozumienia? Zawsze jak pojawia się coś cennego, a tekst Mickiewicza niewątpliwie był cenny jak diabli, tworzy się popyt. I popyt generuje takiego Domeykę, który bierze się za handel, swoich potentatów w rodzaju Nejmana i zwykłych zbirów, jak Grusznicki. Niektórzy zabijają. Inni zapłacą każdą cenę.

– Co ma piernik do wiatraka? Grusznicki zabił Indiankę, zabił Domeykę, a jakoś nas nie chciał ruszyć.

– Mówisz, jakbyś ludzi nie znał. - Gil wzruszył ramionami. - W opinii takich jak Grusznicki, Domeyko był kupcem, kimś niegodnym, a Indiankę

sam sobie dośpiewaj. Przeszkoda. Zawalidroga. My byliśmy z tej samej bajki co on. Takich ludzi, sam wiesz, Zbyszek, się szanuje.

Otóż głównie prawda, chciał powiedzieć Zbigniew Enka, lecz się nie odezwał, świadom, że jego głos zginąłby w emeryckim zgiełku. Chudy staruszek w okularach gwałtownym ruchem zmiotł figury z szachownicy, wyciągnął patykowaty palec i wrzasnął na kolegę:

– Ty ubeku!

Kolega nie pozostał dłużny, walnął w stół brązową piąchą i ryknął głosem zranionego wielbłąda:

– Oszołom! Oszołom pierdolony!

Enka się roześmiał.

– Myślisz, że świat jest sterowany? Chodzi mi o Nejmana. O Ksawerę, o to wszystko. O Warszawę, wcześniej.

Nie doczekał się odpowiedzi - Gil smętnie patrzył na Wisłę - więc pytał dalej:

– Czemu Cnota?

Tu Gil się ożywił, nie tak jednak jak emerycy, którzy mimo dzielącego ich stolika i interweniujących kolegów próbowali przejść do rękoczynów. Jeden tylko, z czaszką łąsą i błyszczącą jak kamień wyslizgany przez wodę, usiłował zbierać figury szachowe.

– Cnota jest naprawdę święty. Tak sędzę - rzekł Gil. - Nejman zawisł między światem ludzi i duchów. Tam też żyje Cnota, bo chyba nie masz wątpliwości, że on naprawdę rozmawia z aniołami. My nie daliśmy rady. - Złożył usta jak do splunięcia. - My wciąż jesteśmy blisko ziemi. On uratował mu życie.

– Nejmanowi?

– No jasne. Świat albo jego życie. Pomyśl o tym czasem, Zbyszek. - Wyciągnął dłoń, jakby chciał położyć mu ją na ramieniu, ale zaraz cofnął. -

Po prostu pomyśl.

Zbyszek Enka pomyślał, lecz nie doszedł do żadnych wniosków. Emeryci co prawda umilkli, lecz zgiełk dobiegał teraz z pobliskiej ławeczki. Siedziało tam dwóch nastolatków, pili piwo „Van Gerst”, takie w białej puszcze, jakie biedacy kupują w dyskontach. Kłócili się zawzięcie o wyższość Cypress Hill nad Kingiem Diamondem. Enka rozpoznał, bo dzieci Gruli interesowały się czymś podobnym.

– Ciszej tam, prawiczki! - rozdarł się któryś emeryt.

– Kiedy ją zobaczyłem po raz ostatni - Gil miał na myśli Ksawerę - zrozumiałem coś bardzo ważnego. W tym świecie zatrzymał ją Mickiewicz, który nie umarł do końca. Żył w *Piątej księdze*, ona też była z nią związana. Księga przepadła i nie ma Ksawery.

Coś ukłuło komisarza Enkę. Lekko, ale w serce.

– Dokąd?

– Nie wiem.

Kolejne pytanie. Szybko:

– Nie żal ci tego tekstu? Że spłonął?

Gil roześmiał się, płytko i nieszczerze. Dyskusja muzyczna za ich plecami wyraźnie się zaogniała. Słońce zniknęło za białym obłoczkiem.

– Tak. I nie - dorzucił gorzko. - Taki Nejman na przykład. Człowiek ma w sobie pustkę. Nie zasypie jej cudzym odkryciem. Ani cudzym sercem.

– Pięknie mówisz, Jędreku, ale jedną kartkę wzięłeś.

Gil zrobił minę niewiniątka.

– Kosecki habilituje się na tym bez problemu - odpowiedział.

Diskusja muzyczna przeszła w ciosy i zaraz ustała - nieudolnie wyprowadzony cios nie trafił w szczękę, lecz w piwo, żółty płyn rozlał się na alejkę. Chłopcy popatrzyli smutno. Zamilkli. I poszli zgodnie po następne w kierunku domu handlowego „Jubilat”.

– Powiedz mi jeszcze jedno. Ale tak od serca - zagadnął ksiądz doktor. - Czy po tym wszystkim dalej tak będziesz mędrkował o zaświatach, duchach, upiorach, ścieżkach prawej i lewej ręki? Bo bardzo jestem ciekaw, co się w tobie zmieniło. Dalej sądzisz, że deszcz pada?

Komisarz Zbigniew Enka popatrzył na własną pięść. Tę samą, którą chciał przywalić Mickiewiczowi.

– Odpieprz się może i chodź na to piwo. Będziemy tak tkwili?

– Odpieprz się może. Nie piję - oznajmił Gil. - Nie piję i już.

Enka westchnął i wyjął papierosa.

– Nie pijesz. Fiu, fiu - rzekł. - A mszalne?

§ § §

(...) Istnieją dwie opinie w tej sprawie. Marek Nejman zwyczajnie oszalał albo realizuje sobie znany plan biznesowy. W końcu nieraz zaskakiwał, a jego życiowa droga nie była jednorodna. Naukowiec, biznesmen, w końcu mecenas sztuki i nauki, teraz nie chce nawet pokazać twarzy, nie wiadomo też, z jakich przyczyn spędził dwa miesiące w tureckim szpitalu. Nie pokazuje się publicznie, nie występuje w telewizji, sprzedał udziały w swoich spółkach i oficjalnie jest bez grosza przy duszy.

Trop prowadzi na Śląsk, gdzie Nejman miał się przenieść, a niektórzy widzą go w dziwnym mężczyźnie o oszpeconej bliznami twarzy i w rękawiczkach. Człowiek ów, zdradzający objawy religijnej manii, wygłasza kazania o miłosierdziu Bożym w towarzystwie znanego w okolicy religijnego fanatyka Rajmunda Cnoty. Trop ten może być właściwy, dlatego że Nejman, odmieniony duchowo i fizycznie na tureckiej ziemi, cały swój majątek przekazał Towarzystwu Kultury Ezoterycznej „Jezus Maria”, gdzie należy i którym Rajmund Cnota trzęsie.

Mirosław Ciekalski, NIE,
7 października 1992

Ptaki (IV)

Ptaki spały

[1] Piotr Demianowicz Uspienski, Fragmenty nieznanego nauczania - w poszukiwaniu cudownego, Pusty Obłok, Warszawa 1991

[2] Wszystkie cytaty biblijne wypowiedane przez Rajmunda Cnotę za Biblią Brzeską

[3] Fragment Wielkiej Improwizacji, Dziady cz. III

[4] Patrz Pies i klecha. Przeciwno wszystkim

[5] Pies i klecha. Przeciwno wszystkim

[6] Pies i klecha. Przeciwno wszystkim

[7] Historię pierwszego projektu Czytelnik znajdzie w tomie Przeciwno wszystkim

[8] Patrz Przeciwno wszystkim

[9] Pies i klecha. Przeciwno wszystkim

[10] Ogień i blask

[11] Pies i klecha. Przeciwno wszystkim

[12] Pies i klecha. Przeciwno wszystkim

[13] (fr.) Musimy się podzielić, to są moi biedni przyjaciele z Polski

[14] Nowenna do św. Judy, patrona spraw beznadziejnych

[15] Styl walki opracowany w ZSRR

[16] Głodomór

[17] Pies i klecha. Przeciwno wszystkim

[18] Patrz opowiadanie pt. Ogień i blask